

Victoria Holt

Klątwa królów

The Curse Of The Kings
Przełożyła Zofia Dąbrowska

Rozdział 1

Kłątwa

Kiedy sir Edward Travers zmarł nagle z niewyjaśnionych przyczyn, zapanowała ogólna konsternacja nie tylko w okolicy, gdzie mieszkał, lecz także w całym kraju. Wydarzenie to wywołało również falę domysłów.

Tytuły prasowe głosiły: „Śmierć wybitnego archeologa”. „Czy sir Edward Travers stał się ofiarą klątwy?”

W naszej lokalnej gazecie napisano:

„W związku ze śmiercią sir Edwarda Traversa, który niedawno wyjechał z kraju w celu przeprowadzenia badań wykopaliskowych w rejonie grobowców faraonów, powstało pytanie: czy można całkowicie zaprzeczyć starożytnym wierzeniom, że ten, kto zakłóca spokój miejsca spoczynku zmarłych, naraża się na ich gniew? Nieoczekiwany zgon sir Edwarda spowodował natychmiastowe zakończenie prac ekspedycji”.

Sir Ralf Bodrean, nasz miejscowy dziedzic i najbliższy przyjaciel sir Edwarda, wspomagał wyprawę finansowo, gdy więc w parę dni po ogłoszeniu wiadomości o śmierci sir Edwarda sir Ralf doznał udaru mózgowego, pojawiły się dalsze spekulacje. Wprawdzie parę lat temu cierpiał on na podobne schorzenie, ale wtedy powrócił do zdrowia. Skutkiem obecnego wylewu był paraliż rąk i nóg, co zasadniczo nadważyło jego siły.

Jak można było się spodziewać, niektórzy napomykali, że te nieszczęścia są wynikiem klątwy.

Ciało sir Edwarda zostało sprowadzone do kraju i pochowane na naszym przykościelnym cmentarzu. Teobald, jedyny syn sir Edwarda, wybitnie zdolny człowiek, mający już pewne znaczące osiągnięcia w tej samej co ojciec profesji, był oczywiście osobą najbardziej pogrążoną w żałobie.

Odbył się wspaniały pogrzeb. Jeszcze takiego nie widziano w naszym dwunastowiecznym kościółku. Poza rodziną i przyjaciółmi zjawili się przedstawiciele świata nauki, no i oczywiście prasa. W owym czasie byłam panną do towarzystwa lady Bodrean, żony sir Ralfa. Musiałam przyjąć tę posadę ze względów finansowych, choć praca ta całkiem nie odpowiadała mej naturze.

Towarzyszyłam lady Bodrean w kościele podczas pogrzebu i nie mogłam oderwać oczu od Teobalda.

Byłam w nim zakochana głupio, bo beznadziejnie, od chwili gdy pierwszy raz go ujrzałam. Jakże bowiem ma szansę panna do towarzystwa skromnego pochodzenia u tak wybitnego mężczyzny? Według mnie posiadał wszelkie możliwe męskie walory. Nie był przystojny według klasycznych kanonów, lecz wyraźnie wyróżniał się na korzyść w porównaniu z innymi. Bardzo wysoki, szczupły, o włosach ani zbyt jasnych, ani zbyt ciemnych, miał wysokie czoło uczonego, jednak w jego ustach można było dostrzec pewną zmysłowość. Wydatny nos nadawał mu nieco wyniosły wygląd. Oczy szare, głęboko osadzone i nieprzeniknione. Nigdy nie można było być pewnym, co myśli. Zachowywał rezerwę i był tajemniczy. Często myślałam sobie: trzeba by całego życia, żeby go zrozumieć. Ale cóż by to była za podniecająca, pełna odkryć podróż!

Natychmiast po pogrzebie wróciłam z lady Bodrean do Keverall Court. Twierdziła, że jest wyczerpana, i rzeczywiście narzekała i irytowała się bardziej niż zwykle. Jej humor nie poprawił się, gdy się dowiedziała, że do Keverall Court przybyli reporterzy w celu uzyskania wiadomości o stanie zdrowia sir Ralfa.

— Jak szakale — oznajmiła. — Oczekują najgorszego, gdyż drugi zgon pasowałby im doskonale do tej idiotycznej bajdy o kłątwie.

Kilka dni po pogrzebie zabrałam psy lady Bodrean na codzienny spacer i kroki powiodły mnie z przyzwyczajenia do Giza House, domu Traversów. Stałam przed bramą z kutego żelaza, tam gdzie stawałam tak często i przypatrywałam się budynkowi od strony ścieżki wiodącej do wejścia. Teraz, po pogrzebie, żaluzje były podciągnięte i dom nie roztaczał już wokół siebie owej poprzedniej aury smutku. Panowała tu jednak nadal tajemnicza atmosfera, z którą zawsze ten dom kojarzyłam, ponieważ od początku mnie fascynował, nawet jeszcze zanim Traversowie tu się wprowadzili.

Ku memu zakłopotaniu zobaczyłam wychodzącego z drzwi wejściowych Teobalda. Miałam ochotę zawrócić, ale było już za późno, gdyż mnie zobaczył.

— Dzień dobry, panno Osmond — powitał mnie.

Szybko wymyśliłam powód, dla którego tu się znalazłam.

— Lady Bodrean bardzo chciała się dowiedzieć, jak się pan miewa.

— O, dziękuję, nieźle — odparł. — Ale musi pani wejść do środka.

Uśmiechnął się do mnie, a ja poczułam się absurdalnie szczęśliwa. Co za niedorzeczność. Praktyczna, rozsądna, dumna panna Osmond doznaje tak intensywnych uczuć wobec drugiej ludzkiej istoty! Panna Osmond zakochana! Jak w ogóle mogłam popaść w taki stan i do tego w tak beznadziejnej sytuacji?

Poprowadził mnie ścieżką pomiędzy wybujałymi krzewami, pchnął odrzwia za pomocą kołatki, którą sir Edward przywiózł skądś z zagranicy. Była pomysłowo wykuta w kształcie ludzkiej twarzy... dość złośliwej w wyrazie. Zastanawiałam się, czy sir Edward zainstalował ją w celu zniechęcenia gości.

W Giza House dywany były puszyste i całkowicie tłumiły odgłos kroków. Teobald zaprosił mnie do salonu, gdzie wisały ciężkie, aksamitne zasłony granatowego koloru, obszyte złotym obłamowaniem. Dywan był ciemnoniebieski, strzyżony, wełniany. Sir Edwardowi przeszkadzały hałasy. Tak słyszałam. W pokoju znajdowały się świadectwa jego zawodowego powołania. Wiedziałam, że niektóre ze zgromadzonych tu przedziwnych przedmiotów pochodziły z jego co bardziej spektakularnych znalezisk. To był pokój chiński, lecz fortepian, który nad wszystkim dominował, nadawał mu posmak wiktoriańskiej Anglii.

Teobald poprosił, żebym usiadła, i sam ulokował się nieopodal.

— Planujemy następną wyprawę w to samo miejsce, gdzie zmarł mój ojciec — rzekł.

— O! — Nigdy nie wierzyłam w opowieść o kłątwie, a jednak wiadomość o jego powrocie w to miejsce przeraziła mnie. — Czy to rozsądne? — spytałam.

— Z pewnością nie wierzy pani w plotki na temat przyczyny śmierci mego ojca, prawda, panno Osmond?

— Oczywiście, że nie.

— Cieszył się dobrym zdrowiem, to prawda. I nagle go powaliło. Sądzę, że był o krok od dokonania wielkiego odkrycia. Wnioskuje to ze słów, które usłyszałem od niego w przeddzień śmierci. Powiedział: „Jestem przekonany, że wkrótce udowodnię wszystkim, iż ta ekspedycja była bardzo owocna”. Nie chciał powiedzieć nic więcej. Szkoda.

— Przeprowadzono sekcję?

— Tak, tu w Anglii. Lecz nie zdołano ustalić przyczyny śmierci. To bardzo zagadkowe. A teraz sir Ralf.

— Nie sądzi pan, że te dwie sprawy mają ze sobą jakiś związek?

Potrząsnął przecząco głową.

— Uważam, że stary przyjaciel ojca doznał szoku na wiadomość o jego nagłym zgonie. Sir Ralf

zawsze miał skłonność do apopleksji i już przedtem przeszedł stosunkowo łagodny wylew. Lekarze od lat go ostrzegali i prosili, żeby wykazał trochę ostrożności. Nie, choroba sir Ralfa nie ma nic wspólnego z tym, co stało się w Egipcie. Cóż, ja tam wracam i spróbuję się dowiedzieć, od jakiego odkrycia o krok był mój ojciec i... czy to można jakoś wiązać z jego śmiercią.

— Proszę na siebie uważać — powiedziałam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Uśmiechnął się.

— Tego zapewne życzyłby sobie ojciec.

— Kiedy pan wyjeżdża?

— Przygotowania zajmą jakieś trzy miesiące.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Tabita Grey. Interesowała mnie jak wszystko w Giza House. Odznaczała się urodą, ale było to dyskretne piękno. Dopiero po kilku z nią spotkaniach można było należycie docenić jej urok. Urzekał również roztaczaną aurą pewnej rezygnacji, akceptacji życia. Nigdy nie wiedziałam dokładnie, jakie stanowisko piastuje w Giza House; była kimś w rodzaju gospodyni obdarzonej specjalnymi przywilejami.

— Panna Osmond przyszła z pozdrowieniami od lady Bodrean.

— Napije się pani herbaty, panno Osmond? — spytała Tabita.

Podziękowałam i wyjaśniłam, że muszę natychmiast wracać, gdyż w przeciwnym razie moja nieobecność zostanie zauważona i oceniona jako naganna.

Tabita uśmiechnęła się współczująco, dając tym do zrozumienia, że nie uważa lady Bodrean za łatwą we współżyciu chlebobawczynię. Teobald oświadczył, że mnie odprowadzi, więc wyszliśmy razem. Przez cały czas mówił o wyprawie. Był nią bardzo przejęty.

— Zapewne pani żałuje, że nie jedzie razem z nami?

— O tak. Niezmiernie.

— Byłaby pani gotowa stawić czoło Klątwie Faraonów, panno Osmond? — spytał ironicznie.

— Z pewnością. Uśmiechnął się do mnie.

— Bardzo bym chciał — powiedział poważnym tonem — żeby mogła pani wziąć udział w naszej ekspedycji.

Wróciłam do Keveryall Court wprost oszołomiona. Prawie nie docierały do mnie narzekania lady Bodrean. Byłam jak we śnie. On chciał, żebym z nimi pojechała. Tylko cud mógłby to sprawić.

Kiedy umarł sir Ralf, coraz więcej mówiono o klątwie. Teraz nie żyli obaj — człowiek, który kierował wyprawą, i ten, który wspomagał ją finansowo. W tym coś musiało być.

I wtedy... zdarzył się cud. To było niewiarygodne. Wspaniałe. Spełnienie marzeń. Tak fantastyczne jak bajka. Kopciuszek miał pojechać nie na bal, lecz z wyprawą archeologiczną do Egiptu.

Mogłam się jedynie zdumiewać tym niesłychanym wydarzeniem i wciąż na nowo rozpamiętywać, jak do tego doszło.

Więc zaczęłam od moich czternastych urodzin, kiedy to znalazłam pewien przedmiot z brązu w grobie szykowanym dla Jozjasza Polgreya.

Rozdział 2

Tarcza z brązu

Czternaste urodziny należały w moim życiu do najbardziej pamiętnych dni, gdyż wtedy właśnie znalazłam tarczę z brązu, a ponadto dowiedziałam się pewnej prawdy o sobie.

Najpierw była tarcza. Znalazłam ją w upalne, lipcowe popołudnie. W domu panował całkowity spokój, jakoś nigdzie bowiem nie można było napotkać ani Dorcas i Alison, ani kucharki, ani obu służących. Przypuszczałam, że te ostatnie wymieniają w ich sypialni zwierzenia na temat swych narzeczonych. Kucharka zapewne przysnęła w kuchni, Dorcas była w ogrodzie, Alison coś cerowała lub haftowała, nasz zaś wielebny ksiądz proboszcz Jakub Osmond w swym gabinecie niby przygotowywał kazanie na następną niedzielę, a w rzeczywistości drzemał w fotelu. Jak bym go widziała. Od czasu do czasu budziło go własne, dystygowane chrapanie lub gdy mu opadła głowa i wtedy wymruczawszy: „Czyżby? Niemożliwe!”, dalej udawał przed samym sobą, gdyż nikogo tam nie było, że cały czas pracuje.

Myślałam się, przynajmniej co do Dorcas i Alison. Musiały się udać do jednej z sypialni, aby przedyskutować pewną kwestię, a mianowicie, jak najlepiej powiedzieć dziecku — to znaczy mnie — które właśnie skończyło czternaście lat, że według nich już dłużej nie można trzymać tajemnicy pod korcem.

Byłam na cmentarzu i obserwowałam, jak Pegger, zakrystian, kopie grób. Teren kościelny, na którym grzebano zmarłych, zawsze mnie fascynował. Zdarzało mi się obudzić w nocy i rozmyślać o tym miejscu. Często wychodziłam z łóżka, klękałam na ławeczce w wykuszu pod oknem i spoglądałam w tamtym kierunku.

We mgle cmentarz robił wrażenie naprawdę upiorne, a szare nagrobki wyglądały niczym ludzkie postacie powstałe z martwych. W jasnym świetle księżycy nie było wątpliwości, że są to pomniki nagrobne, lecz nie traciły one przez to swej tajemniczości. Czasami, gdy było ciemno, choć oko wykol, i deszcz lał jak z cebra, a wiatr zawodził w gałęziach dębów i miotał starymi cisami, wtedy wyobrażałam sobie, że zmarli wstali ze swych grobów i posuwają się wokół cmentarza tuż pod moim oknem.

Już od wielu lat odczuwałam to chorobliwe zainteresowanie. Chyba zaczęło się od chwili, gdy Dorcas po raz pierwszy zabrała mnie na grób Lawinii, żeby złożyć tam kwiaty. Robiliśmy to każdej niedzieli. Teraz zasadziłyśmy tam krzew rozmarynu w obrzeżu z marmuru.

— To dla uczczenia jej pamięci — powiedziała Dorcas. — Będzie zielony cały okrągły rok.

Tego upalnego, lipcowego popołudnia Pegger w pewnej chwili przerwał kopanie, żeby otrzeć z czoła pot swą czerwoną chustką, i spojrzał na mnie srogim wzrokiem. Zresztą patrzył tak na wszystkich.

— Panienska też się tak pewnie zastanawia. Jak tu stoję i wykopuję ziemię, to rozmyślam o tym, który spocznie na wieki w tym głębokim, ciemnym grobie. Jakbym nie znał ich wszystkich, a tak to przecież jest w takiej parafii jak St. Erno's.

Pegger mówił grobowym głosem. To chyba z powodu jego związków z cmentarzem. Przez całe życie był zakrystianem, tak jak poprzednio jego ojciec. Wyglądał niczym jeden z proroków Starego Testamentu z grzywą siwych włosów i takąż brodą. Przejawiał też słuszne oburzenie wobec ziemskich grzeszników, do której to kategorii zaliczał wszystkich żyjących prócz siebie i niewielu wybranych. Nawet mówił stylem biblijnym.

— To będzie miejsce wiecznego odpoczywania Jozjasza Polgreya. Przeżył siedemdziesiąt lat i teraz staje przed sądem w obliczu swego Stwórcy. — Pegger pokiwał głową z powagą i miną

wskazującą, że nie oceniał wysoko szans Jozjasza w przyszłym świecie.

— Może Bóg nie będzie dla niego tak surowy jak pan, panie Pegger — odezwałam się.

— To jest prawie bluźnierstwo, panienko Judyto — powiedział. — Niech panna dobrze uważa na to, co mówi.

— No ale co by to dało, panie Pegger? Zapisujący wszystko anioł i tak będzie wiedział, co mam na myśli, czybym te słowa wypowiedziała, czy nie. Więc już sama myśl może być grzeszna, ale czy można coś poradzić na to, że się myśli?

Pan Pegger wznosił oczy do nieba, jakby uznał, że ściągam na siebie gniew boży.

— Nie ma się czym przejmować — uspokoiłam go. — Ale jakże to, jeszcze pan nie zjadł swego drugiego śniadania. A już chyba druga godzina.

Na sąsiednim grobie leżała inna czerwona, wzorzysta chusta, podobna do tej, którą pan Pegger wycierał pot z czoła, ale ta była zawiązana i wiedziałam, że zawiera butelkę zimnej herbaty i duży, nadziewany pieróg, upieczony poprzedniego dnia przez panią Pegger, żeby był gotowy dla męża na rano.

Wyszedł z grobu, przysiadł na sąsiednim i po rozwiązaniu chustki wziął się do jedzenia.

— Ile grobów pan wykopał w swoim życiu? — spytałam.

Potrząsnął głową.

— Więcej, niż potrafiłbym zliczyć, panienko Judyto — odparł.

— A Mateusz będzie je kopał podobnie jak pan. Niech pan tylko pomyśli!

Mateusz, jego drugi w kolejności syn, będzie musiał odziedziczyć wątpliwy przywilej kopania grobów dla tych, którzy żyli i zmarli w miasteczku St. Erno's. Łukasz, najstarszy, uciekł żeglować po morzach, czego mu nigdy nie wybaczone.

— Jeśli taka będzie wola Pana, jeszcze parę wykopię — odrzekł.

— Musi pan kopać groby w różnych wymiarach — zastanawiałam się głośno. — No bo chyba nie może pan wykopać takiego samego dla drobnej pani Edney i dla sir Bodreana, prawda?

W ten sprytny sposób chciałam skierować naszą rozmowę na sir Ralfa, gdyż według mnie grzechy sąsiadów pana Peggera były jego ulubionym tematem, a skoro do sir Ralfa należało o wiele więcej wszelkiego dobra niż do innych, to pewno i liczba grzechów na jego sumieniu była wyższa.

Osoba naszego dziedzica fascynowała mnie. Wpadałam w podniecenie, kiedy przejeżdżał drogą w swym powozie lub na jednym z należących do niego koni. Nauczona przez Dorcas dygałam wtedy, a on witał mnie skinieniem głowy, podnosząc na moment dłoń władczyim gestem, i wówczas przez chwilę czułam na sobie spojrzenie jego oczu rzucone spod ciężkich powiek. Mówiono o nim jak niegdyś o Juliuszu Cezarze: „Ukryjcie swe córki, kiedy przechodzi”. Tak, on był Cezarem w naszym miasteczku.

Należała do niego większość ziemi, w tym okoliczne gospodarstwa rolne. Uważano, że był dobrym panem dla pracujących u niego robotników. Istotnie, dopóki mężczyźni kłaniali mu się z należytyim respektem, dziewczyny zaś nie odmawiały mu przysług, jakich pragnął, był dobrym panem. Oznaczało to, że ludzie mieli zapewnioną pracę i dach nad głową, a owoce jego flirtów były sownie zaopatrzone. Wiele było teraz owych „owoców” w naszym miasteczku i miały one przyznawane dodatkowe przywileje w porównaniu z tymi, które nie zostały spłodzone przy jego udziale.

Lecz dla pana Peggera nasz dziedzic był uosobieniem grzechu. Z szacunku dla mego młodego wieku nie mógł mi mówić o głównych przewinach, które otwierały przed dziedzicem wrota piekieł, więc z lubością zwykł napomykać o mniejszych, które i tak zapewniały mu ogień piekielny.

W Keveall Court wydawano przyjęcia prawie w każdą sobotę i niedzielę. W zależności od

sezonu odbywały się polowania na lisy, wydry i jelenie; strzelano do bażantów specjalnie w tym celu hodowanych w dobrach Keverall albo jedynie bawiono się w magnackim dworze. Przyjeżdżali tu w gościnę ludzie bardzo bogaci, elegancy — zwykle hałaśliwi — z Plymouth, a czasem nawet aż z Londynu. Zawsze z przyjemnością im się przyglądałam. Ożywiali okolicę. Jednak według mniemania pana Peggera oni ją bezczęścili.

Ja bywałam w Keverall Court każdego dnia z wyjątkiem sobót i niedziel. Uważałam za szczęśliwe zrządzenie losu, że otrzymałam takie specjalne pozwolenie. Córka dziedzica i jego bratanek mieli guwernantkę, a także nauczyciela w osobie Olivera Shrimptona, wikarego naszej parafii. Raczej ubogi proboszcz nie mógł sobie pozwolić na guwernantkę dla mnie, więc sir Ralf wspinałomyślnie udzielił swego zezwolenia — a może tylko nie zgłosił zastrzeżeń wobec złożonej mu propozycji — na moją naukę razem z jego córką i bratankiem.

To oznaczało, że we wszystkie dni od poniedziałku do piątku przechodziłam na dziedziniec przez średniowieczną, warowną bramę, zaopatrzoną w opuszczaną kratę, zabezpieczającą dodatkowo wejście, z lubością wdychałam zapach płynący ze stajen i wkraczałam w progi starego dworzyszczca. Przemierzałam olbrzymi hol z obiegającą go dookoła galerią i dochodziłam do szerokich schodów. Wstępowałam na nie, wyobrażając sobie, że jestem jedną z owych wielkich dam z Londynu, których dłonie pobłyskiwały brylantami, sunących w sukniach z ciągnącym się za nimi trenem.

Mijałam rodową kolekcję portretów, z których wszyscy zmarli, a także niektórzy żyjący jeszcze Bodreanowie spoglądali na mnie z wyrazem lekceważenia, rozbawienia lub obojętności. W końcu wchodziłam do szkolnego pokoju, gdzie już siedzieli Teodozja i Hadrian, a panna Graham, guwernantka, przygotowywała książki do nauki. Odkąd zdecydowano, że będę się uczyć z Bodreanami, życie stało się bardziej interesujące.

Tego upalnego, lipcowego popołudnia tu, na cmentarzu, chciałam się czegoś dowiedzieć o grzechu stale obciążającym naszego dziedzica, który — jak to określił pan Pegger — „wści — biał nos tam, gdzie według Pana Boga nie powinien”.

— To znaczy gdzie, panie Pegger? — spytałam.

— Do Carter's Meadow, oto gdzie. Chce tam rozpocząć kopanie. Naruszyć ziemię Boga. Od początku wiedziałem, jak ci ludzie zaczęli tu przyjeżdżać. Ze swymi pogańskimi pomysłami.

— A co oni mają zamiar wykopać, panie Pegger?

— Robaki, jak sądzę. — To miał być żart, gdyż twarz pana Peggera zmarszczyła się w grymasie imitującym uśmiech.

— Więc oni wszyscy tu przyjeżdżają, żeby kopać? — Wyobrażałam ich sobie: damy w jedwabiach i welwetach, panowie w białych fularowych halsztukach i aksamitnych tużurkach, wszyscy z małymi łopatkami na Carter's Meadow.

Pan Pegger strząsnął okruchy pieroga ze swego kaftana i zawiązał z powrotem butelkę w chustkę.

— Oni odkopują przeszłość, tak mówią, liczą, że znajdą jakieś narzędzia i przedmioty pozostawione przez tych, co żyli wiele, wiele lat temu.

— Tutaj, panie Pegger?

— Tutaj, w St. Erno's. Banda pogan. Więc z jakiej racji bogobojny dżentelmen miałby się z nimi zadawać? To przekracza moje w wyobrażenie.

— Być może oni nie są bogobojni, panie Pegger, ale ich praca jest godna szacunku. To nauka. Nazywa się archeologia.

— Co za różnica, jak się nazywa. Jeżeli Bóg zamyślał, żeby oni znaleźli te rzeczy, toby ich nie przykrywał swą świętą ziemią.

— A może to nie Bóg je zakrył?

— To kto?

— Czas — odpowiedziałam z ważną miną.

Potrząsnął głową i znowu zabrał się do kopania, wyrzucając ziemię na częściowo usypaną już przymę.

— Dziedzic był zawsze pierwszy do takich pomysłów. Ten mi się nie podoba. „Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych”^{*}, powiadam.

— Chyba już to ktoś inny powiedział jakiś czas temu, panie Pegger. Cóż, sądzę, że byłoby interesujące, gdybyśmy znaleźli coś cennego tu, w St. Erno's. Może jakieś rzymskie pozostałości. Bylibyśmy sławni.

— Nam nie zależy na sławie, panno Judyto. My powinniśmy być...

— Bogobojni — dopowiedziałam za niego. — Więc dziedzic i jego przyjaciele szukają w pobliżu śladów po Rzymianach. I to nie jest jego nagła zachcianka. Zawsze się tym interesował. Słynni archeolodzy zawsze bywali w Keveryall Court. Niewykluczone, że dlatego jego bratanek dostał na imię Hadrian.

— Hadrian! — huknął pan Pegger. — To pogańskie imię. Tak jak i imię córki jaśnie państwa.

— Hadrian i Teodozja.

— To nie są uczciwe, chrześcijańskie imiona.

— Nie takie jak wasze — Mateusz, Marek, Łukasz, Jan, Izaak, Ruben... i inne. Judyta występuje w Biblii. Więc ja jestem w porządku.

Zaczęłam rozmyślać o imionach.

— Dorcas! Alison! — wymieniałam. — A czy pan wie, panie Pegger, że Teodozja znaczy „dana od Boga”? Więc to jest imię chrześcijańskie. A Hadrian pochodzi od imienia rzymskiego cesarza.

— To nie są uczciwe, chrześcijańskie imiona — powtórzył.

— Lawinia — mówiłam dalej. — Ciekawe, co oznacza to imię.

— A, panna Lawinia — powiedział pan Pegger.

— To bardzo smutne, prawda, że zmarła tak młodo?

— Z tymi wszystkimi grzechami na sumieniu.

— Chyba nie było ich wiele. Dorcas i Alison mówią o niej tak, jakby kochały ją z całego serca.

Na probostwie wisiał portret Lawinii na półpiętrze schodów. Bałam się tamtędy chodzić po ciemku, ponieważ wyobrażałam sobie, że Lawinia wychodzi z obrazu i krąży po domu. Myślałam nieraz, że pewnego dnia, gdy będę tam szła, zobaczę puste ramy, bo Lawinia nie zdążyła wrócić na czas.

Dorcas uważała, że jestem dziwnym dzieckiem, bowiem ona sama, bardzo praktyczna, nie mogła zrozumieć mych niezwykłych fantazji.

— Każdy śmiertelny mężczyzna ma grzechy — orzekł pan Pegger. — Lecz kobiety dziesięć razy tyle.

— Ale nie Lawinia — zaoponowałam.

Oparł się na łopacie i podrapał po siwej czuprynie.

— Lawinia! Była najładniejsza ze wszystkich dziewcząt na probostwie.

Cóż, pomyślałam, gdybym tak dobrze nie znała portretu Lawinii, toby jeszcze niewiele znaczyło, bo ani Dorcas, ani Alison nie odznaczały się szczególną urodą. Zawsze nosiły takie praktyczne ubrania: spódnice i żakiety w ciemnych kolorach, do tego grube, mocne buty — tak odpowiednie na wsi. Natomiast Lawinia z portretu miała na sobie aksamitny żakiet i kapelusz z fantazyjnie zakręconym piórem.

^{*} Ewangelia wg św. Mateusza 8,22 (Biblia Tysiąclecia). Przep. red.

— Szkoda, że znalazła się właśnie w tym pociągu.

— W jednej sekundzie nie miała pojęcia, co się wydarzy, a w następnej... stała już na sądzie przed swym Stwórcą.

— Pan myśli, panie Pegger, że to się dzieje tak szybko? Przecież najpierw musiałaby się tam dostać...

— Zabrana w stanie grzechu, można by powiedzieć, nie został jej dany czas na akt skruchy.

— Nikt nie osądzał tak surowo Lawinii.

Pegger nie był tego tak pewien. Potrząsnął głową.

— Była postrzelona.

— Dorcas i Alison ją kochały. I proboszcz też. Widać to po ich minach, gdy ją wspominają.

Pan Pegger odłożył szpadel, żeby ponownie otrzeć czoło z potu.

— Mamy dziś najupalniejszy dzień, jaki Pan zesłał nam tego lata.

Wyszedł z dołu, przysiadł na brzegu sąsiedniego grobu i w tej sytuacji patrzyliśmy na siebie ponad zionącym wykopem. Stałam nad nim i zjrzałam w głąb.

Spocznie tu Jozjasz Polgrey, który bił swą żonę, a dzieci wysyłał do pracy na farmie w wieku pięciu lat. Niewiele myśląc, wskoczyłam do dołu.

— Co panienka robi, panno Judyto? — zawołał zdumiony pan Pegger.

— Chcę po prostu sprawdzić, jakie to uczucie, kiedy jest się tutaj — odpowiedziałam.

Sięgnęłam po łopatę i zaczęłam kopać.

— Pachnie wilgocią — stwierdziłam.

— Strasznie się tam panienka pobrudzi.

— Już się pobrudziłam — zawołałam, kiedy buty ześlizgnęły mi się w sypką glebę. Wrażenie było okropne. Czułam się tak, jakbym została zamknięta tam, w głębi, tuż między dwiema ścianami ziemi. — Panie Pegger, to musi być potworne, kiedy jest się pogrzebanym żywcem.

— Niech no panienka zaraz stamtąd wyjdzie.

— Skoro już tu jestem, to trochę pokopię — odparłam. — Przekonam się, jak to jest być grabarzem.

Wbiłam szpadel w ziemię i zaczęłam ją odrzucać, tak jak przedtem pan Pegger. Powtórzyłam tę czynność jeszcze kilka razy, gdy nagle szpadel uderzył w coś twardego.

— Tutaj coś jest! — zawołałam.

— Proszę stamtąd wyjść, panno Judyto.

Nie posłuchałam go i dalej odkopywałam tę rzecz. Wreszcie ją miałam.

— Panie Pegger, coś znalazłam! — wykrzyknęłam. Schyliłam się i podniosłam to coś. — Wie pan, co to jest?

Pan Pegger podniósł się i wziął to ode mnie.

— Kawałek starej blachy — orzekł.

Podaliśmy mu rękę, a on wyciągnął mnie z grobu Jozjasza Polgreya.

— No, nie wiem — powiedziałam. — To jednak jest coś.

— Brudny, stary rupieć — stwierdził pan Pegger.

— Ale niech pan spojrzy, panie Pegger. A to co? Na tym jest coś wyryte.

— Ja bym to wyrzucił... i to migiem — zasugerował pan Pegger.

Ale nie ja. Wezmę to ze sobą i oczyszczę. Mnie to się raczej podobało.

Pan Pegger chwycił szpadel i znowu zabrał się do pracy, podczas gdy ja usiłowałam zetrzeć ziemię z butów i przy okazji zauważyłam z przerażeniem, że rąbek mej spódnicy jest fatalnie pobrudzony.

Porozmawiałam jeszcze trochę z panem Peggerem, po czym skierowałam się w stronę probostwa, niosąc ze sobą ten przedmiot, który według mnie wyglądał, jakby był wykonany z

brązu. Miał owalny kształt o średnicy około piętnastu centymetrów. Ciekawa byłam, jaki będzie, kiedy go oczyszczę, i do czego mógłby mi się przydać.

Jednak nie poświęcałam temu zbyt wiele uwagi, bowiem poprzednia rozmowa skierowała me myśli ku Lawinii. Jaki smutek musiał zapanować w domu, gdy nadeszła wiadomość, że ukochana córka wielbego Jakuba Osmonda, a siostra Dorcas i Alison, poniosła śmierć w czasie podróży pociągiem w drodze z Plymouth do Londynu.

— Zginęła na miejscu — powiedziała mi kiedyś Dorcas. Stałyśmy wtedy przy grobie Lawinii i Dorcas przycinała rosnące tam róże. — W pewnym sensie to była łaska boska, bo gdyby ocalała, mogłaby zostać kaleką na całe życie. Miała dwadzieścia jeden lat. To była ogromna tragedia.

— Dorcas, a dlaczego ona przeprowadzała się do Londynu? — spytałam.

— Żeby objąć posadę.

— Jaką posadę?

— Och... guwernantki, tak mi się zdaje.

— Tak ci się zdaje? Nie jesteś pewna?

— Mieszkała u jednej krewnej, bardzo dalekiej krewnej.

— A kto to był?

— Ojej, ale ty jesteś dociekliwym dzieckiem! Bardzo daleka krewna. Obecnie nie mamy od niej żadnych wiadomości. Lawinia u niej mieszkała, więc wsiadła do pociągu w Plymouth, i wtedy... wtedy wydarzył się ten straszliwy wypadek. Było wiele ofiar śmiertelnych. Jedna z najgorszych katastrof, jak sięgnąć pamięcią. Byliśmy zdruzgotani.

— To wtedy właśnie podjęliście decyzję, żeby wziąć mnie na wychowanie. Miałam zastąpić Lawinie.

— Nikt nie potrafiłby zastąpić Lawinii, kochanie. Zająłś własne miejsce.

— A czy jestem choć trochę do niej podobna?

— Wcale.

— Przypuszczam, że miała łagodne i spokojne usposobienie. Nie paplała za dużo, nie była dociekliwa ani porywcza, nie usiłowała narzucać swej woli innym... nie miała żadnej z mych przywar.

— Tak, Judytko, nie była do ciebie podobna. Lecz chociaż łagodna, potrafiła nieraz być bardzo stanowcza.

— Więc kiedy ona już nie żyła, a ja byłam sierotą, zdecydowaliście się mną zaopiekować. Łączy nas pokrewieństwo?

— W jakimś stopniu.

— W takim razie jestem waszą daleką krewną. Chyba nie macie innych krewnych poza dalekimi.

— Cóż, wiedzieliśmy, że byłaś sierotą, a myśmy zostali dotknięci takim nieszczęściem. Uznaliśmy, że to nam pomoże... no i tobie, oczywiście.

— Jednym słowem znalazłam się u was z powodu Lawinii.

Biorąc to pod uwagę, miałam poczucie, że Lawinia wywarła znaczący wpływ na moje życie. Jednocześnie zastanawiałam się, co by się dalej ze mną stało, gdyby Lawinia nie wsiadła do tego właśnie pociągu.

W holu starego, zbudowanego z kamienia probostwa było zimno i ciemno. Na stole stała wielka misa z kwiatami budlei, lawendy i róż. Parę płatków opadło już na kamienne płyty podłogi.

Probostwo było starym budynkiem, prawie tak starym jak Keverall Court. Wybudowane we wczesnym okresie panowania królowej Elżbiety, pozostawało siedzibą proboszczów od ponad trzystu lat. Ich nazwiska widniały wyrzeźbione na tablicy w kościele.

Pokoje były tam obszerne i niektóre z nich wyłożone piękną boazerią. Tyle że małe okienka z szybkami w olowianych ramkach dawały niewiele światła. W domu panowała atmosfera wielkiego spokoju. Uderzyła mnie ona szczególnie owego skwarneego dnia.

Poszłam schodami do mego pokoju i pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było zmycie ziemi z przyniesionego przedmiotu, stanowiącego chyba jakąś ozdobę. Lałam na niego wodę z dzbanka do miednicy i przecierałam go watą, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołałam. W progu stały Dorcas i Alison. Miały tak poważne miny, że całkiem zapomniałam o mym znalezisku i wykrzyknęłam:

— Czy coś się stało?

— Usłyszałyśmy, że wróciłaś do domu — powiedziała Alison.

— O rety, aż tyle narobiłam hałasu?

Wymieniły między sobą spojrzenia i uśmiechy.

— Nadśluchiwałyśmy, czy już idziesz — rzekła Dorcas.

Zapadła cisza. Sytuacja zupełnie niezwykła.

— Coś jest nie w porządku — ponaglałam je.

— Nie, kochanie, nic takiego. Już jakiś czas temu podjęliśmy decyzję, że z tobą porozmawiamy, a dziś są twoje czternaste urodziny, jakby moment zwrotny... pomyślałyśmy, że chwila jest odpowiednia.

— To wszystko jest dość tajemnicze — zauważyłam. Alison odetchnęła głęboko i powiedziała:

— Słuchaj, Judytko...

Dorcas zachęciła ją skinieniem głowy, żeby mówiła dalej.

— Więc, Judytko, zawsze pozostawałaś w przekonaniu, że jesteś córką jednej z naszych krewnych.

— Tak, dalekiej krewnej.

— Rzecz ma się inaczej.

Przeniosłam wzrok z jednej na drugą.

— Wobec tego, kim ja jestem?

— Jesteś naszą adoptowaną córką.

— Tak, to wiem. Ale jeśli moi rodzice nie są dalekimi krewnymi, to kim?

Żadna z nich się nie odezwała, więc wykrzyknęłam niecierpliwie.

— Powiedziałyście, że przyszyliście mi powiedzieć!

Alison odchrząknęła.

— Byłaś w pociągu... tym samym co Lawinia.

— W czasie wypadku?

— Tak, podczas tej katastrofy... mniej więcej jednoroczne dziecko.

— Moi rodzice wtedy zginęli?

— Chyba tak.

— Kim oni byli?

Alison i Dorcas znowu wymieniły spojrzenia, Dorcas lekko skinęła głową, co znaczyło: „Powiedz jej wszystko”.

— Wyszłaś z tego bez szwanku.

— A moi rodzice nie przeżyli?

Alison pokiwała głową.

— Ale kim oni byli?

— Oni... oni musieli zginąć na miejscu. Nikt się nie zgłosił z wyjaśnieniem, kim ty byłaś.

— No to mogłam być kimkolwiek! — wykrzyknęłam.

— Więc — ciągnęła Dorcas — skoro straciłyśmy siostrę, adoptowałyśmy ciebie.

— A co by się ze mną stało, gdybyście tego nie zrobili?

— Prawdopodobnie zrobiłby to ktoś inny.

Patrzyłam to na jedną, to na drugą i myślałam o dobroci, jakiej od tych kobiet doznawałam, i o tym, jakim byłam dla nich utrapieniem, trąkając za dużo i za głośno, wnosząc błoto do domu, tłukąc ich bezcenną porcelaną; podbiegłam do nich i objęłam je obie ramionami, tak że we trzy połączyłyśmy się w jedno zespolone grono.

— Judytko! Judytko! — powtarzała uśmiechnięta Dorcas z błyszczącymi oczami od łez, które zawsze dość łatwo napływały jej pod powieki.

— Stałaś się dla nas pociechą — odezwała się Alison. — A tego nam było trzeba po śmierci Lawinii.

— W takim razie nie ma powodu do płaczu, prawda? Może jestem dawno zaginioną dziedziczką wielkiej fortuny. Moi rodzice przetrząsali wszystkie zakątki, żeby mnie odnaleźć...

Alison i Dorcas znowu się uśmiechnęły. Pożywiona takim pokarmem mogłam dalej rozwijać swe fantazje.

— W każdym razie to lepsze niż być daleką krewną — powiedziałam. — Ale ciekawe, kim jestem.

— Nie ma wątpliwości, że twoi rodzice zginęli na miejscu. To była taka... straszna katastrofa. Słyszałyśmy, że wielu ludzi nie udało się zidentyfikować. Papa pojechał i rozpoznał Lawinię. Wrócił taki przybity.

— Dlaczego mówiłyście mi, że pochodzę z dalszej rodziny?

— Uważałyśmy, że tak będzie lepiej, Judytko. Sądziłyśmy, że mając świadomość naturalnych rodzinnych więzów, będziesz szczęśliwsza.

— Myślałyście, że jestem niczyja... niechciana i to mogłoby mnie niepokoić i rzucić cień na me dzieciństwo.

— Różne da się znaleźć wyjaśnienia twojej sytuacji. Może poza rodzicami nie miałaś żadnych krewnych. Według nas to najbardziej prawdopodobne.

— Sierota, dziecko dwóch sierot.

— Całkiem możliwe.

— A może twoi rodzice dopiero wtedy właśnie przybyli do Anglii?

— Cudzoziemcy. Może jestem Francuzką... albo Hiszpanką. Mam raczej ciemną karnację. A włosy w świetle świecy wyglądają całkiem jak czarne. Oczy są jednak znacznie jaśniejsze... takie zwykłe piwne. Ale i tak wyglądam na Hiszpankę, tyle że wielu ludzi w Kornwalii ma taką urodę. To dlatego, że Hiszpanie zostali jako rozbitkowie wyrzuceni na nasze wybrzeża, kiedy rozgromiliśmy Wielką Armadę.

— Cóż, wszystko skończyło się dobrze. Stałaś się naszym własnym dzieckiem i nie potrafie nawet wyrazić, jaka to była dla nas radość.

— Nie wiem, dlaczego wyglądacie tak ponuro. To wręcz podniecające... nie wiedzieć, kim się jest. Pomyślcie tylko, co można odkryć! Może mam gdzieś siostrę albo brata. Albo dziadków. Może przyjadą, udowodnią prawa do swej wnuczki i zabiorą mnie do Hiszpanii. Seniorka Judyta. To nawet do rymu. Mademoiselle Judite de... jakoś tam. Wyobraźcie sobie tylko wizytę u mej dawno utraconej rodziny w ich wspaniałym zamku.

— Och, Judytko, ty zawsze puszczasz wodze fantazji — rzekła Dorcas.

— Cieszę się, że ona tak do tego podchodzi — dodała Alison.

— A jak inaczej bym miała podchodzić? Ci dalecy krewni i tak nigdy mi się nie podobali.

— Więc nie uważasz, że byłaś... opuszczona... niechciana... niczyja?

— Oczywiście, że nie. Ci dziadkowie się nie dowiedzieli, że moi rodzice zginęli. Nikt im nie powiedział, a ponieważ mieszkają za granicą, ta wiadomość do nich nie dotarła. Uznali, że moi

rodzice od nich odeszli. A co do małego dziecka... to znaczy mnie... cóż, bardzo często marzą, żeby mnie zobaczyć. „Ciekawe, jakie jest to dziecko — mawiają. — Dzisiaj kończy czternaście lat. Kochana, mała Judytka”. Ale przypuszczam, że to wy nadałyście mi takie imię.

— Papa cię ochrzcił, jak tylko przywiózł na probostwo.

— To wszystko jest takie ekscytujące. Miła urodzinowa niespodzianka. Spójrzcie, co znalazłam. Jak zostanie doczyszczona, będzie niezwykle ciekawie wyglądało.

— A co to jest?

— Nie mam pojęcia. Co sądzisz, Dorcas? Tu są jakieś napisy. Spójrz.

— Gdzie to znalazłaś?

— W grobie Jozjasza Polgreya. Pan Pegger go kopał, a ja też spróbowałam... i pomyślcie tylko, natrafiłam na coś łopatą. Oczyszczę to i zobaczymy, czy się do czegoś przyda. To jakby prezent urodzinowy od Jozjasza Polgreya.

— Co za pomysł! Już coś takiego kiedyś widziałam — zastanawiała się Alison. — Ten przedmiot może mieć jakąś wartość.

— Alison, jaką wartość?

— Sir Ralf będzie wiedział.

Dorcas i Alison popatrzyły na siebie. Odezwała się Alison, jakby ostrożnie dobierając słowa:

— Sądzę, Judytko, że powinnaś iść z tym do Keverall Court i zapytać, czy możesz to pokazać sir Ralfowi.

— Po co?

— Ponieważ on się interesuje takimi rzeczami.

— Masz na myśli rzeczy wykopane?

— Różnymi rzeczami. Oczywiście może się okazać, że to nic nie jest... ale nie wydaje mi się. Wygląda na rzeczywiście bardzo starą rzecz i może przypadkiem natknęłaś się na coś wartościowego.

Ogarnęło mnie podniecenie. Przecież mówiono o pracach wykopaliskowych na Carter's Meadow. To dopiero by było, gdybym ja pierwsza coś znalazła!

— Zaraz tam pójde — oznajmiłam.

— Najpierw musisz się umyć, zmienić sukienkę i zrobić porządek z włosami.

Uśmiechnęłam się do nich. Bardzo je kochałam, zachowywały się tak szczerze i naturalnie. Właśnie w dniu moich urodzin powiedziały mi, że po wypadku, w którym zginęli moi rodzice, nikt się po mnie nie zgłosił i mogłam być jakąś ważną osobą. Być może wykopałam cenny przedmiot sprzed setek lat, a one martwiły się moim wyglądem, gdyż powinnam się właściwie zaprezentować sir Ralfowi.

* * *

Przeszłam przez warowną bramę na dziedziniec, wdychając po drodze zapach płynący ze stajen, i skierowałam się do magnackiego dworu. Ciężkie, okute żelazem odrzwia zaskrzypiały, kiedy je popchnęłam. Jaka cisza panowała w tym ogromnym holu! Znieruchomiałam na chwilę, ogarniając wzrokiem dwie kompletne zbroje, ustawione z obu stron szerokich schodów, i broń rozwieszoną na ścianach. Na stole stały cynowe naczynia i wielka misa z kwiatami.

Ciekawa byłam, co teraz robią Hadrian i Teodozja. Pomyślałam, jaką będę miała uciechę, kiedy im opowiem o mym znalezisku. W mojej wyobraźni urosło ono już do rangi bezcennego. Najwięksi archeolodzy świata będą ścisnąć mi dłoń. „Tak jesteśmy pani wdzięczni, Judyto. Latami prowadziliśmy prace wykopaliskowe i dotąd nie znaleźliśmy niczego podobnie cudownego”.

Usłyszałam za sobą szuranie odsuwanej krzesła. Nie zauważyłam Derwenta, lokaja, który na nim drzemał.

— O, to panienska — rzekł.

— Chcę się natychmiast zobaczyć z sir Ralfem. To sprawa najwyższej wagi.

Spojrzał na mnie lekceważąco.

— Zaraz, panienko. To pewno jakaś nowa sztuczka. Znam się na tym.

— Żadna sztuczka. Znalazłam coś bardzo cennego. Moje ciocie (tak nazywałam Dorcas i Alison, co upraszczało relacje między nami) powiedziały, że mam przynieść to sir Ralfowi bez zwłoki i biada temu, kto będzie próbował mnie do niego nie dopuścić.

Przycisnęłam do siebie metalowy przedmiot i spojrzałam na lokaja buńczucznie.

— Pije teraz herbatę z jaśnie panią.

— Proszę iść i powiedzieć mu, że tu jestem — rzekłam wyniośle. Już trochę mówiło się o Carter's Meadow i dobrze było wiadomo, jak sir Ralf jest zainteresowany ewentualnymi wykopaliskami, więc wymogłam ostatecznie na Derwencie, żeby poszedł do sir Ralfa i powiedział mu, że znalazłam coś, co według moich ciotek mogło go zaciekawić. W rezultacie już po pięciu minutach stałam w bibliotece... tym fascynującym pokoju, pełnym zbiorów różnych egzotycznych cudowności.

Położyłam metalowy przedmiot na stole i od razu wiedziałam, że zrobiłam wrażenie.

— Dobry Boże — powiedział sir Ralf. Dorcas, Alison i naszemu proboszczowi nie podobałoby się używanie imienia bożego nadaremno. — Gdzie to znalazłaś?

Wyjaśniłam mu, że w grobie Jozjasza Polgreya. Jego krzaczaste brwi uniosły się.

— A co tam robiłaś?

— Pomagałam kopać.

Śmiał się na dwa sposoby. Albo wydawał z siebie gromkie wybuchy, albo śmiał się wewnątrz, czego wyrazem było jedynie drżenie podbródka. Ta oznaka świadczyła według mnie o większym rozbawieniu. Tak się stało tym razem. Chyba był też zadowolony. Zawsze mówił urywanymi zdaniami, jakby się zbyt spieszył, żeby je skończyć.

— Hm — zaczął. — Cmentarz, hę?

— Tak. To ma chyba jakąś wartość, prawda?

— Brząz — powiedział. — Prehistoria, jak mniemam.

— Mnie się to wydaje ogromnie ciekawe.

— Mądra dziewczyna — rzekł. — Jeśli jeszcze coś znajdziesz, przynieś to do mnie.

Skinął głową, jakby chciał mnie odprawić, lecz ja nie zamierzałam dać się tak wyprosić. Spytałam:

— Pan chce, żebym mu zostawiła mój... brząz?

Zmrużył oczy, a podbródek zadrżał mu lekko.

— Twój? — wrzasnął. — To nie jest twoje.

— Ja to znalazłam.

— Kto znalazł, ten ma, hę? Nie, moja mała, nie tego rodzaju rzeczy. To należy do państwa.

— Bardzo dziwne.

— Jeszcze wiele spraw uznasz za dziwne, zanim dorośniesz.

— Czy to jest interesujące dla archeologów?

— A co wiesz o archeologach?

— Wiem, że prowadzą wykopaliska i znajdują rozmaite rzeczy. Cudowne rzeczy. Rzymskie łaźnie, śliczne płyty ceramiczne i takie różne.

— Chyba ci nie przyszło do głowy, że jesteś archeologiem, bo na to natrafiłaś?

— Robiłam to samo co oni.

— I tym właśnie chciałabyś się zajmować, tak?

— Tak. Wiem, że potrafiłabym to dobrze robić. Znalazłabym wspaniałe rzeczy, o których nie wiadomo dotąd, że znajdują się w ziemi.

Roześmiała się, tym razem bardzo głośno.

— Wyobrażasz sobie, że archeolodzy stale znajdują klejnoty i rzymskie wille. Musisz się wiele nauczyć. Największą część czasu spędzają na kopaniu i szukaniu przedmiotów niewielkiej wartości, takich jak ten, i na takie natrafiają niezliczoną ilość razy. Większość archeologów właśnie tym się zajmuje.

— Ze mną będzie inaczej — odpowiedziałam z całym przekonaniem. — Ja odnajdę przedmioty piękne i wartościowe.

Położył mi dłoń na ramieniu i poprowadził w stronę drzwi.

— Chciałabyś wiedzieć, co właściwie znalazłaś, prawda?

— Tak. Przecież to moje wykopalisko.

— Zawiadomię cię, jak będę miał ekspertyzę. A do tego czasu... jeżeli znajdziesz coś jeszcze, wiesz, co masz z tym zrobić, prawda?

— Tak. Przynieść do pana, sir.

Pokiwał głową i zamknął za mną drzwi. Wolnym krokiem przeszedłam przez hol i wyszłam na dziedziniec. Wprawdzie utraciłam mój przedmiot z brązu, lecz miła mi była myśl, że przyczyniłam się do pogłębienia wiedzy o świecie.

* * *

Znaleziony przeze mnie skarb został zidentyfikowany jako część tarczy, prawdopodobnie pochodzącej z epoki brązu, i chociaż okazało się, że wiele tego typu przedmiotów już wcześniej odnaleziono, to jednak ten wniósł w me życie wiele zmian, które miały być nader istotne.

Po pierwsze wzrósł mój prestiż w szkolnym pokoju. Gdy przychodziłam na lekcje, zarówno Hadrian, jak i Teodozja odnosili się do mnie z większym niż dotychczas szacunkiem. Zawsze uważałam Teodozję za głupiutką małą dziewczynkę, choć ja byłam od niej o rok młodsza. Hadrian był nieco od nas starszy. Oboje mieli jasne włosy. Teodozja wyglądała na dość słabowitą, miała niewinne, błękitne oczy i nieco cofnięty podbródek. Byłam od niej wyższa, prawie tak wysoka jak Hadrian. Nigdy nie odczuwałam różnicy wieku między nami i niezależnie od faktu, że oni mieszkali w tym dworze, a ja na probostwie, to właśnie ja byłam w jakimś sensie ich przywódcą i nieustannie nimi dyrygowałam.

Dowiedzieli się od sir Ralfa, że znalazłam coś cennego i miałam na tyle zdrowego rozsądku, żeby to przynieść do niego. Cieszyłby się, gdyby i oni wykazali tyle zainteresowania co ja. Przez całe rano z niewielkimi przerwami opowiadałam — ku rozpaczy panny Graham — jak kopałam grób Jozjasza Polgreya, a potem znalazłam ten przedmiot. Nawet go im narysowałam. W mojej wyobraźni stał się olbrzymi i lśnił jak złoto. Należał do samego króla, który tak go ukrył w ziemi, żebym mogła go znaleźć.

Zasugerowałam im szeptem, że wszyscy powinniśmy wziąć łopaty i zacząć kopać na Carter's Meadow, gdyż podobno tam jest moc takich skarbów. Tego popołudnia znaleźliśmy szpadle w szopie ogrodnika i przystąpiliśmy do pracy. Zostaliśmy przyłapani i dostaliśmy burę, lecz konsekwencją tego była decyzja sir Ralfa, że należałoby nas nauczyć nieco o archeologii. Polecił więc cierplivej panie Graham udzielać nam lekcji. Biedna guwernantka zmuszona była zaznajomić się z literaturą przedmiotu i w tej trudnej sytuacji starała się, jak mogła najlepiej. Mnie ta dziedzina fascynowała znacznie bardziej niż tamtych dwoje. Sir Ralf dowiedział się o tym i

wydawało mi się, że jego zainteresowanie moją osobą, które zaczęło się wraz z odkryciem przeze mnie fragmentu tarczy z brązu, teraz wzrosło.

Wtedy właśnie sir Edward Travers z rodziną zamieszkali w starym dworze Dower House. Traversowie byli już przedtem zaprzyjaźnieni z Bodreanami. Często składali wizyty w Keverall Court, a sir Edward był pomysłodawcą wykopalisk na Carter's Meadow. Mój skarb spowodował jeszcze większe zainteresowanie tym rejonem i być może dlatego sir Edward, który szukał domu na wsi, zdecydował osiedlić się w Dower House.

Sir Edward był w jakiś sposób związany z uniwersytetem w Oksfordzie, ale nieustannie brał udział w różnych ekspedycjach. Jego nazwisko często pojawiało się w gazetach, był dobrze znany w kręgach akademickich. Jednak potrzebna mu była wiejska rezydencja, gdzie mógłby spokojnie katalogować swe zbiory po powrocie z wypraw, na które wyruszał zwykle do odległych miejsc na świecie.

Wiadomość o ich przybyciu wzbudziła ogromne podniecenie. Hadrian mi powiedział, że stryjek jest zachwycony i teraz już nic ich nie powstrzyma od prowadzenia wykopalisk na terenie Carter's Meadow. Bez względu na zastrzeżenia proboszcza. Nie wątpiłam, że ma rację, gdyż nasz pocziwy wielebny Jakub Osmond nie był człowiekiem skłonny do toczenia bojów. Jego obiekcje brały się stąd, że podzegli go do nich co bardziej nieustępliwi parafianie. On sam zaś pragnął jedynie wieść spokojne życie, a głównym obowiązkiem Dorcas i Alison było trzymać go z daleka od wszystkiego, co ten spokój mogłoby zakłócić. Sądzę, że po cichu cieszył się z przybycia sir Edwarda, gdyż nawet najbardziej wojowniczy spośród jego trzódki nie śmieliby zadzierać z taką ważną personą.

Tak więc Traversowie sprowadzili się do naszej miejscowości, a dwór Dower House otrzymał nową nazwę: Giza House.

— To chyba od piramid — powiedziała Dorcas, co się potwierdziło, gdy sprawdziliśmy w encyklopedii.

Ponury, stary Dower House, stojący dotąd pustką w zarośniętym ogrodzie, został zamieszkały. Nie mogłam dłużej tak łatwo straszyć Teodozji historiami o duchach, które go nawiedzają, i podjudzać ją oraz Hadriana, żeby pobiegli ścieżką i zajrzeli do okien. Dom ten jednak nie stracił niczego ze swej niesamowitej atmosfery. „Dom raz nawiedzony przez duchy — powiedziałam zdenerwowanej Teodozji — zawsze będzie nawiedzany”.

I istotnie, w niedługim czasie zaczęły nas dochodzić dziwne pogłoski o tym miejscu pełnym skarbów przywiezionych z całego świata. Niektóre z tych obiektów były rzeczywiście bardzo stare i służący czuli się nieswojo w ich otoczeniu. Z powodu tych dziwnych przedmiotów „cierpła im skóra”. Gdyby nie fakt, że sir Edward był takim poważnym i znanym dżentelmenem, o którym pisano w gazetach, służba by się tam nie utrzymała.

I tak rozpoczęto wykopaliska na Carter's Meadow, a dwór Giza House objęli w posiadanie znamienici lokatorzy. Dowiedzieliśmy się, że sir Edward był wdowcem i miał dwoje dzieci — syna, Teobalda, już dorosłego, pracującego na uniwersytecie, i córkę, Sabinę. Była mniej więcej w tym samym wieku co Teodozja i ja, stąd miała się uczyć razem z nami.

W tym czasie nie znałam jeszcze Teobalda, ale powzięłam do niego niechęć, zanim w ogóle go ujrzałam, głównie z tego powodu, że Sabina wyrażała się o nim z najwyższym podziwem i szacunkiem. Nie tyle go kochała, ile uwielbiała. Według niej był wszechwiedzący i wszechstronny. Był też przystojny, wręcz bosko.

— Nie wierzę, że może istnieć ktoś tak nadzwyczajny — powiedziałam lekceważąco, przesyłając Hadrianowi groźne spojrzenie, które miało wywołać wsparcie przez niego mej opinii. Teodozja mogła sobie sądzić, co jej się podobało, jej zdanie się nie liczyło.

Hadrian przeniósł wzrok ze mnie na Sabinę i stanął po mojej stronie.

— Tak — oświadczył — nie ma nikogo takiego.

— Z wyjątkiem Teobalda — upierała się Sabina.

Sabinie nie zamykały się usta, mówiła bez względu na to, czy jej ktoś słuchał, czy nie. Powiedziałam Hadrianowi, iż to dlatego, że mieszka w tym dziwnym domu z ojcem zaabsorbowanym wyłącznie swoimi sprawami i ze służącymi, z których dwóch było istotnie bardzo dziwnymi postaciami — Egipcjanami o imionach Mustafa i Absalom, noszącymi długie, białe szaty i sandały. Słyszałam od naszej kucharki na probostwie, że na ich widok innym służącym „cierpła skóra”. Krótko mówiąc, to domostwo pełne różnych osobliwości, z nimi dwoma, przemykającymi się tak, że się nigdy nie wiedziało, czy gdzieś z ukrycia kogoś nie szpiegują, było istotnie dziwaczne.

Sabina była śliczna. Miała jasne, kręcone włosy, wielkie szare oczy z długimi, złotymi rzęsami i dość wydatne kości policzkowe. Teodozja, która była całkiem zwyczajnym dzieckiem, wkrótce zaczęła ją wielbić. Szybko spostrzegłam, że ich przyjaźń umacnia przymierze pomiędzy mną i Hadrianem. Czasami wydawało mi się, że było lepiej przed przybyciem Traver — sów, gdyż wtedy nasza trójka stanowiła zgrane trio. Przyznaję, trochę tę dwójkę terroryzowałam. Dorcas zawsze zwracała mi uwagę, że muszę przestać na nich wpływać i pozbyć się przekonania, że to, co ja sądzę, jest dla nich najlepsze. Rzeczywiście tak postępowałam. Choć Hadrian i Teodozja byli dziećmi ze dworu, a ja z ubogiego probostwa i jedynie z łaski pozwolono mi uczyć się z nimi, to zachowywałam się tak, jakbym była córką rodu wywodzącego się z Keverall Court, a tamci dwoje obcymi. Tłumaczyłam Dorcas, dlaczego tak się dzieje: Hadrian nigdy nie potrafił podjąć żadnej decyzji, a Teodozja była za młoda i za głupia, żeby w ogóle mieć jakieś własne zdanie.

No i zjawiała się miła i łagodna z natury Sabina. Jej ładne włosy zawsze były odpowiednio ułożone, podczas gdy moje czarne, grube kędziory ciągle niesfornie się wymykały, choćbym nie wiem jak usiłowała je związać. Kiedy z ust Sabiny płynęła pusta paplanina, w jej oczach zapalały się iskry wesołości. Kiedy mówiła o Teobaldzie — promieniały żarem. Była uroczą dziewczyną, której obecność całkowicie odmieniła atmosferę w naszym szkolnym pokoju.

Dzięki niej dowiedzieliśmy się, jak się żyje w Giza House. Opowiadała nam, że jej ojciec zamyka się całymi dniami w swym pokoju, a stąpający bezszelestnie Mustafa lub Absalom przynoszą mu jedzenie na tacy. W dniach, kiedy odbywały się lekcje, więc poza sobotami i niedzielami, Sabina, tak jak ja, jadła obiady w Keverall Court, w małej jadalni przylegającej do szkolnego pokoju. Ale w Giza House, kiedy ojciec pracował, często spożywała posiłki sama lub razem z damą do towarzystwa i gospodynią domu w jednej osobie, Tabitą Grey, która udzielała jej też lekcji gry na fortepianie. Zawsze nazywała ją Tabby, a ja przezwalałam ją „Szara Tabby”, nawiązując do jej nazwiska, co ich wszystkich rozbawiło. Wyobrażałam ją bowiem sobie jako panią w średnim wieku ze szpakowatymi włosami, noszącą szare spódnice i bluzki w wyblakłych kolorach. Byłam bardzo zdumiona, gdy poznawszy ją, stwierdziłam, że jest jeszcze całkiem młodą kobietą i do tego bardzo atrakcyjną.

Wypomniałam Sabinie, że nie potrafi niczego właściwie opisać. Z tego, co mówiła o Szarej Tabby, można było wnosić, iż chodzi o zaniedbaną starą pannę, wobec czego nabrałam pewności, że ten wspaniały bohater Teobald okaże się bladolicym młodzieńcem o zaczerwienionych i załzawionych oczach, zmęczonych nieustannym studiowaniem starych manuskryptów, co bez wątplenia robił, skoro był tak wybitnie zdolny. Do tego dodałam mu jeszcze przygarbione ramiona i brak orientacji w jakichkolwiek sprawach, poza oczywiście wiedzą o dawno zmarłych ludziach i używanej przez nich broni.

— Może pewnego dnia przekonasz się sama — odparła ze śmiechem Sabina.

Nie mogliśmy się wprost tego doczekać. Więc ona rozpałała naszą wyobraźnię — a szczególnie moją, którą Alison kiedyś określiła jako „pracującą nadprogramowo” — i ten jej cudowny brat bez

przerwy zaprzętał mi głowę. Bardzo pragnęłam go poznać. W każdym razie wyrobiłam sobie o nim opinię jako o przygarbionym uczonym w okularach na nosie, przyjęłam ją za pewnik i przekonałam do niej Hadriana.

Teodozja przychyliła się do wersji Sabiny.

— Ostatecznie to Sabina go zna, a wy nie.

— Ludzie dają się ogłupić — odparłam. — Ona patrzy na niego przez różowe okulary.

Czekaliśmy z niecierpliwością, kiedy wreszcie przyjedzie z Oksfordu. Sabina była rozemocjonowana.

— Teraz sami zobaczycie.

Pewnego dnia przyszła we łzach, gdyż Teobald jednak nie przyjechał. Wybierał się na wykopaliska do hrabstwa Northumberland, i to na całe wakacje. Sir Edward miał się do niego przylączyć.

Zamiast Teobalda zjawił się jego przyjaciel, Jan Callum. Przed powrotem na uniwersytet chciał trochę zarobić, nauczając nas podstaw archeologii, przedmiotu, na którym znał się bardzo dobrze.

Puściłam w niepamięć rozczarowanie z powodu Teobalda i z zapalem rzuciłam się w wir nowej nauki. Interesowała mnie ona bardziej niż pozostałych. Czasami po południu szłam z Janem Callumem na Carter's Meadow, a on pokazywał mi, jak praktycznie taka praca wygląda.

Kiedyś zobaczyliśmy tam sir Ralfa. Podszedł, żeby ze mną porozmawiać.

— Interesuje cię to, hę? — spytał.

Potwierdziłam.

— Znalazłaś więcej tarcz z brązu?

— Nie, niczego nie znalazłam.

Dał mi lekkiego kuksańca.

— Odkrycia nie zdarzają się często. Ty dobrze zaczęłaś.

Jego podbródek lekko zadrgał i zauważyłam, że był chyba zadowolony z naszego spotkania w tym miejscu.

Ktoś z pracującego tam zespołu pokazał mi, jak się składa fragmenty potłuczonego garnka. Nazywał to „udzielaniem pierwszej pomocy”, zanim fachowcy należycie się nim zajmą i być może potem wystawią w muzeum. Zademonstrował, jak się pakuje te uszkodzone wyroby garncarskie po ich złożeniu w ramach „pierwszej pomocy” i wysyła do ekspertów, którzy je rekonstruują i ustalają, z jakiego pochodzą okresu. To był właśnie sposób, w jaki uczeni starają się uchylić rąbka tajemnicy świata nawet sprzed milionów lat.

Marzyłam o znalezieniu czegoś na Carter's Meadow: złotych ozdób i tym podobnych przedmiotów, które — jak słyszałam — znajdowano w grobowcach. Rzeczywistość okazała się całkiem inna. Zrazu byłam trochę rozczarowana, lecz wkrótce z jeszcze większym entuzjazmem zaczęłam się odnosić do tych prac. Prawie nie mogłam myśleć o niczym innym niż o wspnianym odślanianiu spod skamielin świadectw historii.

Lekcje z Janem Callumem odbywały się popołudniami, gdyż godziny ranne spędzaliśmy z panną Graham lub Oliverem Shrimptonem, który uczył nas czytania, pisania i arytmetyki. Dodatkowo Teodozja, Sabina i ja miałyśmy zajęcia z ręcznych robótek z panną Graham i przez trzy dni w tygodniu rano po godzinie pracowałyśmy nad haftami. Musiałyśmy wyszyć alfabet, przysłowie, nasze imię i datę. Oczywiście wybierałyśmy przysłowie najkrótsze, jakie tylko potrafiłyśmy sobie przypomnieć, lecz mimo to zadanie było żmudne. Te okropne małe krzyżyki na kawałku płótna, A jeśli jakiś krzyżyk był za duży lub za mały, trzeba było go wypruć i wyszyć na nowo. Buntowałam się przeciw takiemu marnowaniu czasu i byłam tak rozdrażniona, że cierpiał na tym mój haft. Odbywały się też lekcje muzyki — brzdąkaliśmy na fortepianie pod nadzorem panny Graham. Ale gdy pojawiła się Szara Tabby, zdecydowano, że to ona będzie nas uczyć grać.

Zatem łącznie z okresowo prowadzoną nauką archeologii, nasza edukacja przebiegała raczej nietypowo. Nasi nauczyciele wywodzili się z trzech miejsc — panna Graham z Keverall Court, Szara Tabby i Jan Callum z Giza House, a Oliver Shrimpton z probostwa. Dorcas była zachwycona. Powiedziała, że to wspaniały przykład trzech rodzin połączonych wspólnym wysiłkiem, zmierzającym do zapewnienia swej młodzieży jak najlepszego wykształcenia. Nie wyobrażała sobie, żeby gdzieś na wsi dziewczyna otrzymała tak gruntowną edukację. Ma nadzieję, dodała, że w pełni to wykorzystam.

Najbardziej ciekawiły mnie zajęcia z Janem Callumem. Powiedziałam mu, że kiedy dorosnę, będę uczestniczką wypraw archeologicznych do odległych miejsc świata. Odparł, że jako kobiecie będzie mi raczej trudno, chyba że wyjdę za mąż za archeologa. Lecz mimo to podtrzymywał moje zainteresowania tą dziedziną. W zamian za to zyskał we mnie gorliwą uczennicę. Całą naszą gromadkę interesowała archeologia, ale mój niekłamany entuzjazm był być może bardziej żywiołowy i rzucający się w oczy.

Szczególnie fascynowały mnie tereny prac wykopaliskowych w Egipcie. Było tam tak wiele do odkrycia. Uwielbiałam słuchać historii tej starożytnej cywilizacji. Opowieści o bogach, których wtedy tam czczono, o dynastiach, o świątyniach, które odkryto. Zaraziłam się tą pasją od Jana. „W tych wzgórzach na pustyni kryją się skarby” — mawiał.

Oczywiście wyobrażałam sobie, że zostanę tą osobą, która dokona wspaniałych odkryć i będzie odbierać gratulacje od takich ludzi jak sir Edward Travers.

Roіłam sobie, że prowadzę z nim długie rozmowy, ale — muszę przyznać — w rzeczywistości rozczarowałam mnie. Wydawało się, że w ogóle nas nie zauważa. Miał takie dziwne, nieprzytomne spojrzenie, jakby patrzył gdzieś daleko w przeszłość.

— Sądzę, że ten beznadziejny Teobald jest podobny do niego — powiedziałam kiedyś do Hadriana.

Teobald — to było nowe słowo, które wprowadziłam do naszego słownika. Oznaczało: „zasługujący na pogardę”, „niegodny uwagi”. Razem z Hadrianem używaliśmy go, żeby dokuczyć Sabinie.

— Wcale się tym nie przejmuję — odpowiadała — nic, co mówicie, nie może zmienić Teobalda.

Mimo to Giza House fascynował mnie i chociaż zupełnie nie byłam muzykalna, zawsze z niecierpliwością oczekiwałam odbywających się tam lekcji gry na fortepianie. Gdy tylko przekraczałam próg tego domu, ogarniało mnie podniecenie. Panowała tam szczególna atmosfera. „Złowieszcza” — tak ją określiłam w rozmowie z Hadrianem, który oczywiście zgodził się ze mną jak zwykle.

Przede wszystkim było tam mroczno. Być może za sprawą otaczającej dom gęstwiny drzew, ale pewno i dlatego, że w domu było tak dużo suto drapowanych, aksamitnych kotar. Zawieszane były nie tylko przy oknach, lecz także osłaniały drzwi oraz nisze. W niektórych z nich znajdowały się dziwne posągi.

Podłogi były wysłane tak grubymi dywanami, że właściwie nie słyszało się kroków osób wchodzących, dlatego też ja w tym domu zawsze odnosiłam wrażenie, że jestem obserwowana.

Na poddaszu domu mieszkała dziwna, stara kobieta. Miała tam własny pokój. Sabina mówiła o niej „stara nianusia Tester”.

— Kim ona jest? — chciałam się dowiedzieć.

— Była nianią naszej mamy, a potem Teobalda i moją.

— A co ona tam robi na górze?

— Po prostu mieszka.

— Ale z pewnością już teraz nie potrzebujecie niani?

— My nie wyrzucamy starych służących, którzy pracowali dla nas przez wiele lat — odparła Sabina wyniośle.

— Ja myślę, że ona jest czarownicą.

— Myśl sobie, co chcesz, Judyto Osmond. Ona jest starą nianiusią Tester.

— Szpieguje nas. Zawsze wygląda przez okno i szybko się cofa, gdy podnosimy do góry wzrok.

— Och, nie zwracajcie uwagi na to, co mówi Judyta — skwitowała moje uwagi Sabina.

Ilekoć przychodziłam do Giza House, zawsze zerkałam w stronę okna niani Tester. Utwierdzałam się w przekonaniu, że to jest dziwny dom, w którym wszystko może się zdarzyć.

Najbardziej zwykłym pokojem był salon, ale nawet on miał orientalny wygląd. Stało tam kilka chińskich wazonów i posągów, które sir Edward przywiózł z Chin. Na ścianach wisiały piękne obrazy — delikatne w rysunku i w pastelowych barwach. Znajdowała się tam też duża serwantka, gdzie zostały umieszczone figurki z chińskiej porcelany: smoków, otyłych Buddów o sennym wyglądzie, a także szczupłych, siedzących niewątpliwie wygodnie w pozycji, którą ja usiłowałam bezskutecznie przybrać. Były też damy o nieprzeniknionych obliczach i mandaryni z okrutnym wyrazem twarzy. Właściwie atmosferę normalności wprowadzał tam fortepian, przy którym odbębnialiśmy nasze lekcje pod nadzorem Szarej Tabby, równie zagadkowej jak owe damy w serwantce.

Kiedy tylko nadarzała się sposobność, zaglądałam do innych pokojów i zmuszałam Hadriana, żeby mi towarzyszył. Robił to niechętnie, lecz obawiał się — i nie miał co do tego wątpliwości — że w razie odmowy nazwę go tchórzem.

Zgłębialiśmy z Janem Callumem wiedzę o starożytnym Egipcie, czym byłam zafascynowana. Przedstawił nam pokrótce wyniki ostatnich prac wykopaliskowych, w które był zaangażowany sir Edward Travers, a następnie po trochu wprowadzał nas w historię tego kraju.

Gdy słuchałam Jana Calluma, przenosiłam się ze szkolnego pokoju do świątyń tamtejszych bóstw. Zachłannie chłonełam opowieści o samorodnym bogu Re — często znanym pod imieniem Amona-Re — jego synu Ozyrysie, który wraz ze swą żoną Izydą powołał do życia wielkiego boga Horusa. Nasz nauczyciel pokazał nam ryciny masek, które przywdziewali kapłani podczas uroczystości religijnych, i objaśnił, jakie bóstwo reprezentuje każda z masek.

— Pomysł wziął się stąd — tłumaczył — że wielkie starożytne bóstwa egipskie posiadały wszystkie człowiecze cechy, lecz jednocześnie dodatkowo jeden przymiot konkretnego zwierzęcia. Te zwierzęta były wyróżniającymi je symbolami. Horus był sokołem, gdyż jego bystre oczy natychmiast wszystko dostrzegały.

Dokładnie obejrzałam ryciny. Byłam pilną uczennicą. Ale najbardziej interesowało mnie to, co mówił o obrzędach pogrzebowych: że ciała wybitnych zmarłych osobistości były balsamowane i chowane w grobowcach, gdzie spoczywały przez tysiące lat. Wraz z nimi chowano często ich służących, których zabijano jedynie po to, żeby mogli dalej towarzyszyć swym panom w nowym życiu, tak jak to robili na ziemi. W grobowcach gromadzono też skarby, aby zmarli nie zaznali w przyszłości biedy.

— Ten zwyczaj — tłumaczył nam Jan — spowodował oczywiście, że wiele grobowców ograbiono. Przez wieki różni śmiałkowie je plądrowali... naprawdę śmiałkowie, gdyż mówi się, że Klątwa Faraonów spadnie na tych, co zakłócą im wieczny spoczynek.

Byłam bardzo ciekawa, jak można utrzymać ciało ludzkie przez wieki.

— W trzecim tysiącleciu przed Chrystusem opanowano doskonale proces balsamowania zwłok — wyjaśnił Jan. — Trzymano go w tajemnicy i nikt dotąd właściwie nie odkrył, w jaki sposób starożytni Egipcjanie tak fachowo to wykonywali.

Ten wątek całkowicie mnie pochłonął. Oglądałam książki 2 rycinami. Nigdy nie miałam dosyć rozmów na ten fascynujący temat. Najchętniej zrezygnowałabym ze wszystkich pozostałych lekcji, byleby tylko odbywać zajęcia z Janem.

Sabina powiedziała, że widziała mumię. Mieli taką kiedyś w Giza House.

Jan wdał się z nią w rozmowę. Byłam trochę zazdrosna, że to ona ma taką sposobność — choć nie wykazywała szczególnego zainteresowania — a nie ja.

— Leżała w czymś podobnym do trumny — mówiła Sabina.

— W sarkofagu — podpowiedział Jan.

— On chyba nadal jest u nas — ciągnęła dalej. — Ale mumii już nie ma. — Wzdrygnęła się. — Jestem zadowolona. Nie podobała mi się. Była straszna.

— Jakie to ciekawe! — zawołałam. — Tylko pomyślcie. To był ktoś, kto żył tysiące lat temu!

Myśl o sarkofagu nie dawała mi spokoju i kiedy w kilka dni później przyszedliśmy na lekcje muzyki, zdecydowałam, że muszę go zobaczyć. Teodozja siedziała przy fortepianie. Grała lepiej niż reszta z nas i Tabby poświęcała jej więcej uwagi.

Oznajmiłam:

— Czas nadszedł.

Sabina zaprowadziła nas do tego dziwnego pokoju. Już o nim oczywiście słyszałam — to był ten, w którym służącym skóra cierpła i do którego nikt z nich sam by nie wszedł.

Od razu zobaczyłam sarkofag. Stał w rogu pokoju. Wyglądał jak koryto z kamienia. W górnej jego części widniały rzędy hieroglifów.

Uklękałam, żeby się im dobrze przyjrzeć.

— Mój ojciec próbuje je rozszyfrować — wyjaśniła Sabina. — Dlatego sarkofag tu został. Później będzie wysłany do jakiegoś muzeum.

Dotknęłam go z niedowierzaniem.

— Wyobraźcie sobie... tysiące lat temu ludzie wryli te znaki, a ktoś został zabalsamowany i złożony do środka. Nie sądzicie, że to zdumiewające? Och, jak żałuję, że mumia tu nie została!

— Możesz ją zobaczyć w British Museum. Wygląda, jak ktoś owinięty cały bandażami.

Podniosłam się i rozejrzałam po pokoju. Przy ścianach z jednej strony stały półki wypełnione książkami. Przyjrzałam się ich grzbietom. Wiele napisów było w obcych językach i nic nie mogłam zrozumieć.

Odezwałam się:

— W tym pokoju panuje dziwna atmosfera. Czujecie to?

— Nie — odrzekła Sabina. — Usiłujesz nas nastraszyć.

— To dlatego, że jest ciemno — stwierdził Hadrian. — Za oknem rośnie drzewo.

— Słuchajcie — wyszeptalam.

— To wiatr — orzekła Sabina lekceważąco. — I chodźmy stąd. Nie powinni nas tu znaleźć.

Najwyraźniej z ulgą zamknęła za nami drzwi. Ale ja nie mogłam zapomnieć o tym pokoju.

W ciągu następnych paru dni przejrzałam wszystko, co mogłam wyszukać na temat starożytnych pochówków. Pozostałych to irytowało, bo gdy mną zawładnął jakiś pomysł, nie potrafiłam mówić o niczym innym. Sabina okazywała zniecierpliwienie, a Teodozja przytakiwała każdemu jej słowu. Wreszcie Sabina oświadczyła, że ma już dosyć rozmów o mumiach. Ostatecznie to tylko zmarli ludzie. Słyszała, że gdyby usunąć te bandaże i wystawić ciała na działanie powietrza, rozpadłyby się w proch. A co jest takiego ekscytującego w stercie prochu?

— Ale oni byli kiedyś żywymi ludźmi. Chodźmy i spójrzmy jeszcze raz na sarkofag.

— Nie — jęknęła Sabina. — To jest mój dom i jeżeli tam pójdziesz beze mnie, naruszysz prywatną własność.

— Myślę, że boisz się tego pokoju — stwierdziłam. Zaprzeczyła z oburzeniem.

Mnie jednak ta sprawa coraz bardziej nurtowała i chciałam przekonać się doświadczalnie, jak czuje się ktoś zabalsamowany i złożony w sarkofagu. Zmusiłam Hadriana, żeby mi pomógł. Razem znaleźliśmy jakieś stare prześcieradła, jedno z nich pocięliśmy na paski i kiedy wszyscy razem poszliśmy do Giza House na lekcje muzyki, ja i Hadrian przekonaliśmy Szarą Tabby, żeby nasze ćwiczenia odbyły się pierwsze. Potem pobiegliśmy do ogrodu, gdyż tam w starej altanie ukryliśmy prześcieradła i bandaże. Zabraliśmy je i razem poszliśmy do pokoju, gdzie stał sarkofag. Okręciłam głowę prześcieradłem, w którym uprzednio wycięłam dziury na oczy, i nakłoniłam Hadriana, żeby mnie zabandażował. Wgramoliłam się do sarkofagu i położyłam się w nim.

Moim jedynym usprawiedliwieniem był młody wiek i brak roztropności. To wydawało mi się po prostu bardzo zabawnym, wzbudzającym przerażenie i podniecenie żartem. Uważałam, że jestem bardzo odważna i zuchwała, skoro leżę w sarkofagu w pustym pokoju, gdyż jednak nachodziły mnie wątpliwości, czy moja zuchwałość nie wywoła w pewnej chwili gniewu bogów.

Miałam wrażenie, że bardzo długo czekałam na moment, kiedy otworzą się drzwi. Wreszcie usłyszałam głos Sabiny:

— Och, po co mamy ciągle przyglądać się...

Hadrian przyprowadził je tutaj, tak jak się umówiliśmy. Wtedy mnie zobaczyły. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Usiłowałam się wydostać z tego przypominającego koryto pojemnika, który wydzieliał bardzo dziwny zapach i był okropnie zimny. Była to najgorsza rzecz, jaką mogłam zrobić, gdyż Teodozja, widząc coś, co według niej wstawało z martwych, zaczęła krzyczeć.

Usłyszałam wołającego Hadriana:

— To tylko Judyta!

Zobaczyłam Sabinę, której twarz była biała niczym owijające mnie prześcieradło, i Teodozję padającą w omdleniu na podłogę.

— Teodozjo, nic się nie stało! — zawołałam. — To ja, Judyta. To nie jest prawdziwa mumia.

— Ona chyba nie żyje — powiedziała Sabina. — Zabiłaś ją.

— Teodozjo! — krzyczałam z rozpaczą. — Ty żyjesz! Ludzie nie umierają w ten sposób!

I wtedy zobaczyłam stojącego w drzwiach obcego mężczyznę. Był wysoki i tak niepodobny do żadnej ze znanych mi osób, że przez chwilę pomyślałam, iż przybył jeden z bogów, aby się zemścić. Miał wystarczająco gniewną minę.

Patrzył na mnie ze zdumieniem. Jaki widok musiałam przedstawiać — z prześcieradłem ciągle na głowie i zwisającymi wokół mnie bandażami. Przeniósł wzrok na Teodozję.

— Dobry Boże — powiedział i podniósł ją z ziemi.

— Judyta przebrała się za mumię — skarżypyta Sabina pospieszyła z donosem. — To tak przeraziło Teodozję.

— Co za bezdenna głupota! — Mówiąc to, rzucił mi spojrzenie pełne pogardy. Byłam szczęśliwa, że pod prześcieradłem mogę ukryć swe zawstydenie.

— Teobaldzie, czy ona nie żyje? — dopytywała się Sabina.

Nie odpowiedział. Wyszedł z Teodozją w ramionach. Wydostałam się z bandaży i prześcieradła i zwinęłam je w kłębek.

Sabina wpadła do pokoju.

— Wszyscy niepokoją się o Teodozję — oznajmiła. — I bardzo się na was dwoje gniewają.

— To był mój pomysł — powiedziałam — prawda, Hadrianie?

Hadrian przytaknął.

— Nie ma się czym chwalić — orzekła Sabina poważnym tonem. — Mogłaś ją zabić.

— Nic jej nie jest? — spytałam z niepokojem.

— Siedzi teraz w fotelu, ale jest blada i ciężko oddycha.

— Tylko się trochę przestraszyła — stwierdziłam.

— Ze strachu można umrzeć.

— Ale ona nie umrze.

Do pokoju wszedł Teobald. Nadal miał gniewną minę.

— Co wam, u licha, do głowy przyszło, żeby wyprawiać takie rzeczy?

Spojrzałam na Hadriana, który jak zwykle czekał, aż ja odpowiem.

— Ja tylko byłam mumią — odparłam.

— Nie jesteś trochę za duża na takie hece?

Speszyłam się. Czułam się strasznie upokorzona.

— Pewno nie pomyślałaś, jak sędzę, jakie to może wyrzeć wrażenie na osobie, która nie wie, że chodzi o żart?

— Nie — przyznałam — nie pomyślałam.

— A myślenie to całkiem dobry nałóg. Powinnaś kiedyś spróbować.

Gdyby ktokolwiek z rówieśników tak do mnie powiedział, znalazłabym szybko impertynencką odpowiedź. Ale on był inny... wiedziałam to od samego początku.

Zwrócił się do Hadriana.

— A co ty masz do powiedzenia?

— To samo co Judyta. Nie chcieliśmy jej zrobić nic złego.

— Zachowaliście się bardzo głupio — powiedział. Odwrócił się i opuścił pokój.

Hadrian odczekał, aż brat Sabiny znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i rzekł:

— A więc to jest ten wspaniały Teobald!

— Tak — odparłam — wspaniały Teobald.

— Mówiłaś, że jest przygarbiony i nosi okulary.

— No cóż, myliłam się. Nie jest taki. Lepiej już chodźmy.

Gdy schodziliśmy po schodach, usłyszałam głos Teobalda:

— Kim jest ta zuchwała dziewczyna?

Oczywiście miał mnie na myśli.

W holu podeszła do nas Sabina.

— Teodozja wraca powozem — powiedziała. — A wy dwoje na piechotę. Będą kłopoty.

Robiła wrażenie raczej zadowolonej z tego powodu.

* * *

Kłopoty rzeczywiście były. Panna Graham czekała na nas w szkolnym pokoju.

Wyglądała na zmartwioną, ale to jej się często zdarzało. Ciągłe się obawiała, co uświadomiłam sobie później, że zostanie o coś obwiniona i zwolniona z pracy.

— Panicz Travers przyjechał tu powozem z Teodozją — oznajmiła. — Opowiedział wszystko sir Ralfowi o waszej złośliwości. Oboje macie być srogo ukarani. Teodozję położono do łóżka. Jaśnie pani, w najwyższym stopniu zaniepokojona, posłała po lekarza. Teodozja nie czuje się dobrze.

Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że Teodozja wykorzystuje po prostu sytuację. Ostatecznie, czym ma się teraz przejmować. Przecież już wie, że to ja byłam mumią.

Poszliśmy do biblioteki. Przy jej trzech ścianach ustawione były półki z książkami, czwartą zaś prawie całą zajmowało okno — ogromne, z ozdobnym laskowaniem, ławeczkami w wykuszu i ciężkimi, ciemnozielonymi zasłonami. Urządzenie tego pokoju wręcz onieśmiało — tyle przedmiotów stłoczono pod kolosalnych rozmiarów kryształowym świecznikiem. Były tam rzeźbione drewniane stoliki z Indii i posążki z podobnymi ornamentami, chińskie wazony oraz

przeładowany ozdobami stół w stylu Ludwika XV, podtrzymywany przez pozłacane cherubiny. Sir Ralf przywiózł te skarby ze wszystkich stron świata i zgromadził je tutaj razem bez względu na ich zastosowanie. Na to zwróciłam uwagę później. Wtedy uświadamiałam sobie tylko jedno — znalazłam się w obecności dwóch mężczyzn. Sir Ralfa i Teobalda.

— Co to w ogóle miało znaczyć, he? — zażądał wyjaśnień sir Ralf.

W obliczu stryja Hadrian zawsze wyglądał jak oniemiały, więc to mnie wypadało się odezwać. Usiłowałam się tłumaczyć.

— Nie miałaś prawa być w tamtym pokoju! Nie miałaś prawa robić takich kawałów! Poniesiesz za to karę. I nie będzie ci się podobała.

Nie chciałam okazać strachu przed Teobaldem. Myślałam o najgorszej karze, jaka może mnie spotkać. Nigdy więcej lekcji z Janem Callumem.

— A ty masz coś do powiedzenia? — Sir Ralf gniewnie patrzył na Hadriana.

— My tylko... udawaliśmy.

— Głośniej!

— To był mój pomysł — powiedziałam.

— Niech chłopiec mówi za siebie... jeśli potrafi.

— My... my myśleliśmy, że to będzie dobry pomysł, jak Judyta się przebierze...

Sir Ralf syknął niecierpliwie. Po czym zwrócił się do mnie:

— Więc to ty byłaś prowodyrem, he?

Skinęłam głową i nagle odczułam ulgę, gdyż nie miałam wątpliwości, że jego podbródek lekko drży.

— Dobrze — rzekł. — Przekonasz się, co się przydarza tym, którzy robią takie kawały. Wracaj teraz na probostwo, a tam usłyszysz, co cię czeka. A ty, młody człowieku — zwrócił się do Hadriana — idź do swego pokoju. Dostaniesz lanie, jakiego jeszcze nie dostałeś w życiu. Gwarantuję ci to, bo osobiście się tym zajmę. Wynoś się.

Biedny Hadrian! To było takie upokarzające, zwłaszcza w obecności Teobalda.

* * *

Hadrian dostał okropne cięgi, a to w wieku szesnastu lat jest trudne do zniesienia.

Gdy wróciłam na probostwo, Dorcas i Alison przywitały mnie bardzo zdenerwowane, gdyż dowiedziały się już o moim nierozważnym i nagannym czynie.

— Och, Judytko, a co będzie, jak sir Ralf zabroni wpuszczania cię do Keverall Court?

— Tak zdecydował? — spytałam zaniepokojona.

— Nie, ale zarządził, że masz być ukarana, a my nie ośmielimy się mu przeciwstawić.

Wielebny Jakub wycofał się do swego gabinetu pod pretekstem pilnej pracy. Zaczynały się kłopoty, a on chciał się trzymać od nich jak najdalej.

— No dobrze, więc co oni dla mnie wymyślili? — spytałam.

— Masz być zamknięta w swoim pokoju i przeczytać książkę, którą ci przysłał pan Callum. Masz napisać wypracowanie będące jej streszczeniem i do czasu zakończenia tej pracy musisz pozostać tylko o chlebie i wodzie. Nawet gdyby to miało trwać tydzień.

Dla mnie nie była to właściwie żadna kara. Kochany Jan! Książka, którą wybrał, nosiła tytuł: „Dynastie starożytnego Egiptu”, a ten temat mnie pasjonował. A nasza kucharka na probostwie oświadczyła w bezpiecznym miejscu, jakim była jej kuchnia, że nie będzie wykonywała rozkazów pochodzących z Keverall Court i trzymała mnie o chlebie i wodzie. Według niej rezultatem tego byłoby zjawienie się doktora Gunwena w jednokonce przed naszym progiem. Nikt nie nakaże jej głodzić małych dzieci. Rozbawiło mnie to, gdyż do tej pory często byłam nazywana diabelskim

nasieniem, a tu nagle stałam się małym dzieckiem. W każdym razie w czasie odbywania kary niektóre z moich ulubionych potraw zostały do mnie przemycone. Pamiętam, że to była parująca porcja gorącego makaronu przekładanego mięsnym farszem i jedna ze specjalności naszej kucharki — paszteciki z mięsem.

Spędziłam całkiem miło dwa dni, gdyż zadanie wykonałam w rekordowym czasie. Później dowiedziałam się od Jana, że sir Ralf daleki był od potępienia mnie za mój wybryk, a nawet chyba mu się to spodobało.

* * *

Dorastaliśmy i następowały różne zmiany, lecz działo się to stopniowo i prawie niedostrzegalnie.

Teobald często bywał w Giza House. Moim ulubionym marzeniem w owym czasie było dokonanie jakiegoś wielkiego odkrycia. Różne to były pomysły. Nieraz chodziło o odnalezienie jakiegoś bezcennego przedmiotu. Kiedy indziej odcyfrowałam mające przeogromną doniosłość znaki spośród hieroglifów wrytych na sarkofagu w Giza House i to odkrycie tak wstrząsnęło światem archeologii, że Teobald nie posiadał się z podziwu. Poprosił mnie o rękę i razem wyjechaliśmy do Egiptu, gdzie żyliśmy długo i szczęśliwie, dokonując odkrycia za odkryciem, co uczyniło z nas sławną parę. „Tobie to zawdzięczam” — mówił Teobald i na tym kończyły się moje rojenia.

Prawda zaś była taka, że on ledwie mnie zauważał, i podejrzewałam, że jeżeli w ogóle o mnie myślał, to jako o głupiotkiej dziewczynie, która przebrała się za mumię i przestraszyła Teodozję.

Inaczej miała się rzecz z Teodozją. Wydawało się, że owo omdlenie nie tylko nie umniejszyło jej w jego oczach, lecz jakby nawet poczuł do niej z tego powodu sympatię. Miała możliwość obcowania z nim, czego mnie los odmówił. Po lekcjach wracałam na probostwo, podczas gdy ona, już dorastająca panna, uczestniczyła w rodzinnych kolacjach, na których często bywali Teobald i jego ojciec.

Hadrian wyjechał na uniwersytet studiować archeologię, choć był to raczej wybór stryja niż jego samego. Hadrian zwierzył mi się, że jest od stryja zależny, bowiem jego rodzice żyli w skromnych warunkach. Ojciec — brat sir Ralfa — ożenił się wbrew woli rodziny. Hadrian był najstarszy spośród czterech braci i sir Ralf, nie posiadający własnego syna, postanowił się nim zająć i go wykształcić. Stąd sir Ralf Hadrian musiał sobie zjednywać.

— Masz szczęście — powiedziałam mu na to. — Jak ja bym chciała wyjechać i studiować archeologię.

— Zawsze miałaś bzika na tym punkcie.

— Ta dziedzina warta jest bzika.

Brakowało mi Hadriana, nie miałam kim dyrygować. Był taki potulny; zawsze robił to, co chciałam.

Potem Jan Callum przestał nas uczyć, gdyż ukończył studia i dostał pracę na jednym z uniwersytetów. Nadal udzielali nam lekcji panna Graham i Oliver Shrimpton, a zajęcia z muzyki odbywały się z Tabitą Grey. Ale nie było już tak jak przedtem.

Dorcas usiłowała mnie trochę uczyć czegoś, co nazywała „prowadzeniem domu”. W praktyce ograniczało się to do udzielania mi wskazówek, jak się piecze pasztety, chleb i robi przetwory. Nie miałam wielkich zdolności w tym kierunku.

— Przyda ci się to pewnego dnia — mawiała Dorcas — kiedy już będziesz miała własny dom. Judytko, czy zdajesz sobie sprawę, że niedługo kończysz osiemnaście lat. Niektóre dziewczęta w tym wieku są już mężatkami.

Tym słowem towarzyszył wyraz pewnego frasunku na jej twarzy. Czułam, że ona i Alison martwią się trochę o moją Przyszłość. Niewątpliwie miały nadzieję, że wyjdę za męża, i nawet wiedziałam, jakiego kandydata miały na myśli.

Wszyscy lubiliśmy Olivera Shrimptona. Był miłym człowiekiem, może niezbyt ambitnym, ale za to przejawiał duży zapał do pracy. Pracował na probostwie przez ostatnie dwa czy trzy lata, odkąd stało się widoczne, że naszemu proboszczowi coraz szybciej ubywa sił. Od tego czasu to on praktycznie — co przyznawały Dorcas i Alison — miał całą parafię na swoich barkach. Dobrze mu się współpracowało ze starszymi damami, a i młodsze bardzo go lubiły. Kilka starych panien prześcigało się w usługach na rzecz kościoła i podejrzewałam, że ich zapał miał coś wspólnego z Oliverem.

Oboje byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi. Nie błyszczałam z przedmiotów, których nauczał, ale mieszkając z nim tak długo pod jednym dachem, traktowałam go jak brata. Choć przyznaję, czasem zastanawiałam się, czy gdybym nie poznała Teobalda, nie rozważałabym małżeństwa z Oliverem. Zostałabym nadal na probostwie, które było moim domem przez całe dotychczasowe życie, gdyż zostało przesądzone, że po przejściu wielebnego Jakuba na emeryturę lub w razie jego śmierci, Oliver obejmie parafię i będzie się utrzymywał z prebendy.

Nie mogłam z nikim rozmawiać o moim uczuciu do Teobalda. I tak było ono niedorzecznością, gdyż naprawdę jest śmieszne, gdy jakaś osoba płonie namiętnością do kogoś, kto prawie nie zdaje sobie sprawy z jej istnienia.

Jednak stosunki między nami uległy pewnej zmianie i on zaczął po trochu zwracać na mnie uwagę. Tabita Grey była życzliwie do mnie usposobiona i zauważyła moje przygnębienie, kiedy Jan przestał nas uczyć. W miarę jak ja dorastałam, ona robiła na mnie wrażenie coraz młodszej. Pewno każdemu, kto ma czternaście lat, osoba dwudziestoczteroletnia wydaje się stara. Lecz z kolei dla kogoś, kto zbliża się do lat osiemnastu, dwudziestoośmioletnia wydaje się młodsza niż dwudziestoczteroletnia dla czternastolatki. Tabita była panią Grey, zatem musiała mieć męża. Przezwisko „Szara Tabby” nigdy do niej nie pasowało. Była wysoką kobietą o falujących, ciemnych włosach i jasnopiwnych oczach. Kiedy grała na fortepianie, twarz jej nabierała jakiegoś niezwykłego wyrazu i wtedy stawała się niewątpliwie piękna. Była łagodna z natury, jednak w żadnym razie nie wylewna. Czasami zdawało mi się, że widzę w jej oczach dręczący ją smutek.

Usiłowałam się dowiedzieć od Sabiny, jaka jest właściwie jej pozycja wśród tamtejszych domowników.

— Och, ona po prostu wszystkim zarządza — odpowiedziała Sabina. — Przebywa ze mną, kiedy w domu nie ma ojca i Teobalda. Nadzoruje służbę, opiekuje się nianiusią Tester, choć staruszka by temu zaprzeczyła. Tabita sporo wie o dziedzinie, którą się zajmuje ojciec. On z nią rozmawia na te tematy. Teobald też.

To było najbardziej interesujące, gdyż okazało się, że ja i Tabita mamy ze sobą coś wspólnego. Po lekcjach muzyki raz czy dwa odbyłam z nią pogawędkę. Gdy rozmowa zeszła na temat pracy sir Edwarda, Tabita bardzo się ożywiła. Powiedziała mi, że kiedyś uczestniczyła w ekspedycji archeologicznej, gdy cała grupa przeprowadzała prace wykopaliskowe na terenie hrabstwa Kent w poszukiwaniu rzymskich zabytków.

— Jak Sabina wyjdzie za męża, znowu z nimi pojedę — powiedziała. — Szkoda, że jesteś dziewczyną. Gdybyś była chłopcem, mogłabyś zawodowo zająć się archeologią.

— Wątpię, czy na probostwie mielibyśmy pieniądze na taką naukę. Oni twierdzą, że i tak się szczęśliwie ułożyło, skoro udało mi się zdobyć taką edukację, jaką mam. Będę musiała zarabiać na życie. Nie wiem, co będę robić... prawdopodobnie zostanę guwernantką.

— Nigdy nie wiadomo, co cię czeka. — Wyraziwszy takie przekonanie, pożyczyła mi kilka książek. — W każdym razie powinnaś czytać i nabywać jak najwięcej wiadomości.

Pewnego popołudnia, kiedy przyszedłam do Giza House zwrócić książki, usłyszałam dźwięki muzyki. Pomyślałam, że to gra Tabita, i zajrzałam przez okno do salonu. Siedziała przy fortepianie, a koło niej Teobald. Grali na cztery ręce. Właśnie melodia się skończyła, a oni zwrócili się ku sobie z uśmiechem. Pomyślałam wtedy, że wiele bym dała, gdyby on tak się do mnie uśmiechnął.

Jak to zwykle bywa, wyczuli, że są obserwowani. Oboje równocześnie obrócili się w stronę okna i zobaczyli mnie.

Zawstydziłam się, że przyłapali mnie na podglądaniu, ale Tabita przywołała mnie ręką.

— Wejdz, Judyto — powiedziała. — O, zwracasz książki. Pożyczyłam je Judycie, Teobaldzie. Ona bardzo się tą dziedziną interesuje.

Teobald zerknął na książki i jego spojrzenie stało się prawie ciepłe.

— Co o nich sądzisz?

— Jestem zafascynowana.

— Musisz, Tabito, znaleźć dla niej jeszcze jakieś.

— Właśnie miałam taki zamiar.

W salonie zaczęliśmy rozmawiać. Co to była za rozmowa! Od czasu kiedy Jan Callum nas opuścił, nie czułam się tak podniecona.

Teobald towarzyszył mi na probostwo. Niósł mi książki. Dalej prowadził ze mną rozmowę, opowiadając o swych przygodach, a zwłaszcza o tym, jak pasjonowały go odkrycia, których dokonał. Chłonełam jego słowa. Przed drzwiami probostwa zapytał:

— Naprawdę cię to ciekawi?

— Tak — potwierdziłam z powagą.

— Oczywiście, od dawna wiedziałem, że interesujesz się mumiami.

Roześmieliśmy się oboje. Pożegnał się i oświadczył, że musimy jeszcze kiedyś pogawędzić.

— Tymczasem — rzekł — dużo czytaj. Powiem Tabicie, jakie książki ma dla ciebie przygotować.

— Ogromnie dziękuję — powiedziałam żarliwie.

Dorcas musiała widzieć nas przez okno.

— Czy to był Teobald Travers? — spytała, gdy zaczęłam wchodzić na schody.

Potwierdziłam, a ponieważ oczekiwała dalszych wyjaśnień, powiedziałam:

— Odniosłam kilka książek do Giza House i on mnie odprowadził.

— O! — Do tego ograniczyła się jej odpowiedź.

Następnego dnia znowu o nim wspomniała.

— Podobno, tak słyszałam, Teobald i Teodozja mają się pobrać.

Zrobiło mi się słabo. Miałam nadzieję, że nic nie dałam po sobie poznać.

— Cóż — mówiła dalej Dorcas jakby z namysłem — tego należało się spodziewać. Traversowie i Bodreanowie od lat się przyjaźnią. Z pewnością sir Ralf życzyłby sobie połączenia ich rodzin.

Nie, pomyślałam. Nigdy. Mała, głupia Teodozja! Wprost niemożliwe.

Lecz oczywiście wiedziałam, że to jest wysoce prawdopodobne.

* * *

Oliver Shrimpton otrzymał propozycję objęcia parafii w hrabstwie Dorset. Bardzo zasmuciło to Dorcas i Alison.

— Nie mogę sobie wyobrazić, co my bez ciebie, Oliverze, poczniemy — powiedziała Alison.

— Byłeś wspaniały — oświadczyła Dorcas.

Oliver złożył wizytę biskupowi. Nigdy nie widziałam Dorcas i Alison tak szczęśliwych jak po jego powrocie. Czytałam książkę, kiedy weszły do mego pokoju.

— Odmówił — powiedziały.

— Kto?

— Oliver.

— Ale czego odmówił?

— Chyba nie słuchasz, co się do ciebie mówi.

— Potrzeba trochę czasu, żeby przenieść się ze starożytnego Egiptu na probostwo w parafii St. Erno's.

— Za bardzo się zagłębiasz w tych książkach. Nie sędzę, by ci to wyszło na zdrowie. No więc Oliver odwiedził biskupa i odmówił objęcia pracy w Dorset. Wyjaśnił, że pragnąłby zostać u nas, i jest zrozumiałe, że po przejściu ojca na emeryturę, on zostanie tutaj proboszczem.

— Cudowna nowina — odparłam. — Już nie musimy się martwić, że go stracimy.

— Wyświadcza nam tyle dobrego — stwierdziła Dorcas — że chyba ma dla nas wiele sympatii.

— Dla kogoś z nas — dodała Alison znacząco.

* * *

Jan Callum przyjechał do Giza House razem z Traversami. Chyba często był zapraszany do Keverall Court.

Odwiedził mnie na probostwie i odbyliśmy bardzo interesującą rozmowę. Oznajmił mi, że byłam jego najlepiej zapowiadającą się uczennicą i to wielka szkoda, że nie mogłam się poważnie zająć tą dziedziną nauki.

Panna Graham otrzymała inną posadę i wyjechała. Lekcje zatem się skończyły, w tym gry na fortepianie. Dla mnie zresztą, było jasne, że nigdy nie zostanę dobrą pianistką, ale obecnie nie potrzebowałam już tego pretekstu do składania wizyt w Giza House. Mogłam tam chodzić do biblioteki, wybierać sobie książki — z wyjątkiem tych najcenniejszych dla sir Edwarda — i zabierać je do domu.

Teraz rzadko widywałam Teodozję. W Keverall Court urządzano liczne przyjęcia, na które oczywiście nie byłam zapraszana. Odbywały się one również i w Giza House, lecz w zupełnie innym stylu. Wprawdzie Teobald i jego ojciec bywali często w Keverall Court, a lady Bodrean odwiedzała Giza House, to jednak z tego, co mówiła Tabita, wywnioskowałam, że tam na proszonych kolacjach konwersacja była najbardziej ożywiona wtedy, gdy goście rozmawiali o swej pracy, związanej z pochłaniającymi ich bez reszty zamierzchłymi czasami.

Moje życie zupełnie się zmieniło. Razem z Dorcas i Alison odwiedzałam parafian. Nosiłam kwiaty z naszego ogrodu chorym. Czytałam ludziom z osłabionym wzrokiem. Przynosiłam posiłki przykutym do łóżka. Jeździłam do miasta po zakupy dla nich dwukółką, którą zwaliśmy „biedą”, zaprzęzoną w dwa nasze małe koniki bardziej przypominające kuce. W ten sposób stawałam się typową córką proboszcza anglikańskiej parafii. W tamto Boże Narodzenie razem z Oliverem przynieśliśmy polano, zwyczajowo spalane w kominku w Wigilię. Z pomocą Alison i Dorcas przygotowałam świąteczną wiechę. Jej ramą były dwie drewniane obręcze przymocowane do siebie pod właściwym kątem, które udekorowałyśmy różnymi iglastymi gałązkami. Ten stary kornwalijski obyczaj bardziej nam odpowiadał niż bożonarodzeniowa choinka, która była cudzoziemskim wymysłem. Poszliśmy składać życzenia i gdy dotarliśmy do Keverall Court, zostałyśmy zaproszone na gorące paszteciki, szafranowe ciasto i specjalnie zaprawione piwo, podane we wspaniałej czarze.

We dworze dojrzałam w przelocie Teodozję i Hadriana. Ogarnęła mnie tęsknota za dawnymi czasami.

Tuż po świętach nastał rzadko u nas spotykany, ostry mróz. Oszronił gałęzie drzew, a dzieci mogły nawet jeździć na łyżwach po stawach. Wielebny proboszcz Jakub przeziębził się, wkrótce zaś potem dostał ataku serca. Wprawdzie na parę dni mu się poprawiło, lecz w ciągu tygodnia zmarł.

Dorcas i Alison były zdruzgotane. Ja od dłuższego czasu nie miałam z nim bliskich kontaktów. Najczęściej przebywał w swej sypialni, a jeśli nawet schodził do nas do jadalni, to prawie wcale się nie odzywał, więc wydawać się mogło, że go wcale nie było.

Kucharka określiła jego śmierć jako „szczęśliwe wybawienie”, ponieważ biedny „wielmożny pan” mógł nigdy nie przyjść do siebie.

Tak więc na probostwie żaluzje zostały opuszczone, nadszedł dzień, w którym odezwały się dzwony, a my złożyłyśmy wielebnego Jakuba Osmonda do grobu wykopanego dla niego przez pana Peggera. Po powrocie na probostwo jadłyśmy szynkę na zimno i z żalem go wspominałyśmy.

Przejmujące Dorcas i Alison uczucie smutku pomieszane było z obawą o przyszłość. Obie pełne oczekiwania spoglądały na mnie i Olivera, spodziewając się od nas oczywistego rozwiązania kłopotów.

Zamknęłam się w swoim pokoju i rozmyślałam o tym. One chciały, żebym została żoną Olivera, który jako proboszcz zająłby miejsce wielebnego Jakuba Osmonda i wtedy my wszyscy moglibyśmy żyć pod tym samym dachem, tak jak dotąd.

Jak ja bym mogła poślubić Olivera? Poza Teobaldem żaden mężczyzna nie wchodził w grę jako kandydat na mego męża. Przyznać się do tego Dorcas i Alison było niepodobieństwem. Co więcej, tak szczęśliwe rozwiązanie mogło się ziścić jedynie w moich szalonych i niemożliwych do spełnienia marzeniach. Chciałam im wytłumaczyć: lubię Olivera, wiem, że jest dobrym człowiekiem. Ale wy czegoś nie rozumiecie. Na samo imię Teobalda moje serce bije szybciej. Tak, one zapewne uważają, że Teodozja z Teobaldem będą stanowić dobraną parę, ale ja nie byłam w stanie wyrzec się tego mężczyzny.

Oliver zmienił się, odkąd został proboszczem. Był miły dla nas jak zawsze, ale oczywiście — tak Dorcas powiedziała do Alison — jeżeli coś nie zostanie postanowione, my we trzy będziemy się musiały wyprowadzić.

Całkiem szybko coś zostało postanowione. Biedna Dorcas! Biedna Alison!

To Alison wywołała ten temat. Zapewne Oliver miał zamiar go poruszyć, lecz był zbyt uprzejmy i obawiał się, czy to, co ma do powiedzenia, nie będzie przez nie odebrane jako prośba o opuszczenie probostwa.

Alison powiedziała:

— Teraz, kiedy mamy nowego proboszcza, czas, abyśmy się wyprowadziły.

Spojrzał na nią z wyraźną ulgą i rzekł:

— Chcę z wami pomówić. Zamierzam się ożenić.

Oczy Dorcas rozbłyły, jakby to ona miała być przyszlą panną młodą.

— Nie mogłem oczywiście oświadczyć się mej pani, dopóki nie miałem jej niczego do zaoferowania. A teraz mam... i jestem naprawdę szczęśliwy. Ona zgodziła się wyjść za mnie za mąż.

Skierowane na mnie spojrzenie Alison wyrażało oczywisty wyrzut: „Mogłaś nam była powiedzieć”, więc starałam się nie okazać własnego zaskoczenia.

Oliver ciągnął dalej:

— Panna Sabina Travers obiecała mnie poślubić. Złożyłyśmy mu gratulacje — ja z całego serca, Dorcas i Alison raczej zakłopotane.

Gdy tylko udałam się do swego pokoju, wiedziałam, że zaraz za mną tam przyjdą. Stały i patrzyły na mnie. Na ich twarzach malowało się zdumienie i gniew.

— Pomyśleć, że przez cały ten czas... on nas oszukiwał.

— Nie osądzacie go sprawiedliwie — zaprotestowałam. — W jaki sposób was oszukiwał?

— Dawał nam do zrozumienia...

— Nic takiego nie robił. Sabina. Cóż, zawsze była między nimi pewna nić porozumienia. Wprawdzie ani z łaciny, ani z greki nie była lepsza ode mnie, ale jest bardzo ładna i kobieca. Sądzę, że dobrze się sprawdzi jako żona proboszcza.

— Jest zbyt pusta, powierzchowna. Wątpię, czy potrafiłaby prowadzić poważną rozmowę.

— Świetnie da sobie radę z parafianami. Słowa zawsze płyną z jej ust wartkim potokiem. Będzie słuchała, co ludzie opowiadają o swych kłopotach, wcale tego nie słysząc. Pomyślcie, cóż to za wartościowy nabytek dla parafii.

— Judytko, tak mówisz, jakbyś się wcale nie przejmowała! — zawołała Alison.

— Kochanie, przed nami nie musisz udawać i robić dobrej miny do złej gry — dodała Dorcas.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Posłuchajcie mnie obie. Nawet gdyby Oliver mi się oświadczył, nie wyszłabym za niego, traktuję go raczej jak brata. Bardzo go lubię. Lubię też Sabinę. Wierzcie mi, choćby to małżeństwo miało być według was stosowne, nigdy bym nie poślubiła Olivera.

Podeszłam do nich i uściśkałam je tak, jak to robiłam, gdy byłam młodsza.

— Alison, Dorcas, drogie moje, tak mi przykro. To koniec dawnego życia. Bo gdybym ja nawet była chętna do tego małżeństwa, to Oliver ma inne zamiary, prawda? Musimy opuścić probostwo.

Były wzruszone jak zawsze, kiedy okazywałam im uczucie.

— Och, nie o to chodzi — rzekła Dorcas. — Miałyśmy na uwadze twoje szczęście.

— A tego tu nie mogłabym znaleźć — odparłam, po czym dodałam: — Tylko pomyślcie. Oliver i Sabina! Więc on będzie szwagrem Teobalda.

Spojrzały na mnie zdziwione, jakby chciały powiedzieć: „A co to ma wspólnego z naszym kłopotliwym położeniem?”. Rozmowę zakończyła Alison:

— Wobec tego natychmiast musimy zacząć obmyślać plany na przyszłość.

Tak więc ułożyłyśmy nasze plany.

Wielebny Jakub Osmond zostawił bardzo niewiele pieniędzy. Jego córki otrzymały minimalny spadek, ale gdyby mogły wyszukać sobie jakiś domek do wynajęcia po umiarkowanej cenie, akurat wystarczyłoby im na przeżycie.

Co do mnie, to byłam od nich zależna. Uszczęśliwiało je, gdy mogły się ze mną dzielić wszystkim, co posiadały, lecz trudno byłoby nazwać to dostatkiem.

— Przecież zawsze wszyscy zakładali, że powinnam być przysposobiona do podjęcia pracy w razie potrzeby — powiedziałam.

— Rzeczywiście — przyznała Dorcas — między innymi dlatego byliśmy takie zadowolone, że mogłyśmy zapewnić ci dobrą edukację.

— Może usłyszymy o czymś odpowiednim — podsunęła myśl Alison.

Nie było sensu siedzieć beczynn timer w oczekiwaniu, aż dojdą do nas jakieś słuchy. Przyrzekłam sobie i im, że gdy tylko one urzadzą się w nowym domu, wyjadę i znajdę posadę.

Taka perspektywa mnie niepokoiła. Nie chodziło mi o podjęcie pracy, lecz o wyjazd z St. Erno's. Widziałam siebie w jakimś obcym domu, z dala od Giza House, którego mieszkańcy szybko by o mnie zapomnieli. I co miałabym robić? Być guwernantką jak panna Graham? A do takiej pracy najbardziej się nadawałam. Być może posiadałam więcej wiedzy humanistycznej niż większość moich rówieśnic wychowywanych na probostwie i mogłabym nauczać w szkole dla dziewcząt. Byłoby to dla mnie mniej upokarzające niż praca w rodzinie, gdzie nie byłabym

traktowana na równi z jej członkami, a równocześnie, jako osoba stojąca wyżej od służących, nie mogłabym oczekiwać na zaliczenie mnie przez nich do ich grona. Jakie wobec tego miała obecnie szanse dobrze wykształcona osoba w moim wieku?

Trudno mi było spokojnie myśleć o przyszłości. Mówiłam sobie: gdybym nie znalazła tarczy z brązu, Traversowie może nie zamieszkaliby w Giza House. Nigdy nie spotkałabym Teobalda, a Oliver nie poznałby Sabiny. Być może w pewnym momencie ja i Oliver uznalibyśmy, że powinniśmy się pobrać, i byłibyśmy już po ślubie. Prowadzilibyśmy razem spokojne, umiarkowane szczęśliwe życie, jak wiele innych par. A mnie zostałaby oszczędzona męka pozostawienia wszystkiego, co naprawdę liczyło się w moim życiu.

Na ratunek pospieszył sir Ralf. W jego posiadłości znajdował się pusty domek. Pozwolił pannom Osmond zamieszkać w nim w zamian za symboliczny czynsz.

Były zachwycone. Połowa problemów została rozwiązana.

Sir Ralf zdecydował się wziąć na siebie rolę naszego dobroczyńcy. Lady Bodrean przydałaby się panna do towarzystwa — ktoś, kto mógłby jej poczytać, kiedy tego zażąda, pomagać w akcjach dobroczynnych czy przy urządzaniu przyjęć. Taka panna do towarzystwa i sekretarka zarazem. Sir Ralf uważał, że byłabym odpowiednią osobą, a lady Bodrean była gotowa rozważyć moją kandydaturę.

Alison i Dorcas były uradowane.

— Po tylu rozczarowaniach wszystko zaczyna się dobrze układać — mówiły z uniesieniem. — Mamy swój domek, a ty będziesz niedaleko. To cudownie. Tylko pomyśl, będziemy się mogły często widywać. Tak, będzie cudownie, jeśli... ułoży ci się z lady Bodrean.

— W tym właśnie sęk — odrzekłam beztrząsco. Lecz na sercu wcale nie było mi tak lekko.

I nie bez przyczyny. Od początku czułam, że lady Bodrean nigdy nie zachwycę, że uczę się razem z jej córką i bratankiem męża w Keverall Court. Rzadko ją widywałam, lecz w czasie tych nielicznych spotkań jej oczy stawały się lodowate. Zawsze porównywałam ją w myślach do okrętu. W obszernych halkach i spódnicach, które szeleściły przy chodzeniu, przywodziła mi na myśl płynący przed siebie statek, nie zważający na nic, co znalazło się na jego szlaku. Nigdy nie usiłowałam nawiązać z nią kontaktu, świadoma jej niechęci do mnie. Teraz znalazłam się w innym położeniu.

Przyjęła mnie w swej prywatnej bawialni, stosunkowo niewielkim pokoju jak na komnaty w Keverall Court, ale i tak dwukrotnie większym od pomieszczeń w wiejskich domach. Był przeładowany meblami. Na gzymsie kominka stłoczono wazy i różne ozdoby tuż koło siebie. Serwantki wypełnione były porcelanowymi naczyniami i wyrobami ze srebra, w jednym zaś rogu stała etażerka pełna porcelanowych figurek. Fotele zostały pokryte tkaniną wyhaftowaną przez samą lady Bodrean. Dwa parawaniki przed kominkiem również były z takiej tkaniny, podobnie jak pokrycia dwóch taboretów. Koło fotela pani domu stała rama z napiętą nową tkaniną i lady Bodrean właśnie nad nią pracowała, gdy mnie do niej wprowadzono.

Chyba przez dobrą minutę nie podnosiła na mnie wzroku, dając do zrozumienia, że praca bardziej ją interesuje niż przyszła panna do towarzystwa. To mogłoby wzbudzić mój niepokój, gdybym była strachliwa z natury. Wreszcie odezwała się:

— O, panna Osmond. Przyszła pani w sprawie posady. Może pani usiąść.

Usiadłam, czując występujące na twarzy wypieki, lecz z głową wysoko uniesioną.

— Pani obowiązki sprowadzą się — rzekła — do służenia mi pomocą w każdej sytuacji, która będzie tego wymagała.

— Tak, lady Bodrean — odparłam.

— Będzie pani pilnować spraw związanych z moimi zobowiązaniami zarówno towarzyskimi, jak i charytatywnymi. Każdego dnia będzie mi pani czytać gazety. Zajmie się pani moimi dwoma szpicami, Doda i Zułą.

Na dźwięk swych imion dwa psy, których dotąd nie zauważyłam, leżące na poduszkach w fotelach po obu stronach gospodyni, uniosły głowy i spojrzały na mnie pogardliwie. Doda, albo może była to Żuła, warknęła, druga zaczęła węszyć.

— Moje malutkie — powiedziała lady Bodrean z czułym uśmiechem, lecz kiedy zwróciła się ponownie do mnie, natychmiast przybrała lodowaty wyraz twarzy. — Ma być pani oczywiście do mej dyspozycji na każde żądanie. A teraz chciałabym posłuchać, jak pani czyta. — Otworzyła „Timesa” i wręczyła mi gazetę.

Zaczęłam czytać ustęp artykułu o dymisji udzielonej Bismarckowi i o planach przekazania wyspy Helgoland Niemcom.

Kiedy czytałam, byłam świadoma, że badawczo mi się przygląda. Miała lorgnon na złotym łańcuszku, opasującym jej talię, i całkiem otwarcie zerknęła na mnie przez szkło. Takiego sposobu traktowania musi się zapewne spodziewać ktoś, kto stara się o pracę, pomyślałam.

— Tak, wystarczy — przerwała mi w połowie zdania, pewno, abym uświadomiła sobie, że zatrudnienie mnie jako osoby do towarzystwa było w tym momencie ważniejsze od losów Helgolandu.

— Chciałabym, aby zaczęła pani... natychmiast. Spodziewam się, że pani to odpowiada.

Odpowiedziałam, że potrzeba mi dnia lub dwóch na uporządkowanie moich spraw, choć za bardzo nie wiedziałam, jakie to miałyby być sprawy. Wiedziałam jedynie, że pragnę odłożyć jeszcze moment objęcia przeze mnie tej posady, gdyż perspektywa rysowała się przygnębiająco.

Łaskawie zgodziła się zwolnić mnie na resztę dnia i dzień następny, żebym się mogła przygotować. Oświadczyła, iż oczekuje, że pojutrze podejmę me obowiązki.

W drodze powrotnej do domu (który nosił uroczą nazwę Rainbow Cottage, choć jedyną mi znaną ku temu przyczyną mogły być rosnące w ogrodzie kwiaty, istotnie we wszystkich kolorach tęczy) usiłowałam myśleć o korzyściach, związanych z moim nowym położeniem. Doszłam do wniosku, że chociaż skóra mi cierpła na myśl o pracy u lady Bodrean, to przecież dzięki temu będę miała sposobność widywania Teobalda.

Rozdział 3

Miesiące niewoli

Mój pokój w Keverall Court znajdował się blisko pomieszczeń zajmowanych przez lady Bodrean, tak aby w każdej chwili mogła mnie wezwać. Był dość przyjemny — wszystkie pokoje w Keverall Court miały swój urok, nawet najmniejsze były wykładane boazerią i miały pięknie zdobione późnogotyckie okna. Z mego zaś okna widziałam dach Giza House, co mi przynosiło, wbrew rozsądkowi, pewne pocieszenie.

Już po krótkim pobycie w domu Bodreanów doszłam do wniosku, że moja chlebodawczyni mnie nie cierpi. Często zdarzało się, iż dzwoniła na mnie, kiedy już udałam się na spoczynek, i rozdrażniona mówiła mi, że nie może usnąć. Musiałam przynosić jej herbatę i czytać, aż zaczęła drzemać. Zwykle wtedy trzęsłam się z zimna, gdyż lubiła mieć chłodno w pokoju, tyle że ona okryta była kocami, a ja siedziałam jedynie w szlafroku. Nigdy nie zadowalała jej nic, co robiłam. Gdy już nie miała na co narzekać, moje wysiłki zbywała milczeniem, jeśli zaś miała jakieś pretensje, powracała do nich bez końca.

Jej pokojówka, Janina, bardzo mi współczuła.

— Jaśnie pani uwzięła się na panią — przyznała kiedyś. — Tak często bywa. Już to widziałam. Nie uchybia się godności stałych służących. Pokojowe, służące, osobiste pokojówki zawsze są poszukiwane. Natomiast osoby do towarzystwa i im podobne znajdują się w o wiele gorszej sytuacji.

Jak sądzę, niektóre osoby ze względu na swój charakter potrafiłyby lepiej to znosić ode mnie. Ja jednak nigdy nie byłam w stanie pogodzić się z niesprawiedliwością. Kiedyś bywałam w tym domu i pozostawałam na równej stopie z Teodozją. Bardzo było mi trudno zaakceptować moją nową pozycję, godziłam się na nią zaś tylko dlatego, że w przeciwnym razie musiałabym wyjechać z St. Erno's.

Posiłki jadałam sama w moim pokoju. Czytałam wtedy zwykle książki pożyczone z Giza House. W tym okresie nie spotykałam ani Teobalda, ani jego ojca, gdyż na jakiś czas wyjechali z ekspedycją archeologiczną gdzieś w rejony środkowej Anglii. Tabita jednak zawsze miała dla mnie jakieś książki.

Zwykła mawiać:

— Teobald by uznał, że to cię zainteresuje.

Właśnie te książki, wizyty u Tabity oraz świadomość, że sprawy Dorcas i Alison ułożyły się tak szczęśliwie, rozjaśniały nieco moje życie w owym okresie.

Od czasu do czasu widywałam Teodozję. Byłaby dla mnie miła, gdyby jej na to pozwoliła matka. Sama Teodozja nie okazywała mi w najmniejszej mierze złośliwości czy wyniosłości. Po prostu brakowało jej charakteru — nie miała własnych przekonań, kierowała się poglądami otoczenia. Celowo nigdy by nie zrobiła mi przykrości, ale z kolei niewiele uczyniła, żeby polepszyć mą sytuację. Może nie mogła zapomnieć moich skłonności do komenderowania nią w szkolnym pokoju.

Kiedy spotykałam sir Ralfa, zwykle pytał mnie, co słyhać, i przybierał ów rozbawiony wyraz twarzy, który tak dobrze znałam. Nie mogłam mu odpowiedzieć: „Nie znoszę pana żony i odeszłabym od niej już jutro, gdybym nie wiedziała, że daleko stąd czułabym się jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż tutaj”.

Chodziłam w odwiedziny do Rainbow Cottage, żeby zobaczyć się z Dorcas i Alison, tak często, jak tylko mogłam. Ten niewielki, liczący zapewne ze trzysta lat domek był ciekawym miejscem.

Zbudowany został w tych czasach, gdy rodziny, które były w stanie postawić dom w ciągu nocy, mogły domagać się uznania ziemi pod nim za własną. Było wtedy w zwyczaju przygotowywanie zawczasu cegieł i dachówek, po czym tuż po zapadnięciu zmroku przystępowano do budowy, aby zakończyć ją w ciągu nocy. Do rana było gotowe domostwo, składające się z czterech ścian i dachu. Po tym do niego mógł być dołączony plac. Tak to się działo w przypadku Rainbow Cottage. Kiedy domek przejęli Bodreanowie, oddali go w użytkowanie służbie i znacznie powiększyli, jednak pozostało parę starych elementów, jak na przykład rodzaj występu na ścianie ponad glinianym piecem, gdzie zwykle spały dzieci, które wchodziły tam po drabinie. Teraz to miejsce urosło do rangi dość wygodnej kuchni. Dorcas mogła więc wypiekać swój chleb, najwspanialszy, jaki w życiu jadłam. Tam też w dużym kotle pasteryzowała mleko przeznaczone na śmietankę. W Rainbow Cottage, otoczonym małym, ślicznym ogródkiem, Alison i Dorcas były bardzo szczęśliwe, choć oczywiście brakowało im przestronno — ści probostwa.

Ciężko mi było się z nimi rozstawać, by wracać do Keverall Court i mych uciążliwych obowiązków. Podtrzymywałam się na duchu, złośliwie parodiując lady Bodrean; paradowałam przed nimi wokół niewielkiej bawialni, niby wywijając lorgnon.

— A co z sir Ralfem? — spytała kiedyś któraś nieśmiało. — Często go widzisz?

— Bardzo rzadko. Wiecie przecież, nie traktuje mnie jak członka rodziny.

— To wstyd! — oburzyła się Dorcas, lecz Alison zmitygowała ją.

— Było zupełnie inaczej, jak chodziłaś tam na lekcje — ubolewała Dorcas.

— Tak, zawsze czułam się jedną z nich. No, ale wtedy to nie było moje miejsce pracy. Zdziwiająca, jak wówczas mało miałam kontaktów z lady Bodrean... na szczęście.

— To może się zmienić — pokusiła się o ryzykowną przepowiednię Alison.

Z natury byłam optymistką i nawet w tych ponurych dniach oddawałam się marzeniom. Na ogół ich treść była raczej mało oryginalna. W Keverall Court zostaje wydana proszona kolacja i ktoś z gości — pani — nie może przyjść. Nie chcą usiąść do stołu w trzynaście osób. No, ale przecież jest panna do towarzystwa. „Można ją ludziom pokazać. Ostatecznie tu się wykształciła”. Więc przychodzę na kolację w sukni, którą wybrała dla mnie Teodozja (ona w niej wyglądała fatalnie, a ja doskonale), no i siadam — jak szepcze mi Teodozja: „obok kogoś, kogo znasz”. „O! — wydaje okrzyk zachwytu Teobald. — Co za urocze spotkanie!” No i rozmawiamy i wszyscy widzą, jak On jest bardzo zajęty swą sąsiadką przy stole, a i potem nie odstępuje jej na krok. „Jestem bardzo zadowolony — mówi — że pani X... Y... Z (a jakie ma znaczenie jej nazwisko), jestem naprawdę zadowolony, że ona nie mogła przyjść tu dziś wieczorem”.

Marzenia! Marzenia! Lecz co więcej mnie biednej zostało w tym nie dającym mi satysfakcji okresie mego życia.

* * *

Tak długo czytałam, że aż ochryłam.

— Pani głos ma dzisiaj fatalne brzmienie, panno Osmond. Och, to nie do zniesienia! Oczekiwałam, że czytanie mi będzie pani głównym zajęciem.

Siedziała, wyszywając wzór igłą nawleczoną czerwoną, błękitną lub fioletową nitką, i byłam pewna, że w ogóle nie słucha tego, co czytam. Gdybym tylko mogła poczytać jedną z książek przyniesionych z Giza House! Czasami nachodziła mnie złośliwa myśl, żeby którąś zacząć czytać. Ciekawe, czyby się zorientowała.

Niekiedy odkładała swą robótkę i zamykała oczy. Czytałam dalej, gdyż nie byłam pewna, czy zasnęła. Nieraz przestawałam, żeby zobaczyć, czy to zauważyła. Często zdarzało się, że

przyłapywałam ją na spaniu; ale i ona mnie wtedy przyłapywała, gdyż nagle się budziła i żądała wyjaśnień, dlaczego nie czytam.

Odpowiadałam potulnie:

— Myślałam, że pani śpi, lady Bodrean. Obawiałam się, że mogę pani przeszkadzać.

— Co za bzdura — odpierała moją sugestię. — Proszę czytać dalej i ja pani powiem, kiedy przestać.

Tego dnia tak długo przetrzymała mnie przy czytaniu, że zmęczyły mi się oczy, a głos odmawiał posłuszeństwa. Wtedy pomyślałam, że powinnam stąd uciec za wszelką cenę. Lecz zawsze wracała do mnie myśl o Teobaldzie. Nigdy bym go już nie zobaczyła.

Doda i Żula okazały się błogosławieństwem, gdyż wymagały długich codziennych spacerów. Przy tej okazji mogłam odejść dalej od domu i wtedy z łatwością udawało mi się przemknąć do Giza House na pogawędkę z Tabitą.

Gdy przyszłam do niej pewnego dnia, już od wejścia wiedziałam, że zdarzyło się coś niezwykłego. Zaprowadziła mnie do salonu i powiedziała, że sir Edward wybiera się na wyprawę archeologiczną do Egiptu. Miało to być jedno z jego najbardziej ambitnych przedsięwzięć. Ona sama miała nadzieję, że wejdzie w skład ekipy.

— Teraz, kiedy Sabina jest mężatką — powiedziała — nie jestem już tu potrzebna.

— Powierzają ci jakieś obowiązki? — spytałam.

— Oficjalnie oczywiście nie, ale potrafię być przydatna. Mogę zajmować się sprawami gospodarczymi, jeśli będzie trzeba, potrafię też całkiem niezłe posługiwać się kilofem. Jednym słowem, mogę być takim pożytecznym amatorem na zasadzie: „przynieś, podaj, pozamiataj”.

Patrzyłam na nią szczerze uradowana.

— Jakże ci zazdrościsz!

Odpowiedziała mi swym łagodnym, słodkim uśmiechem.

— Przypuszczam, że lady Bodrean potrafi być trudna do zniesienia.

Westchnęłam, a ona dalej opowiadała mi o wyprawie.

— Czy Teobald będzie towarzyszył ojcu? — spytałam.

— Tak. To ma być jedna z najważniejszych jak dotąd ekspedycji. Zapewne cały naukowy świat związany z archeologią o niczym innym nie mówi. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że sir Edward jest być może jednym z najwybitniejszych jego przedstawicieli.

Skinęłam głową.

— A Teobald idzie w jego ślady.

Spojrzała na mnie bystro. Zastanawiałam się, czy nie zdradziłam stanu mych uczuć.

— On jest taki sam jak ojciec. Tacy mężczyźni mają tylko jedną namiętność w życiu... pracę. Muszą o tym zawsze pamiętać ci, którzy z nimi przestają.

Zawsze było mi za mało rozmów o Teobaldzie. Nie mogłam się oprzeć pokusie.

— Sir Edward jest chyba bardziej niedostępny. Prawie w ogóle z nikim się nie widuje.

— Od czasu do czasu zstępuje z obłoków, a raczej należałoby powiedzieć, wychodzi spod ziemi. Trudno jest naprawdę poznać tego typu ludzi w ciągu kilku lat. Na to potrzeba całego życia.

— Tak — odparłam. — Ale może właśnie dlatego oni są tacy interesujący.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Czasami — mówiła dalej — myślałam sobie, że tego rodzaju ludzie powinni być pustelnikami albo mnichami. Praca zastępowałaby im rodzinę.

— Znałaś lady Travers?

— Tak, u kresu jej życia.

— I sądzisz, że sir Edward jest szczęśliwszy jako wdowiec niż wtedy, kiedy jeszcze był żonaty?

— Czy ja coś takiego sugerowałam? Przybyłam tu jako osoba do prowadzenia domu na dość szczególnych prawach. Zналиśmy się już przedtem wiele lat i gdy powstała konieczność... objęłam tę posadę tak jak ty swoją.

— I wkrótce potem lady Travers zmarła?

— Tak.

Chciałam się dowiedzieć, jaka była matka Teobalda, a że nie byłam zbyt taktowna, co Dorcas i Alison często mi wytykały, więc nieopatrznie spytałam:

— To nie było szczęśliwe małżeństwo, prawda? Spojrzała na mnie zaskoczona.

— Cóż... Nie mieli ze sobą wiele wspólnego i jak ci mówiłam, sir Edward pewnie nie był wzorem męża.

Byłam przekonana, że to ma być dla mnie ostrzeżenie.

— Czy pamiętasz Jana Calluma? — zapytała mnie z nagłym ożywieniem.

— Oczywiście.

— Przyjeżdża do nas z wizytą. Słyszałam, że Hadrian również wraca. Niedługo będą tu obydwoj. Zaciekawiają ich nowiny o ekspedycji sir Edwarda.

Jeszcze z nią trochę rozmawiałam, choć wiedziałam, że nie powinnam. Pragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej. Tabita tak się rozgadała.

— Byłoby wspaniale, gdybyś mogła przyjść — powiedziała. — Z pewnością wolałabyś to, niż doglądanie niezbyt miłej damy.

— Gdyby to tylko było możliwe...

— No nic. Może kiedyś...

Wracałam do Keverall Court jakby w oszołomieniu. Znowu marzyłam. To była jedyna moja pociecha. Tabita zachorowała, nie mogła jechać. „Ktoś musi zająć jej miejsce” — mówi sir Edward. „Wiem! — woła Teobald. — Może panna Osmond? Ona zawsze tak się interesowała archeologią”.

Życzyć Tabicie choroby! Co za głupota i brak życzliwości.

— Jestem niemile zaskoczona, panno Osmond — przywitała mnie lady Bodrean. — Dzwonię na panią od pół godziny.

— Przepraszam, zapomniałam, która godzina.

— Zapomniała pani, która godzina? Nie jest tu pani po to, żeby zapominać o godzinie. Nie za to się pani płaci.

Och, dlaczego nie powiedziałam tej starej, antypatycznej kobiecie, że przestaję dla niej pracować.

Mój logiczny umysł podsunął mi zaraz odpowiedź. Gdybyś to zrobiła, poniosłabyś określone konsekwencje. Musiałabyś wyjechać. Czy wtedy kiedykolwiek zobaczyłabyś jeszcze Teobalda?

* * *

Musiałam w jakiś sposób zdradzić się, iż nie jestem w stanie przyjąć z rezygnacją mojej pozycji w tym domu, i wyglądało na to, że lady Bodrean właśnie do tego postanowiła mnie zmusić.

Stale przypominała mi, że jestem płatną sługą. Starła się ograniczać mą wolność, ilekroć było to możliwe. Dawała mi polecenie i ustalała czas wykonania. Musiałam z nią chadzać po ogrodzie z koszykiem w ręku, gdy ona ścinała kwiaty, które potem kazała mi układać w wiązanki. Moje wysiłki artystyczne w tej dziedzinie zawsze rozbawiały Dorcas i Alison. Zwykły mawiać: „Jeśli ktoś ma talent do bałaganu w kwiatowych kompozycjach, to Judytka”. Na probostwie to był żart, tutaj sprawa poważna. Gdy tylko mogła, upokarzała mnie, a szukała i znajdowała ku temu wiele okazji.

Przynajmniej, myślałam, dzięki temu uświadamiałam sobie, jak szczęśliwy dom stworzyły dla mnie Dorcas i Alison, za co powinnam być im wdzięczna do końca życia.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy lady Bodrean oznajmiła mi, że wydaje bal w Keverall Court.

— Jest oczywiste, że młoda dama o takiej pozycji jak moja córka musi być oficjalnie wprowadzona w świat. Chyba zdaje sobie pani z tego sprawę, panno Osmond, gdyż choć nie jest pani tego samego stanu, dowiedziała się pani czegoś o zachowywaniu dobrych manier, gdy pozwolono jej tu pobierać nauki.

— Dobre maniery to właśnie coś, czego mi ostatnio bardzo brakuje — odparłam.

Źle mnie zrozumiała.

— Miała pani wiele szczęścia, że zezwolono jej choć trochę się ich nauczyć. Ja zawsze uważałam, że jest błędem kształcić ludzi ponad możliwości ich statusu społecznego.

— Czasem pozwala to córkom i synom światłych duchownych być użytecznymi dla wyżej od nich postawionych.

— Cieszę się, że ma pani taką opinię, panno Osmond. Muszę zaznaczyć, iż nie zawsze okazuje pani tak stosowną do swego stanu pokorę.

Była wyjątkowo głupią kobietą. Mówiono, że sir Ralf ożenił się z nią dla pieniędzy. Zupełnie nie mogłam pojąć, dlaczego to zrobił, skoro sam był bardzo bogaty. Natomiast całkiem rozumiałe było, że szukał gdzie indziej pocieszenia.

— Teraz więc — ciągnęła dalej — stoją przed panią wielkie zadania. Trzeba napisać zaproszenia i je wysłać. Nie ma pani pojęcia, panno Osmond, ilu starań wymaga wydanie takiego balu.

— Trudno tego oczekiwać po osobie mego stanu — odparłam.

— To oczywiste. Czegoś się pani nauczy. Podobne doświadczenie może być przydatne w pani sytuacji życiowej.

— Dołożę pokornych starań — odpowiedziałam z ironią.

Ale tej lady Bodrean oczywiście nie uchwyciła.

* * *

Janina, osobista pokojówka lady Bodrean, mrugnęła do mnie.

— Trochę dobrej herbatki? — spytała. — Jest przygotowana. — Miała w swoim pokoju dla wygody małą maszynkę spirytusową. — Och, ja umiem zadbać o siebie.

Usiadłam, a ona naląła mi filiżankę.

— Słowo daję, że się na panią uwzięła.

— Pewno moje towarzystwo nie sprawia jej wielkiej przyjemności. Zastanawiam się, czy ona nie pozwala sobie na to wszystko, bo chce się mnie pozbyć.

— Znam naszą panią. Ją to bawi. Ona lubi znęcać się nad ludźmi. Zawsze taka była. Służyłam u niej, jeszcze zanim wyszła za męża. Zmieniła się na gorsze.

— To musiało być dla pani bardzo przykre.

— O, wiem, jak sobie z nią radzić. Cukru, panno Osmond?

— Tak, proszę — odpowiedziałam w zamyśleniu. — Wydaje mi się, że nie daję jej podstaw do takiej wielkiej niechęci. Cóż, przyznaję, nie przykładam się nadmiernie do mych obowiązków. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie robi tego, o czym ciągle napomyka. Dlaczego mnie nie odprawi.

— Wcale tego nie chce. Kogo by wtedy miała zdręzczać?

— No, kogoś by znalazła spośród dużego grona personelu. Pomiędzy wami z pewnością są tacy, którzy bardziej nadawaliby się ode mnie do roli ofiary.

— Och, rozumiem, pani sobie żartuje, panno Osmond. Ale czasami wydaje mi się, że pani nie wytrzyma i wyjdzie z siebie.

— Mnie też się tak czasem wydaje — przyznałam.

— Pamiętam, jak tu pani przychodziła na lekcje. Zawsze mówiliśmy: „Ta to ma więcej werwy niż oni wszyscy razem wzięci. Prawdziwa mała podżegaczka”. A kiedy wyszła na jaw jakaś psota, nie mieliśmy wątpliwości: „Możemy się założyć, że to sprawka Judyty Osmond”.

— A teraz widzi pani metamorfozę Judyty Osmond.

— Co proszę? Aaa, już coś takiego kiedyś widziałam. Przed panną Graham była taka guwernantka, jakby niańka. Miła, żywa dziewczyna. Ale wkrótce coś zaczęło się dziać. Sir Ralf miał na nią oko i kiedy lady Bodrean w to wkroczyła... wtedy ona się zmieniła, słowo daję. Dawnymi czasy sir Ralf... to był numer. Żadna kobieta nie mogła przy nim czuć się bezpiecznie. On też się zmienił. Uspokoił się. Cierpiał na dziwne zawroty głowy. To go trochę przyhamowało. A były nawet skandale. — Przychyliła się ku mnie i jej małe, piwne oczka załśniły nieskrywanym zadowoleniem. — O kobiety. Nie przepuszczał żadnej ładnej dziewczynie. Wybuchały awantury. Wtedy, na początku. He razy sama słyszałam... z sąsiedniego pokoju ma się rozumieć. Nie mogłam nie słyszeć, choćbym nawet nie chciała.

Już ją sobie wyobrażałam z uchem przy dziurce od klucza w drzwiach do pokoju, w którym skrzywdzona żona oskarżała młodego donżuana w osobie sir Ralfa.

— Chyba po jakimś czasie doszła do wniosku, że nic na to nie może poradzić. On poszedł swoją drogą, ona swoją. Chciał oczywiście mieć syna. Ale po panience Teodozji już żadnego dziecka nie mieli. Więc zamieszkał z nami panicz Hadrian. Ale ona... jaśnie pani... jakby stawała się z każdym dniem coraz bardziej zgorzkniała. I kiedy miała do kogoś urazę, to nie popuszczała.

— Chyba już powinnam iść — powiedziałam.

Janina zbliżyła do mnie twarz i wyszeptała konspiracyjnie:

— Pani mogłaby znaleźć sobie lepsze miejsce. Myślałam o tym. Weźmy na przykład panienkę Teodozję.

— A o co chodzi? — spytałam.

— No, ten bal... to taki rodzaj debiutu. Wszyscy wspaniali dżentelmeni z sąsiedztwa będą zaproszeni. Potem z kolei oni będą wydawać przyjęcia i tak w kółko. Wie pani, do czego to wszystko prowadzi. Panna Teodozja paraduje przed nimi, ukazując swe wdzięki, i niekoniecznie najmniejszym z nich będzie jej posag. „Młody dżentelmenie, okaż swe listy polecające i złóż ofertę”. Pani to zawsze miała na wszystko gotową odpowiedź. Często mówiłam do panny Graham: „Ta to ma ostry język”. Ale do czego zmierzam. Niezadługo znajdą męża dla panny Teodozji, a skoro pani jest jej przyjaciółką... więc...

— Ja jej przyjaciółką! Oby tylko lady Bodrean nie usłyszała, że pani tak mnie nazywa. Byłaby okropnie oburzona.

— Teraz przez panią przemawia gorycz. To dlatego, że kiedyś była pani traktowana jak jedna z nich, a teraz ma tu pani płatne zajęcie. Musi być pani sprytna. Jako dzieci razem bawiłyście się z Teodozją. To pani miała nad nią przewagę. Teodozja nie lubi matki. A gdyby tak pani przypomniała jej o waszej przyjaźni?

— Mam się wkradać w łaski córki dziedziczki?

— Mogłybyście się znowu zaprzyjaźnić i gdy ona wyjdzie za mąż... rozumie pani, o co mi chodzi? Madame Teodozji potrzebna będzie dama do towarzystwa, a któż byłby lepszy niż jej długoletnia przyjaciółka. No i co pani o tym myśli?

— Makiawelski plan — odparłam.

— Może się pani śmiać. Ale ja na pani miejscu nie chciałabym spędzić całego mego życia na doglądaniu takiej starej zrzędy.

— A jak Teodozja nie wyjdzie za mąż?

— Ona? Oczywiście, że wyjdzie. Oni już mają dla niej kawalera. Słyszałam, jak sir Ralf rozmawiał o tym z jaśnie panią. Była nawet awantura. Powiedziała mu: „Masz obsesję na punkcie tych ludzi. Według mnie planowałeś małżeństwo Hadriana z Sabiną”.

— Ooo? — powiedziałam słabym głosem.

— Mogę się z panią założyć, panno Osmond, że przed końcem roku zaręczyny zostaną ogłoszone. Poza wszystkim liczy się tytuł szlachecki. Pieniądze, no, nie wiem dokładnie, ale panna Teodozja będzie miała dostatecznie dużo, prawda? Kiedy jej ojciec umrze, to pewno wszystko odziedziczy, tak sędzę. A wtedy będzie jedną z najbogatszych młodych dam w całym kraju. Oczywiście nie twierdzą, że tamci są biedni, ale pieniądze zawsze się przydają, a mówi się, że on utopił fortunę w tych swoich pracach. Muszę powiedzieć, że to dziwny sposób roztrwania pieniędzy. Jak się pomyśli, co by z nimi można było zrobić... a to wszystko poszło na kopanie ziemi gdzieś za granicą. Podobno są to kraje, gdzie jest tak gorąco, że nie można wytrzymać.

Wtedy spytałam, choć już znałam odpowiedź:

— Więc kogo wybrali dla Teodozji...?

— Syna, oczywiście. Panicza Teobalda Traversa. Oto kogo jej wybrali.

Ledwie mogłam usiedzieć i słuchać dalej jej paplaniny.

* * *

Sir Edward i Teobald wrócili do Giza House i któregoś dnia przyszli na kolację do Keveryall Court. Znalazłam sposób, aby być w holu, kiedy się zjawili. Udawałam, że układam kwiaty.

Teobald odezwał się:

— To panna Osmond, prawda? — Jakby musiał mi się dwa razy przyjrzeć dla uzyskania pewności. — Co u pani słychać?

— Jestem teraz osobą do towarzystwa, pewnie pan wie.

— Tak, słyszałem. Nadal pani czyta nasze książki?

— Zachłannie. Pani Grey jest bardzo życzliwa.

— To dobrze. Ojczy, to jest panna Osmond.

Sir Edward obrzucił mnie swym nieprzytomnym spojrzeniem.

— To właśnie ona przebrała się za mumię. Chciała się przekonać, co to za uczucie, gdy jest się zabalsamowanym i złożonym do sarkofagu. Przeczytała kilka twoich książek.

Po tych słowach sir Edward zwrócił na mnie uwagę. Zamrugał oczami. Przypuszczam, że go ubawiła ta historia z mumią. W tym momencie stał się bardzo podobny do Teobalda.

Ogromnie chciałam móc zostać i z nimi rozmawiać. Tymczasem u szczytu schodów ukazała się lady Bodrean. Zastanawiałam się, czy usłyszała mój głos.

— Mój drogi sir Edward... i Teobald? — Sunęła majestatycznie po schodach. — Zdawało mi się, że słyszę waszą rozmowę z moją panną do towarzystwa.

Poszłam do swego pokoju i nie wychodziłam stamtąd przez cały wieczór. Miałam wytchnienie od tyranii mej chlebobawczyni, gdyż była zajęta gośćmi. Oczami wyobraźni widziałam ich, siedzących przy kolacji, a wśród nich Teodozję wyglądającą ślicznie w różowej, atlasowej sukni, taką łagodną, uległą, której ogromny majątek mógłby bardzo dopomóc przy finansowaniu ekspedycji do egzotycznych krajów.

Chyba nigdy nie czułam się tak bezsilna jak tego wieczoru. Mając świeżo w pamięci ostatnie spotkanie z Teobaldem, które potwierdziło moją opinię o nim, byłam teraz bardziej pewna niż kiedykolwiek, że on jest jedynym mężczyzną mego życia. Zastanawiałam się, czy mam bez zwłoki zgłosić swą rezygnację z pracy.

Ale takie postępowanie nie leżało w mej naturze. Dopóki on nie ożeni się z Teodozją, nie przestanę marzyć... i mieć nadzieję.

* * *

Poszłam z psami na spacer w pobliże Giza House i w pewnej chwili usłyszałam głos wołający: „Judyto!”.

Odwróciłam się i zobaczyłam wychodzącego z domu Jana Calluma.

— Judyto! — zawołał ponownie, wyciągając do mnie rękę. — Jakie miłe spotkanie.

— Słyszałam, że masz przyjechać — powiedziałam. — Ja też się cieszę, że cię widzę.

— Jak ci się wiedzie?

— Nastąpiły duże zmiany — odparłam.

— I nie na lepsze?

— Zmarł proboszcz. Wiesz, że Oliver poślubił Sabinę, a ja teraz jestem panną do towarzystwa lady Bodrean.

Skrzywił się.

— A, czuję, że domyślasz się, co to znaczy — odpowiedziałam na jego grymas z uśmiechem.

— Pamiętasz przecież, że pracowałem kiedyś w tym domu jako ktoś w rodzaju guwernera was wszystkich. Na szczęście moja praca nie podlegała jej jurysdykcji. Biedna Judyta!

— Sto razy dziennie powtarzam sobie, że nie będę użalać się nad sobą. Skoro ja tego nie robię, to ty także się nie przejmuj.

— A jednak żal mi ciebie. Byłaś moją najzdolniejszą uczennicą. Miałas w sobie tyle entuzjazmu. A w tym zawodzie to najważniejsze. Entuzjazm! Czy dokonalibyśmy czegoś bez niego?

— Będziesz im towarzyszył w czasie tej wyprawy?

— Niestety, nie. Nie mam wystarczającego doświadczenia, żeby zasłużyć na taki zaszczyt. Teraz pewnie zaczniesz się biegać między Giza House i Keverall Court. Będą przekonywać sir Ralfa, że potrzebna jest jego finansowa pomoc.

— On zawsze był żywo zainteresowany tymi przedsięwzięciami. Mam nadzieję, że uda im się go przekonać.

— Teobald nie ma co do tego wątpliwości. — Rozejrzał się wokół. — Jak tu wszystko przypomina dawne czasy. Ty, Hadrian, Teodozja, Sabina. Dziwne, że ona najmniej się tym interesuje.

— Została żoną proboszcza. Rzadko ją widuję. Mam dużo obowiązków i nie zostaje mi wiele wolnego czasu. Gdy tylko mogę, odwiedzam Dorcas i Alison, no i czasem tu przychodzę do pani Grey, która jest tak miła, że pożycza mi książki.

— Oczywiście na interesujący nas temat?

— Oczywiście.

— To dobrze. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś się zniechęciła. Podobno Hadrian wraca do domu w końcu tygodnia.

— Nie wiedziałam. Mnie takich rzeczy się nie mówi.

— Biedna Judyta. Los bywa czasem niesprawiedliwy.

— A może ja już otrzymałam swój przydział szczęścia? Czy wiesz, że zostałam znaleziona w pociągu?

— Byłaś porzuconym dzieckiem?

— Niezupełnie. Wydarzyła się katastrofa. Zginęli w niej moi rodzice, a po mnie nikt się nie zgłosił. Więc mogłam się znaleźć w sierocińcu, a wtedy nigdy nie poznałabym was, nie odkryłabym tarczy z brązu i nie przeczytałabym żadnej książki z biblioteki w Giza House.

— Zawsze sądziłem, że jesteś daleką krewną proboszcza.

— Wiele osób tak uważało. Dorcas i Alison uznały, że lepiej będzie, jak się rozejdzie taka wersja. Ale moje prawdziwe pochodzenie było nieznane... One wzięły mnie do siebie i miałam cudowne życie... do niedawna. To było moje wielkie szczęście. Może teraz muszę za nie zapłacić? Czy myślisz, że w życiu działa taka reguła?

— Nie — odrzekł. — Nadszedł po prostu taki okres. Każdemu z nas to się zdarza. Ale przecież w Keverall Court jest Teodozja, a ona była twoją przyjaciółką. Nigdy nie mogłaby być ci niezyczliwa, tego jestem pewien.

— No tak, ale prawie jej nie widuję. Jestem tak zajęta, skacząc nieustannie wokół jej mamy.

Popatrzył na mnie ze współczuciem.

— Biedna Judyta — powtórzył. — Może nie zawsze tak będzie. To tak jak z elementem powtarzającym się we wzorze, nie sądzisz? Byliśmy tu wszyscy razem i teraz znowu jesteśmy.

— Szkoda tylko, że nie umiałam docenić żywości barw tego wzoru, kiedy był układany przez los, żeby już trzymać się twej metafory.

— Na tym często polega tragedia życia, nie sądzisz? Nie rozpoznajemy dobra, kiedy się nam przydarza.

— W przyszłości je rozpoznam.

— Mam nadzieję, że wszystko zmieni się na lepsze, Judyto. Musimy się spotykać... i to często.

— Ale przegrodzi nas bariera towarzyska, ty tam będziesz przychodził jako gość.

— Pokonam każdą barierę postawioną między nami — zapewnił.

Zaproponował, że mnie odprowadzi. Jego powrót do St. Erno's był dla mnie wielką pociechą.

* * *

Hadrian rzeczywiście przyjechał w końcu tygodnia. Byłam w ogrodzie, dokąd mnie wysłała lady Bodrean po róże, kiedy mnie zobaczył i zawołał:

— Judyto!

Podszedł do mnie i ujął mą dłoń. Przyglądaliśmy się sobie. Hadrian stał się przystojnym mężczyzną, a może zawsze taki był, tylko ja na to nie zwracałam szczególnej uwagi. Gęste włosy układały mu się zbyt nisko nad czołem. Może pomyślałam tak dlatego, że jednym z uderzających rysów Teobalda było jego wysokie czoło? Hadrian miał w sobie specyficzny wdzięk i choć stał się nieco zgorzkniały, błysk humoru nigdy nie opuszczał jego niebieskoszarych oczu. Był średniego wzrostu, barczysty. Kiedy się ze mną witał, jego oczy zawsze rozbłyskały, co sprawiało mi przyjemność. Czułam, że jest on jednym z ludzi, na których mogę polegać.

— Hadrianie, zostałeś naukowcem — odezwałam się.

— A ty pochlebczynią. I panną do towarzystwa mojej stryjenki. Jak mogłaś, Judyto!

— Wyjaśnienie jest proste. Jeśli się nie odziedziczyło pieniędzy, trzeba je zarabiać. Właśnie to robię.

— Ale ty osobą do towarzystwa. Ścinasz róże... Założę się, że zawsze nie te, które trzeba.

— Masz bezsprzecznie rację! Zamiast tych czerwonych, powinny być żółte. Pociesza mnie jedynie, że gdybym ścięła żółte, to wymaganym kolorem byłby właśnie czerwony.

— Moja stryjenka jest okropną despotką. Znam ją. To niesprawiedliwe, że wykonujesz takie zajęcia. Kto wpadł na ten pomysł?

— Twój stryj. A my musimy być mu szczerze wdzięczni, bo gdyby nie załatwił tak sprawy, nie byłoby mnie tutaj. Ścinałabym teraz róże lub wykonywałabym podobne zajęcie dla innej despotki, prawdopodobnie z dala stąd, i nie mogłabym teraz z tobą gawędzić ani widywać się z Janem, ani...

— To skandal — powiedział porywczo — że akurat na ciebie padło. To ty zawsze nami rządziłaś.

— Wiem. I właśnie zostałam ukarana. Rządzona stała się rządzoną. Złapana we własne sidła. W każdym razie przyjemnie jest mieć świadomość, że w tym domu nie wszyscy uważają mnie za pariasa dlatego, że musiałam podjąć upokarzające zadanie zarabiania na życie.

— A więc jesteśmy tu wszyscy razem. A co u Sabiny?

— Doprowadziła granie roli żony proboszcza do perfekcji.

— Nie do wiary.

— Życie układa się inaczej, niż tego oczekiwaliśmy.

Do ogrodu przysła Teodozja. Miała na sobie suknię z białego muślinu w bładoniebieskie kropki i biały, słomkowy kapelusz z niebieską wstążką. Wyrosła na całkiem ładną pannę, pomyślałam i uczułam ukłucie bólu w sercu.

— Właśnie mówiłem Judycie, że jak za dawnych czasów znowu jesteśmy razem — rzekł Hadrian. — Jan, Teobald...

Zauważyłam, że lekko się zarumieniła, i pomyślałam o tym, co mówiła mi Janina. A więc to była prawda. Nie, niemożliwe! Nie Teobald i Teodozja. To absurd. Ale ona była właściwie prawie śliczna. Stanowiła odpowiednią partię. No i dziedziczyła fortunę. Z pewnością Teobald nie ożeniłby się dla majątku. Ależ oczywiście, mógłby. Takie rzeczy się zdarzają na porządku dziennym. Sabina nie wyszła za mąż dla pieniędzy, gdyż Oliver jako proboszcz będzie miał ich z pewnością niewiele. Teraz sytuacja każdego z nas się zmieniła. Płocha Sabina została żoną proboszcza, przeciętna Teodozja ma wyjść za mąż za mego wspaniałego Teobalda, a mnie, dumnej Judycie, która dyrygowała w szkolnym pokoju, przypadł w udziale ciężki chleb powszedni — służba u obcych i upokorzenie.

— Jan, Teobald, ja, ty, Judyta i na probostwie Sabina z Oliverem — mówił Hadrian.

— Tak — odpowiedziała Teodozja. Patrzyła na mnie nieśmiało, skruszonym wzrokiem, gdyż odkąd zamieszkałam w Keveryall Court, tak rzadko się ze mną spotykała. — To... to bardzo miło, że Judyta jest tutaj u nas.

— Naprawdę? — spytałam.

— Ależ oczywiście. Zawsze byłaś jedną z nas, czyż nie?

— No a teraz jestem tylko panną do towarzystwa.

— Słuchasz tego, co mówi mama.

— Muszę. To część mojej pracy.

— Mama potrafi być trudna.

— Nie musisz przebywać z nią przez cały czas — usiłował mnie podnieść na duchu Hadrian.

— Mnie się wydaje, że ja prawie wcale nie mam chwili dla siebie.

— Musimy to zmienić, prawda, Teodozjo?

Teodozja z uśmiechem skinęła głową.

To spotkanie dodało mi ducha. Jakby w jakiejś mierze nastąpił powrót do dawnych dni.

* * *

Ciągle mówiło się bardzo dużo o mającym odbyć się balu.

— Nie pamiętam u nas takiego od lat — orzekła Janina. — Panna Teodozja debiutuje. — Mrugnęła do mnie. — Trzeba się spieszyć, no, wie pani, dopóki wszyscy tutaj są. Nasza pani ma nadzieję, że zaręczyny będą ogłoszone przed ich wyjazdem do Egiptu.

— Myśli pani, że pan Travers zabierze tam ze sobą swą młodą żonę?

— Z pewnością nie, bo zostało już za mało czasu, żeby się zdążyli pobrać. Pewno będą chcieli mieć taki ślub, do którego przygotowania trwają miesiącami. Jaśnie pani nie zgodzi się na inny. Żaden taki cichy jak Sabiny i nowego proboszcza. Nasza pani nie pozwoliłaby, żeby jej córka tak się wydawała za męża.

— Tymczasem jeszcze się nie zaręczyli, prawda?

— Lada dzień to nastąpi. Wspomni pani moje słowa.

Trwałam więc w takim przeświadczeniu podczas rozmów z Teodozją, która od powrotu Hadriana widywała się ze mną o wiele częściej niż przedtem. Jakby chciała mi wynagrodzić, że się poprzednio tak z dala ode mnie trzymała.

* * *

Lady Bodrean stawiała się wobec mnie nieco bardziej przystępna tylko wtedy, gdy była mowa o balowym debiucie Teodozji. Od razu się zorientowałam, że ma nadzieję wywołać mą zazdrość. Dla mnie Teodozja mogłaby chodzić na wszystkie bale świata, byleby zostawiła mi Teobalda.

— Mogłaby pani iść do szwalni — powiedziała do mnie — i pomóc Sarze Sloper. Trzeba obszyć suknię mej córki pięcioma metrami koronki. Za godzinę będę oczekiwała czytania prasy, a proszę nie zapominać przedtem o spacerze z psami.

Sara Sloper była zbyt dobrą krawcową, żeby pozwolić mi choć na jeden ścieg w tworzonej przez siebie kreacji. Suknia leżała na stole — chmura delikatnego błękitnego szyfonu przybrana pięcioma metrami koronki w nieco jaśniejszym odcieniu.

Teodozja właśnie przyszła do miary, więc pomagałam jej włożyć suknię. Będzie uroczo w niej wyglądała, pomyślałam nie bez pewnego ukłucia bólu. Już ją sobie wyobrażałam, jak wiruje w tańcu w ramionach Teobalda.

— Judyto, podoba ci się? — spytała.

— Najbardziej odpowiedni dla ciebie kolor.

— Uwielbiam tańczyć — powiedziała. Zakręciła się wkoło, a ja poczułam się znowu jak w szkolnym pokoju. Podeszłam do niej i skłoniłam się jej nisko.

— Panno Bodrean, czy mogę mieć zaszczyt poprosić panią do tańca?

Wykonała głęboki dworski ukłon. Objęłam ją i zaczęłyśmy tańczyć walca dookoła pokoju. Sara Sloper patrzyła na nas z uśmiechem.

— Zachwycająco dziś pani wygląda, panno Bodrean.

— Dziękuję, sir.

— To wspaniałomyślnie z pani strony dziękować mi za dary, którymi obdarzyła panią natura.

— Och, Judyto, nie zmieniałaś się nawet na jotę. Żałuję...

W tym momencie Sara Sloper poderwała się na równe nogi i dygnęła — w drzwiach stał sir Ralf i obserwował, jak tańczymy.

Najwyraźniej nie uznał tego za niestosowne.

— Uroczy widok, nie sądzisz, Saro? — zapytał.

— No tak, sir, prawda, sir — jękała się Sara.

— Więc to jest twoja suknia na bal? — zwrócił się do Teodozji.

— Tak, ojcze.

— A co z panną Osmond, hę? Ona też ma suknię balową?

— Nie mam — odparłam.

— Dlaczegoż to?

— Osoba mego stanu nie miałaby wielkiego pożytku z takiego stroju.

Dostrzegłam znajome drzenie podbródka.

— A, tak — rzekł — teraz jesteś panną do towarzystwa. Słyszałem o tobie od lady Bodrean.

— Wobec tego wątpię, czy słyszał pan coś dla mnie korzystnego.

Sama nie rozumiałam, dlaczego mówię do niego w taki sposób. Powiedziałam tak pod wpływem nieprzemyślanego impulsu, choć wiedziałam, że w mojej sytuacji mogłoby to być uznane za zuchwałość i zagrozić mej pracy.

— Niewiele — przyznał i ze smętną miną pokiwał głową. — A właściwie to nic.

— Tego się obawiałam.

— Naprawdę? To jakaś zmiana. Zawsze miałem wrażenie, że jesteś niestrachliwą młodą damą.

— Zmarszczył zjeżone brwi. — W istocie wcale cię nie widuję. Gdzie się podziewasz?

— Nie obracam się w pana kręgach, sir — odparłam, uświadamiając sobie teraz, że przynajmniej z jego strony nie grożą mi złośliwości i że on był nawet dość zadowolony z mych impertynenckich odpowiedzi.

— No to chyba szkoda.

— Ojczy, podoba ci się moja suknia? — spytała Teodozja.

— Bardzo ładna. Błękitna, prawda?

— Tak, ojczy.

Zwrócił się do mnie.

— A gdybyś ty miała mieć suknię na bal, to jakiego byłaby koloru?

— Zielonego, ojczy — odpowiedziała za mnie Teodozja. — To był zawsze ulubiony kolor Judyty.

— Mówi się, że nie przynosi szczęścia — odrzekł. — W każdym razie mówiło się za moich czasów. Było takie powiedzenie: „W poniedziałek zielone, w piątek czarne”. Ale jestem przekonany, że panna Osmond nie jest zabobonna.

— W sprawach kolorów, nie — powiedziałam. — Ale być może w jakichś innych.

— Nie wolno myśleć, że się nie ma szczęścia — stwierdził. — W przeciwnym wypadku rzeczywiście nie będzie się go miało.

Po tych słowach wyszedł z tą swoistą dla siebie oznaką rozbawienia na twarzy.

Teodozja popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Po co właściwie ojciec tu przyszedł? — spytała.

— Powinnaś znać lepiej jego zwyczaje niż ja.

— Pewno przejmuje się tym balem wydawanym dla mnie. Judyto, pani Grey mówiła, że czytujesz książki, niektóre napisane przez sir Edwarda. Musisz dużo wiedzieć o archeologii.

— Wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę z mej ignorancji w tej dziedzinie. My obie liznęłyśmy tego trochę, prawda? Na lekcjach z Janem Callumem.

— Tak — odpowiedziała. — Żałuję, że nie wiem na ten temat więcej.

Ożywiła się.

— Zabieram się do czytania. Musisz mi powiedzieć, jakie to były książki.

Oczywiście, rozumiałam ją. Ona rozpaczliwie pragnęła popisać się swą wiedzą w rozmowach z Teobaldem.

* * *

Zaproszenia zostały wysłane. Miałam sporządzoną przez siebie listę gości i stawiałam znaczek przy nazwisku, gdy nadeszło potwierdzenie. Pomagałam projektować dekoracje z kwiatów, które miały być przywiezione z cieplarni dla ustrojenia sali balowej, gdyż był już październik i tych z ogrodu nie starczyłoby na nasze potrzeby. Układałam program tańców i przygotowywałam różowo–niebieskie olóweczki na jedwabnych sznureczkach, które miały być przymocowane do karnetów. Po raz pierwszy lady Bodrean robiła wrażenie zadowolonej. Niewątpliwie tylko dlatego, by uświadomić mi, ile starań wymaga wprowadzenie w świat dobrze urodzonej panny. Być może zauważyła, że czasami bywałam przygnębiona, i to ją wprawiało w dobry humor. Miałam wtedy ochotę krzyknąć do niej: „Nic mnie nie obchodzą wspaniałe uroczystości. Tego Teodozji nie zazdroszczę. Moje przygnębienie nie ma z tym nic wspólnego!”

Gdy miałam wolną godzinę czy dwie, szłam do Rainbow Cottage. Dorcas i Alison zawsze mnie rozpieszczały. Teraz starały się podtrzymać mnie na duchu naleśnikami, za którymi tak przepadałam w dzieciństwie.

Chciały dowiedzieć się wszystkiego o balu.

— Judytko, to wstyd, że ciebie nie zaprosili — powiedziała Dorcas.

— A dlaczego mieliby to zrobić? Pracownicy z pewnością nie bywają zapraszani na rodzinne bale.

— W twoim wypadku jest inaczej. Czy nie uczyłaś się razem z nimi?

— Za to, jakby poinformowała was lady Bodrean, powinnam być szczerze wdzięczna, natomiast nie jest to żadnym tytułem do oczekiwania względów na przyszłość.

— Och, Judytko, czy twoje zajęcie jest rzeczywiście nie do wytrzymania?

— W istocie ona jest tak nieznośna, że znajduję pewną przyjemność w prowadzeniu z nią wojny. Poza tym jest na tyle głupia, że wiele moich docinków do niej nie dociera.

— Jeżeli jest ci tam źle, to musisz zrezygnować z tej pracy.

— Być może dostanę wypowiedzenie. Upprzedzam was, to może nastąpić lada dzień.

— Nie martw się, kochana. Damy sobie tu radę. A ty bardzo szybko znajdziesz sobie coś innego.

Czasami rozmawiały ze mną o tym, co działo się w miasteczku. Obie poświęcały wiele czasu na pracę na rzecz kościoła. Robiły to przecież całe życie i miały odpowiednie przygotowanie do tego rodzaju zadań. Sabina nie była zbyt praktyczna — zwierzały mi się po cichu — i choć potrafiła wytrwale paplać z parafianami, to od żony proboszcza oczekiwało się jednak czegoś więcej. Co do Olivera, to jemu nie można było odmówić kompetencji. Przypomniałam im, jak mawiały, że jeszcze za życia ich ojca cała parafia była na jego barkach. Przyznały to niezbyt chętnie. Wiedziałam, że nie mogą darować Oliverowi, że się ze mną nie ożenił, a jeszcze trudniej było im wybaczyć jego wybrance, Sabinie.

W każdym razie miałam w ich osobach wierne sojuszniczki i to było dla mnie pokrzepieniem.

Między Giza House i Keverall Court kontakty się bardzo zacieśniły. Ponieważ sir Ralf nie czuł się zbyt dobrze, Teobald i jego ojciec często go odwiedzali. Omawiali szczegóły wyprawy archeologicznej. Całkiem bezwstydnie starałam się być tam, gdzie choć mogłam ujrzeć ich w przelocie. Nawet sir Edward teraz mnie poznawał i witał swym nieprzytomnym spojrzeniem. Pewnie zapamiętał, że to ja byłam tą dziewczynką, która przebrała się za mumię.

Teobald zamieniał ze mną zwykle parę słów, na ogół pytając, co czytam. Pragnęłam usłyszeć od niego coś o ekspedycji, lecz oczywiście nie mogłam o to pytać.

Dwa dni przed balem wydarzyła się rzecz nadzwyczajna.

Wysłałam właśnie z pokoju lady Bodrean i miałam wybrać się na codzienny spacer z psami, ale w korytarzu spotkałam Teodozję, która wyraźnie na mnie czekała.

Wyglądała na bardzo podnieconą.

— Jak się masz, Judyto — przywitała mnie. Usłyszałam wesołą nutę w jej głosie.

— Czekalaś na mnie? — spytałam.

— Tak, mam ci coś do powiedzenia.

Serce zaczęło mi bić szybciej, całkiem upadłam na duchu. Więc o to chodzi. Teobald jej się oświadczył. Zaręczyny zostaną ogłoszone na balu.

Wzięła mnie pod rękę.

— Chodźmy do twego pokoju — powiedziała. — Nigdy nie uwierzysz, co się stało.

Pomyślałam: ja tego nie zniosę. Tyle razy to sobie wyobrażałam i wiedziałam, że tego nie potrafię znieść. Muszę stąd odejść... od razu. Zamieszkam z Dorcas i Alison, później znajdę sobie posadę gdzieś daleko i nigdy już nikogo z nich nie zobaczę.

— Wiem... — wyjąkałam — zaręczyłaś się.

Zatrzymała się gwałtownie i bardzo zaczerwieniła, więc zrozumiałam, że choć może nie chodziło o tę niespodziankę, którą dzisiaj dla mnie miała, to do zaręczyn dojdzie niedługo.

— Myślisz, że zawsze wszystko najlepiej wiesz, prawda? No cóż, bystra Judyta tym razem jest w błędzie.

Bystrej Judycie nic nie sprawiłoby większej przyjemności niż ta omyłka.

Z rozmachem wkroczyła do mego pokoju, a ja za nią, zamykając za sobą drzwi. Podeszła do szafy i otworzyła ją. Wisiała tam zielona, szyfonowa balowa suknia.

— Co to? — zawołałam zdumiona.

— Twoja suknia na bal, Judyto.

— Moja? Jak to możliwe? — Podeszłam bliżej i poczułam pod palcami piękną, miękką tkaninę. Wyjęłam suknię z szafy i przyłożyłam do siebie.

— Całkiem prosto — stwierdziła Teodozja. — Przymierz ją, marzę, żeby cię w niej zobaczyć.

— Najpierw powiedz, jak się tu znalazła.

— Ja ją powiesiłam.

— Ale skąd się wzięła?

— Och, najpierw przymierz, później ci wyjaśnię.

— Nie, muszę wiedzieć.

— Ależ marudzisz. Koniecznie chcę zobaczyć, czy pasuje. Ojciec powiedział, że masz ją mieć.

— Ale... dlaczego?

— „Kopciuszek musi iść na bal”, tak orzekł.

— Miał mnie na myśli?

— Pamiętasz, widział, jak tańczymy. Tego dnia powiedział do mnie: „Ta dziewczyna, Judyta Osmond, musi iść na bal”. Ja mu na to: „Mama nawet nie będzie chciała o tym słyszeć”. „To jej nie mów” — odpowiedział.

Zaczęłam się śmiać. Widziałam już siebie tańczącą z Teobaldem.

— Ale to niemożliwe. Ona na to nie pozwoli.

— To jest dom mego ojca, przecież wiesz.

— Lecz mnie zatrudniła twoja matka.

— Nie odważy się mu przeciwstawić.

— Więc będę niechcianym gościem.

— Tylko dla jednej osoby. My wszyscy pozostali chcemy, żebyś przyszła. Ja, Jan, Hadrian, Teobald...

— Teobald!

— No, on oczywiście jeszcze o tym nie wie, lecz jestem pewna, że chciałby, gdyby wiedział. A Hadrian wie. Ubawił go ten pomysł i wszyscy będziemy mieli mnóstwo uciechy z ukrywaniem cię przed mamą, jak dalece to będzie możliwe.

— Nawet przez chwilę nie wierzę, że to się da zrobić. Ona poleci mi opuścić salę balową najdalej w ciągu godziny.

— Nic podobnego, jeżeli będziesz gościem mego ojca. A tak ma być.

Znowu się roześmiałam.

— Wiedziałam, że ci się to wyda zabawne.

— Opowiedz mi, jak do tego doszło.

— No więc ojciec powiedział, że zawsze byłeś taką pełną życia dziewczynką, i żałuje, że ja nie mam choć w części twego temperamentu. Że z mamą nie masz lekkiego życia i on chce cię widzieć na balu. Dlatego pytał, jaki kolor ci najbardziej odpowiada. Trzymałyśmy to w tajemnicy z Sarą Sloper. Ja wybrałam materiał i służyłam Sarze jako modelka. Ty jesteś trochę wyższa i szczuplejsza ode mnie. Wzięłyśmy to pod uwagę. Jestem na sto procent pewna, że będzie jak ułał. No, wkładaj ją zaraz.

Tak też uczyniłam. Cóż za cudowna przemiana. To był rzeczywiście mój kolor. Rozpuściłam swe ciemne, gęste włosy i pomyślałam, że z tak błyszczącymi oczami i wypiekami na policzkach można by mnie uznać wręcz za piękną, gdyby może nie mój zbyt wydatny nos. Hadrian zawsze wyśmiewał się z mego nosa. „To nos z charakterem — mawiał. — Zdradza twą naturę. Nikt potulny takiego by nie miał. Twej pomyślności, droga Judyto, nie trzeba czytać z gwiazd, nos wystarczy”. Zachichotałam. W tak cudownej sukni mogłam zapomnieć o owym nieszczególnym elemencie mej twarzy.

— Wyglądasz teraz zupełnie jak Hiszpanka — stwierdziła Teodozja. — Powinnaś mieć włosy ułożone wysoko i wpięty w nie hiszpański grzebień. Byłoby cudownie. Szkoda, że to nie będzie bal maskowy, wtedy łatwiej byłoby ukryć cię przed mamą. Ale jeśli taka będzie wola ojca, to ona się dowie i nie powie nic... przynajmniej podczas balu. Nie chciałaby tam żadnych scen.

— Huragan nadciągnie później.

Niewiele mnie to obchodziło. Potrafię temu stawić czoło. Idę na bal. Będę miała karnet z małym ołówkiem na różowym, jedwabnym sznureczku i tę pamiątkę zachowam na zawsze, gdyż byłam pewna, że w moim notesiku nie zabraknie inicjałów Teobalda.

Porwałam Teodozję w ramiona i zaczęłyśmy tańczyć wokół pokoju.

* * *

Nadszedł dzień balu. Dzięki Bogu, lady Bodrean była zbyt zajęta, aby sobie zawracać mną głowę.

— O Jezu — powiedziała Janina — będziemy miały przeprawę; Trzeba jej zrobić fryzurę, a ja będę musiała ją ubierać w balową suknię. A jak przyjdzie do wybierania biżuterii, to dopiero się zacznie: może to, a może owo, i to niedobre, a co z tamtym. Dobrze, że potrafię sobie z nią radzić.

Tak więc byłam wolna i mogłam się ubrać w obcisłą, zieloną suknię z atlasu, po której spływały niezliczone kaskady szyfonu. Sama nie wybrałabym sobie lepszej. Kiedy przyszłam się przebrać, znalazłam na toalecie przyniesiony przez Teodozję hiszpański grzebień. Wiedziałam też, że mam oparcie w Ha — drianie. Czułam, że moja sytuacja się zmieniła, odkąd on wrócił. Odnalazłam teraz w tym domu przyjaciół.

A tej nocy zamierzałam się dobrze bawić.

Sir Ralf i lady Bodrean stali u stóp szerokich schodów i witali gości. Ja oczywiście im się nie zaprezentowałam. Ale byłoby zabawne wmieszać się w tak liczne grono przybywających, gdyż byłam pewna, że umknęłabym uwagi lady Bodrean. W żadnym wypadku nie rozpoznałaby mnie tak wystrojonej.

Tańczyłam z Hadrianem. Zauważył, że mój występ na balu przypomina mu psoty, jakie płataliśmy w dzieciństwie.

— Zawsze byliśmy sprzymierzeńcami, Judyto — rzekł. — Ty i ja.

Tak rzeczywiście było.

— Przykro mi, że musisz pracować dla mojej stryjenki — mówił dalej.

— Nie więcej niż mnie. Ale dzięki temu mogę być w Keverall Court.

— Lubisz ten stary dom, prawda?

— Wydaje mi się, że jest częścią mego życia. Nie zapominaj, że bywałam tu niemal codziennie.

— Mam podobne odczucia. Szczęśliwa Teodozja. Pewnego dnia będzie należał do niej.

— Robisz wrażenie zazdrosnego.

— Wobec tego widocznie jestem. Bo widzisz, ja sam trochę się czuję takim wychowankiem z sierocińca.

— Och nie, Hadrianie. Jesteś bratankiem sir Ralfa... prawie jego synem.

— Niezupełnie.

— Więc powiem ci, co powinienesz zrobić — odezwałam się lekkim tonem. — Ozeń się z Teodozją.

— Ze stryjeczną siostrą?

— Czemu nie? Kuzyni często się ze sobą pobierają. To bardzo korzystny sposób utrzymania majątku w rodzinie.

— Chyba nie myślisz, że ona by mnie chciała. Wydaje mi się, że jej wzrok skierowany jest gdzie indziej.

— Naprawdę?

— Zauważyłaś, jak ona się zapala, gdy ktoś zacznie mówić na pewien temat?

— Na jaki?

— O archeologii. Taka jest podekscytowana tą nową ekspedycją. Myślałby kto, że sama się z nią zabiera.

— Chce na kimś wyrzucić dobre wrażenie. Może na tobie. Przecież to też twoja dziedzina.

— O nie. Nic podobnego. To nie ja jestem wybrańcem. Nie mogłabym spokojnie słuchać o Teodozji i Teobaldzie,

więc szybko zmieniłam temat.

— Nie chciałbyś wyjechać do Egiptu z całą ekipą?

— Byłoby mi miło, do pewnego stopnia. Słyszałem, że sir Edward to wielki samotnik. Trzyma przed swą drużyną wszystko w tajemnicy. Niektórzy tak pracują. Rozmawiałem z Janem na ten temat. Pochlebiłoby nam, gdyby nas poprosił o włączenie się do ekspedycji, ale w tej sytuacji otrzymalibyśmy jakieś pomniejsze zadania.

— A Teobald?

— No, cóż, jest synem wielkiego człowieka. Przypuszczam, że przed nim ojciec uchyli rąbka tajemnicy.

— Sądzę, że pewnego dnia on będzie też tak wspaniałym naukowcem jak ojciec.

— Jest równie pochłonięty tą pasją.

— Widziałam, jak tańczył z Teodozją, ale nie zauważyłam na sali sir Edwarda.

— Pewno wpadnie tu później.

Orkiestra przestała grać, taniec się skończył. Hadrian odprowadził mnie do krzesła osłoniętego ustawionymi tam palmami.

— Czuję się jak lis w jamie — stwierdziłam.

— Chciałaś powiedzieć lisica — poprawił mnie Hadrian.

— Przyznaję się do pewnego duchowego pokrewieństwa z tym stworzeniem w niektórych okolicznościach, lecz nie w tej chwili. Jestem zbyt życzliwie usposobiona do świata.

Podszedł do nas Jan z Teodozją i oboje się przysiedli. Teodozja patrzyła na mą zieloną suknię z wielką przyjemnością.

— Dobrze się bawisz, Judyto? — zapytała z pewnym niepokojem.

Zapewniłam ją, że tak.

— Gdyby jeszcze zjawiała się Sabina, byłoby jak za dawnych, szkolnych czasów — powiedziałam.

Właśnie wtedy nadszedł Teobald. Myślałam, że chce poprosić Teodozję do tańca, ale on usiadł koło nas. Mój widok nie zdziwił go ani trochę. Jan przypomniał Teodozji, że obiecała mu taniec. Odeszli, a wraz z nimi Hadrian, twierdząc, że musi odszukać swą partnerkę. W ten sposób ja i Teobald zostaliśmy tylko sami we dwoje.

— Lubi pan tańczyć? — spytałam.

— To raczej nie jest moja specjalność, jak pani wiadomo.

— Widziałam, że przed chwilą pan tańczył.

— Niezdarnie.

— Zupełnie dobrze — zapewniłam go. — Niedługo pan wyjeżdża — ciągnęłam dalej. — Pewno już się pan nie może doczekać.

— Bo to najbardziej ekscytujące przedsięwzięcie ze wszystkich.

— Proszę mi o tym opowiedzieć.

— Naprawdę panią to interesuje?

— Szalenie.

— Płyniemy statkiem do Port Saidu, a następnie jedziemy łądem do Kairu. Tam się trochę zatrzymamy i potem ruszymy w okolice starożytnych Teb.

Z zachwytem klasnęłam w dłonie.

— Niech mi pan powie jeszcze coś więcej na ten temat. Będziecie badać grobowce, prawda?

Skinął głową.

— Mój ojciec już od pewnego czasu przygotowywał się do tej wyprawy. Był już tam kilka lat temu i zawsze miał wrażenie, że jest u progu jakiegoś wielkiego odkrycia. To mu przez cały czas nie dawało spokoju. Teraz zamierza zaspokoić swą ciekawość.

— To będzie cudowne! — powiedziałam żarliwie.

— W tak niezwykle ciekawym zamierzeniu jeszcze nie brałem udziału.

— Ale już tam pan był?

— Tak, z ojcem. To, że mnie, zupełnie niedoświadczonemu, pozwolił w ogóle sobie towarzyszyć, było z jego strony wielkim ustępstwem. Ekipa ojca odkryła grobowiec, który musiał być przygotowany dla jakiejś znaczącej osobistości z dostojnego rodu. Przed tysiącami lat został ograbiony... Wyobraża sobie pani, jakiego doznaliśmy rozczarowania. Cały ten trud — prace wykopaliskowe, sondowania... Tyle nadziei i okazuje się, że grobowiec jest całkowicie opróżniony ze wszystkiego, nie zostało nic, co pomogłoby odtworzyć obyczaje tego fascynującego kraju. Poniosła mnie moja pasja, ale to pani wina, panno Osmond, robi pani wrażenie ogromnie zainteresowanej.

— Bo jestem. Niezwykle.

— Bardzo niewiele osób spoza naszego wąskiego światka rozumie te sprawy.

— Właściwie to nie czuję się kimś zupełnie z zewnątrz. Udało mi się. Uczyłam się w Keverall Court, a jak pan wie, sir Ralfa zawsze pociągała archeologia.

— Na szczęście. Bardzo nam pomaga.

— To właśnie on zaangażował Jana Calluma, żeby nas uczył. No a potem zaczęły się prace na Carter's Meadow. Czasami przy nich pomagałam, oczywiście, jak się pan domyśla, po dyletancku.

— Ale połknęła pani bakcyła, prawda? Słyszę to w pani głosie i widzę po wyrazie twarzy. Pamiętam, z jakim podnieceniem przychodziła pani do nas po książki. Jestem przekonany, panno Osmond, że nie jest pani jedną z tych śmiechu wartych, romantycznie nastawionych osób, które sądzą, że nasza praca polega na kopaniu, uwieńczonym znalezieniem cudownych klejnotów i pozostałości starożytnych pałaców.

— Wiem, że tak się bardzo rzadko zdarza.

— To prawda. Ale jestem pewny, że pani lubi tańczyć. Więc jeśli nie zrazi pani moja niezręczność...

Zaśmiałam się.

— Jakoś to zniosę.

I tak oto tańczyłam z Teobaldem. Spełniły się moje marzenia.

Kochałam go tym więcej, im bardziej mylił kroki. Usprawiedliwiał się, a ja miałam ochotę wykrzyknąć: „Jak to cudownie czuć, że depecesz mi po palcach!”

Byłam taka szczęśliwa. Dorcas i Alison mawiały, że mam szczególny dar — w chwili radości potrafię odgrodzić się psychicznie od wszystkiego innego i w pełni się cieszyć. Owa umiejętność przydała mi się tej nocy. Inaczej nie umiałabym bez reszty radować się tymi cudownymi chwilami, kiedy w ramionach Teobalda byłam tak blisko niego jak nigdy jeszcze.

Marzyłam, żeby nasz taniec trwał bez końca, lecz oczywiście muzycy przestali grać, a my powróciliśmy do naszej niszy, gdzie siedziała już Teodozja z Janem.

Zatańczyłam z Janem, który wyraził radość z mojej obecności na balu. Ja mu opowiedziałam z kolei, jak znalazłam suknię w szafie i że to wszystko stało się za sprawą sir Ralfa.

Rozmawialiśmy i śmialiśmy się, wspominając dawne czasy, a potem poszliśmy zjeść kolację razem z Teodozją, Hadrianem i Teobaldem.

Radosny nastrój powodował, że tryskałam wprost humorem jak za dawnych dobrych czasów, co spowodowało, że rozmowa krążyła wokół mnie. Teodozja zachowała się bardzo miło i podobnie jak niegdyś w szkolnym pokoju, nie dawała do zrozumienia, iż jest jej przykro, gdyż odciągam od niej uwagę.

Teobald oczywiście okazywał pewną rezerwę w trakcie naszych niefrasobliwych pogwarek. Był dojrzały od nas i trudno mi było nie zauważyć, jak Hadrian i Jan niepozornie w porównaniu z nim wypadają. Gdy Teobald mówił o archeologii, promieniał wprost pochłaniającą go całkowicie pasją. Nie miałam wątpliwości, że tak może zachowywać się jedynie człowiek, który potrafi doznawać głębokich uczuć. Byłam pewna, że jeśli Teobald pokocha kobietę, to z takim samym bezgranicznym oddaniem, jakie poświęcił swej profesji. Ponieważ chciałam go widzieć ożywionego, porwanego entuzjazmem, który tak mnie wzruszał i podniecał, poruszyłam temat wykopalisk archeologicznych i w jednej chwili Teobald stał się ośrodkiem zainteresowania zafascynowanych słuchaczy.

Gdy zakończyliśmy już tę rozmowę, odezwała się Teodozja:

— Och, wy wszyscy jesteście tacy mądrzy... nawet Judyta! Ale czy nie uważacie, że łosoś jest pyszny?

Hadrian opowiedział nam o swej przyjemnej, wędkarskiej wyprawie w góry północnej Szkocji nad rzekę Spey, gdzie — jak twierdził — można złowić najlepsze łososie na świecie. Wchodził do wody i wyciągał szamoczące się ryby. Pokazywał nam ich długość, a my śmialiśmy się raczej z powątpiewaniem, gdy do naszego stołu zaczęła się zbliżać lady Bodrean w towarzystwie kilkorga gości.

Mówiłam właśnie:

— Oczywiście, wiadomo, że wszyscy wędkarze podwajają rozmiary złowionych ryb i nie zdziwiłoby mnie, gdyby Hadrian je potroił.

Stała z brwiami unoszącymi się, w miarę jak jej twarz przybierała wyraz widocznego oburzenia.

Zapadła cisza. Mnie się wydawało, że trwała bardzo długo. Ona postąpiła krok w kierunku naszego stołu. Panowie wstali, lecz ona wytrzeszczała na mnie oczy, jakby im nie dowierzała.

Usiłowałam zachować spokojny uśmiech.

Odezwał się jeden z gości:

— To pan Travers, nieprawdaż?

Teobald potwierdził, a lady Bodrean oprzytomniała. Przedstawiła wszystkich gościom, zostawiając mnie na koniec.

— Panna Osmond — powiedziała. W jej ustach zabrzmiało to prawie jak obelga.

Nikt tego nie zauważył, przez chwilę prowadzono uprzejmą rozmowę, po czym lady Bodrean i jej towarzystwo poszli dalej.

— O Boże! — powiedziała Teodozja zgnębionym głosem.

— Miałam przecucie, że tak się stanie — dodałam, próbując udawać, że mnie to wcale nie przejęło.

— Cóż — rzekł Hadrian — sir Ralf musi wziąć na siebie odpowiedzialność za gości, których sam zaprosił.

— A o co tu właściwie chodzi? — spytał Teobald.

Zwróciłam się do niego:

— Rzeczywiście, nie powinnam się znaleźć na tym balu.

— Ależ nic podobnego — odparł — pani obecność ubarwiła ten wieczór.

Dla takich słów wszystko warto było znieść.

— Być może jutro będę musiała spakować manatki.

Teobald wyglądał na zaniepokojonego, a ja byłam idiotycznie szczęśliwa.

Teodozja zaczęła wyjaśniać sytuację.

— Bo widzisz, ojciec uważał, że Judyta powinna przyjść na bal. Naradziliśmy się, jak to zrobić. Ja wybrałam materiał na suknię, a Sara Sloper ją uszyła... ale w tajemnicy przed mamą.

Teobald roześmiał się i rzekł:

— Pojawianiu się panny Osmond zawsze towarzyszą jakieś dramatyczne okoliczności. Jeżeli nie przyobleka się w strój zabalsamowanego ciała i nie kładzie się w sarkofagu, to przywdziewa balową suknię i przychodzi na bal. A w żadnym z tych miejsc nie spodziewano się jej zobaczyć.

Hadrian położył dłoń na mojej.

— Nie martw się, Judyto. Przetrawisz jutrzejszą burzę.

— Mama potrafi być nieopanowana — powiedziała Teodozja.

— Ale przecież — wtrącił się Jan — Judyta przyszła na zaproszenie sir Ralfa. Lady Bodrean nie może przeciw temu protestować.

— Nie znasz mamy — rzekła Teodozja.

— Zapewniam cię, że znam i choć perspektywa wydaje się niepokojąca, to skoro Judytę zaprosił sir Ralf, nie widzę w tym nic złego.

— W każdym razie — oznajmiłam stanowczo — burza nadciągnie dopiero jutro. Teraz mamy cudowną noc. I łososia złowionego, mam nadzieję, w rzekach północnej Szkocji. Szampan zapewne też pochodzi z jakiegoś właściwego regionu. Towarzystwo jest wyborne, więc czegoż nam więcej trzeba?

Teobald pochylił się ku mnie i powiedział:

— Żyje pani chwilą.

— To jedyny sposób na życie. Dziś wieczorem jestem Kopciuszkiem. Jutro wrócę do maku w popiele.

— Ja biorę rolę księcia z bajki — rzekł Hadrian. — Gra już muzyka. Chodźmy tańczyć.

Niechętnie opuszczałam Teobalda, lecz cóż miałam począć.

— Winszuję — rozpoczął Hadrian rozmowę w czasie tańca. — Byłaś najbardziej opanowana z nas wszystkich. Dałaś dobre przedstawienie. Ale tak naprawdę, to pewno drżałaś w swych szklanych pantofelkach.

— Poddaję się — odparłam. — Mam przeczucie, że bardzo szybko znajdę się znowu w Rainbow Cottage i zacznę pisać pokorne listy do przyszłych chlebobawców.

— Biedna Judyta. To okropne nie mieć pieniędzy.

— A co ty o tym możesz wiedzieć?

— Wiele. Mam swoje kłopoty. Muszę liczyć na łaskawość stryja. Wierzyście depczą mi po piętach. Jutro czeka mnie z nim rozmowa. Więc widzisz, tak jak ty, dziś wieczorem pragnę jeść, pić i weselić się.

— Och, Hadrianie, naprawdę jesteś zadłużony?

— Po uszy. Czemu bym nie dał, żeby znaleźć się na miejscu Teodozji.

— Ona zapewne otrzymuje takie samo kieszonkowe jak ty.

— Ale pomyśl o możliwości zaciągnięcia pożyczki! Wiesz, że mój stryj jest bajecznie bogaty? Cóż, droga Teodozjo pewnego dnia wszystko odziedziczy.

— Nie znoszę rozmawiać o pieniądzach.

— To istotnie przygnębiające. I jeden z powodów, dla którego chciałbym być bogaty. Dopiero wtedy można zapomnieć, że na świecie ma znaczenie taka rzecz jak mamona.

Tańczyliśmy dalej, śmiejąc się i żartując, lecz każde z nas myślało o tym, co przyniesie następny dzień.

W tym momencie moją chęć do życia wspierała jedynie obecność Teobalda. Miałam nadzieję znowu go zobaczyć, ale tak się nie stało. Pomyślałam, że lepiej wycofać się do pokoju, zanim wszyscy goście opuszczą bal.

Myślałam się, licząc na burzę dopiero następnego dnia rano. Lady Bodrean nie zamierzała pozwolić jej tak długo nadciągać.

Byłam ciągle jeszcze w sukni balowej, gdy odezwał się energiczny głos dzwonka. Wiedziałam, co to znaczy, i byłam nawet zadowolona, gdyż suknia dodawała mi pewności siebie.

Poszłam do pokoju lady Bodrean. Też była w sukni balowej z fioletowego aksamitu, ze wspaniałym trenem, obszytym futrem, wyglądającym na gronostaje. Przybrała istic królewską postawę.

— A więc, panno Osmond, co ma pani do powiedzenia?

— A jakich wyjaśnień pani ode mnie oczekuje, lady Bodrean?

— W każdym razie nie zuchwalstwa. Była pani dziś wieczorem na balu. Jak pani śmiała narzucać się i obracać wśród moich gości?

— Nie potrzeba wielkiej śmiałości, by przyjąć zaproszenie — odparłam.

— Zaproszenie? Ma pani czelność twierdzić, że sama sobie wysłała zaproszenie?

— Nie zrobiłam tego. Sir Ralf wydał polecenie, że mam przyjść na bal.

— Nie wierzę.

— Może jaśnie pani życzy sobie, abym go poprosiła. — Zanim zdołała odpowiedzieć, chwyciłam sznur dzwonka i pociągnęłam. Przybiegła Janina. — Lady Bodrean prosi, żeby zapytała pani sir Ralfa, czy mógłby przyjść tutaj... jeśli jeszcze nie udał się na spoczynek.

Lady Bodrean coś zabelkotała w furii, lecz Janina, która najwidoczniej zorientowała się, co się dzieje, pobiegła już po sir Ralfa.

— Jak pani ośmiela się wydawać tu polecenia? — spytała oburzona.

— Sądziłam, że jedynie wypełniam polecenie — odpowiedziałam. — Odniosłam wrażenie, że jaśnie pani życzy sobie, aby sir Ralf przyszedł tutaj i potwierdził moje słowa, gdyż najwyraźniej pani mi nie wierzy.

— W życiu swoim nie spotkałam się z takim... takim... takim...

— Nieposłuszeństwem? — podsunęłam.

— Zuchwalstwem — dokończyła.

Ciągle jeszcze byłam upojona szczęściem. Tańczyłam z Teobaldem, on ze mną rozmawiał, przekonałam go o mym zainteresowaniu jego pracą. Powiedział mi: „Pani obecność ubarwiła ten wieczór”. I naprawdę tak myślał, gdyż nie był człowiekiem, który mówi to, czego nie czuje. Czy wobec tego miałam się przejmować tą głupią, starą jędzą, która za kilka sekund stanie twarzą w twarz ze swym mężem, a ten, nie wątpiłam, potwierdzi me słowa.

Stałam w progu.

— Co, do... — zaczął. Wtedy mnie zobaczył, a ja dostrzegłam ten znany mi odruch jego podbródka.

— Co tu robi panna Osmond? — zapytał.

— Wezwałam ją. Miała śmiałość zadawać się z naszymi gośćmi dziś wieczorem.

— Była jednym z nich — odparł krótko.

— Chcesz powiedzieć, że zaprosiłeś tę młodą osobę bez uzgodnienia ze mną?

— Dobrze wiesz, że tak zrobiłem.

— Ta młoda osoba sądzi, że skoro pozwolono jej liźnąć trochę nauki pod tym dachem, to ma prawo do specjalnych przywilejów. Powiadam ci — ja na to nie pozwolę. Została przyjęta jako osoba do towarzystwa i tak się będzie ją traktować.

— Co oznacza, że całkowicie uprzykrzysz jej życie — rzekł sir Ralf. — Będiesz dla niej tak niemila, jak tylko potrafisz, a to jest, madame, ogromnie przykre.

— Ty mi tę osobę narzuciłeś — powiedziała. — Dłużej jej nie zniosę.

— Będzie pracowała jak dotąd.

— Wiedz tylko... że nie zmusisz mnie do trzymania w moim własnym domu kogoś... w taki sposób.

— Madame — odrzekł sir Ralf — zrobisz, jak mówię...

Uchwycił poręcz fotela. Zobaczyłam, że krew uderza mu do głowy, zachwiał się lekko. Podbiegłam do niego i wzięłam go pod rękę. Rozejrzał się wokół, a ja pomogłam mu usiąść w fotelu. Siedział, ciężko oddychając. Powiedziałam:

— Sądzę, że trzeba wezwać jego lokaja. Pan nie czuje się dobrze.

Poleciłam Janinie, by biegła po pomoc. Zaraz wróciła z Blakiem, osobistym służącym sir Ralfa. Ten wiedział, co robić. Rozluźnił sir Ralfowi kołnierz koszuli, wyjął z pudełeczka małą pigułkę i włożył mu ją do ust. Sir Ralf ułożył się w fotelu prawie w leżącej pozycji, jego twarz, początkowo purpurowa, stawała się stopniowo bledsza, lecz żyły, które wystąpiły mu na skroniach, nie zniknęły.

— Już lepiej, sir — rzekł Blake i spojrzawszy na lady Bodrean, dodał: — Jaśnie pani, zaprowadzę go teraz do łóżka.

Sir Ralf podniósł się chwiejnie i ciężko wsparł na Blake'u. Skinął mi głową i jakby cień rozbawienia przemknął mu przez twarz. Po czym wymruczał:

— Nie zapominaj, co powiedziałem. Mówiłem poważnie.

Blake go wyprowadził.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, lady Bodrean zwróciła się do mnie:

— No i właśnie — powiedziała — widzi pani, co się przez panią stało.

— Nie przeze mnie — odpowiedziałam stanowczo.

— Proszę wracać do swego pokoju — poleciła. — Porozmawiam z panią później.

Wróciłam. Co za wieczór! Nie pozbędzie się mnie. Nie odważy się. Przy tym wcale nie byłam pewna, czy naprawdę by tego chciała. Gdybym odeszła, zostałyby pozbawiona radości zdręczania mnie. Tego by z pewnością nie pragnęła.

A ja umiałam sobie z nią poradzić i nie zamierzałam więcej o niej myśleć w taki wieczór. Miałam co wspominać i o czym dumać.

* * *

Pod koniec tego miesiąca sir Edward wraz ze swą ekipą, w skład której wchodził także Teobald, wyjechał do Egiptu.

Jan wrócił na uniwersytet, gdzie czasowo otrzymał zajęcie jako wykładowca archeologii. Hadrian wybrał się do hrabstwa Kent brać udział w pracach nad odkrytą gdzieś przy wschodnim wybrzeżu pogrzebową łodzią wikingów. Ja zaś powróciłam do usługiwania lady Bodrean, którego monotonię ożywiały jedynie jej próby upokarzania mnie. Pocieszająca tylko była myśl, że w osobach sir Ralfa i Teodozji znalazłam przyjaciół. Nie składałam już wizyt w Giza House, gdyż Tabita także przyłączyła się do wyprawy, lecz często tamtędy przechodziłam. Miałam wrażenie, jakby wróciły dawne czasy, kiedy to nazywaliśmy ten dom „nawiedzanym przez duchy”. Żaluzje były spuszczone, meble przykryte pokrowcami i mieszkała tam jedynie służba, trzy lub cztery osoby. Dwóch Egipcjan — Mustafa i Absalom — wyjechało z sir Edwardem.

Wzdychałam do powrotu ekspedycji. I do Teobalda. Skoro nie mogłam chodzić do Giza House, częściej teraz odwiedzałam Rainbow Cottage, gdzie zawsze mnie serdecznie witano. Dorcas i Alison słuchały uszczęśliwione, kiedy im opowiadałam o balu i pięknej, zielonej sukni, którą znalazłam w szafie.

Od dawna, od samego początku wydawało mi się dziwne ich radosne nastawienie do pomysłu podjęcia przeze mnie pracy w Keverall Court. Byłam młoda i choć mój nos stał na przeszkodzie w uznaniu mnie za piękną, to jednak czasami sama wydawałam się sobie atrakcyjną kobietą. W ciągu kilku ostatnich miesięcy często porównywałam się z Teodozją. Odznaczałam się żywiołowością, której jej brakowało, a to była cecha pociągająca, nie miałam wątpliwości. I choć z natury byłam raczej porywczą, gniew szybko mi przechodził. Potrafiłam kpić z życia, a to oznaczało, że także i z siebie. Miałam gęste, ciemne włosy, trudne do utrzymania w porządku, bo były proste i sztywne. Tak samo czarne i grube rzęsy otaczały me duże, piwne oczy. I na szczęście natura obdarzyła mnie ładnymi, zdrowymi zębami. Byłam wyższa od Teodozji i Sabiny i szczupła, w ogóle nie miałam tendencji do tycia. Nie odznaczałam się powabnymi pulchnościami Teodozji ani nie byłam z kształtów podobna do Sabiny, której figura przypominała klepsydrę. A ponadto przecież młodość jest niezawodną przynętą dla podstarzałych rozpustników. Sir Ralf cieszył się raczej pod tym względem najgorszą reputacją.

Usłyszałam kiedyś rozmowę między kowalem i jednym z farmerów, jak to dziedzic, gdy był w kwiecie wieku, uwodził młode dziewice. Na widok naszej grupki — szłam wtedy z Hadrianem i Teodozją — natychmiast umilkli. A mimo to Dorcas i Alison były ogromnie zadowolone, gdy okazało się, że mam dostać posadę w Keverall Court.

Staralam to sobie jakoś wytłumaczyć. Być może uważały, że sir Ralf porzucił już niemoralny tryb życia. Był zresztą na to za stary. Wspomnienie owego wieczoru, gdy zjawił się u lady Bodrean, nie pozostawiało co do tego wątpliwości. A jednak przyjęłam ze zdumieniem ich tak ochoczą aprobatę wkroczenia przeze mnie do legowiska wszetecznika.

Teraz oczekiwały szczegółowego sprawozdania z balu.

— Suknia! — zawołały. — Co za zachwycający pomysł.

To była kolejna niespodzianka, gdyż zawsze wiedziałam, że jeden z dogmatów towarzyskich brzmiał: dama nie przyjmuje sukni od dżentelmena.

Tu jednak rzecz się miała inaczej. To Teodozja zajęła się suknią. Doszłam do wniosku, że sir Ralf mnie lubi. Bawiłam go w jakiś sposób, co Teodozji się nie udawało. Byłam szczęśliwa, że mogę iść na bal, i świetnie się bawiłam. Gdyby nie prezent w postaci sukni, nigdy bym nie poszła.

Było o wiele łatwiej przyjąć tę wygodną koncepcję, która mi przyszła do głowy w Rainbow Cottage, niż wgłębiać się w motywy działania sir Ralfa. Gdyż mimo swych wszystkich przewin, był dobrym człowiekiem. Służba bezwzględnie wolała go dużo bardziej niż swą panią. Co do mnie, to czułam się całkowicie przygotowana stawić czoło każdej sytuacji, w której mogłabym się znaleźć. Na szczęście do Rainbow Cottage miałam tak blisko i mogłabym przybiec tu w razie potrzeby.

Więc opowiedziałam im wszystko o balu. Dorcas bardzo interesowała się potrawami, Alison kompozycjami kwiatowymi, a obie najwięcej tym, jak się bawiłam.

Odańczyłam im walca wokół małego saloniku w Rainbow Cottage, przy okazji potracając etażerkę, czego wynikiem były dwie szkody — odpadło uszko jednej z malutkich porcelanowych filiżanek Dorcas i ułamał się palec jej osiemnastowiecznej kwiaciarki.

Były tak uradowane, że mnie widzą szczęśliwszą, że zbagatelizowały te stłuczki. Uszko się przyklei, a braku palca nikt nie zauważy. A z kimże ja tańczyłam?

— Z Teobaldem Traversem? To dziwny człowiek. Siostra Emilii, która tam pracuje, twierdzi, że na widok Traversów skóra im cierpnie.

— Co za głupota!

— To osobliwy dom i oni zajmują się osobliwymi rzeczami — rzekła Dorcas. — Marnują czas na zabawę przedmiotami, którymi ludzie posługiwali się kiedyś tam, całe wieki temu.

— Och, Dorcas, mówisz jak jakaś wsiowa prostaczka.

— Wiem, że się tym interesujesz. Ale mnie niektóre z tych obrazków w książkach, które tu przynosiłaś, mogłyby się przyśnić w nocy. Zastanawiałam się, czy nie powinnyśmy się ich pozbyć.

— Jakie obrazki?

— Czaszek, piszczeli... no i tych mumii. Są straszliwe. A sir Edward...

— No a co z nim?

— Wiem, że jest bardzo znany i szanowany, ale ludzie mówią, że trochę dziwak.

— Bo jest inny niż oni... bo nie biega po okolicy, uwodząc wiejskie dziewczęta, jak sir Ralf kiedyś... to im się wydaje niezwykle.

— Judytko, skąd masz takie wiadomości?

— Przecież tu mieszkam, kochana Alison. I wokół mnie toczy się życie.

— Taka się robisz wybuchowa, ilekroć jest mowa o Traversach.

— Bo oni wykonują wspaniałą pracę...

— Z pewnością chciałabyś być tam z nimi i grzebać się w tych wszystkich starożytnych mumiach!

— Nie ma rzeczy, której usilniej bym pragnęła. Różniłoby się to nieco od usługiwania najbardziej przykrej kobiecie świata.

— Biedna Judytko, może ta sytuacja nie będzie trwała wiecznie. Wiesz, sądzę, że dałybyśmy sobie radę razem tutaj. Jest całkiem spory ogród, mogłybyśmy hodować warzywa i je sprzedawać.

Skrzywiłam się, pokazując na swe dłonie.

— Chyba nie mam dobrej ręki do roślin.

— A może, kto wie, coś się zmieni. Ten młody człowiek, który kiedyś was uczył. On też był na balu, prawda?

— Masz na myśli Jana Calluma?

— Zawsze go lubiłam. Ma w sobie coś szlachetnego. Kiedyś z nim dużo rozmawiałaś. I na jego lekcjach uczyłaś się lepiej od innych.

Uśmiechnęłam się do nich ciepło. Zdecydowały, że małżeństwo rozwiąże mój problem. Nie udało się z Oliverem Shrimptonem, więc wybrały Jana Calluma na następnego kandydata.

— Zapewne będzie znowu tu przyjeżdżał. To jego zainteresowanie ekspedycją...

— A dlaczego ludzie nie cierpną na jego widok? — zapytałam. — Uprawia ten sam zawód co sir Edward i Teobald.

— On jest bardziej... normalny.

— Sugerujesz, że Traversowie są nienormalni?

— Oni są inni — orzekła Dorcas. — O tak, pan Callum znowu tu przyjedzie. Mówią, że sir Ralf jest zamieszany w te badania w Egipcie. Słyszałam, że wspomaga finansowo wyprawę, ponieważ jego córka ma poślubić Teobalda Traversa.

— Od kogo to usłyszałaś?

— Od Emilii.

— Kuchenne plotki.

— Moja droga Judytko, kto lepiej się orientuje w rodzinnych sprawach niż służba?

Oczywiście, miały rację. Służący mogli usłyszeć strzępy rozmów. Wyobrażałam sobie Janinę z uchem przy dziurce od klucza. Niektóre służące składały kawałki podartych i wrzuconych do kosza listów. Miały szeroko otwarte oczy i uszy na domowe sensacje.

Nie było zatem wątpliwości — zgodnie z ogólnym oczekiwaniem Teobald został przeznaczony dla Teodozji.

Wracałam do Keverall Court w zamyśleniu.

On jej nie kocha, mówiłam sobie. Wiedziałabym, gdyby ją kochał. Na balu większą przyjemność sprawiał mu taniec ze mną niż z Teodozją. I czy w ogóle taki mężczyzna jak Teobald mógłby pokochać Teodozję?!

Ale ona była bogatą panną, spadkobierczynią wielkiej fortuny. Pieniędzmi, które wniosłaby Teobaldowi w posagu, mógłby po ślubie sfinansować swe własne wyprawy archeologiczne. Dla sir Edwarda niewiele się liczyło poza pracą, a Teobald szedł dokładnie w jego ślady. Dlatego służba uważała ich za dziwnych ludzi.

W dniu ślubu Teobalda z Teodozją wyjadę. Znajdę posadę możliwie gdzieś najdalej od St. Erno's i spróbuję zbudować sobie nowe życie, pozostawiając ruiny dawnego za sobą. Teobald być może był opętany pracą. A ja nim. Natomiast jedno wiedziałam z całą pewnością — życie bez niego będzie dla mnie całkowicie pozbawione powabu.

Dorcas kiedyś powiedziała:

— Kiedy Judytka czymś się pasjonuje, wkłada w to całe serce. Nigdy niczego nie robi połowicznie.

Miała rację. A teraz pasjonowałam się tak jak jeszcze nigdy dotąd — jedynym mężczyzną, jedyną dla mnie drogą życiową.

Teodozja, jakby chcąc nadrobić poprzednie zaległości, teraz często szukała kontaktów ze mną. Lubiała rozmawiać o przeczytanych książkach i stwierdziłam, że włożyła ogromnie dużo wysiłku, aby się doksztąpić w dziedzinie archeologii.

Zapraszała mnie do swego pokoju i nierzadko odnosiłam wrażenie, że pragnie mi się zwierzyć. Trochę była roztargniona, jakby czymś ważnym zaabsorbowana. Czasami wyglądała na szczęśliwą, kiedy indziej na przygnębioną. Raz wysunęła przy mnie szufladę i zobaczyłam w niej paczkę listów przewiązanych błękitną wstążką. Jakie to typowe dla Teodozji — przewiązać listy miłosne błękitną wstążką! Zastanawiałam się, co w nich może być. Jakoś trudno mi było sobie wyobrazić Teobalda piszącego miłosne listy... i to do Teodozji!

„Najdroższa Teodozjo!

Nie mogę się doczekać dnia naszych zaślubin. Mam w planie kilka ekspedycji archeologicznych, a one wymagają finansowego poparcia. Jak bardzo przyda się Twój majątek...”

Śmiać mi się chciało z siebie. Usiłowałam sobie wmówić, że Teobald oczekuje od Teodozji jedynie pieniędzy. A gdyby nawet tak było, czyby napisał taki list?

— A jak się mama ostatnio zachowuje? — spytała mnie Teodozja bez większego zainteresowania, gdy zaproszona przyszłam do niej pewnego popołudnia.

— Na ogół jak zwykle.

— Obawiałam się, że po balu będzie jeszcze gorzej.

— Twoje obawy się potwierdziły.

— Biedna Judyta!

— Cóż, wszyscy mamy swe problemy.

— Tak — odparła z westchnieniem.

— Ale to z pewnością nie dotyczy ciebie, Teodozjo?

Zawahała się. Po czym spytała:

— Judyto, czy byłaś kiedyś zakochana?

Poczułam się głupio, bo się zacerwieniłam, lecz na szczęście nie było to pytanie, tylko wstęp do zwierzeń.

— To cudowne uczucie — mówiła dalej — ale jednak... trochę się boję.

— Czego miałabyś się bać?

— No wiesz, nie jestem tak bardzo inteligentna...

— Jeżeli on cię kocha...

— Jeżeli! Oczywiście, że mnie kocha. Mówi mi to przy każdym naszym spotkaniu... w każdym liście...

Z jednej strony chciałam znaleźć jakąś wymówkę i uciec, z drugiej pozostać i wystawić się na tortury.

— Wiesz, Judyto, archeologia raczej mnie nudzi. Taka jest prawda. A dla niego to oczywiście całe jego życie. Staralam się. Czytałam książki. Podobały mi się, gdy opisywały odnalezione skarby, ale przeważnie jest tam mowa o narzędziach używanych przy wykopaliskach, o rodzajach ziemi i o tych wszystkich innych mało interesujących garnkach i przedmiotach.

— Jeśli cię to nie interesuje, to może powinnaś przynajmniej udawać.

— On chyba ode mnie tego nie oczekuje. On chce, żebym się o niego troszczyła, to wszystko. Och i to byłoby cudowne, Judyto. Ale ja się martwię ojcem.

— Dlaczego?

— Jemu się to nie będzie podobało.

— Nie będzie się podobało? Sądziłam, że on bardzo pragnie twego ślubu z Teobaldem.

— Z Teobaldem? Ja nie mówię o Teobaldzie.

To zabrzmiało jak muzyka dla mych uszu. Jakbym usłyszała jakieś anielskie pienia. Zawołałam:

— Co? Nie Teobald? Chyba żartujesz.

— Teobald! — wykrzyknęła, po czym powtórzyła to imię prawie z przerażeniem. — Teobald! Bałabym się go śmiertelnie. Z pewnością uważa mnie za kompletną idiotkę.

— On jest oczywiście bardzo mądrym i poważnym człowiekiem, ale chyba przez to bardziej interesującym, niż gdyby był lekkomyślny.

— Jan nie jest lekkomyślny.

— Jan! Więc to Jan.

— Oczywiście, że Jan, A któż by inny.

Zaczęłam się śmiać.

— To od niego te listy przewiązane błękitną wstążką... i przez niego te wszystkie westchnienia i rumieńce. Jan! — Uściskałam ją. — Jestem taka szczęśliwa... — Miałam na tyle przytomności umysłu, by dodać — z twojego powodu.

— Judyto, co cię napadło?

— Nie sądziłam, że to Jan.

— Myślałaś, że chodzi o Teobalda. Tak uważają też inni, bo ojciec tego pragnie. Marzy mu się małżeństwo skojarzone między naszymi rodzinami. Zawsze ogromnie podziwiał sir Edwarda i interesowało go wszystko, co tamten robił. On by chciał, żebym ja była podobna do ciebie i potrafiła się nauczyć wszystkiego o tych głupotach. Ale ja jestem inna. I w ogóle, jak ktoś mógłby chcieć Teobalda, gdy istnieje Jan.

— Ktoś mógłby — odparłam spokojnie.

— No to musi być niespełna rozumu.

— Na tyle, by sądzić, że to ty zwariowałaś, wybierając Jana.

— Judyto, jak dobrze, że mogę z tobą o tym porozmawiać. Obawiamy się powiedzieć ojcu. Wiesz, jak to jest w rodzinach. Widzisz, rodzice Jana są bardzo biedni i on pnie się w górę o własnych siłach. Jakiś krewny mu trochę pomaga, ale Jan chce go spłacić co do grosza. I mamy zamiar to zrobić. Według mnie to wielka zasługa Jana, że zaszedł tak daleko. Nie ma się czego wstydzić. Teobald odziedziczył różnego rodzaju korzyści, podczas gdy Jan sam musiał na nie zapracować.

— Godne pochwały — stwierdziłam.

— Judyto, ty lubisz Jana, prawda?

— Oczywiście, że go lubię. I uważam, że idealnie do siebie pasujecie.

— To cudownie. A jak sądzisz, co powie ojciec?

— Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Zapytać.

— Uważasz, że można?

— A czemu nie?

— No bo jeśli odmówi.

— Zainscenizujemy ucieczkę z ukochanym. Przyszła panna młoda ucieka po drabinie, a potem para bierze ślub gdzieś, gdzie dają go bez zbytnej formalności. Choć skoro to tu, w Kornwalii, jest raczej niemożliwe, lepsze byłoby zezwolenie na ślub.

— Och, Judyto, ty zawsze potrafisz rozśmieszyć. Wszystko obracasz w żart. Cieszę się, że ci się zwierzyłam.

— Ja też — odparłam z przekonaniem płynącym z głębi serca.

— Więc co ty byś zrobiła?

— Poszłabym do twego ojca i powiedziała: „Kocham Jana Calluma. Co więcej, zdecydowałam się wyjść za niego za mąż”.

— Przypuśćmy, że nie wyrazi zgody?

— Wtedy planujemy ucieczkę.

— Chciałabym, żebyśmy mogli to zrobić już teraz.

— Ale najpierw musisz spytać ojca. Może będzie zachwycony.

— Nie będzie. On jest zafascynowany Traversami. Jemu by się podobało, gdybym była podobna do ciebie... zwariowana na punkcie tego kopania. Na pewno sam by pojechał do Egiptu, gdyby czuł się na siłach.

— Ty tam być może kiedyś pojedziesz z Janem.

— Z Janem pojedę wszędzie.

— A co on na to wszystko?
— Twierdzi, że bez względu na przeszkody i tak się pobierzemy.
— Ojciec może cię wydziedziczyć.
— Myślisz, że mnie to obchodzi? Z Janem mogę nawet głodować.
— Do tego nie dojdzie. Bo niby dlaczego? Jan ma dobrą pracę na uniwersytecie, prawda? Nie masz powodów do obaw. Nawet jeśli nie odziedziczysz fortuny, zostaniesz żoną profesora.
— Oczywiście. Nie przejmuję się pieniędzmi ojca.
— Zatem twoja sytuacja jest jasna. Musisz walczyć o to małżeństwo, jak uważasz za stosowne. Tylko nie zabieraj się do tego zbyt pośpiesznie.
Teraz ona mnie uściskała.
Byłam taka szczęśliwa. Jak miło jest dążyć do czyjegoś szczęścia, wiedząc, że to przyczynia się do własnego.

* * *

Teodozja miała rację, gdy mówiła, że ojciec nie będzie zachwycony pomysłem małżeństwa. Kiedy mu zakomunikowała tę nowinę, wybuchła burza.

Przyszła do mego pokoju we łzach.

— Nie zgadza się — powiedziała. — Wpadł w szal. Mówi, że do tego nie dopuści.

— Jeżeli chcesz naprawdę wyjść za mąż, musisz być stanowcza.

— Ty byś była taka, prawda?

— Masz wątpliwości?

— Ani przez chwilę. Jak ja bym chciała być taka jak ty.

— Możesz być.

— W jaki sposób, Judyto, w jaki?

— Bądź nieustępliwa. Nikt nie może cię poślubić, jeśli nie wypowiesz właściwych słów.

— Judyto, pomożesz mi? Chcesz mi pomóc?

— Z całego serca — odparłam.

— Powiedziałam ojcu, że może mnie wydziedziczyć, że mnie to nie obchodzi. Kocham Jana i wyjdę za niego.

— Więc już pierwszy krok został zrobiony.

Podniesiona na duchu, została jeszcze u mnie i zaczęłyśmy rozważać, co robić dalej. Powiedziałam jej, że przede wszystkim musi napisać do Jana i przedstawić mu obecny stan rzeczy. Zobaczymy, co odpowie.

— Napiszę mu, że ci powiedziałam, Judyto, i że możemy na ciebie liczyć.

Byłam zdziwiona otrzymanym wezwaniem do sir Ralfa. Gdy weszłam do jego pokoju, siedział w fotelu ubrany w szlafrok. Blake krążył w pobliżu. Odprawił go i rzekł:

— Proszę usiąść, panno Osmond.

Zrobiłam, jak polecił.

— Odnoszę wrażenie, że się pani miesza do spraw mej córki.

— Wiem, że chce wyjść za mąż — odparłam. — Nie nazwałabym tego mieszaniami się.

— Czyżby? Nie powiedziała jej pani, żeby do mnie przyszła i postawiła mi ultimatum?

— Powiedziałam, że jeżeli chce wyjść za mąż, to powinna przyjść do pana i panu to oznajmić.

— I może poprosić o me pozwolenie?

— Tak.

— A jeśli się nie zgodzę, postąpić wbrew memu zdaniu?

— Co zrobi, zależy wyłącznie od niej.

— Ale pani w jej sytuacji nie posłuchałaby swego ojca?

— Gdybym zdecydowała się wyjść za mąż, nie.

— Choćby to było wbrew woli ojca?

— Tak.

— Domyślałem się — rzekł. — Utwierdziła ją pani w jej zamiarze. Na Boga, panno Osmond, ma pani wielkie mniemanie o sobie.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli, sir Ralfie?

— Przynajmniej przyznaje się pani do pewnej ignorancji. Cieszę się, że ma pani w sobie niewiele pokory.

Milczałam. Mówił dalej:

— Wie pani, że Teodozja chce poślubić tego jegomościa bez grosza przy duszy.

— Wiem, że pragnie wyjść za mąż za profesora Jana Calluma.

— Moja córka pewnego dnia zostanie bardzo bogatą kobietą... pod warunkiem, że będzie mi posłuszna. Czy nadal pani myśli, że powinna poślubić tego człowieka?

— Jeśli go kocha.

— Kocha! Nie wiedziałem, że jest pani sentymentalna, panno Osmond.

I tym razem nie odpowiedziałam. Nie rozumiałam, dlaczego po mnie posłał.

— Radziła pani mej córce wyjść za mąż za tego mężczyznę.

— Ja? Dokonała wyboru, zanim byłam świadoma jej intencji.

— Zaplanowałem dla niej małżeństwo... o wiele bardziej odpowiednie.

— O tym, czy jest bardziej odpowiednie, powinna zdecydować ona sama.

— Hołduje pani bardzo nowoczesnym ideom, panno Osmond. Za moich czasów córki obowiązane były słuchać swych ojców. Pani tak nie uważa?

— W wielu sprawach, owszem. Lecz według mnie o małżeństwie powinni decydować ci, których ono dotyczy.

— A małżeństwo mej córki mnie nie dotyczy?

— Nie w takim stopniu jak jej i przyszłego męża.

— Powinna pani zostać adwokatem. A tymczasem, jak sądzę, pani bliższa jest profesja tego człowieka, za którego moja córka chce wyjść za mąż... jeśli się zgodzę.

— To prawda.

Zobaczyłam, że zadrgał mu podbródek, co dodało mi ducha, gdyż najwyraźniej znowu udało mi się go rozbawić.

— Chyba pani wie, że życzę sobie innego małżeństwa dla mej córki.

— Krążą na ten temat pewne domysły.

— Nie ma dymu bez ognia, hę? Będę szczery. Chcę, żeby wyszła za mąż, lecz za kogoś innego.

A pani ma uszy otwarte, jestem tego pewien.

— Doszły mnie pewne sugestie.

— I według pani to nie jest zły pomysł, że moja córka wybrała sobie właśnie tamtego. No i o to chodzi. A tak naprawdę, to czy nie jest pani zadowolona z osoby, którą ona sobie wybrała?

— Nie bardzo rozumiem.

— Nie? Już drugi raz przyznaje się pani do swej niewiedzy. To do pani niepodobne... takie udawanie. Wspierała pani mą córkę w nieposłuszeństwie wobec ojca, prawda? Będzie się pani cieszyła, kiedy moja córka zostanie żoną tego jegomościa. Jest pani przebiegła, panno Osmond. Ma pani swe powody.

Oparł się plecami o fotel, jego twarz nabiegła krwią. Zobaczyłam, że on się śmieje. Czułam się ogromnie zmieszana aluzją przebijającą z jego słów.

Wiedział, że uszczęśliwia mnie miłość Teodozji do Jana Calluma, gdyż pragnęłam Teobalda dla siebie.

Poruszył ręką na znak, że rozmowa jest skończona. Z ulgą wyszłam z pokoju.

Kilka dni później sir Ralf oznajmił, że wyraża zgodę na zaręczyny córki z Janem Callumem.

* * *

Teodozja była wprost upojona szczęściem.

— Judyto, kto by w to uwierzył, że nastąpi taki całkowity zwrot.

— Według mnie twój ojciec jest raczej uczuciowym człowiekiem i widzi, że ty jesteś bardzo zakochana.

— To dziwne, Judyto, jak mało się wie o ludziach, z którymi jest się blisko przez całe życie.

— Nie ty pierwsza to odkryłaś.

Ślub miał się odbyć w Boże Narodzenie i Teodozja rzuciła się w wir przygotowań.

Lady Bodrean nie zaaprobowwała tego związku. Byłam świadkiem, jak się na ten temat kłóciła z sir Ralfem. Wyszłam wtedy pospiesznie i wróciłam do swego pokoju, ale Janina powtórzyła mi tę gwałtowną rozmowę, ja zaś bezwstydnie słuchałam, choć było to równie niewłaściwe, jak gdybym sama podsłuchiwała.

— Słowo daję — mówiła Janina — to była awantura! Podobno on nie jest wystarczająco odpowiedni dla naszej panienki. „Postradałeś zmysły?” — spytała jaśnie pani. „Madame — odpowiedział — ja będę decydował o przyszłości mojej córki”. „Tak się składa, że ona jest także moją córką”. „Na szczęście dla niej nie upodobniła się do ciebie, gdyż wtedy musiałbym współczuć temu młodemu człowiekowi, którego chce poślubić”. „Więc współczujesz sobie?” — powiedziała. „Nie, madame, wiem, jak zadbać o siebie”. „Wiesz, jak rozsiewać swe bękarty po całej okolicy”. „Mężczyzna musi się jakoś zabawić” — on na to. Tak, on jest panem całą gębą. Gdyby jej się trafił potulny człowiek, toby nim rządziła. Ale nie naszym dziedzicem. Potem powiedziała: „Mówiłeś mi, że ona ma wyjść za mąż za Teobalda Traversa”. „Cóż, zmieniłem zdanie”. „Bardzo nagle”. „Ona kocha tego człowieka”. „Kocha” — prychnęła. »Wiem, madame, że nie wierzysz w takie rzeczy jak miłość, ale powtarzam, ona wyjdzie za mąż za człowieka, którego wybrała”. „Jeszcze niedawno mówiłeś: chcę, żeby moja córka poślubiła syna mego starego przyjaciela, Edwarda Traversa”. „Zmieniłem zdanie i nie ma tu już nic do dodania”. I dalej sobie wymyślali. Słowo daję, samo życie.

Dużo rozmyślałam o sir Ralfie. Naprawdę go lubiłam. Dorcas i Alison przyjęły nowinę ze zdumieniem.

— Teodozja ma wyjść za mąż za Jana Calluma! Wprost nie do wiary! Przecież to ty o wiele lepiej od niej orientowałaś się w tej pracy, do której on ma takie zamiłowanie.

Były najwyraźniej zmartwione. Kolejna próba wydania mnie za mąż nie powiodła się.

* * *

Teodozja i Jan pobrali się w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Ślubu udzielił im Oliver Shrimpton. Siedziałam w tylnych ławkach z Dorcas i Alison. Była też z nami Sabina. Kiedy panna młoda przechodziła ze swym mężem środkiem kościoła, Sabina szepnęła do mnie:

— Teraz twoja kolej.

Zauważyłam, że zwróciła wzrok ku Hadrianowi, siedzącemu w pierwszym rzędzie.

Wielkie nieba! — pomyślałam. — Więc ludzie tak sądzą?

Co do mnie, to zawsze traktowałam Hadriana jak brata. Śmiać mi się chciało na myśl, co by powiedziała lady Bodrean, gdyby to usłyszała. Uznałaby taki stosunek do bratanka sir Ralfa za arogancję ze strony panny do towarzystwa.

Państwo młodzi spędzili dwa dni świąt w Keverall Court, po czym wyjechali do hrabstwa Devon, gdyż tam znajdował się dom, którego jeden z dziekanów z uniwersytetu użyczył im na miodowy miesiąc. Mnie pozwolono przez jeden dzień pobyc w Rainbow Cottage, miałam wrócić następnego dnia rano. Zastanawiałam się nad przyczyną takiej łaskawości i doszłam do pewnego wniosku. Lady Bodrean obawiała się, że sir Ralf, który najwidoczniej stał się jakby moim protektorem, zaprosi mnie na wieczorne przyjęcie, urządzone z okazji świąt i wesela.

To był bardzo miły, spokojny dzień. Alison i Dorcas podejmowały u siebie małe grono przyjaciół i przyjemnie spędziłyśmy czas, bawiąc się w szarady.

Kiedy dwa dni później rozpromieniona młoda żona wraz ze swym mężem opuścili Keverall Court, poczułam, że bardzo mi brakuje Teodozji. Opadło już podniecenie związane ze ślubem i wróciła dawna monotonia. Lady Bodrean była stale podenerwowana i nieustannie zrzędziła.

Nadarzyła mi się okazja do rozmowy z Hadrianem, który miał, jak zwykle, kłopoty finansowe.

— Jedno mi tylko pozostaje — powiedział — znaleźć sobie jakąś bardzo bogatą pannę i ożenić się jak Jan.

— Z pewnością nie to nim powodowało — zaprzeczyłam gorąco.

Hadrian uśmiechnął się krzywo.

— Niezależnie od jego najlepszych intencji, musiał odczuć ulgę. Pieniądze to pieniądze i duży majątek nigdy nie zawadzi.

— Ty masz obsesję na punkcie pieniędzy!

— Złóż to na karb niedoboru, który wiecznie odczuwam.

W końcu stycznia wyjechał i wtedy mniej więcej lady Bodrean nieco zaniemogła, więc miałam trochę więcej wolnego czasu.

Wówczas właśnie posłał po mnie sir Ralf i powiedział, że skoro nie jestem tak zajęta przy lady Bodrean, to może jemu poczytałabym gazety.

I tak co rano siadałam u niego i przez mniej więcej godzinę czytałam mu „Timesa”, ale nigdy nie trwało to dłużej. Doszłam do wniosku, że chce ze mną rozmawiać.

Opowiedział mi trochę o wyprawie archeologicznej.

— Powinienem był z nimi pojechać, ale lekarz mi nie pozwolił. — Popukał się w serce. — Wyczerpanie byłoby groźne. Stałbym się dla nich balastem. Nie zniósłbym tamtejszego upału.

Dzięki znajomości rzeczy, jaką nabyłam, udało mi się odpowiadać w miarę inteligentnie.

— Szkoda, że nie możemy cię wysłać na uniwersytet. Sądzę, że dobrze dałabyś sobie radę. Od dawna pasjonowała cię archeologia, prawda? I to jest właśnie potrzebne — pasja. Ja ją także miałem, lecz na zawsze pozostałem amatorem.

Odpowiedziałam, że to byłaby wielka przyjemność znajdować się w tym gronie po prostu jako amator.

— Dla sir Edwarda to jest wielka namiętność. Według mnie on jest w tej dziedzinie nauki jedną z największych osobowości... powiedziałbym nawet — największą.

— Tak, chyba ma taką opinię. Podobnie jak panicz Teobald.

Rzucił mi szybkie spojrzenie, a ja poczułam zdradzieckie rumieńce na policzkach. Pamiętałam jego poprzednie aluzje.

— Będzie taki jak ojciec. Trudny człowiek we współżyciu ten sir Edward. Nie był zbyt szczęśliwy w małżeństwie. Są tacy, co żenią się raczej ze swą pracą niż z kobietą. Zawsze gdzieś poza domem. A jak się już tam znalazł, to zakopywał się w książkach albo innej pracy. Nigdy żona nie widziała, żeby odpoczywał w domu. A na ogół był poza nim.

— Pewnie nie interesowała się jego pracą.

— Dla niego praca była na pierwszym miejscu. Tak to zawsze bywa z takimi ludźmi.

— Pana córka wyszła za mąż za archeologa.

— Ten wykładowca! Mam o nim swe zdanie. Całe życie będzie stał za pulpitem w audytorium... teoretyzował na taki czy inny temat... a jak się skończy dzień pracy, to przyjedzie do domu, do żony, rodziny i zapomni o wszystkim innym. Tacy ludzie rzadko osiągają szczyty w swym zawodzie. Chcesz zobaczyć jakieś sprawozdania z tego, co się dzieje w Egipcie?

— Och, bardzo!

Spojrzał na mnie i zadrgał mu podbródek.

Przeczytałam mu kilka raportów, które potem omawialiśmy. Jak szybko płynął wtedy czas!

Charakter moich stosunków z sir Ralfem zmienił się, co mnie czasami wprawiało w zdziwienie, ale to działało się stopniowo. Zawsze okazywał mi zainteresowanie i teraz ono stało się podstawą przyjaźni, o której nie pomyślałabym nawet, że jest możliwa.

Na początku marca nadeszła wiadomość o tajemniczej śmierci sir Edwarda i znowu zaczęto mówić o Klątwie Faraonów.

Rozdział 4

Żona Teobalda

Sir Ralf doznał głębokiego wstrząsu, co spowodowało następny atak apopleksji, w konsekwencji którego prawie w ogóle stracił mowę. Wtedy zaczęły krążyć pogłoski o przyczynie jego choroby. Plotka głosiła, że stało się tak z powodu Klątwy Królów, gdyż było wiadomo, iż wspomagał finansowo wyprawę do Egiptu. Nie był w stanie uczestniczyć w pogrzebie sir Edwarda, lecz po jakimś tygodniu posłał po mnie. Kiedy weszłam do pokoju, ze zdumieniem ujrzałam tam Teobalda.

Sir Ralf, kiedyś tak krzepki mężczyzna, teraz wyglądał jak cień samego siebie. To był żaloszny widok. Przykro było patrzeć, jak stara się coś powiedzieć, on jednak nie ustawał w próbach, gdyż najwyraźniej miał coś do zakomunikowania.

Pokazał nam, że życzy sobie, abyśmy usiedli po obu jego stronach.

— Ju... Ju... — zaczął i zrozumiałam, że usiłuje wymówić me imię.

— Jestem tutaj, sir Ralfie — powiedziałam i kiedy położyłam dłoń na jego rękę, on ją ujął i nie wypuszczał.

Zwrócił spojrzenie na Teobalda i poruszył prawą dłonią, gdyż lewą trzymał moją.

Teobald zorientował się, że on chce wziąć go za rękę, więc mu ją podał. Sir Ralf uśmiechnął się i przyciągnął obie swe dłonie wraz z naszymi, po czym jedną nałożył na drugą. Wtedy Teobald ujął moją dłoń, a sir Ralf znowu się uśmiechnął. O to mu chodziło.

Spojrzałam w oczy Teobalda, czując, że rumieniec zaczyna pokrywać me policzki.

Intencje sir Ralfa były jasne.

Wysunęłam dłoń, lecz Teobald nie spuszczał ze mnie wzroku.

Sir Ralf zamknął oczy. Blake wszedł na palcach do pokoju.

— Chyba będzie lepiej — powiedział — jeżeli pan i panna Osmond już wyjdą.

Kiedy zamknęły się za nami drzwi, Teobald rzekł do mnie:

— Przejdiesz się ze mną do Giza House?

— Muszę wracać do lady Bodrean — odparłam. Byłam roztrzęsiona. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego sir Ralf postawił nas w tak kłopotliwym położeniu.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedział Teobald. — To ważne.

Wyszliśmy z domu i gdy oddaliliśmy się nieco, odezwał się:

— Sama wiesz, że on ma rację. Tak być powinno.

— Ja... ja nie rozumiem.

— Ależ, Judyto, co się z tobą dzieje? Zawsze byłaś taka szczerą.

— Nie sądziłam... że tak dużo o mnie wiesz.

— Wiem o tobie bardzo wiele. Sporo lat minęło, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem, przebraną za mumię.

— Nigdy tego nie zapomnisz.

— Nie zapomina się pierwszego spotkania z przyszłą żoną.

— Ale...

— On właśnie to miał na myśli. Usiłował nam powiedzieć, że powinniśmy się pobrać.

— Majaczył.

— Nie sądzę. Uważam, że już od pewnego czasu sobie tego życzył.

— To jasne. Myślał, że jestem Teodozją. Miał nadzieję, że ty i ona pobierzecie się. Wiedziałeś o tym, prawda?

— Chyba omawiał to z moim ojcem.

— Więc... widzisz, co się stało. Zapomniał, że Teodozja już wyszła za męża. Sądził, że jestem jego córką. Biedny sir Ralf. Chyba jest ciężko chory.

— Boję się, że on umiera — odparł Teobald. — Ty zawsze interesowałaś się moją pracą. Żywo się interesowałaś.

— No tak.

— Więc widzisz, będzie nam razem dobrze. Moją matkę nudziła praca ojca. To nie było dobre małżeństwo. Z nami będzie inaczej.

— Nie rozumiem tego. Chcesz mi powiedzieć, że poślubisz mnie, bo sir Ralf dawał do zrozumienia, że tego chce?

— To nie jedyny powód, oczywiście.

— Powiedz mi, jakie są inne.

— Na przykład, kiedy wyjadę do Egiptu, mogłabyś pojechać ze mną. Jestem pewny, że to by cię ucieszyło.

— To też nie wydaje mi się właściwym powodem zawarcia małżeństwa.

Zatrzymał się i popatrzył mi w oczy.

— Są również inne — powiedział i przyciągnął mnie blisko do siebie.

— Nie życzyłabym sobie małżeństwa tylko po to, by stać się użytecznym członkiem ekipy.

— A mimo to będziesz nim — stwierdził. A potem mnie pocałował.

— Jeżeli to ma coś wspólnego z miłością... — zaczęłam.

Zaśmiał się i jeszcze mocniej mnie przytulił.

— Wydaje ci się to wątpliwe?

— Nie jestem pewna. Mile byłaby widziana jakaś deklaracja.

— Może najpierw ty ją złóż, bo z pewnością zrobisz to lepiej ode mnie. Nigdy nie miałaś trudności z powiedzeniem tego, co myślisz. Obawiam się, że ze mną jest inaczej... najczęściej.

— To może tym bardziej będę ci użyteczna. Na przykład będę pisać listy. Mogę być dobrą sekretarką.

— To jest ta twoja deklaracja?

— Przypuszczam, że wiesz od lat o mojej miłości do ciebie. Sądzę, że sir Ralf o tym wiedział.

— Nie byłem świadomy takiego szczęścia. Szkoda, że wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Co byś wtedy zrobił?

— Zadałbym sobie pytanie, czy mam dość śmiałości, by dopuścić, żebyś mnie dobrze poznała.

— Jesteś naprawdę taki skromny?

— Nie. Będę najbardziej pewnym siebie mężczyzną twego życia.

— Nie ma innych, którzy by się liczyli... i nigdy nie było. Jeżeli to konieczne, poświęcę całe życie na przekonywaniu cię o tym.

— Zatem zgadzasz się dzielić ze mną życie?

— Wolalabym umrzeć niż dzielić je z kimś innym.

— Moja najdroższa Judyto! Czy nie mówiłem, że potrafisz być elokwentna?

— Powiedziałam ci całkiem szczerze, że cię kocham. Pragnęłabym usłyszeć od ciebie, że i ty mnie kochasz.

— Czy nie okazałem ci tego zupełnie jasno?

— Byłoby cudownie, gdybym to od ciebie usłyszała.

— Kocham cię — rzekł.

— Powiedz to jeszcze raz. I mów mi to stale. Tak długo marzyłam o tym, że usłyszę od ciebie te słowa. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Czy ja nie śnię? Czy nie obudzę się za chwilę i nie usłyszę dzwonka, którym lady Bodrean wezwie mnie do siebie?

Ujął ją dłoń i gorąco ją ucałował.

— Moja kochana, kochana Judyto — powiedział. — Zawstydzasz mnie. Nie zasługuję na ciebie. Nie miej o mnie zbyt wielkiego wyobrażenia. Rozczaruję cię. Wiesz, że praca jest moim opętaniem. Zanudzę cię tą moją pasją.

— Nigdy.

— Nie będę dla ciebie odpowiednim mężem. Brak mi twojej radości, spontaniczności... tego wszystkiego, co czyni cię tak pociągającą. Potrafię być nudny, zbyt poważny...

— Nie można być zbyt poważnym w sprawach istotnych w życiu.

— Będę miewał złe humory. Praca pochłonie mnie bez reszty. Z jej powodu będę cię zaniedbywał.

— Odrzucam te skrupuły, gdyż zamierzam dzielić z tobą pracę i wszystko, łącznie z twoimi nastrojami i twą pasją.

— Nie potrafię łatwo wyrażać swych uczuć. Nie zawsze będę pamiętał, że mam ci mówić o miłości. Zatrważasz mnie. Ciągłe ponosi cię entuzjazm. Masz o mnie zbyt dobre zdanie. Spodziewasz się, że będę ideałem.

Śmiejąc się, przytuliła głowę do jego piersi.

— Nic nie mogę poradzić na me uczucie — powiedziałam. — Już od dawna cię kocham. Chcę tylko być z tobą, uczynić cię szczęśliwym, dzielić z tobą życie, aby toczyło się bez kłopotów, spokojnie, tak jak sobie życzysz.

— Judyto — rzekł — uczynię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

— Jeśli mnie kochasz i pozwolisz mi uczestniczyć w swym życiu, to na pewno będę.

Objął mnie ramieniem, ściskając mocno ją dłoń. Ruszyliśmy dalej, a on mówił o przyszłości. Nie widział przyczyn, dla których mielibyśmy odkładać ślub. Przeciwnie, chciał, abyśmy się pobrali jak najszybciej. Trzeba będzie sporo czasu poświęcić planom wspólnej podróży. Czy nie będę miała nic przeciwko temu, żeby zaraz po ceremonii ślubnej przeprowadzić się do Giza House i tam od razu wspólnie przystąpić do przygotowań?

Czy miałabym coś przeciwko temu? Nic nie było ważne, bylebym się z nim nie rozstawała. Największą bowiem radością, jaka mogłaby mnie spotkać, byłoby utrzymanie najbliższej więzi między nami w małżeństwie do końca naszych dni.

* * *

Dorcas i Alison przyjęły ze zdumieniem moje nowiny. Cieszyły się, że mam wyjść za mąż, lecz miały pewne wątpliwości co do mego wybrańca. Według nich Oliver Shrimpton o wiele bardziej nadawał się na mego męża. W St. Erno's od dawna mówiło się, że Traversowie są raczej dziwnymi ludźmi. Teraz zaś, po śmierci sir Edwarda, która nastąpiła w zagadkowych okolicznościach, wołałyby, bym nie była powiązana z tak tajemniczymi sprawami.

— Zostaniesz lady Travers — stwierdziła Alison.

— Wcale o tym nie myślałam.

Dorcas pokiwała głową.

— Jesteś szczęśliwa. To widać.

— Och, Dorcas, Alison, nigdy nie sądziłam, że można być tak szczęśliwym.

— Spokojnie, spokojnie — powiedziała Dorcas, jak zwykle do mnie mówić, gdy byłam dzieckiem — nie potrafisz niczego robić połowicznie.

— Z pewnością „połowicznie” nie może się odnosić do małżeństwa — zaśmiałam się. — W tym małżeństwie wszystko będzie doskonale.

Nic nie powiedziałam w Keverall Court o mych zaręczynach. Nie wydawało mi się to stosowne w czasie ciężkiej choroby sir Ralfa. A on następnego dnia zmarł.

Keverall Court był pogrążony w żałobie, ale nie sądzę, by komuś bardziej brakowało sir Ralfa niż mnie. Na mą radość padł cień. Lecz przynajmniej on byłby zadowolony z mojej decyzji. Został moim przyjacielem i w czasie ostatnich tygodni przed śmiercią ta przyjaźń bardzo wiele znaczyła zarówno dla mnie, jak i — w co mocno wierzyłam — dla niego. Jaka szkoda, że nie mogłam usiąść w jego pokoju i opowiedzieć mu o zaręczynach i o nadziejach, jakie wiązałam z przyszłością. Dużo o nim myślałam, rozpamiętywałam różne zdarzenia z przeszłości — dzień, w którym przyniosłam mu tarczę z brązu i on pierwszy raz zwrócił na mnie uwagę, jak ofiarował mi balową suknię, a potem wystąpił w mojej obronie.

Lady Bodrean przybrała smutną minę, lecz było jasne, że pod nią skrywała uczucie ulgi.

Rozmawiała ze mną i Janiną o zasługach sir Ralfa, ja jednak czułam, że powstrzymywanie wrogości wobec mnie jest chwilowe i teraz, gdy straciłam mego obrońcę, ona będzie chciała wykorzystać fakt, iż jestem na jej łasce. Nie przeczuwała ciosu, który dla niej szykowałam. Miałam wyjść za mąż za człowieka, wybranego przez nią na męża dla własnej córki. Co to będzie dla niej za szok, kiedy się dowie, że jej uboga panna do towarzystwa ma zostać lady Travers.

Hadrian wrócił do domu. Podzieliłam się z nim nowinami.

— Zaręczyny jeszcze nie zostały oficjalnie ogłoszone — ostrzegłam go. — Zrobimy to dopiero po pogrzebie.

— Teobald ma szczęście — rzekł ponurym głosem. — Ubiegł mnie.

— Przecież chciałeś się ożenić z bogatą panną.

— Gdybyś miała majątek, Judyto, złożyłbym swe serce u twych stóp.

— Fizycznie niemożliwe — odparłam.

— Cóż, życzę ci wszystkiego najlepszego. I cieszę się, że się uwolnisz od mojej stryjenki. Życie z nią musiało być dla ciebie piekłem.

— Tak źle nie było. Wiesz, że walka zawsze sprawiała mi przyjemność.

Tego wieczoru otrzymałam dziwną wiadomość od doradców prawnych sir Ralfa. Życzyli sobie, abym była obecna przy odczytywaniu testamentu zmarłego.

Kiedy poszłam do Rainbow Cottage i powiedziałam o tym, Dorcas i Alison zachowały się dość dziwnie. Wyszły z saloniku i zostawiły mnie tam samą na pewien czas. Zaskoczyło mnie to, gdyż moje wizyty u nich były z konieczności krótkie. Właśnie miałam je zawołać i powiedzieć, że muszę już iść, gdy wróciły.

Obie były zarumienione i spoglądały na siebie ogromnie zakłopotane. Dobrze je znałam, więc zdawałam sobie sprawę, że jedna liczy na drugą, nie mogąc się zdecydować, która z nich ma podjąć temat przykry lub niepokojący.

— Czy coś się stało? — spytałam.

— Uznałyśmy, że musisz się o czymś dowiedzieć — odezwała się Dorcas.

— Tak, musisz być przygotowana.

— Przygotowana? Na co?

Dorcas przygryzła wargę i spojrzała na Alison, a ta pokiwała głową.

— Chodzi o twe narodziny, Judytko. Jesteś naszą siostrzenicą. Lawinia była twoją matką.

— Lawinia? Dlaczego mi nie powiedziałyście?

— Uważałyśmy, że tak będzie lepiej. To była raczej kłopotliwa sprawa.

— Przeżyliśmy straszliwy szok — ciągnęła dalej Dorcas. — Lawinia była najstarsza. Ojciec świata poza nią nie widział. Była taka śliczna. Wzięła urodę po matce... my raczej jesteśmy podobne do ojca.

— Dorcas, kochana — przynagliłam ją — przejdź do tematu i powiedz mi, o co ci chodzi.

— Przeżyliśmy straszliwy szok, kiedy okazało się, że ona ma mieć dziecko.

— To znaczy mnie.

— Tak. Po cichu wysłałyśmy ją do naszej krewnej... zanim ciąża stała się widoczna, no wiesz. Powiedziałyśmy ludziom w miasteczku, że skorzystała z nadarzającej się okazji... gdyż otrzymała posadę guwernantki. Tam się urodziłaś. Ta krewna mieszkała w Londynie i sama posiadała kilkoro dzieci. Lawinia miała się nimi opiekować i zatrzymać cię przy sobie. To był korzystny układ. Przywiozła cię, żebyśmy mogły zobaczyć jej dziecko. Oczywiście nie mogła przyjechać tutaj. Umówiliśmy się w Plymouth. To było bardzo radosne spotkanie. Potem odprowadziłyśmy ją na pociąg.

— I wydarzyła się katastrofa — dopowiedziałam. — Ona zginęła, a ja przeżyłam.

— Powstał problem, co się ma z tobą stać. Więc powiedziałyśmy, że jesteś dzieckiem naszej krewnej, zabraliśmy cię i adoptowały.

— Och, to tak naprawdę jesteście moimi ciotkami! Ciociu Alison! Ciociu Dorcas! Ale dlaczego opowiedziałyście mi tę historię o dziecku, po które nikt się nie zgłosił?

— Zawsze bardzo wypytywałaś o tę daleką krewną, która, jak sądziłaś, była kimś z twojej bliskiej rodziny. Wobec tego uznałyśmy, że będzie dla ciebie lepiej, jeżeli ci powiemy, że nie miałaś żadnej rodziny.

— Zawsze robiliście to, co dla mnie najlepsze, wiem o tym. Kto był moim ojcem? Wiecie?

Popatrzyły na siebie przez chwilę, a ja wykrzyknęłam:

— Czy być może? To wszystko wyjaśnia. Sir Ralf.

Wyraz ich twarzy potwierdził mój domysł.

— Był moim ojcem. Cieszę się. Bardzo go lubiłam. A on zawsze okazywał mi dobroć. — Podeszłam do nich i uściślałam je. — Nareszcie dowiedziałam się, kim byli moi rodzice.

— Bałyśmy się, że może wstydzilibyś się, że pochodzisz... z nieprawego łoża.

— Wiecie — odparłam — wierzę, że on naprawdę ją kochał. Musiała być jedyną miłością jego życia. A przynajmniej była mu pociechą, której tak potrzebował jako mąż lady Bodrean.

— Och, Judytko! — Niby mnie karcily, ale pobłażliwym tonem.

— Był dla mnie dobry. — Przypomniałam sobie, jak na mnie patrzył oczami pełnymi błysków rozbawienia, jak drżał mu podbródek. Pewnie mówił sobie: „To jest córka Lawinii”. Tak bardzo chciałam, żeby jeszcze żył. Mogłabym mu powiedzieć, że bardzo go polubiłam.

— Słuchaj, Judytko — powiedziała Dorcas — musisz być przygotowana. Oczekują cię przy odczytywaniu testamentu, bo on ci coś zostawił. Może wyjść na jaw, że jesteś jego córką, i nie chciałybyśmy, by cię to zaskoczyło.

— Przyjmę spokojnie tę wiadomość — przyrzekłam.

Miały rację. Zostałam wymieniona w testamencie sir Ralfa. Przekazał w spadku ćwierć miliona funtów z przeznaczeniem na badania archeologiczne na warunkach ustalonych przez sir Edwarda lub Teobalda Traversów. Żonie zostawił dożywotnią rentę; Hadrianowi dochód w wysokości tysiąca funtów rocznie; Teodozji, swej prawnej spadkobierczyni, dom po śmierci matki oraz połowę pozostałego majątku. Drugą połowę przeznaczył dla swej nieślubnej córki, Judyty Osmond. W przypadku śmierci jednej z córek jej część miała przypaść drugiej, pozostałej przy życiu.

To było zdumiewające.

Ja, osoba bez grosza, prawnie nieuznane dziecko w chwili narodzin, dowiedziałam się, kim byli moi rodzice, i jednocześnie odziedziczyłam majątek tak wielki, że nie byłam w stanie ogarnąć go umysłem.

W ciągu ostatnich kilku tygodni nastąpiły wydarzenia wprost niesłychane. Miałam wyjść za mąż za człowieka, którego kochałam. A on miał mnie pojąć za żonę jako — tak sądziłam — ubogą kobietę. Tymczasem wnosłam mu w wianie olbrzymią fortunę.

Przypomniałam sobie scenę, kiedy sir Ralf wziął moją rękę i Teobalda i położył jedną na drugiej. Zastanawiałam się, czy powiedział Teobaldowi, co mnie z nim łączy i o tym, co zamierza uczynić.

Wtedy po raz pierwszy odczułam ukłucie niepewności.

* * *

Teraz prawdę o mym pochodzeniu poznało całe miasteczko. Niewiele osób było zdziwionych faktem, że jestem córką sir Ralfa. Niektórzy z parafian Olivera zaczęli rozprawiać, jak to byłam kształcona wraz z prawowitą córką dziedzica i jego bratankiem, a potem zostałam przyjęta do Keverall Court, choć w ponizającej roli. Twierdzili, że się domyślali, lecz była to typowa mądrość poniewczasie. Dorcas i Alison czuły się na zmianę to szczęśliwe, to zawstyżone. Alison oświadczyła, iż jest zadowolona, że jej ojciec nie dożył tej chwili. Ich siostra, córka proboszcza, kochanką sir Ralfa, która urodziła mu dziecko! To było, prawdę powiedziawszy, skandaliczne. Jednocześnie ja, osoba znacząca dla nich o wiele więcej niż reputacja zmarłej siostry, zostałam obecnie bogatą kobietą, mającą zabezpieczoną przyszłość. Mnie zaś przejmowało uczucie wdzięczności dla ojca, który pokazał światu, iż byłam dla niego niemal tak samo ważna jak jego ślubna córka.

Skandal przeminie — korzyść zostanie.

Tak niecierpliwie chciały wydać mnie za mąż, a teraz, kiedy ślub był blisko, wyczułam, że nie są szczególnie zadowolone. Jako majątna młoda kobieta nie potrzebowałam już finansowego wsparcia, jakie mógł mi dać mąż. A właśnie ze względu na takie wsparcie wybrały dla mnie najpierw Olivera, a potem Jana. Teraz zaś, zanim dowiedziałam się o spadku, zaręczyłam się z dość dziwnym mężczyzną, którego ojciec zmarł niedawno w tajemniczych okolicznościach. Nie tego sobie dla mnie życzyły.

Kiedy przyszłam do nich po odczytaniu testamentu, popatrzyły na mnie dziwnie, jakbym była inną osobą.

Wyśmiałam je.

— Ach, wy moje drogie, kochane cioteczki! — zawołałam — bo przecież jesteście moimi prawdziwymi ciotkami, to, że stałam się bogata, niczego nie zmienia! I pozwólcie sobie powiedzieć: odtąd nie będą w tym domu potrzebne groszowe oszczędności. Otrzymacie tyle pieniędzy, abyście mogły żyć w warunkach, do jakich przywykłyście.

To była bardzo wzruszająca chwila. Usta Alison drgały, a Dorcas miała już mokre policzki. Objęłam je ramionami.

— Tylko pomyślcie — mówiłam — możecie wyprowadzić się z Rainbow Cottage, sprzedać go (sir Ralf przekazał go im na własność) i zamieszkać w jakimś ślicznym domu... mieć służącą albo dwie...

Alison roześmiała się.

— Judytko, ty zawsze miałaś tendencje do przewodzenia. Ale my tu jesteśmy całkiem szczęśliwe i czujemy się naprawdę u siebie. Nigdzie się nie przeniesiemy.

— W każdym razie nie będziecie się musiały martwić, jak związać koniec z końcem.

— Nie możesz rozdysonować wszystkich pieniędzy, zanim ich nie dostaniesz.

To mnie rozśmieszyło.

— Chyba jest ich całkiem sporo i jeżeli sądzą, że w pierwszym rzędzie nie pomyślałam o was, to nie znacie Judyty Osmond.

Dorcas otarła łzy, a Alison spytała poważnym tonem:

— Judytko, a co z nim?

— Z nim?

— Tym... mężczyzną, którego zamierzasz poślubić.

— Mówisz o Teobaldzie.

Obie popatrzyły na mnie niespokojnie.

— No bo teraz... — zaczęła Alison. — Teraz, kiedy masz taki majątek...

— Wielkie nieba! — wykrzyknęłam — chyba nie myślicie...

— My... my zastanawiamy się, czy on wiedział...

— Co wiedział? — ponagliłam je.

— Że ty... otrzymałaś takie pieniądze.

— Moje drogie! Całkiem się mylicie — powiedziałam stanowczo. — Teobald i ja byliśmy sobie przeznaczeni. Wiecie, jak mnie ogromnie interesuje jego praca.

Alison odezwała się cierpkim tonem, tak bardzo jej obcym:

— Spodziewam się, że on nie jest w tym samym stopniu zainteresowany twymi pieniędzmi.

Byłam na nie zła.

— To potworna myśl. Jak on by mógł... Poza tym...

— Judytko, przecież my mamy na względzie tylko twoje dobro — usprawiedliwiała się Dorcas.

Złość zaczęła mi przechodzić. Dorcas mówiła prawdę. Ich niepokój wynikał z troski o mą pomysłność. Ucałowałam je.

— Posłuchajcie — powiedziałam. — Ja kocham Teobalda... Kocham, kocham! Czy rozumiecie? Zawsze go kochałam i zawsze będę. I zamierzamy razem pracować. Jesteśmy najbardziej idealną parą na świecie. Nie ważcie się mówić inaczej. Nie ważcie się myśleć inaczej...

— Och, Judytko, ty zawsze jesteś taka porywcza. Mam tylko nadzieję...

— Po co mieć nadzieję, jeżeli ma się pewność?

— Więc naprawdę tak go kochasz?

— Masz wątpliwości?

— Nie. Zastanawialiśmy się tylko, jak to jest z nim.

— Oczywiście — odparłam — on nie okazuje tak uczuć jak ja. A kto mi pod tym względem dorówna?

Zgodziły się, że mało kto.

— On robi wrażenie wyniosłego, chłodnego odludka, ale wcale taki nie jest.

— Gdybyś nie zaznała szczęścia, serca by nam pękły, Judytko.

— Nie ma obaw. Wasze serca pozostaną nienaruszone.

— Judytko, jesteś bardzo szczęśliwa, prawda? — odezwała się Alison.

— Jestem zakochana w Teobaldzie — odparłam. — A on chce mnie poślubić. Czy wobec tego brak mi czegoś do szczęścia?

* * *

Na probostwie było inaczej, Sabina przywitała mnie gorąco.

— Och, Judytko, co za radość! — zaczęła paplać trochę nieskładnie. — Oto znowu nasza stara paczka tak szczęśliwie ze sobą związana. To ciekawe, prawda? Pozostał tylko biedny Hadrian. No,

ale nie było nas do pary. Trzy kobiety i czterech mężczyzn. Uroczą proporcją... i rzadką. Prawdę mówiąc, Teobald nie był jednym z naszej paczki. To znaczy w klasie. Z kolei drogi Jan i kochany Oliver nas uczyli. Jestem taka zadowolona. To ty, Judyto, zawsze nami komenderowałaś, więc Teobald jest dla ciebie bardzo odpowiedni. Zawsze mówiłam do Olivera, że tobie jest potrzebny ktoś, kto tobą będzie komenderował. I teraz masz Teobalda. Nie sądzę, by znęcał się nad tobą jak ty nad nami, ale będzie stanowczy. Mnie trudno wyobrazić sobie kogoś, kto by miał wpływ na Teobalda, a tobie? Och, Judyto, masz szczęście. I nie wyobrażam sobie kogoś lepszego dla mego kochanego, doskonałego brata.

To przywitanie bardziej dodawało mi otuchy niż wątpliwości podnoszone w Rainbow Cottage. A ona ciągnęła dalej:

— To było takie ekscytujące. Sir Ralf i to wszystko... i te pieniądze! Będziesz mogła wszędzie podróżować z Teobaldem. Ojcu zawsze zależało, by inni... no wiesz, wspierali finansowo jego wyprawy. Co nie znaczy, że sam nie wydał mnóstwa pieniędzy na nie. Mama zawsze mówiła, że bylibyśmy bajecznie bogaci, gdyby nie obsesja ojca.

I tak w końcu odniosłam wrażenie, że gdziekolwiek była mowa o moim małżeństwie, wszędzie wpływała sprawa mego dopiero co uzyskanego bogactwa.

* * *

Rozmowa z lady Bodrean przyniosła mi niekłamano radość. Zgłosiłam się do niej po odczytaniu testamentu. Mój widok musiał być dla niej przykry, co mnie nie dziwiło.

— A więc przyszła pani — odezwała się — złożyć wymówienie.

— Oczywiście, lady Bodrean.

— Spodziewałam się tego. Jest to dla mnie niedogodne.

— Cóż, jeśli byłam pani tak pomocna, to starannie ukrywała pani ten fakt. Jestem skłonna pozostać jeszcze około tygodnia, do czasu, aż mnie ktoś zastąpi.

— Teraz już pani wie, że była mi narzucona. Przed panią nigdy nie miałam osoby do towarzystwa.

— Wobec tego zapewne pani uzna, iż nic nie stoi na przeszkodzie, żebym odeszła natychmiast.

Najwyraźniej doszła do wniosku, że w mojej nowej sytuacji już nie będę się nadawała na jej ofiarę. Udawała, że się zastanawia, lecz zgodziła się zwolnić mnie od razu.

Sam fakt, że jestem córką sir Ralfa, z pewnością jej nie zaskoczył. Raczej jego zachowanie wobec mnie utwierdziło jej przypuszczenia o charakterze naszego stosunku i z tej przyczyny była szczególnie dla mnie przykra.

Natomiast bardzo intrygowało ją, dlaczego Teobald poprosił mnie o rękę. Chciała, żeby za niego wyszła jej własna córka. Nie mogła się pogodzić z tym, że Teodozja wyszła za Jana Calluma, a mnie w udziale przypadła główna nagroda.

— Słyszałam, że wkrótce wychodzi pani za mąż — powiedziała, krzywiąc pogardliwie wargi.

— Dobrze pani słyszała — odpowiedziałam.

— Muszę przyznać, że byłam zaskoczona, do chwili gdy...

— Do kiedy?

— Wiem, że sir Ralf zwierzał się sir Edwardowi. Byli bliskimi przyjaciółmi. Bez wątpienia opowiedział mu o tej sytuacji i to był powód, dla którego...

— Nigdy w przeszłości nie owijała pani swych słów w bawełnę, lady Bodrean. Nie ma potrzeby teraz tego czynić, gdy spotykamy się na równej stopie. Czy pani sugeruje, że sir Teobald Travers oświadczył mi się, gdyż jestem córką sir Ralfa?

— Sir Ralf gorąco pragnął połączenia naszych rodzin. Oczywiście wolałby, żeby to się stało dzięki jego prawdziwej córce, która zamiast tego musiała wyjechać z tym żyjącym w nędzy nauczycielem.

— Pozwalam sobie sprostować pani twierdzenie, co nie było nigdy możliwe, zanim moja tożsamość nie została ujawniona, i przypomnieć pani, że profesorowi Callumowi daleko jest do nędzy. Zajmuje poważne stanowisko na jednym z czołowych uniwersytetów w kraju i określenie „nauczyciel” jest raczej zupełnie nieodpowiednie wobec akademickiego wykładowcy archeologii.

— Nie tego człowieka sir Ralf życzył sobie na męża córki. Ale ona była głupia i zlekceważyła nas. Więc sądzę, że sir Ralf uznał, iż skoro zachowała się tak nierozsądnie, to podsunie pani szansę, z której ona nie skorzystała.

— Mój przyszły mąż nie jest nagrodą położoną na półmisku, którą się wszystkim dookoła podsuwa.

— Można by rzec za to, że jemu podsunęto niezłą nagrodę. Jestem zdumiona, że mój mąż w taki sposób zadysponował swym majątkiem. Powiedziałabym nawet, że to zwycięstwo niemoralności i niepoważny wybryk.

Nie mogłam dać jej poznać, że te złośliwe uwagi mnie dotknęły. Sugestia, iż miałabym być poślubiona z wyrachowania, nie była dla mnie nowa.

Pozegnałam ją i opuściłam, nie pozostawiając wątpliwości, że nasz związek jako chlebobawczy i pracownika dobiegł końca.

Wróciłam do Rainbow Cottage, który do czasu ślubu stał się mym domem.

* * *

Ślub miał się odbyć bez zwłoki. Teobald nalegał. Dorcas i Alison uważały, że to nie bardzo wypada urządzać wesele tak szybko po pogrzebie i to po pochowaniu człowieka, który okazał się moim ojcem.

Kiedy zwróciłam na to uwagę Teobaldowi, odrzekł:

— Co za bzdury! Dopiero po fakcie dowiedziałas się, że był twoim ojcem.

Zgodziłam się z nim. Byłam gotowa zgadzać się z nim we wszystkim. Kiedy z nim przebywałam, zapomniałam o wszelkich wątpliwościach. Tak bardzo pragnął tego ślubu i choć w żadnym razie nie był człowiekiem wylewnym, pod wpływem jego spojrzenia ogarniała mnie wręcz błogość. Wiedziłam, że rozmyśla nad naszym wspólnym przyszłym życiem 7 największą radością. Całkowicie wtajemniczył mnie w swe plany. Zapis testamentowy dokonany przez sir Ralfa na cele badawczych prac archeologicznych był dla niego łaską niebios. Ta wielka suma pieniędzy odpowiednio ulokowana przyniesie dochód, który będzie mógł być w całości przeznaczony na poszukiwawcze wyprawy, tak fascynujące sir Ralfa.

Opowiedział mi dużo o poprzedniej ekspedycji, zakończonej tak nagle i fatalnie dla sir Edwarda. Plastycznie opisał krajobraz spieczony słońcem, prawie czułam prażący tam żar. Mogłam wyobrazić sobie podniecenie, kiedy odnaleźli na stoku góry wejście i schody wiodące do podziemnych korytarzy.

Gdy mówił o starożytnym Egipcie, jego twarz wprost płonęła namiętym zapalem. Tylko rozmowa o pracy wprawiała go w stan niemal euforii. Mówił mi jednak, że to nasze małżeństwo będzie najważniejszym wydarzeniem, ważniejszym niż praca. Że przekonam się o tym.

Bywałam często w Giza House. Teraz ten dom, który miał być moim, wydawał mi się inny. Tabita powitała mnie gorąco. Przy pierwszej sposobności powiedziała mi, jak bardzo się cieszy, że ja i Teobald pobieramy się.

— Kiedyś — szepnęła mi — naprawdę się bałam, że jego żoną może zostać Teodozja.

— Chyba powszechnie tak uważano.

— I dużo się na ten temat mówiło. Pewnie z uwagi na przyjaźń między sir Ralfem i sir Edwardem. A oni zmarli w tak krótkim czasie jeden po drugim — powiedziała z wielkim smutkiem. — Nie mam wątpliwości, że jedynie ty jesteś dla Teobalda odpowiednią żoną. — Ścisnęła mi dłoń. — Nigdy nie zapomnę, jak przychodziłaś tu pożyczać książki. To nie był szczęśliwy okres w twoim życiu, prawda?

Odpowiedziałam jej, że przeszłość nie ma już znaczenia. W ciągu ostatnich tygodni otrzymałam wszystko, co tylko mogłam sobie wyśnić.

— Ziściły się twe marzenia, Judyto — rzekła.

— Byłam wielką marzycielką. Teraz zamierzam żyć.

— Musisz mieć zrozumienie dla Teobalda.

— Myślę, że mam.

— Czasami będziesz odnosiła wrażenie, że zaniedbuje cię dla swej pracy.

— Nie sądzę. To przecież będzie także i moja praca. Mam zamiar towarzyszyć mu we wszystkim, co będzie robił. Te zawodowe sprawy ekscytują mnie tak samo jak jego.

— I tak powinno być — powiedziała. — Mam nadzieję, że gdy zostaniesz panią Giza House, nie będziesz chciała się mnie pozbyć.

— Jakbym mogła? Jesteśmy przyjaciółkami.

— Zawsze pozostawałam w bliskich stosunkach z Teobaldem i jego ojcem. Byłabym szczęśliwa, gdybym nadal mogła tu pełnić rolę gospodyni. Jednak gdybyś wolała...

— Nonsens! — wykrzyknęłam. — Chcę, żebyś tu była. Ze mną też jesteś w bliskich stosunkach.

— Dziękuję ci, Judyto.

* * *

Teobald chciał mnie oprowadzić po całym domu, lecz nie doszliśmy poza pokój, w którym kiedyś stał sarkofag, ponieważ mój przyszły mąż pragnął pokazać mi książki autorstwa jego ojca oraz plany miejsc, gdzie przeprowadzono już prace wykopaliskowe. Nie miałam nic przeciwko temu. Byłam szczęśliwa, że jestem z nim, że mogę go słuchać i potrafię dorzucać rzeczowe uwagi.

W końcu to Tabita pokazała mi dom i przedstawiła służbie. Były tam cztery służące — Emilia, Helena, Janina i Sara, niczym niewyróżniające się dziewczyny, więc zabrało mi trochę czasu, żeby je rozróżnić. Lecz poza nimi mieszkało tam jeszcze troje dziwnych ludzi.

Widywałam już tych dwóch służących Egipcjan, Mustafę i Absaloma, dziwnych, obcych i, jak słyszałam, nawet wzbudzających lęk. Chętnie nastawiałam ucha na opowieści krążące o nich po miasteczku.

Tabita wyjaśniła, że sir Edward chciał ich mieć przy sobie. Mieli gotować mu egzotyczne potrawy, których ona nie знаła. Zatrudnił ich podczas prac wykopaliskowych w Egipcie i z jakichś przyczyn upodobał sobie tych ludzi. Zatrzymał ich, a potem przywiózł ze sobą do Anglii.

Twierdziła, że śmierć sir Edwarda pogrzyżyła ich w smutku, lecz przypisywali ją nieuchronnemu zrządzeniu losu. Byli przekonani, iż tak się stało, gdyż ich chlebodawca ściągnął na siebie Klątwe Faraonów. Są zaniepokojeni — mówiła — gdyż Teobald zamierza podjąć nieukończoną pracę w miejscu, do którego ją doprowadził sir Edward. Sądziała, że gdyby mogli, odwiedliby go od tego planu.

Kiedy zostałam im przedstawiona jako przyszła lady Travers, przyglądali mi się podejrzliwie. Widywali mnie kiedyś, gdy jako dziecko wbiegałam do domu lub buszowałam po ogrodzie. Prawdopodobnie wiedzieli o incydencie z mumią. Byłam przygotowana na ich pobyt w tym domu.

Inaczej rzecz się miała z Janet Tester. Obecnie była bardzo wiekową kobietą. Kiedyś opiekowała się Teobaldem i Sabina, a jeszcze przedtem ich matką. Po jej śmierci została z nimi. Pamiętałam, jak Sabina opowiadała, że stara nianusia Tester żyje w jakimś własnym „niesamowitym” świecie, ale ponieważ Sabina zazwyczaj przeplatała swą opowieść o starej kobiecie innymi tematami, tak naprawdę nie za bardzo na jej słowa zwracałam uwagę. W Giza House ciekawiło mnie dużo bardziej wiele innych rzeczy. Widziałam nianię Tester raz czy dwa i pomyślałam, iż to dziwna osoba, ale było tam tyle osobliwości, że na tym tle nie wyglądała niezwykle.

Słyszałam opowieści służących, którym czasem w tym domu „cierpła skóra”. Przypisywałam to owym dziwnym przedmiotom, które się tam znajdowały, jak na przykład sarkofag i ta niezapomniana mumia. Z tym nastrojem niepokoju mieli też coś wspólnego Mustafa i Absalom oraz — uświadomiłam to sobie teraz — także niania Tester.

— Muszę ci coś wyjaśnić w związku z Janet Tester — rzekła Tabita, zanim mnie jej przedstawiła. — To dziwna kobieta. Teraz jest naprawdę bardzo stara. Była jeszcze piastunką żony sir Edwarda i oczywiście pozostała jej ogromnie oddana. Potem opiekowała się Teobaldem i Sabina. Po śmierci lady Travers zapadła na umyśle, prawie dostała obłądu. Wiesz, jak to jest z niektórymi takimi opiekunkami. Ich racją bytu są dzieci. Musimy być z nią dość ostrożne... i łagodnie do niej podchodzić. Ona czasami bredzi. Sir Edward chciał ją zaopatrzyć finansowo i gdzieś przenieść, ale się nie zgodziła. Powiedziała, że zawsze była przy tej rodzinie i tu zostanie. Znalazło się dla niej idealne pomieszczenie na samym szczycie domu, całkowicie odseparowane od innych. Janet była zachwycona i poprosiła, by je dać do jej dyspozycji. Sama tam gospodaruje, choć oczywiście mamy na nią oko.

— Dość niezwykle układ.

— Przekonasz się, że wchodzisz do niezwyklej rodziny. Teobald, tak samo jak jego ojciec, daleki jest od szablonowych zachowań. Sir Edward nie życzył sobie, żeby mu zawracać głowę codziennymi sprawami. Przechodził nad nimi do porządku dziennego i łatwo uwalniał się od odpowiedzialności. Teobald jest do niego podobny w tym i w wielu innych kwestiach. Albo trzeba było Janet Tester tu zatrzymać, albo odesłać ją do jakiegoś domu opieki. To by ją unieszczęśliwiło. Teobald chodzi do niej na górę... kiedy przypomni sobie o jej istnieniu. Sabina odwiedza ją dość często. To staruszkę podtrzymuje na duchu. Sabina jest jej ulubienicą. Kiedyś wyróżniała Teobalda, lecz odkąd poszedł w ślady ojca, zwróciła się ku Sabinie.

— Z tego, co mówisz, wynikałoby, że ona nie lubiła sir Edwarda.

— Wiesz, jakie są te stare nianie. Była o niego zazdrosna. Ona miała swoją panienkę Rutę — lady Travers — będącą jeszcze dzieckiem. Na zawsze pozostała dla niej dzieckiem. Nie mogła znieść wtrącania się męża. Biedna Janet. Bardzo się postarzała. Musi mieć z osiemdziesiąt lat. No, ale chodźmy i złożmy jej wizytę.

Weszliśmy na schody. Jaka w tym domu panowała cisza. Nasze stopy zatapiały się w grubym dywanie, którym był pokryty każdy skrawek podłogi. Zwróciłam na to uwagę Tabicie, a ona odpowiedziała:

— Sir Edward nie znosił hałasu podczas pracy.

Dom był wysoki, a mieszkanie Janet Tester mieściło się ponad czwartym piętrem i składało z kilku pomieszczeń pod spadzistym dachem.

Zaskoczyło mnie, gdy na pukanie otworzyła drzwi siwowłosa kobieta o łagodnym wyrazie twarzy. Miała na sobie świeżo wypraną, haftowaną białą bluzkę z muślinu i spódnicę z czarnej krepy.

Tabita powiedziała:

— Janet, przyprowadziłam pannę Osmond, żebyś ją poznała. Popatrzyła na mnie oczami zamglonymi ze wzruszenia.

— Wejdźcie, wejdźcie — poprosiła.

Ten pokój na poddaszu był uroczy, ładnie umeblowany, cały zasłany ręcznie wykonanymi dywanikami i mnóstwem poduszek w haftowanych pokryciach. W kominku palił się ogień i czajnik w bocznym schowku zaczynał już syczeć.

— Napijcie się ze mną herbaty — rzekła.

— Z przyjemnością — odpowiedziałam. — Słyszała pani o mnie?

— No jakżeby inaczej, oczywiście. Teobald mi powiedział, a ja mu na to: „A teraz powiedz mi, Teobaldzie, jaka ona jest”. A on: „Pasjonuje się moją pracą”. Tylko tyle potrafił powiedzieć. Cały on! Ale ja wiedziałam. Widywałam cię często, jak hulając po ogrodzie. Ale byłaś psotna! Zaparzę herbatę.

— Może ja to zrobię — zaproponowała Tabita — a ty i panna Osmond sobie pogawędzicie.

Wyraz jej łagodnej twarzy zastraszająco się zmienił. Wzrok stał się niemal jadowity, zacisnęła wargi.

— Nie, dziękuję — odparła. — Sama zrobię własną herbatę w moim własnym pokoju.

Kiedy się krzątała przy kominku, Tabita rzuciła mi wymowne spojrzenie. Zapewne przygotowujące mnie do dziwactw Janet Tester, o których wspomniała.

Herbata była gotowa.

— Zawsze ją mieszam — wyjaśniła mi — i czekam pięć minut. Tylko tak dobrze naciąga. Zagrzej dzbanek, stale powtarzałam paniące Rucie...

— To znaczy lady Travers — wyjaśniła Tabita.

Ta uwaga wywołała ponownie nienawistne spojrzenie staruszki.

— Herbata musi być sypana do suchego dzbanka — ciągnęła dalej Janet Tester. — To bardzo ważne.

Mrucząc coś, nalewała herbatę.

— Cóż, moja droga, myślę, że będziesz szczęśliwa — powiedziała do mnie. — Teobald był kiedyś takim dobrym chłopcem.

— Kiedyś? — zapytałam.

— Jako małe dziecko zawsze przebywał ze mną. Wtedy był chłopczykiem mamusi. Ale kiedy poszedł do szkoły i zaczął dorastać, zbliżył się do ojca.

Pokiwała głową ze smutkiem.

— Teobald miał wrodzoną skłonność do archeologii od samego początku — wyjaśniła Tabita. — Sir Edward był oczywiście tym zachwycony, a Teobald odnosił wiele korzyści z tego, że jest synem takiego ojca.

Janet Tester nie przestawała mieszać herbaty łyżeczką. Wyczuwałam, że atmosfera staje się napięta.

— A teraz masz go poślubić — powiedziała. — Jak ten czas leci. Wydaje mi się, że zaledwie wczoraj bawiłam się z nim w chowanego.

Myśl o Teobaldzie bawiącym się w chowanego była tak zabawna, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

— Od tamtych czasów przeszedł długą drogę — powiedziałam.

— Mam nadzieję, że to nie jest droga do zguby — rzekła Janet Tester, gwałtownie mieszając herbatę.

Spojrzałam na Tabitę, która lekko wzruszyła ramionami. Uznając temat dotyczący zawodu Teobalda i jego ojca za niezbyt bezpieczny, spytałam ją o dzieciństwo mego narzeczonego.

Ucieszyło ją to.

— Był grzecznym chłopcem. Nigdy zbyt nie psocił. Panienska Ruta świata poza nim nie widziała. Był wyłącznie jej chłopczykiem. Mam jakieś zdjęcia.

Przyniosła fotografie. Z przyjemnością je oglądałam. Teobald nagusek siedzący na futrzanym dywaniku. Dwuletni Teobald — istne чудо. Teobald z Sabiną.

— Czyż ona nie jest śliczną pieścioszką? — rozpływała się Janet Tester.

Potwierdziłam.

— Taka mała szczebiotka. Nie przestawała na moment świergotać.

Zauważyłam, że to cecha, która jej została.

— Mała figlarka! — zachwycała się niania czule.

Było też zdjęcie Teobalda, stojącego obok dość ładnej kobiety ze strzechą puszystych włosów, trzymającej niemowlę na kolanach.

— To on z matką. O, a to Teobald w szkole. Z kijem do krykieta. Nie był dobrym sportowcem — powiedziała niania Tester z rozczarowaniem w głosie. — Pochłaniała go tylko nauka. Nie tak jak Sabinę. Mówili, że ona nie potrafi się skupić. I oczywiście on zgarniał wszystkie nagrody. Wtedy sir Edward, który przedtem ledwo zauważał dzieci, zaczął zwracać na niego uwagę.

Niania okazywała swe uczucia mimiką, gestami, tonem głosu. Pogardliwie machała ręką, wydymała wargę, przymykała oczy. Przebywałam z nią tak krótko, ale już wiedziałam, że ona nie znosiła Tabity i sir Edwarda, uwielbiała zaś panienskę Rutę. Teobaldowi — dziecku była oddana, jednak trudno było powiedzieć, jak go ocenia jako dorosłego mężczyznę.

To mnie ciekawiło — nawet bardzo — i miałam wrażenie, że gdyby nie obecność Tabity, dowiedziałabym się o wiele więcej od Janet Tester.

Pożegnałyśmy się grzecznie i wyczułam, że Tabita z ulgą od niej wychodziła. Kiedy poszła przodem, a ja jeszcze byłam w małym przedpokoju, Janet nagle złapała mnie za rękę. Jej palce były wysuszone i silne.

— Panno Osmond, niech pani jeszcze do mnie przyjdzie — szepnęła. — Sama.

Gdy schodziłyśmy po schodach, powiedziałam:

— Co za dziwaczna starowinka.

— Więc zdążyłaś się już zorientować.

— Pomyślałam, że jej wygląd jest nieco mylący. Momentami jest istotnie łagodna, ale czasem wręcz przeciwnie.

— Ma swoją obsesję.

— Rozumiem, że na punkcie panienski Ruty.

— Wiesz, jakie są te stare nianie. Dla dzieci, którymi się opiekują, są jak matki. Nawet pozostają z nimi w znacznie bliższych związkach niż własne matki. Ona nie znosiła sir Edwarda. Pewnie była zazdrosna, a ponieważ jej panienska Ruta nie interesowała się pracą męża, niania miała do niego pretensję, że wykonuje taki zawód. Jak widzisz, całkiem bezsensowne rozumowanie. Matka chciała, żeby Teobald został duchownym. Oczywiście on się do tego zupełnie nie nadawał i od młodych lat zdecydował, że pójdzie w ślady ojca. Zadowolenie ojca wynagrodziło mu rozczarowanie matki i Janet. Ale one obie miały o to żal do sir Edwarda. Chyba lady Travers była nieco rozhisteryzowaną osobą i bez wątpienia często zwierzała się Janet, która nie widziała w niej żadnych wad. Małżeństwo Traversów było pod wieloma względami fatalne, choć lady Travers wniosła w nie wielki posag.

— Znowu pieniądze — powiedziałam. — To dziwne, że ten temat co krok się pojawia.

— No, to artykuł pierwszej potrzeby, sama musisz przyznać.

— W niektórych małżeństwach chyba odgrywa wielką rolę.

— Taki jest świat — odparła Tabita lekkim tonem. — Co to za ulga znaleźć się za drzwiami mieszkania Janet. Ja się u niej duszę.

Później dużo myślałam o tym spotkaniu. Rozumiałam niechęć Janet do sir Edwarda, ale zastanawiałam się, dlaczego ona taką postawę przybierała — co było przecież widoczne — wobec Tabity.

* * *

Szybko minęły ostatnie tygodnie przed moim ślubem. Dorcas i Alison spodziewały się bardzo uroczystej ceremonii. Natomiast na pewno niesłychanie im ulżyło, że nie muszą już ukrywać sekretu związanego z moim pochodzeniem. Zachowywały się niemal jak dzieci, które zwolniono z lekcji. Co więcej, nie musiały się już martwić o przyszłość. Miały własny domek, obiecałam wypłacać im pensje, moja sytuacja była raczej ustabilizowana. Jedynie nadal nie opuszczały ich wątpliwości co do mego przyszłego męża, choć dokładały starań, żeby się z nimi nie zdradzić. Teobald nie miał z mymi ciotkami wielu wspólnych tematów do rozmów i w czasie ich spotkań bywali dość zakłopotani. Podczas mojej obecności podtrzymywałam konwersację, lecz kiedy wychodziłam z pokoju, a potem tam wracałam, uświadamiałam sobie, że trwa krępująca cisza, bo nikt nie miał nic do powiedzenia. A przecież potrafiły swobodnie gawędzić z Oliverem o sprawach parafii, z Janem zaś o dawnych czasach i naszych figlach.

Teobald czuł się najlepiej wtedy, gdy zostawaliśmy sami. Byłam tak otumaniona miłością, zawsze okazywałam mu ją na różne sposoby, więc jego wstrzemięźliwości w tym względzie nie zauważałam może tak, jakbym powinna. Czasami siadaliśmy blisko siebie, oglądając plany związane z wyprawą. Obejmował mnie wtedy ramieniem, a ja przytulałam się do niego i myślałam, czy mi się to naprawdę przydarza. Lecz rozmowa prawie zawsze dotyczyła spraw zawodowych jego lub nieżyjącego ojca.

Kiedys powiedział:

— To cudownie mieć cię przy sobie, Judyto. — Po czym dodał. — Jesteś taka pełna zapału. Nie znam nikogo, kto by przejawiał podobny entuzjazm.

— Ty — odparłam. — I zapewne twój ojciec.

— Nie uzewnętrznialiśmy go w takiej mierze.

— Ale był waszą siłą napędową — powiedziałam. Złożył na mym czole lekki pocałunek.

— Ty wyrażasz siebie tak żywiłowo — rzekł. — Judyto, to mi się podoba. Prawdę powiedziawszy, jestem tym zachwycony.

Objęłam go ramionami i przytuliłam do siebie, tak jak niegdyś ścisnęłam Dorcas i Alison.

— Jestem ogromnie szczęśliwa — wykrzyknęłam z uniesieniem.

Potem opowiedziałam mu, jak poczułam do niego niechęć w związku z ustawicznymi chwalebami, jakimi nas karmiła na jego temat Sabina.

— Wyobrażałam sobie, że jesteś zgarbiony, nosisz okulary, masz rzadkie, przetłuszczone włosy. A ty wpadłeś do nas... do tego pokoju mumii... jak jakiś srogi i mściwy egipski bóg, który pojawił się, aby wymierzyć zemstę temu, kto sprofanował starożytny sarkofag.

— Naprawdę tak wyglądałem?

— Zupełnie — i od tej chwili zaczęłam cię uwielbiać.

— Wobec tego zapamiętam, że czasami mam mieć wygląd srogi i mściwy.

— A to, że mnie wybrałeś, jest... cudem.

— Och, Judyto, jesteś zbyt skromna.

— Nic podobnego! Wiesz, że marzyłam o tobie... i o tym, że nagle odkryjesz, ile jestem warta.

— Co się we właściwym czasie stało.

— Kiedy do tego doszedłeś?

— Gdy się dowiedziałem, że przychodzisz pożyczać książki i jesteś tak zainteresowana archeologią. A może już wtedy, gdy zobaczyłem cię wydobywającą się z bandaży. Wyglądało to, jakbyś raczej miała jakiś poważny wypadek, niż była zabalsamowana. Ale żart ci się udał.

Ujęłam jego dłoń i pocałowałam.

— Teobaldzie — rzekłam — będę troszczyła się o ciebie przez wszystkie dni twego życia.

— Chwalebny zamiar — powiedział.

— Będę dla ciebie tak ważna, że każda chwila spędzona beze mnie stanie ci się nieznośna.

— Już osiągnąłem ten stan.

— Czy to prawda? Tak rzeczywiście jest? Uścisnął mi dłoń i jej nie wypuszczał.

— Judyto, zrozum, brak mi twojej umiejętności uzewnętrzniania uczuć. U ciebie łatwo płyną słowa wyrażające najskrytsze myśli.

— Wiem, że mówię bez zastanowienia. Tobie się to z pewnością nie zdarza.

— Okaż mi cierpliwość.

— Powiedz mi jedno. Jesteś szczęśliwy?

— Nie w pełni. — Dalej mówił powoli. — Utraciłem kogoś, kto — przed tobą — był mi najbliższy na świecie. Razem pracowaliśmy, rozumieliśmy się bez słów. On teraz leży martwy, zmarł tak nagle. Jednego dnia był zdrowy, następnego stracił życie... z niewyjaśnionych przyczyn. Nie mogę przeboleć jego śmierci, Judyto. I jeszcze długo tak będzie. Dlatego musisz być cierpliwa. Nie mogę na równi z tobą cieszyć się życiem i to okazywać. Moja kochana, kochana Judyto. Jestem przekonany, że po ślubie mój ból stopniowo się ukoj.

Położyłam mu głowę na piersi i mocno trzymałam go w objęciach.

— Pragnę uczynić cię szczęśliwym, dać ci coś, co wynagrodziłoby twą stratę. Temu poświęcę me życie.

Pocałował moje włosy.

— Dziękuję Bogu za ciebie, Judyto — rzekł.

* * *

W związku z naszym ślubem powstały pewne tarcia między Teobaldem a moimi ciotkami.

— Uroczystość nie może się odbyć — oznajmiła stanowczo Alison — dopóki nie minie „godziwy” czas po śmierci sir Edwarda i sir Ralfa.

— Ojcowie wasi dopiero co zmarli! — stwierdziła Dorcas. — Powinniście poczekać przynajmniej rok.

Nigdy nie widziałam Teobalda tak przekonująco i żarliwie obstającego przy swoim.

— To niemożliwe! — tłumaczył podniecony. — Wyjazd do Egiptu jest sprawą najbliższych miesięcy. Judyta musi tam pojechać jako moja żona.

— Nie mogę sobie wyobrazić, co ludzie powiedzą — wtrąciła nieśmiało Dorcas.

— To mnie najmniej obchodzi — oznajmił Teobald.

Najwyraźniej zbił je z tropu, ale później słyszałam, jak mówiły do siebie: „Jego to może nie obchodzić, ale nas obchodzi, bo mieszkamy tu całe życie i nadal będziemy”.

— Teobald nie przejmuje się utartymi zwyczajami — usiłowałam załagodzić sytuację. — I rzeczywiście nie ma się co martwić opinią innych.

Nie odpowiedziały, tylko kiwały głowami nade mną i moimi sprawami. Byłam zaślepiona, a według nich nie należy mężczyźnie przed ślubem w taki sposób okazywać uczuć. Po ślubie — tak. Jest obowiązkiem żony dzielić poglądy męża, być mu uległą pod każdym względem, chyba żeby okazał się „jakimś kryminalistą”. Ale przed ślubem kobieta nie może „nie cenić siebie”. Obyczaj

nakazuje, by — zanim dojdzie do małżeństwa — to mężczyzna padał przed kobietą na kolana. Roześmiałam się z pobłażliwością.

— Powinnyście wiedzieć, że moje małżeństwo będzie takie jak żadne inne. Nie możecie się spodziewać, że będę robiła to, czego się ode mnie oczekuje.

Kiedy były tylko ze mną, czasami udzielało im się podniecenie związane ze ślubem, ostatecznie jest to wydarzenie w rodzinie. Przeglądały wszystko, co miałam wnieść w posagu. Rozmawiały o przyjęciu i martwiły się, że w Rainbow Cottage jest za mało miejsca, a wesele powinno się odbyć w domu panny młodej.

Mogłam się z nich wyśmiewać, ale rozumiałam ich niepokój. Chciały, żebym poczekała rok nie ze względu na konwenans, tylko uważały, że potrzebny mi jest czas, abym przejrzała na oczy, jak się wyraziły. Wybrały mi na męża Olivera, a następnie Jana. Teobald zupełnie im nie odpowiadał.

Dorcas się przeziębiła, co jej się niezmiennie przydarzało, kiedy coś ją napawało niepokojem. Przeziębienia te trzeba było dobrze leczyć, bo inaczej przechodziły w bronchit.

* * *

Pewnego dnia Teobald w wielkim pośpiechu przyszedł do Rainbow Cottage. Kiedy ujął me dłonie w swe ręce, oczy błyszcząły mu podnieceniem. Przez chwilę myślałam, że to na mój widok. Ale zaraz okazało się, jaka była prawdziwa przyczyna.

— Judyto, zdarzyło się coś wprost niebywałego. Prawie nieopodal stąd. Dokładnie w hrabstwie Dorset. Robotnik kopiący rów wygrzebał jakieś resztki ceramiki rzymskiej. Podobno ciekawe odkrycie. Bardzo prawdopodobne, że doprowadzi do dalszych. Jestem tam zaproszony, mam wykonać ekspertyzę. Wyjeżdżam jutro. Chcę, żebyś ze mną pojechała.

— To wspaniała nowina. Opowiadaj.

— Chwilowo wiem bardzo niewiele. Ale takie odkrycia są ogromnie ekscytujące. Nigdy nie wiadomo, czego się będzie można dokopać.

Rozmowa miała miejsce w ogrodzie. Teobald nie mógł długo zostać, musiał wracać do Giza House i przygotować się do wyjazdu. Wróciłam do domu, żeby powiedzieć ciotkom, że nazajutrz wyjeżdżam.

Byłam zdumiona ich sprzeciwem.

— Moja kochana Judytko! — zawołała Alison. — Co ty sobie wyobrażasz? Jak możesz — niezamężna kobieta — wyjechać z mężczyzną?

— Z mężczyzną, którego mam poślubić.

— Ale któremu jeszcze nie jesteś poślubiona — odpowiedziała Dorcas ochryłym głosem i tonem wskazującym, iż ma nadzieję, że nigdy tym mężczyzną nie będzie Teobald.

— To nie wypada — orzekła Alison stanowczo.

— Drogie cioteczki — powiedziałam — w świecie Teobalda takie drobne konwenanse nie mają znaczenia.

— Żyjemy dłużej od ciebie, Judytko. Wiele dziewcząt cieszyło się na swe małżeństwo, a później gorzko tego żałowały. To te, co zawierzyły swym narzeczonym, wyjechały z nimi, a potem nie doczekały się bicia weselnych dzwonów.

Wybuchnęłam gniewem.

— Najpierw dajecie do zrozumienia, że Teobald żeni się ze mną dla pieniędzy, a teraz z kolei, że chce mnie uwieść i porzucić. To doprawdy absurdalne.

— Nic takiego nie sugerowałyśmy — odparła Alison stanowczo. — A jeśli takie myśli lęgną się w twojej głowie, to naprawdę, Judytko, powinnaś poczekać i wszystko rozważyć. Żadna narzeczona nie powinna podejrzewać, że jej wybrany byłby zdolny do czegoś takiego.

No i jak mogłam z nimi dyskutować? Poszłam do swego pokoju i zaczęłam pakować rzeczy potrzebne do wyjazdu.

Wieczorem zapukała do mych drzwi Alison. Była zdenerwowana.

— Martwię się o Dorcas. Uważam, że natychmiast powinniśmy wezwać doktora Gunwena.

Powiedziałam, że zaraz po niego pójde, co też uczyniłam.

Przyszedł i orzekł, że Dorcas ma bronchit. Przez całą noc razem z Alison stosowałyśmy jej inhalacje przy pomocy pary wodnej ze specjalnego kociołka.

Wiedziałam, że następnego dnia nie pojadę do Dorset i nie zostawię opieki nad Dorcas samej Alison, więc powiedziałam jej, że pójde do Giza House i wyjaśnię sprawę Teobaldowi.

Zanim się odezwałam, on już zaczął mi opowiadać o znaleziskach, które okazały się bardziej cenne, niż początkowo sądzono. Przerwałam mu.

— Teobaldzie, ja nie jadę.

Wyraz jego twarzy zmienił się. Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Nie jedziesz?

— Ciocia Dorcas zachorowała. Nie mogę zostawić Alison samej. Muszę zostać. Dorcas ma ataki kaszlu i duszności, co nas bardzo niepokoi. Jej stan jest naprawdę bardzo ciężki.

— Możemy jakoś to rozwiązać. Któraś służąca mogłaby tam pójść i cię zastąpić.

— Ciocia Alison by się nie zgodziła. To nie byłoby to samo. Muszę tam być na wypadek, gdyby...

Milczał.

— Proszę, Teobaldzie, zrozum. Chciałam pojechać... pragnęłam bardziej niż cegokolwiek być tam razem z tobą. Ale teraz po prostu nie mogę opuścić Rainbow Cottage.

— Z pewnością — zgodził się, lecz wyglądał na bardzo rozgoryczonego.

Wprost trudno mi było ukryć zaskoczenie. Wtedy właśnie w ogrodzie pojawiła się Tabita.

— Przyszłam zawiadomić, że nie mogę jechać. Ciocia jest chora — powiedziałam, kiedy do nas podeszła. — Muszę zostać do pomocy.

— To oczywiste — rzekła Tabita.

— Pojechałabyś zamiast Judyty? — spytał Tabitę Teobald. — Jestem pewien, że cię to niezwykle zainteresuje.

Niezwykle zainteresuje. Czy to miał być wyrzut? Uważał, że powinnam wykazać niezwykle zainteresowanie? Tabita odparła:

— Skoro Judyta musi zostać, zastąpię ją. Ty, Judyto, nie możesz teraz opuścić ciotek.

Teobald uściskał mi rękę.

— Tak się cieszyłem, że pokażę ci to wspaniałe odkrycie. Ale na to będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu... później.

— Całe nasze życie — odpowiedziałam.

* * *

W ciągu następnych paru dni Dorcas — ku naszej uldze — zaczęła wracać do zdrowia.

Była wzruszona, że zostałam, aby ją pielęgnować i podtrzymywać na duchu Alison. Powiedziała do niej, sądząc, że nie słyszę:

— Choć Judytka jest taka impulsywna, to serce ma na właściwym miejscu.

Wiedziałam, że często rozmawiają o mnie i zbliżającym się ślubie. Bardzo chciałam rozproszyć ich wątpliwości, ale wbiły sobie do głowy, że Teobald poprosił mnie o rękę, gdyż wcześniej dowiedział się o spadku. Z niecierpliwością czekałam dnia, kiedy wyprowadzę się z Rainbow Cottage, oczywiście przede wszystkim dlatego, że tęskniłam do chwili, gdy już zostanę żoną

Teobalda, lecz także pragnęłam uciec od tej atmosfery nieufności i udowodnić im, że Teobald jest najwspanialszym mężem na świecie.

Teobalda i Tabity nie było około dwóch tygodni, a powrócili tak pochłonięci tym, co widzieli, że prawie nie mówili o niczym innym. Było mi przykro, gdyż nie mogłam uczestniczyć w ich rozmowach. Teobalda to śmieszyło.

— Nie przejmuj się — powiedział — jak się pobierzemy, będziesz wszędzie ze mną wyjeżdżała.

Termin ślubu był już bliski. Sabina zaproponowała, że skromne przyjęcie weselne mogłoby się odbyć na probostwie. No bo przecież Dorcas dopiero co była chora, w Rainbow Cottage jest mało miejsca, probostwo było moim domem, a ona jest siostrą Teobalda.

— Judyto, ja nalegam! — mówiła podniecona. — Jesteś najszcześniejszą kobietą na ziemi... z jednym wyjątkiem, bo nawet Teobald nie mógłby być tak cudowny jak Oliver. Teobald jest zbyt doskonały... To znaczy, on wie wszystko... o tych starożytnościach, podczas gdy kochany Oliver zna się na grece i łacinie. Teobald też się na tym zna... ale czy możesz sobie wyobrazić Teobalda głoszącego kazanie albo wysłuchującego farmerów opowiadających mu o suszy lub opowieści matek o ich dzieciach?

— Sabino, o czym ty mówisz? Podobno miałyśmy rozmawiać o moim weselu.

— Oczywiście. Odbędzie się tutaj. Nie ustąpię. Kochany Oliver też tego pragnie. Weźmiecie ślub w jego kościele i będzie kilkoro przyjaciół tak sobie bliskich jak mój ojciec... i twój... co to za zaskoczenie i fantastyczna sprawa... byłaś cały czas córką sir Ralfa, a my nic o tym nie wiedzieliśmy. Właściwie to tak całkiem mnie nie zaskoczyło, chociaż... Pamiętasz bal? O czym to ja mówiłam? Och, przyjęcie weselne musi się odbyć w starym probostwie.

To nie był zły pomysł. Nawet Dorcas i Alison go pochwały, tylko upierały się, że skoro upłynął tak krótki czas od obu pogrzebów, to uroczystość powinna mieć ściśle rodzinny charakter.

Teobaldowi było zupełnie obojętne, gdzie urządzi się przyjęcie, dla niego w ogóle mogłoby go nie być. Chciał, żebyśmy się pobrali. Gdzie i w jakiej sprawie, to nieważne, orzekł.

Natomiast miał dla mnie niespodziankę.

— Urządzimy sobie miesiąc miodowy. Nie będziesz musiała od razu wprowadzać się do Giza House.

— To akurat by mi nie przeszkadzało. Jedno, czego pragnę, to być z tobą.

Niezwykle czułym gestem ujął mą twarz w swe ręce.

— Judyto — rzekł — nie oczekuj ode mnie zbyt wiele. Roześmiałam się — byłam taka szczęśliwa.

— Oczekuję od ciebie wszystkiego.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Widzisz, jestem raczej egoistą i zupełnie niegodnym podziwu. A poza tym mam obsesję.

— Będę ją z tobą dzielić — odpowiedziałam ze śmiechem. — A ja mam inną. Na twoim punkcie.

Objął mnie.

— Napędzasz mi strachu — wyszeptał.

— Ty się boisz? Ty nie obawiasz się niczego i... nikogo.

— Na pewno obawiam się tego wysokiego mniemania, jakie masz o mnie. Skąd się ono u ciebie wzięło?

— Znam cię.

— Masz zbyt bujną wyobraźnię, Judyto. Kiedy owładnie tobą jakaś myśl, zwykle jakieś życzenie, wtedy wszystko do niego dopasowujesz.

— To jest sposób na życie. Nauczę cię tego sposobu.

— Lepiej widzieć prawdę.
 — Sprawię, że moje mniemanie o tobie stanie się prawdą.
 — Widzę, że bezskutecznie cię ostrzegam, abys nie miała o mnie tak dobrej opinii.
 — Zupełnie bezskutecznie.
 — Czas pokaże.
 — W miarę jego upływu będziemy sobie coraz bliżsi. Będziemy wszystko robić wspólnie. Nigdy nie myślałam, że mogę być tak szczęśliwa jak w tej chwili.
 — Przynajmniej masz tę chwilę.
 — Jak możesz tak mówić! W obliczu tego, co nas czeka.
 — Moja kochana Judyto! Nie ma takiej drugiej jak ty.
 — Oczywiście, że nie. Jestem sobą. Szaloną, impulsywną, jak zwykły o mnie mówić ciotki. Apodyktyczną — to opinia Sabiny i Teodozji, a Hadrian by ją potwierdził. To oni znają mnie najdłużej. Wobec tego ty nie powinienes mieć tak dobrego mniemanania o mnie.
 — Cieszę się, że nieobce ci są pewne wady. Będę cię za nie kochał, tak jak ty, mam nadzieję, mnie za moje.
 — Będziemy bardzo szczęśliwi.
 — Miałem ci powiedzieć o naszym miodowym miesiącu. Zabiorę cię do Dorset. Archeolodzy są ogromnie przejęci tym nowym odkryciem. Marzę, żeby ci to pokazać.
 Odpowiedziałam, że to wspaniały pomysł. Lecz przyszło mi na myśl, że przy pracach wykopaliskowych będzie cała masa ludzi i że spędzenie miodowego miesiąca tylko we dwoje byłoby bardziej stosowne.
 Ale będzie tam Teobald i tylko tego pragnęłam.

* * *

Nawet skromny ślub wymagał wielu przygotowań, nie wyłączając posiedzeń u Sary Sloper, które, w moim odczuciu, ciągnęły się godzinami. Stałam w swej białej, atlasowej sukni ślubnej, Sara zaś klęczała z ustami pełnymi szpilek. Gdy tylko wpięła kolejną partię, zalewała mnie potokiem słów:

— No i proszę, jak do tego doszło. Pani, panno Judyto... i on. On był dla panienki Teodozji, wie pani, a jej się dostał ten profesorek, a pani on.
 — Saro, tak mówisz, jakby to był rodzaj loterii.
 — A bo małżeństwo to loteria, panno Judyto. No i że pani jest córką sir Ralfa, i w ogóle. Zawsze to podejrzewałam. No bo on bardzo panią lubił. I pannę Lawinie. Była ładna jak obrazek, ale według mnie pani jest bardziej podobna do sir Ralfa.
 — Dziękuję ci, Saro.
 — Nie, nie to miałam na myśli, panno Judyto. W tej ślubnej sukni będzie pani ślicznie wyglądała. Panny młode zawsze pięknie wyglądają. I ja najbardziej lubię szyć te suknie. Będzie pani niosła kwiaty pomarańczy? Nie ma lepszych bukietów dla panny młodej. Też taki miałam, jak wychodziłam za Slopera. Trochę staroświecki. Ciągłe jeszcze go mam. Leży w szufladzie. Spoglądam czasem na niego i myślę o tych dawnych dniach. I panią może to czekać. To będzie miłe, kiedy okaże się, że sprawy nie układają się po pani myśli. A czy w dniu ślubu my wszystkie nie mamy swoich nadziei?
 — Przecież dzień ślubu to dopiero początek, a nie punkt kulminacyjny.
 — Och, pani z tymi swymi mądrymi powiedzonkami. Zawsze potrafiła pani coś takiego wymyślić. Ale ja tylko mówię, że miło wrócić do dnia ślubu pod warunkiem, że nie wydarzy się nic przykrego. — Westchnęła i ciągnęła dalej: — Mam nadzieję, że pani będzie szczęśliwa, panno

Judyto. Cóż, można tylko mieć nadzieję. Módlmy się, żeby w dniu pani ślubu była ładna pogoda. Bo jak mawiają: szczęśliwa panna młoda, której przyświeca słońce.

Zaśmiałam się. Lecz przypuszczenie, że małżeństwo mogłoby być dla mnie niebezpieczną przygodą, zaczynało mnie złościć.

* * *

W dość mglisty, październikowy dzień wzięłam z Teobaldem ślub w tak dobrze mi znanym kościele. Ciekawe, że kiedy szłam środkiem głównej nawy pod rękę z doktorem Gunwenem, który zaproponował, że poprowadzi mnie do ołtarza, gdyż nie było nikogo innego, kto by mógł spełnić tę niezbędną powinność, myślałam o tym, jak zawsze cierpły mi kolana od klęczenia na matach zawieszanych w ławkach przy takich okazjach. Raczej niezwykle temat do rozważań na chwilę przed zaślubieniem Teobalda!

Družbą Teobalda był jego kolega, archeolog. Nazywał się Terencjusz Gelding i miał nam towarzyszyć podczas wyprawy do Egiptu. Nie widziałam się z Teobaldem w dniu poprzedzającym ślub. Pojechał na stację po tego przyjaciela. Przywiózł go do Giza House, gdzie Gelding miał spędzić kilka dni. Rano w dniu ślubu Tabita powiedziała mi, że rozmawiali do późna w nocy. Poczułam ukłucie ciernia zazdrości, która — jak zauważyłam — zaczynała mi towarzyszyć zawsze, gdy ktoś pod moją nieobecność nawiązywał poufale kontakty z Teobaldem. To było głupie z mojej strony, lecz chyba zbyt długo marzyłam o intymności z nim i nie bardzo mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Docierały też do mnie zawoalowane uwagi na temat mego małżeństwa, pochodzące z różnych stron, i te insynuacje podkopywały nawet mój wrodzony optymizm. Nagły dar losu w postaci spełnienia mych najśmielszych marzeń przyjmowałam z pewną dozą niepewności i nieufności.

Lecz w momencie, gdy składałam przysięgę przed Oliverem i gdy Teobald wkładał mi obrączkę na palec, byłam nieskończenie szczęśliwa, jak nigdy jeszcze w życiu.

Niestety, kiedy wyszliśmy do przedsionka kościoła, zaczął lać deszcz.

— Nie możesz wyjść w tym stroju — powiedziała Dorcas, która podeszła do mnie z boku.

— Nic nie szkodzi — odrzekłam. — To jedynie krótkotrwała ulewa, a my musimy tylko dojść do probostwa.

— Trzeba przeczekać.

Miała oczywiście rację. Więc staliśmy tam wszyscy, a ja trzymając ciągle w milczeniu rękę Teobalda, wpatrywałam się w deszcz i myślałam: Jestem naprawdę jego żoną.

Słyszałam za sobą szepty:

— Ale się niefortunnie złożyło.

— Co za pech.

— Taka pogoda w dzień ślubu.

Od strony kościelnego cmentarza zaczęła się zbliżać jakaś karłowata postać. Gdy podeszła blisko, rozpoznałam pana Peggera, nie tylko zgarbionego, ale i pochylonego pod workiem, który włożył na głowę przed deszczem. Niósł łopatę, na której widoczne były jeszcze ślady brunatnej ziemi. Więc kopał dla kogoś grób i prawdopodobnie przyszedł do przedsionka, żeby przeczekać, aż ustanie ulewa.

Kiedy zobaczył mnie i Teobalda, zatrzymał się i odchyliwszy z twarzy worek, powiódł spojrzeniem swych oczu fanatyka po naszych ślubnych strojach. Utkwił wzrok we mnie.

— Nie godzi się tak nieprzyzwoicie spieszyć ze ślubem — rzekł. — To nie po bożemu.

Skinął głową i odszedł z miną obłudnika, który chce dać do zrozumienia, że musiał wypełnić swój obowiązek, jakkolwiek niemily.

- Kim, u licha, jest ten stary wariat? — spytał Teobald.
- To pan Pegger, grabarz.
- Zachował się impertynencko.
- Cóż, zna mnie od dziecka i pewno uważa, że ciągle nie jestem dorosła.
- Zganił cię za nasze małżeństwo.

Usłyszałam szept Teodozji:

- Och, Janie, jakie to przykre. Jakby jakiś... zły omen.

Nie skomentowałam tej uwagi. Poczułam nagle gniew na tych wszystkich ludzi, którzy z zupełnie śmiesznych powodów sądzili, że jest coś dziwnego w fakcie zawarcia przeze mnie małżeństwa z Teobaldem.

Spojrzałam w górę na niebo zasnuwane niską ławicą chmur i wydało mi się, że słyszę piskliwy głos Sary Sloper: „Szczęśliwa panna młoda, której przyświeca słońce”.

* * *

Po kilku minutach deszcz ustał i mogliśmy przejść przez trawnik na probostwo.

Tak dobrze mi znana bawialnia została przybrana chryzantemami we wszystkich możliwych odcieniach, a także krzaczastymi astrami — gwiazdzistymi michałkami. Stół był ustawiony w końcu pokoju, a na nim stał weselny tort i butelki szampana.

Pokroiłam tort z pomocą Teobalda i wszyscy zaczęli klaskać. Nieprzyjemny incydent z przedśionka kościoła został chwilowo zapomniany.

Hadrian wygłosił dowcipną mowę, a Teobald odpowiedział bardzo krótko. Bez przerwy powtarzałam sobie w duchu: „To jest najważniejszy dzień w moim życiu”. Być może brzmiało to trochę jak przekonywanie samej siebie. Nie mogłam zapomnieć oczu pana Peggera spoglądających na nas spod tego idiotycznego worka. Deszcz rozpadał się na nowo, słysząc było ciężko bijące krople.

Podeszła do mnie Teodozja.

— Och, Judyto — powiedziała — tak się cieszę, że jesteśmy siostrami. Czy życie nie jest dziwne? Wysłaś za Teobalda, choć wszyscy oczekiwali, że to ja będę jego żoną, spełniła się wola ojca, żeby jego córka poślubiła Teobalda. Czy to się wszystko nie potoczyło cudownie? — Przeniosła spojrzenie na Jana, który w drugim końcu pokoju rozmawiał z Tabitą. — Taka jestem ci wdzięczna...

— Wdzięczna...?

Najwidoczniej zagmatwała się w swych wyjaśnieniach. Nigdy nie potrafiła jasno wyrażać swych myśli i często, gdy tak zaplątała się w rozmowie, trudno jej było się wywikłać.

— No wiesz... wysłaś za Teobalda i wszystko się tak dobrze ułożyło... Nie muszę mieć wyrzutów sumienia, że nie zadowoliliłam ojca...

Zabrzmiało to tak, jakbym poślubiając Teobalda, wyświadczyła jakieś dobrodziejstwo wszystkim, których przed nim uratowałam!

— Z pewnością będziesz bardzo szczęśliwa — rzekła pocieszającym tonem. — Zawsze tak dużo wiedziałaś o archeologii. Mnie jest ogromnie trudno dotrzymać kroku Janowi, ale on mówi, że bym się nie martwiła. Jest całkowicie zadowolony ze mnie takiej, jaka jestem.

— Jesteś szczęśliwa, Teodozjo?

— Och... nieskończenie. To dlatego odczuwam taką... — zamilkła.

— Taką wdzięczność dla mnie, że wysłałam za Teobalda i dzięki mnie wszystko dobrze się skończyło. Zapewniam cię, że nie poślubiłam go z tego powodu.

Przyłączyła się do nas Sabina.

— Czy to nie zabawne? My we trzy razem. I teraz wszystkie jesteśmy mężatkami. Podobają ci się kwiaty, Judyto? Panna Crewe robiła te kompozycje. Większość przyniosła z własnego ogrodu. Ma dobrą rękę do kwiatów. Zawsze wszyscy chwalą jej dekorację kościoła. A czy pamiętacie nasze rozmowy w szkolnym pokoju? Oczywiście dramatyczne przygody musiały się przydarzać Judyście. Tak zawsze było, prawda? A może ty je tak dramatycznie przedstawiałaś, a potem okazało się, że jesteś córką sir Ralfa... Z nieprawego łoża, oczywiście... ale to jest tym bardziej ekscytujące. A teraz masz Teobalda. Czyż on nie wygląda cudownie? Jak rzymski bóg albo ktoś taki... On zawsze różnił się od nas wszystkich... i ty też, Judyto... w pewnej mierze. Ale teraz, Judyto, jesteśmy siostrami. I jesteś siostrą Teodozji... Jak powiedziałam, to wspaniale! — Przeniosła pełne uwielbienia spojrzenie na Teobalda, które tak dobrze znałam. — Patrzcie tylko, Teobald panem młodym! Zawsze myśleliśmy, że on się nigdy nie ożeni! „On poślubił te wszystkie bzdury” — mówiła nianusia Tester. „Twój ojciec tak powinien być zrobić”. Zwracałam jej uwagę, że gdyby papa poślubił te wszystkie bzdury, to nie byłoby na świecie ani mnie, ani Teobalda, bo z archeologii, żeby nie wiem jak papa i Teobald byli w niej zakochani, nie rodzą się ludzie... w każdym razie żywi. Może tylko mumie. Och, czy pamiętasz, jak kiedyś przebrałaś się za mumię? Co to był za dzień! Myśleliśmy, że zabiłaś Teodozję.

Wszystkie się roześmiałyśmy. Wiedziałam, że Sabina chce podnieść mnie na duchu.

— I opowiadałaś, że Teobald chodzi zgarbiony i nosi okulary, a kiedy go zobaczyłaś, to oniemiałaś. Od tego momentu zaczęłaś go uwielbiać. Och, tak było, nawet nie zaprzeczaj.

— W ogóle nie próbuję — odparłam.

— A teraz jesteś jego żoną. Twoje marzenia się spełniły. Czy to nie cudowne zakończenie baśni?

— To nie zakończenie — stwierdziła Teodozja rzeczowo — lecz w istocie początek. Jan jest taki zadowolony, bo poproszono go o wzięcie udziału w ekspedycji.

— Naprawdę?! — wykrzyknęła Sabina. — To wielki zaszczyt. Kiedy wyjedzie, musisz u nas zamieszkać.

— Jadę razem z nim — stwierdziła Teodozja stanowczo. — Chyba nie myślicie, że puszczę Jana samego?

— A Teobald ci pozwoli? Papa nie lubił, jak się tam kręciły żony. Twierdził, że one wprowadzają zamieszanie i rozpraszają w pracy... chyba że same pracują i jest takich sporo... ale nie ty, Teodozjo. Więc Teobald ci pozwolił! Chyba teraz, kiedy sam jest żonaty, zaczął rozumieć innych. To Judyta będzie miała towarzystwo. Tabita też jedzie. Oczywiście, ona posiada wiele wiedzy z tej dziedziny. Właśnie rozmawia z Teobaldem. Założę się, o co chcecie, że mówią o Egipcie. Tabita jest piękna, prawda? Zawsze tak dobrze ubrana. Elegancko. Nie to co ja. Ten srebrnoszary kolor... taki dla niej odpowiedni! Czasami myślę, że nie widziałam piękniejszej kobiety. Musisz uważać, Judyto — dodała żartobliwie. — Byłam zdziwiona, że pozwoliłaś Teobaldowi pojechać z nią do Dorset... Och, wiem, musiałaś zostać... Ale ona jest całkiem młoda. Może rok czy dwa starsza od Teobalda, to wszystko. Zawsze taka cicha i opanowana... ale jak to się mówi, cicha woda brzegi rwie. Och, Judyto, przepraszam, jak można tak mówić do panny młodej w dzień ślubu. Chyba się zdenerwowałaś. Ale nic nie miałam na myśli. Tylko żartowałam. Teobald będzie najwierniejszym mężem na świecie! Zawsze jest zbyt zajęty, żeby mu coś innego chodziło po głowie. Cud, że się w ogóle ożenił. Jestem pewna, że będziecie bardzo szczęśliwi. Stanowicie idealne małżeństwo. Ty interesujesz się jego pracą i jesteś taka bogata, więc nie wchodzi w grę żadne problemy finansowe, a sir Ralf pozostawił tyle pieniędzy na badania archeologiczne. Czy to nie cudownie? Och, zabrzmiało okropnie, jakbyśmy byli zadowoleni, że on umarł. Ja nie. Zawsze go dość lubiłam. Uważam tylko, że wszystko się tak wspaniale potoczyło, i wiem, że będziesz ogromnie szczęśliwa. Poślubiłaś najwspanialszego mężczyznę na świecie,

oczywiście z jednym wyjątkiem. Ale nawet kochany Oliver nie jest tak wspaniały i wybitny jak Teobald... choć za to we współzyciu łatwiejszy, i uwielbiam go, i nie zamieniłabym na nikogo innego na świecie...

— Ależ ona trajkocze — powiedziałam do Teodozji — nikomu nie daje dojść do słowa.

— To zemsta za to, że nas tyranizowałaś w szkolnym pokoju. Tylko dlatego się nie rozgadałaś, gdyż to twoje wesele i jesteś nim przejęta. Gdybyś nie była pochłonięta Teobaldem i tym wszystkim, dawno byś mi przerwała.

— Więc do cna wykorzystyłaś nadarzającą się okazję. O, patrzcie, oto i Hadrian.

— Jak się macie — rzekł Hadrian. — Musiałem się przyłączyć do rodzinnego zgromadzenia.

— Rozmawialiśmy o ekspedycji — wyjaśniła Sabina. — Między innymi.

— A kto o tym nie mówi.

— Czy wiesz, że Jan i Teodozja też się tam wybierają? — spytałam.

— Słyszałem, że jest taka możliwość. Będzie jak za dawnych czasów. Wszyscy razem... poza tobą, Sabino, i twoim Oliverem.

— Oliver ma obowiązki wobec kościoła i parafii... a ponadto on jest księdzem, a nie archeologiem.

— Więc ty też jedziesz, Hadrianie.

— Dano mi przyzwolenie. Będę miał szansę uciec od wierzylieli.

— Zawsze wspominasz o pieniądzach.

— Już ci mówiłem, nie jestem wystarczająco bogaty, żeby się nimi nie przejmować.

— Bzdura — odparłam.

— A teraz ty, Judyto, dołączyłaś do tej zgrai plutokratów. No cóż, według Teobalda ta wyprawa to dla nas dobre doświadczenie. Będziemy musieli trzymać się razem, na wypadek gdyby jakiś rozgniewany bóg wy dostał się ze swej nory, żeby nas porazić.

— W norach kryją się bogowie? — spytała Sabina. — Myślałam, że lisy. Jeden taki rudy robi szkody na farmie Brenta. A Brent czatuje na niego ze strzelbą.

— Niech ją ktoś powstrzyma — powiedział Hadrian — zanim przejdzie do innego tematu.

— Właśnie — wtrąciłam — co nas obchodzą lisy. Wyprawa jest o wiele bardziej interesująca. Nie mogę się jej doczekać. Już wkrótce wyjeżdżamy do Egiptu.

— Stąd taki pośpiech ze ślubem — powiedział Hadrian. — Co sądzisz o tym dziwnym typku w przedsionku kościoła?

— To tylko stary Pegger.

— Mówi się o złej przepowiedni. Nie mógł się pojawić w mniej właściwej chwili... a z jego punktu widzenia pewno w najwłaściwszej. Wyglądał, jakby był uradowany, że jest zwiastunem nieszczęścia.

— Bardzo wszystkich proszę, przestańcie napomykać o jakimś nieszczęściu. — Miałam już tego dosyć. — To w najwyższym stopniu niestosowne.

— Oczywiście — zgodził się Hadrian. — Właśnie idzie tu twój czcigodny małżonek, Sabino. Może odmówi modlitwę albo dokona egzorcyzmu dla wypędzenia złego ducha wywołanego przez tego starego upiora w przedsionku kościoła.

— Niczego takiego nie będzie robił — stwierdziła Sabina, biorąc męża pod rękę.

— Przyszedłeś w samą porę — rzekł Hadrian — żeby powstrzymać swą niezbyt logicznie myślącą żonę od wygłoszenia rozprawy na temat obowiązków proboszcza. Gdzie by nas to zaprowadziło, jedynie niebiosza wiedzą. I Sabina. Mam zamiar porwać wam pannę młodą i zabrać ją na czule tete-à-tete.

Znaleźliśmy się sami w rogu pokoju. Spojrzał na mnie i pokręcił głową.

— No, no, Judyto, tak nagle to się stało.

— Tylko nie ty — zaprotestowałam.

— O, nie miałem na myśli tego, co stary Pegger. Chodzi mi o to, że weszłaś w posiadanie fortuny i wyszłaś za mąż w okamgnieniu lub żeby oderwać się od metafor fizjonomicznych, Piorunem.

Zaśmiałam się. Hadrian zawsze potrafił poprawić mi humor.

— Gdybym wiedział, że odziedziczysz majątek, sam bym się z tobą ożenił.

— Cóż za stracona okazja! — zazartowałam.

— Pełno ich w moim życiu. Ale poważnie, któż by pomyślał, że staruszek zostawi ci połowę swojej fortuny. Ten ochłap, który dostałem, był dla mnie prawie ciosem.

— Ależ, Hadrianie, to całkiem przyzwoita suma i jest tylko dodatkiem do tego, co zarabiasz, wykonując swój zawód.

— Straszne bogactwo — mruknął. — Mówiąc bez żartów, Judyto, szczęściarz z tego Teobalda. Ty i te wszystkie pieniądze. No i to, co stryj pozostawił dla sprawy.

— Bardzo bym chciała, żeby ludzie choć na chwilę przestali mówić o pieniądzach.

— To dzięki pieniądzom świat się kręci... a może dzięki miłości? A ty, Judyto, wybranko losu, masz jedno i drugie.

— Widzę, że ciotki dają mi gwałtownie jakieś znaki.

— Pewno nadchodzi czas odjazdu.

— Tak. Powóz ma nas zawieźć na stację za niecałą godzinę. Jeszcze muszę się przebrać.

Dorcas podeszła do nas w pośpiechu.

— Judytko, czy zdajesz sobie sprawę, która godzina?

— Właśnie mówiłam Hadrianowi, że czas nagli.

— Najwyższa pora, żebyś się przebrała.

Wymknęłyśmy się z Dorcas i Alison i poszłyśmy do pokoju, który odstąpiła mi Sabina. Wisiało tam moje ubranie: srebrno — szary żakiet z rypsu, spódnica z tego samego materiału, biała bluzka ozdobiona mnóstwem falbanek oraz mała, szara aksamitna kokarda wiązana na szyi.

Srebrnoszare. Takie eleganckie. Oczywiście. Kiedy strój w tym kolorze nosi taka kobieta jak Tabita.

— Wyglądasz prześlicznie — zachwyciła się Dorcas.

— To dlatego, że patrzysz na mnie oczami miłości — powiedziałam.

— Będzie jeszcze ktoś, kto spojrzy na ciebie w ten sam sposób — rzekła Alison szybko. Po czym nastąpiła prawie niedostrzegalna pauza, zanim dodała: — Mamy nadzieję.

Wysłałam na ganek. Powóz był podstawiony i Teobald na mnie już czekał.

Wszyscy zgromadzili się wokół. Stangret zaciął konia. Teobald i ja wyruszyliśmy na nasz miodowy miesiąc.

* * *

Co mam opowiedzieć o tym miodowym miesiącu? Że zawiódł moje oczekiwania? Początkowo było cudownie i ten cud trwał dwie noce i jeden dzień. Wtedy Teobald należał wyłącznie do mnie. Staliśmy się sobie bardzo bliscy. Przerwaliśmy podróż do Dorset i pierwszą noc, następny dzień i kolejną noc spędziliśmy w małym zajeździe w samym sercu wielkiego obszaru wrzosowisk.

— Zanim pojedziemy na teren wykopalisk — powiedział do mnie — chyba powinniśmy dać sobie chwilę wytchnienia.

— Świetny pomysł — zgodziłam się.

— Myślałem, że nie możesz się już doczekać, kiedy obejrzysz te mozaikowe płyty podłogowe, które odkryliśmy.

— Bardziej nie mogę doczekać chwili, kiedy będę tylko z tobą.

Moje szczere wyznanie rozbawiło go, lecz jednocześnie jakby nieco speszyło. Znowu podkreślił, że nie posiada mej umiejętności wysławiania swych uczuć.

— Nie wolno ci sądzić, Judyto — rzekł — że skoro stale nie wyznaję ci miłości, to jej nie czuję. Mam trudności z mówieniem o sprawach, które najgłębiej odczuwam.

To mi wystarczyło.

Nigdy nie zapomnę zajazdu w małym miasteczku pośród wrzosowisk. Szyld oberży skrzypiał tuż nad naszym, umieszczonym w szczycie domu, oknem. Zajazd był stary, miał ze trzysta lat. Słysząc było szum wodospadu odległego o niecałe pół mili. Woda rozpryskiwała się na skalistych głazach i rzucała połyskliwe refleksy na sufit ponad naszym staroświeckim łóżem, w którym oboje leżeliśmy pod pierzyną.

W kominku palił się ogień, a ja, wtulona w oplatające mnie ramię Teobalda, wpatrywałam się w migoczące cienie na tapecie w wielkie, czerwone róże. Byłam bezgranicznie szczęśliwa.

Śniadanie podano nam w starej jadalni, gdzie na półkach stały naczynia z mosiądzu i cyny, a szynki zwisały spod powały. Była gorąca kawa, świeży chleb prosto z pieca, szynka oraz jajka z pobliskiej farmy, placuszki z jęczmiennej mąki, dżem truskawkowy domowej roboty, a do tego jeszcze w miseczce śmietanka, prawie w kolorze jaskrów. I naprzeciwko mnie siedział Teobald wpatrzony we mnie nieomal z zachwytem. Jeśli kiedykolwiek byłam w życiu piękna, to właśnie tego ranka.

Po śniadaniu poszliśmy na wrzosowiska i spacerowaliśmy kilometrami po uginającej się pod naszymi stopami darni. Żona właściciela zajazdu zapakowała nam trochę jedzenia do wiklinowego kosza i przy małym, szemrzącym strumyku urządziliśmy sobie piknik. Widzieliśmy pasące się dzikie kucyki, zbyt strachliwe, by zbliżyć się do nas. Jediną ludzką istotą, którą napotkaliśmy, był woźnica wiozący na furze jabłka i gruszki. Pomachał nam batem i pozdrowił. Później powitał nas jeszcze jakiś człowiek jadący konno. Po dniu spędzonym w tak idyllicznym nastroju, wróciliśmy na przepyszną kaczkę z zielonym groszkiem, a w końcu znaleźliśmy się z powrotem w naszej przytulnej sypialni z płonącym kominkiem.

Następnego dnia złapaliśmy pociąg do Dorset.

Oczywiście byłam zafascynowana starorzymskimi znaleziskami, lecz wtedy pragnęłam tylko jednego — kochać i być kochaną przez Teobalda. Hotel, w którym się zatrzymaliśmy, był pełen ludzi należących do ekipy prowadzącej prace wykopaliskowe i tym się zasadniczo różnił od naszej przystani w masywie Dartmoor. Byłam dumna z Teobalda, którego witano z wielkim szacunkiem. I choć zdawałam sobie sprawę, że byłam amatorką pomiędzy profesjonalistami i ciągle nie całkiem orientowałam się w różnych fachowych zawilosciach, to nadal gorąco pragnęłam się wszystkiego nauczyć. Mój mąż był zachwycony taką postawą.

Następnego dnia do hotelu zawitał Terencjusz Gelding, drużba Teobalda. Wysoki, dość szczupły, podchodził do swej pracy z powagą i oddaniem, które cechowało wielu kolegów Teobalda. Zachowywał się z rezerwą i robił wrażenie, jakby moja obecność trochę go denerwowała. Doszłam do wniosku, że nie był zachwycony małżeństwem Teobalda. Kiedy podzieliłam się tą myślą z moim mężem, wyśmiał mnie.

— Masz dziwne pomysły, Judyto — powiedział, a ja przypomniałam sobie, jak często Dorcas i Alison tak o mnie mówiły. — Terencjusz Gelding jest pierwszorzędnym pracownikiem, godnym zaufania, na którym można polegać. Właśnie z takimi ludźmi lubię pracować.

Teobald z Geldingiem prowadzili długie, ożywione dysputy i próbowałam w miarę możliwości nadążać za ich myślami, co nie zawsze było łatwe.

Zapanowało wielkie podniecenie, kiedy stwierdzono, iż być może w pobliżu obecnego stanowiska archeologicznego znajduje się amfiteatr. Cała ekipa wyruszyła na badanie pewnych znalezisk, które miałyby wskazywać, że to przypuszczenie jest słuszne. Nie zostałam zaproszona do wzięcia w tym udziału.

Teobald zaczął się usprawiedliwiać.

— Widzisz, Judyto — wyjaśnił — to praca wyłącznie dla fachowców. Gdybym cię zabrał, inni też chcieliby tam pojechać z rodzinami.

Rozumiałam go i postanowiłam w bardzo krótkim czasie tyle się nauczyć, aby na przyszłość w takich przypadkach uznano moją obecność w ekipie za potrzebną.

Przed wyjazdem Teobald ucałował mnie czule.

— Wrócę za parę godzin. Co przez ten czas będziesz robiła?

— Poczytam książkę o rzymskich zabytkach, którą tu widziałam. Niedługo będę taka uczona jak ty.

Skwitował to śmiechem.

Cały dzień spędziłam samotnie. Powinnam się przyzwyczajać do takich sytuacji, mówiłam sobie. Ale niezależnie od mego zainteresowania tym pasjonującym tematem, byłam przede wszystkim świeżo poślubioną żoną w okresie miodowego miesiąca. W tych warunkach szczątki starorzymskiej posadzki, nawet zdobionej geometryczną mozaiką, nie wytrzymały porównania ze skałami i bijącymi źródłami Dartmoor.

Teobald wiele czasu spędzał na stanowisku archeologicznym wraz z pracownikami. Czasami tam z nim jechałam. Rozmawiałam wtedy z mniej znaczącymi członkami ekipy, studiowałam mapy, a nawet trochę kopałam, jak kiedyś na Carter's Meadow. Przyglądałam się zabezpieczeniu do transportu w ramach „pierwszej pomocy” uszkodzonej płyty pamiątkowej z wyrytą na niej głową jakiegoś cesarza. Bardzo mnie to fascynowało, ale marzyłam, żeby być sam na sam z Teobaldem.

Na stanowisku archeologicznym, gdzie badano pozostałości po starożytnych Rzymianach, byliśmy dwa tygodnie. Według mnie Teobald nie miał ochoty stąd wyjeżdżać. Ostatniego wieczoru spędził długie godziny na rozmowie z kierownikiem ekspedycji. Kiedy wrócił, leżałam już w łóżku. Było po północy. Usiadł koło mnie. Patrzył na mnie rozjarzonym wzrokiem.

— Jest niemal pewne, że tam był amfiteatr — powiedział. — Cóż za odkrycie! Uważam, że będzie to jedno z najbardziej fascynujących stanowisk archeologicznych w Anglii. Profesor Brownlea nie może nadziwić się swemu szczęściu. Czy wiesz, że oni znaleźli płytę pamiątkową, na której wyryta jest głowa? Jeśli się dowiedzą, kogo przedstawia, to będzie ogromny sukces.

— Wiem — odparłam. — Widziałam, jak tę płytę składano.

— Niestety, brakuje pewnych elementów. No i oczywiście najcenniejszym znaleziskiem jest mozaikowa posadzka. Usytuowałbym ją mniej więcej na 74 rok przed Chrystusem.

— Z pewnością się nie pomylisz, Teobaldzie.

— Och, nie można mieć całkowitej pewności... dopóki się nie będzie miało niezbitych dowodów. Dlaczego się uśmiechasz?

— Uśmiecham się? — Wyciągnęłam do niego ramiona. — Myślę o bardziej podniecających w życiu rzeczach niż rzymskie pozostałości.

Przychylił się ku mnie i przez chwilę trwaliśmy w uścisku. Zaśmiałam się cicho.

— Wiem, co myślisz i co cię fascynuje. Ale przypuszczam, że grobowce faraonów biją to na głowę.

— Och, Judyto — rzekł — to cudownie być razem. Pragnę mieć cię przy sobie, kiedy wyjedziemy.

— Oczywiście. Przecież dlatego mnie poślubiłeś.

- Dlatego oraz z innych powodów.
- Ten pierwszy już przedyskutowaliśmy... teraz rozważmy inne.

Rozśmieszyłam go. Takie szczere ujawnianie radości, jaką dawała mi nasza miłość, z pewnością zaszokowałoby Dorcas i Alison. Lecz także wielu uznałoby mnie za zbyt śmiałą czy wręcz bezwstydną. Ciekawa byłam, jak Teobald to widzi, i spytałam go.

- Bo widzisz — wyjaśniłam — ja nigdy nie potrafiłam udawać.
- Judyto, nie zasługuję na ciebie — odparł. Roześmiałam się. Przepęłniała mnie błogość.
- Możesz się postarać zasłużyć na mnie — zasugerowałam.

I uszczęśliwił mnie. A ja jego. Czy podobnie jak mozaikowa posadzka, uszkodzona płyta i ruiny amfiteatru? W tym samym stopniu? Chciałabym to wiedzieć.

To było głupie z mej strony, że nachodziły mnie takie małostkowe wątpliwości. Pragnęłam zapomnieć o złowróżbnych minach Dorcas i Alison, o aluzjach i insynuacjach, o fanatycznym spojrzeniu starego Peggera w przedsionku kościoła. Żałowałam, że sir Ralf pozostawił mi majątek. Gdyby nie to, miałabym całkowitą pewność, że zostałam poślubiona dla siebie samej.

O tych wszystkich wątpliwościach można było zapomnieć... chwilowo. Przyrzekłam sobie, że z czasem pozbędę się ich zupełnie.

Nadeszła pora powrotu do Giza House.

* * *

Wróciliśmy tam na początku listopada, posępnym popołudniem. Po październikowych zawieruchach na drzewach nie zostało już prawie wcale liści. Lecz gdy jechaliśmy ze stacji powozem, okolica wydawała się niezwykle cicha, gdyż wiatr ustał. Było ciepło i wilgotno — typowa listopadowa pogoda w Kornwalii. Kiedy zatrzymaliśmy się przed żelaznymi wrotami i wysiedliśmy z powozu, na powitanie wyszła ku nam Tabita.

— Niezbyt przyjemny dzień — powiedziała. — Wchodźcie szybko do domu, zaraz napijemy się herbaty.

Przyglądała się nam badawczo, jakby podejrzewała, że nasz miodowy miesiąc nie był udany. Dlaczego ciągle miałam wrażenie, że wszyscy uważają nas za niedobraną parę? Bujna wyobraźnia, mówiłam sobie. Spojrzałam na dom. Tam straszyl! — pomyślałam. Przypomniałam sobie, jak na ten temat drażniłam się z Teodozją, która uciekała stamtąd ze strachu. Przyszła mi też na myśl niania Tester, zerkająca z okna na górze.

— Giza House zawsze mnie intrygował — wyznałam, wchodząc do holu.

— Teraz to twój dom — zwróciła mi uwagę Tabita.

— Kiedy wrócimy z Egiptu, być może Judyta będzie chciała dokonać tu pewnych zmian — rzekł Teobald, obejmując mnie z uśmiechem ramieniem. — Tymczasem musimy skoncentrować się na naszych planach.

Tabita zaprowadziła nas do naszego pokoju. Mieścił się na pierwszym piętrze obok tego z sarkofagiem. Podczas naszej nieobecności Tabita zmieniła w nim tapety.

— Taka jesteś dobra, Tabito — powiedział Teobald.

Dojrzałam stojących w cieniu Mustafę i Absaloma. Zauważyłam, jakim baczным spojrzeniem swych ciemnych oczu mi się przyglądali. Zapewne pamiętali mnie jako niesforne dziecko, a potem pannę do towarzystwa z Keverall Court, przychodzącą pożyczać tu książki. Teraz byłam nową panią domu. A może Tabita zatrzyma ten tytuł?

Jak bardzo pragnęłam, by ludzie swymi zamaskowanymi aluzjami nie zatruwali mi umysłu.

Zostałam sama w pokoju, żeby się odświeżyć, Teobald zaś z Tabitą zszedł do salonu. Jedna z pokojówek przyniosła gorącą wodę. Kiedy się umyłam, wyjrzałam przez okno. Ogród zawsze

gęsto zarastały krzewy i drzewa, więc było w nim ciemno. Między gałęziami krzaków widziałam pajęczyny połyskujące w miejscach, gdzie światło padało na ich zroszone powierzchnie — widok tak znajomy o tej porze roku. Granatowe portiery w oknie były obszyte złotą taśmą z wyszytym na niej greckim, meandrycznym ornamentem. Nad szerokim łóżem rozpięty był baldachim na czterech kolumnach. Gruby dywan wyścielał podłogę. Przypomniałam sobie, jak Tabita mówiła, że sir Edward podczas pracy tak nie znosił hałasów, iż trzeba było mu zapewnić ciszę w całym domu. Jedną ze ścian pokoju zajmowały półki z książkami. Rzuciłam na nie okiem. Niektóre z nich pożyczałam i znałam. Wszystkie dotyczyły tylko jednego tematu. Przyszło mi na myśl, że ten pokój był sypialnią sir Edwarda, zanim wyruszył w swą fatalną, ostatnią podróż, i wydało mi się, jakby osaczyła mnie przeszłość. Wolałabym, aby wybrano nam inne pomieszczenie. I wtedy przypominałam sobie, że to ja jestem panią tego domu i jeśli mi ten pokój nie odpowiadał, mogłabym po prostu to powiedzieć.

Zmieniłam strój podróżny na inny i zeszałam do salonu. Teobald i Tabita siedzieli koło siebie na sofie i przeglądali jakieś papiery.

Gdy tylko weszłam do pokoju, Tabita poderwała się.

— W tej chwili będzie herbata — powiedziała. — Zapewne masz na nią ochotę. Podróże bywają takie męczące.

Helena wjechała z bufecikiem i stanęła obok niego, gdy herbatę nalewała Tabita.

Tabita chciała wiedzieć, jak nam się udał miodowy miesiąc więc Teobald rozpoczął długą opowieść o rzymskich zabytkach.

— Spędziłeś z pewnością bardzo interesująco czas — powiedziała z uśmiechem. — Mam nadzieję, że podobnie to ocenia Judyta.

Spojrzała na mnie jakby nieco lękliwie, lecz zapewniłam ją, że i dla mnie pobyt w Dorset był bardzo udany.

— A teraz — rzekł Teobald — musimy poważnie zacząć pracować nad planami wyprawy. To niesamowite, jak ten czas szybko leci, kiedy tyle jeszcze pozostaje do zrobienia. Chcę wyjechać w lutym.

Tak więc zaczęliśmy rozmawiać o ekspedycji. Było przyjemnie siedzieć tu przed palącym się kominkiem, gdy na dworze mroczne popołudnie zlewało się ze zmierzchem. Nie mogłam nie wrócić myślą do tych chwil, kiedy marzyłam o wspólnym życiu z Teobaldem.

Jestem szczęśliwa — zapewniałam się w duchu. — Stałam u celu mych marzeń.

* * *

Moja pierwsza noc w Giza House! Jedna z pokojówek napaliła w kominku w sypialni i migoczące blaski padały na ściany pokoju. Jakże inne wrażenie robiła tutaj gra światła i cieni niż w domku w Dartmoor. Zdawało mi się, że tu cienie układają się w mogące zagrozić mi w każdej chwili złowieszcze kształty. Jaka cisza panowała w tym domu! Za aksamitną kotarą znajdowały się jakieś drzwi. Otworzyłam je i zobaczyłam, że prowadzą do pokoju, gdzie kiedyś stał sarkofag.

Przyszłam na górę przed Teobaldem. Wydawało mi się, że ten pokój w świetle kominka i tylko dwóch świec stojących w wysokich kandelabrach na gotowni roi się od duchów. Zaczęłam rozmyślać o sir Edwardzie i jego żonie, która nigdy nie mieszkała w tym domu, gdyż zmarła, zanim oni się tu wprowadzili. A w mieszkaniu na poddaszu była niania Tester, która na pewno już dowiedziała się, że wróciliśmy z miodowego miesiąca. Zastanawiałam się, co ona teraz robi i dlaczego Teobald tak długo nie przychodzi. Czy rozmawia z Tabitą i mówi jej o sprawach, które przede mną ukrywa? Co za pomysł! Muszę chyba być zazdrosna o czas, który z nią spędza. A

przecież Tabitą jest jego prawdziwą przyjaciółką, prawie że matką. Matką? Jest może zaledwie dwa lata starsza od niego.

To ten dom — powiedziała sobie. Coś tkwi w tym domu. Coś... złego. Czułam to od samego początku, jeszcze zanim Traversowie się tu sprowadzili. Kiedy straszylałam nim Teodozję.

Do sypialni wszedł Teobald. Złowrogie cienie rozpierzchły się, ogień na kominku płonął wesoło, a świece dawały wystarczająco dużo światła.

— Co ty robisz w tym pokoju? — zapytał.

— Znalazłam drzwi. To pokój, gdzie stał sarkofag.

Roześmiał się.

— Nie zamierzasz chyba przebrać się za mumię i... mnie straszyc?

— Ciebie? Ty miałbyś się bać mumii? Wiem, że je serdecznie kochasz.

— Nie tak serdecznie jak ciebie — odparł.

Rzadko się zdarzało, by Teobald mówił takie słowa, ale wtedy moje szczęście było całkowite.

* * *

— Podoba ci się pokój, który dla was przygotowałam? — spytała mnie Tabita następnego dnia rano.

— Trochę upiorny — powiedziałam.

Tabita roześmiała się.

— Moja droga Judyto, co masz na myśli?

— Zawsze podejrzewałam, że Giza House jest nawiedzany przez duchy.

— Zapewne przez te krzewy i drzewa w ogrodzie. To najlepszy pokój w całym domu. Dlatego go dla was wybrałam. Poprzednio zajmował go sir Edward.

— Tak się domyślałam. I jest tam przejście do pokoju, w którym stał sarkofag.

— Korzystał zawsze z tego pokoju, kiedy pracował. Często pracował po nocach, jeśli naszała go taka ochota. Chciałabyś, żeby zmienić wam pokój?

— Nie, raczej nie.

— Judyto, cokolwiek zechcesz, będziesz miała. Ty jesteś teraz panią tego domu.

— Nie jestem przyzwyczajona. Nigdy nie byłam panią czegokolwiek.

— Przyzwyczaisz się wkrótce. Jesteś szczęśliwa, prawda?

— Mam wszystko, czego pragnęłam.

— O niewielu z nas można by to powiedzieć — odparła z westchnieniem.

— A o tobie, Tabito?

Chciałam, żeby mi się zwierzyła. Doszłam do przekonania, że w jej życiu jest jakiś sekret. Była dość młodą kobietą i jak przypuszczałam, owdowiała. Na pewno życie stało jeszcze przed nią otworem. A mimo to robiła wrażenie jakby zrezygnowanej, owianej jakąś tajemnicą, co — między innymi — czyniło ją tak atrakcyjną.

— Miałam swe dobre chwile. Pewno trudno wymagać czegoś więcej.

Tak, postać Tabity zdecydowanie otoczona była jakąś tajemnicą.

* * *

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Sabina powiedziała, że pierwszy dzień musimy obchodzić na probostwie. Nalegała, by moje ciotki także się zjawiły.

Dorcas i Alison trochę się wymawiały. Były bardzo przywiązane do tradycji. Zapewne uważały, że ja powinnam przyjść do nich do Rainbow Cottage albo one do mnie do Giza House. W związku z ich ewentualnymi obiekcjami zwróciłam im uwagę, że propozycja Sabiny byłaby dla nas wszystkich korzystna, a poza tym przyjemnie byłoby świętować ten dzień w bawialni, gdzie przez tyle lat z tej okazji się zbierałyśmy.

Dni mijały szybko. W tym czasie zajmowały nas święta i oczywiście ekspedycja. Tabita i ja udekorowałyśmy dom ostrokrzewem i jemiolą.

— Nigdy przedtem czegoś takiego nie robiłam — powiedziała Tabita.

Służące były zachwycone. Helena oświadczyła, że odkąd tu jestem, to miejsce przypomina bardziej normalny dom. Niewątpliwy komplement.

Te służące mnie lubiły, robiły wrażenie, jakby z przyjemnością zwracały się do mnie „jaśnie pani”, co mnie niezmiennie zaskakiwało i czasami musiałam się upewniać: tak, to prawda. Tym razem to nie sen. Spełniło się największe ze wszystkich mych marzeń.

Po raz pierwszy poczułam się niepewnie po wydarzeniu, jakie miało miejsce na początku grudnia.

Nigdy właściwie nie byłam w stanie rozgryźć Mustafy i Absaloma. W ich obecności ogarniał mnie niepokój. Bywało, że nagle, jak spod ziemi, wyrastali tuż za mną — chyba zawsze chodzili razem — choć zupełnie nie byłam świadoma, że się zbliżają. Często, gdy nagle podnosiłam wzrok, napotykałam ich czarne oczy, uważnie we mnie wpatrzone. Czasami zdawało mi się, że mają zamiar odezwać się do mnie i że w ostatniej chwili zmienili zamiar. Nigdy nie wiedziałam, który jest który, i nieraz, zwracając się do nich, myliłam ich imiona. Tabicie się to nie zdarzało, no ale ona znała ich już bardzo długo.

Zaczęłam dochodzić do wniosku, że to prawdopodobnie z powodu ich obecności i niani Tester na poddaszu atmosfera tego domu wydaje mi się taka złowroga.

Było popołudnie, pora dnia, kiedy zaczyna zapadać zmierzch. Szłam do naszej sypialni i zauważyłam, że drzwi prowadzące z korytarza do pokoju, który nazwałam „sarkofagowym”, są uchylone. Pomyślałam, że może Teobald tam jest, więc zajrzałam do środka. Na tle okna ujrzałam sylwetkę stojącego Mustafy albo może Absaloma. Weszłam do pokoju i wtedy zobaczyłam drugiego Egipcjanina, który stał prawie za moimi plecami, pomiędzy mną a drzwiami.

Poczułam na plecach gęsią skórę. Nie bardzo wiedziałam dlaczego. Powiedziałam:

— Mustafa... Absalom, czy coś się stało?

Po krótkiej chwili ciszy ten spod okna skinął głową na tego drugiego i rzekł:

— Absalom, ty mówić.

Obróciłam się twarzą do Absaloma.

— Jaśnie pani — odezwał się — my pani najpokorniejsi niewolnicy.

— Absalom, nie możesz tak mówić. My tu nie mamy niewolników.

Obaj nisko skłonili głowy.

— My dobrze służyć jaśnie pani — dodał Mustafa.

— Ależ oczywiście — odparłam lekkim tonem. Zauważyłam, że drzwi na korytarz zostały zamknięte. Jedno skrzydło tych drugich, prowadzących do naszej sypialni, było uchylone, lecz wiedziałam, że o tej porze dnia Teobald tam nie przebywał.

— My próbować powiedzieć pani wiele razy.

— Proszę, powiedzcie mi teraz — ponagliłam ich.

— Nie wolno tak być — rzekł Mustafa, kręcąc z powagą głową.

Absalom także pokręcił swoją.

— Ale co? — spytałam.

— Trzeba zostać tutaj, jaśnie pani. Pani powiedziec sir Teobaldowi. Pani powiedziec. On musi nie jechać.

Zaczełam rozumieć, o co im chodzi. Bali się wracać do Egiptu, miejsca tragedii, która przydarzyła się ich panu.

— Niestety, to niemożliwe — odpowiedziałam. — Przygotowania posuwają się naprzód. Nie można teraz zmienić planów.

— Musieć — rzekł Mustafa.

— Jestem przekonana, że sir Edward by się z wami nie zgodził.

— Tam śmierć. Tam klątwa...

Oczywiście, pomyślałam, muszą być bardzo zabobonni.

— Mówiliście to sir Teobaldowi? — spytałam.

Pokręcili jednocześnie przecząco głowami.

— To na nic. To na nic mówić do jego wielkiego ojca. Na nic. I on umrzeć. Klątwa przyjść na niego i przyjść na innych.

— To tylko legenda — powiedziałam — nic więcej.

— Legenda? — zapytał Mustafa.

— Coś, co sobie ludzie wymyślili. Wszystko będzie dobrze. Sir Teobald o to zadba.

— Jego ojciec nie zadbać. On umrzeć.

— Ale nie z powodu pracy.

— Nie? To być klątwa, jaśnie pani. I klątwa przyjść znowu.

Absalom podszedł i stanął przede mną ze złożonymi dłońmi, wpatrując mi się w oczy.

— Jaśnie pani musieć powiedziec. Jaśnie pani musieć przekonać. Jaśnie pani jest nowa żona. Mąż słuchać swej ukochanej.

— To niemożliwe — odparłam.

— Tam śmierć... śmierć.

— To ładnie, że się niepokoiacie, ale ja nie mogę nic zrobić — powiedziałam.

Popatrzyli na mnie z wielką żalnością i pokiwali głowami ponuro.

Przeszłam do sypialni. Oczywiście, mówiłam sobie, oni muszą być przesądni.

* * *

Tego wieczoru, gdy leżeliśmy już w łóżku, powiedziałam do Teobalda:

— Egipcjanie dzisiaj ze mną rozmawiali. Bardzo się boją.

— Czego?

— Tego, co nazywają klątwą. Są pewni, że jeżeli wyjedziemy do Egiptu, to stanie się nieszczęście.

— Skoro tak sądzą, to niech tu zostaną.

— Prosił mnie, żebym z tobą pomówiła. Mówili, że mąż kocha swą ukochaną i jej posłucha.

Roześmiał się.

— Powiedziałam im, że to by nic nie dało.

— Są bardzo przesądni.

— Czasami i ja się trochę boję.

— Ty, Judyto?

Przytuliłam się do niego.

— Tylko o ciebie — zapewniłam go. — A jeśli tobie przydarzyłoby się to samo co twemu ojcu?

— Dlaczego tak miałyby się stać?

— A może jest coś w tej klątwie?

— Moja kochana Judyto, sama w to nie wierzysz.
— Gdyby kto inny stał na czele wyprawy, wyśmiałabym taką myśl. Ale tu chodzi o ciebie.
Usłyszałam jego śmiech w ciemnościach.
— Moja kochana Judyta — powiedział.
I na tym się skończyło.

* * *

Pragnęłam, żeby czas szybciej mijał. Przed Bożym Narodzeniem dni były takie krótkie i szybko zapadał zmrok. Często padał deszcz. Gałęzie jodeł połyskiwały wilgocią i ociekały wodą. Delikatnie pachnący południowo-zachodni wiatr kołysał drzewami i zawodził za oknami. Za każdym razem, kiedy natknęłam się na Egipcjan, ich oczy wpatrzone były we mnie z wyrazem na poły rozzalenia, na poły nadziei. Z nianią Tester widywałam się tylko w obecności Tabity, gdyż staruszka prawie nie wychodziła ze swego mieszkania.

Teodozja z Janem przyjechali do Keverall Court, żeby tu spędzić święta. Zaprosili Teobalda, mnie, Sabinę i Olivera do siebie na Wigilię. Hadrian też się pojawił, miał zostać aż do naszego wspólnego wyjazdu do Egiptu.

Zgodnie ze starym zwyczajem, w Wigilię śpiewano kolędy w sali balowej Keverall Court. Do naszego towarzystwa przyłączyło się wiele osób z sąsiedztwa. Oliver odprawił nabożeństwo, jak niegdyś proboszcz Jakub Osmond, które zakończyło się imponującą procesją z pochodniami z kościoła do Keverall Court.

Gdy śpiewanie się zakończyło, wybrani przez lady Bodrean goście przeszli do holu, gdzie podjęto nas kolacją. Podano wiele różnych rodzajów pasztetów, które tu były znane od wieków: z młodych gołębi, jagniąt, wołowiny i oczywiście kornwalijskie paszteciki na gorąco. Popijano to pitnym miodem i napojem zwanym „ponczem z Keverall”, stojącym w olbrzymiej cynowej wazie. Przepis na niego, który znał jedynie tutejszy ekonom, był przekazywany przez ostatnie czterysta lat. Trunek miał swoją moc.

Zabawne było zachowanie wobec mnie lady Bodrean. Kiedy sądziła, że nie jest obserwowana, przyglądała mi się z nieufnym zaciekawieniem, ale gdy stawałyśmy twarzą w twarz, robiła się niezwykle urocza.

Po posiłku poszliśmy o północy na pasterkę i rozeszliśmy się do domów w pierwszy dzień świąt nad ranem. Odbywało się to tak jak wiele razy w przeszłości. Dobrze było mieć przy sobie wszystkich przyjaciół z dzieciństwa przy takiej okazji.

Równie miło spędziliśmy pierwszy dzień świąt na probostwie. Było zabawne widzieć Sabinę siedzącą u szczytu stołu, gdzie niegdyś zasiadała Alison. Podano indyka nadziewanego jadalnymi kasztanami z sosem ukręconym ze śmietankowego masła, cukru i koniaku. Pamiętam, jakim przedmiotem troski był dla Dorcas i Alison ten sos. Sabina nie okazywała najmniejszego niepokoju. Paplała przez cały czas, a my drażniliśmy się z nią ze śmiechem. Plum pudding — budyń z chleba, rodzynków, śliwek i innych przypraw, wniesiono uroczyście, polany koniakiem i zapalony. Na końcu jedliśmy babeczki z leguminą posypane cukrem pudrem.

Oczywiście nie było z nami ani Teodozji z Janem, ani Hadriana, którzy spędzali ten dzień w Keverall Court, więc rozmowa choć raz nie dotyczyła wyprawy do Egiptu. Byłam z tego bardzo zadowolona, gdyż z pewnością Dorcas i Alison nie bawiłyby ten temat.

Potem graliśmy w rozwiązywanie szarad, żywych obrazów i dziecinnych zgadywanek, w których ja byłam najlepsza — w odróżnieniu od mego męża. Dorcas i Alison kibicowały mi i oklaskiwały każdy mój sukces, co mnie denerwowało i wzruszało zarazem.

Wcześnie rano następnego dnia Tabita, Teobald i ja wracaliśmy pieszo z probostwa do Giza House. W czasie drogi nagle uświadomiłam sobie, że rozmyślałam, czy zawsze już będziemy wszędzie we troje. Lubiłam Tabitę, lecz były chwile, gdy nasuwało mi się jako bardzo stosowne stare przysłowie: „Dwoje — towarzystwo, troje — tłum”. Czy to z powodu obecności Tabity nastawienie Teobalda do mnie zmieniał się? Niekiedy zachowywał się niemal oficjalnie, jak gdyby bał się zdradzić przed nią z uczuciem, które coraz częściej zaczynał mi okazywać, gdy byliśmy sami.

Przeszliśmy przez bramę, potem ścieżką pomiędzy gąszczem krzewów i drzew do domu. Do cichego domu, gdzie na samej górze mieszkała dziwna niania Tester i spali Egipcjanie w swych pokojach. A może nie spali? Może tylko leżeli i rozmawiali o kłątwie?

Gałązka ostrokrzewu przywieszona do kandelabra w holu wyglądała wręcz nie na miejscu w tym domu widm.

* * *

Nastał styczeń. Nagle się oziębilo i oszroniony zagajnik wyglądał jak z bajki.

Teobald przy śniadaniu przeglądał korespondencję. Nagle zrobił niezadowoloną minę i obruszył się;

— Ci adwokaci! — wykrzyknął.

— Co się stało?

— Minie jeszcze dużo czasu, zanim testament sir Ralfa będzie mógł być wykonany. Typowy przykład odwlekania sprawy. Wygląda na to, że nim wszystko załatwią, upłynie parę miesięcy.

— Czy to takie ważne? — spytałam.

— Jak wiesz, pozostawił nam w testamencie zapis. Liczyliśmy na te pieniądze. Dla naszej wyprawy miałyby to wielkie znaczenie. Z tym dodatkowym dochodem nie musielibyśmy się tak ograniczać w wydatkach. Zobaczysz, Judyto, jak topnieją pieniądze w czasie archeologicznych ekspedycji. Trzeba zatrudnić około setki robotników. Poza tym oczywiście i innych pracowników. Muszą być opłaceni i mieć zakwaterowanie. Dlatego nie można zaczynać tego rodzaju przedsięwzięcia, dopóki się nie załatwi tych wszystkich kwestii finansowych. Sprawa kosztów niemal zawsze krzyżuje nam plany.

— A ty nie możesz tknąć tych pieniędzy czy tego kapitału, cokolwiek to jest, zanim testament nie będzie zatwierdzony?

— Na pewno będzie. Mając zapisany taki majątek, możemy pobierać z góry pewne sumy. Ale z tym wiąże się mnóstwo formalności. Chyba będę musiał w tej sprawie pojechać do Londynu. I tak bym musiał, tylko myślałem, że później.

— A więc to raczej niezbyt wielki powód do irytacji?

— No tak, tyle że oznacza pewną zwłokę.

To już powiedział czułym tonem, który tak uwielbiałam. Wtedy podzielił się ze mną swym przekonaniem, że jego ojciec odkrył drogę do nienaruszonego grobowca.

— Był tak podniecony. Pamiętam, jak wrócił do domu. Wynajmował go od jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Egipcie, który był zainteresowany naszymi pracami i pozwolił nam zamieszkać w swoim pałacu, co było wielkim przywilejem. To ogromna i piękna rezydencja, położona we wspaniałych ogrodach. Mieliśmy też do dyspozycji cały zastęp służących, którzy nas obsługiwali. Dom nazywał się Chephro Palace. Płaciliśmy czynsz, choć minimalny; chodziło o zachowanie niezależności. Ale pasza naprawdę interesował się tym, co robimy, i gotów był nam pomagać. Teraz też skorzystamy z jego pałacu.

— Zaczęłaś mi mówić o ojcu.

— Wraciał ze wzgórz późnym wieczorem. Świecił księżyc i było jasno niemal jak w dzień. W popołudniowym upale trudno jest pracować, więc korzystaliśmy w pełni z takich księżycowych nocy. Przyjechał na mule i gdy zobaczyłem z okna, jak wjeżdża na dziedziniec, od razu odgadłem, że coś się wydarzyło. Był człowiekiem, który rzadko ujawniał swe uczucia, ale czasem mu się to zdarzało. Wyglądał na ogromnie ożywionego. Pomyślałem, że poczekam, aż się umyje, przebierze i zasiądzie do posiłku, który Mustafa i Absalom zawsze mu przygotowywali. Miałem wtedy do niego zejść i poczekać na to, co ma mi do powiedzenia. To on powinien rozpocząć tę rozmowę. Nikomu nic nie mówiłem, gdyż być może ojcu zależało na utrzymaniu nowiny w tajemnicy. Przed paroma dniami znajdował się wręcz na skraju rozpacz. Kilka miesięcy wcześniej odkryliśmy w skałach wejście do grobowca. Zapusciliśmy się w głąb korytarza, aby wreszcie do grobowca dotrzeć i stwierdzić, że został ograbiony ze dwa tysiące lat temu. Wydawało się, że doszliśmy do kresu naszych poszukiwań, więc cała nasza praca i wielkie wydatki zostały zmarnotrawione. Ale ojciec miał dziwne przecucie i nie zamierzał rezygnować. Był pewien, że nie odkryliśmy wszystkiego. Nie miałem wątpliwości, że jedynie jakieś ogromnie znaczące odkrycie mogło go tak poruszyć.

Na śniadanie zeszła Tabita i przyłączyła się do nas.

— Opowiadam Judycie o okolicznościach śmierci ojca — rzekł Teobald.

Tabita ze smutkiem pokiwała głową. Z łokciami na stole i brodą podpartą dłońmi, słuchała dalszej opowieści Teobalda. Jej oczy prawie zachodziły łzami.

— Kiedy uznałem, że już się pokrzepił, zszedłem na dół i stwierdziłem, że jest chory. Nie sądziłem, że to coś poważnego. Był człowiekiem o niebywałej witalności zarówno psychicznej, jak i fizycznej. Tego wieczoru skarżył się na bóle i zauważyłem, że ma jakby dreszcze. Zwróciłem się do Absaloma i Mustafy, żeby położyli go do łóżka, co, bardzo zmartwieni, uczynili. Pomyślałem, że do rana mu przejdzie. Tej nocy zmarł. Przed samą śmiercią posłał po mnie. Ukląknę koło łóżka i widziałem, że usiłuje mi coś powiedzieć. Poruszał wargami. Byłem pewny, że mówił: „Nie ustawaj”. Dlatego tak zdecydowanie pragnę kontynuować jego prace.

— Ale dlaczego zmarł akurat wtedy?

— Mówiono o klątwie, ale to absurd. Dlaczego miał zostać przeklęty, skoro robił to samo co wielu przed nim. Po prostu był na stanowisku archeologicznym, gdzie pracowaliśmy. Nawet nie można by powiedzieć, że zbeczczył jakiś grobowiec. To śmieszne.

— Ale zmarł.

— Tam jest gorący klimat, może zjadł coś nieświeżego. To zdarza się, zapewniam cię, nader często.

— Ale śmierć była taka gwałtowna.

— Tak. To ogromna tragedia mego życia. Teraz pragnę spełnić życzenie ojca.

Położyłam dłoń na jego ręce i uścisnęłam ją. Zapomniałam zupełnie o Tabicie. Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że ma oczy pełne łez. Wtedy pomyślałam, przyznaję, z pewnym zirytowaniem, dlaczego zawsze musimy być we troje.

* * *

W czasie panujących chłódów niania Tester przeziębila się, a przeziębienie przeszło w bronchit, jak poprzednio u Dorcas. Mogłam ją dość skutecznie pielęgnować, bo przecież miałam doświadczenie. Staruszka leżała w łóżku i zwykle bacznie mnie obserwowała swymi paciorkowatymi, bystrymi oczami. Chyba na szczęście była zadowolona z mojej obecności, może dlatego, że z niezrozumiałych dla mnie względów raczej nie darzyła Tabity sympatią. Jeżeli tak

było, to w żadnym razie nie z powodu zachowania Tabity, która odnosiła się do niej w najwyższym stopniu delikatnie i z szacunkiem. Mimo to przy Tabicie niania często bywała rozdrażniona.

W lutym Teobald wyjechał do Londynu, żeby pozatapiać sprawy związane z potrzebnym członkom wyprawy wyposażeniem i spotkać się z adwokatami. Miałam nadzieję, że z nim pojedę, lecz powiedział, iż będzie ogromnie zajęty i mógłby mi poświęcić bardzo mało czasu.

Odwiozłam go na stację w Plymouth i pomachałam mu na pożegnanie. Nie mogłam odpędzić od siebie myśli o Lawinii, która odjeżdżała z tej samej stacji z dzieckiem w ramionach, odprowadzana przez Dorcas i Alison. W godzinę później nie żyła.

Pomyślałam sobie, jak różne emocje wywołuje głęboka miłość. Są momenty uniesienia, lecz jak się wydaje, trzeba je opłacać niepokojem. Kompletne szczęście można osiągnąć jedynie wtedy, gdy ma się ukochaną osobę bezpieczną przy sobie. Kiedy jest nieobecna, imaginacja z jakąś złośliwą satysfakcją podsuwa wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, jakie mogłyby na nią spaść. I właśnie teraz musiałam wyobrazić sobie rozbite wagony, krzyki rannych, kamienną martwość zmarłych.

Co za głupota! — upomniałam samą siebie. Ilu ludzi podróżuje pociągami? Tysiące. Ile jest wypadków? Bardzo mało.

Wróciłam do domu i zajęłam się pielęgnowaniem niani Tester.

Tego wieczoru, siedząc z Tabitą, opowiedziałam jej o swych obawach.

Uśmiechnęła się do mnie łagodnie.

— Zbyt nia miłość czasami sprawia ból.

Powiedziała tak, jakby to uczucie znała, i na nowo zaczęłam się zastanawiać, jakie było jej życie. Ciekawe, dlaczego nigdy o nim nie mówi. Może zacznie się zwierzać pewnego dnia, kiedy pozna mnie lepiej.

Niania Tester wracała do zdrowia.

— Jednak, niestety — powiedziała Tabita — te ataki nigdy nie pozostają bez śladu. Ona po chorobie zawsze jest słabsza. Dość często majaczy.

Zauważyłam to. Zwróciłam też uwagę na fakt, że moja obecność ją uspokaja, więc przynosiłam jej posiłki i trochę dotrzymywałam towarzystwa. Czytałam książkę albo coś haftowałam. Sabina przychodziła do niej często. Jak zwykle dużo paplała i niania była zachwycona.

Pewnego dnia siedziałam przy jej łóżku, gdy powiedziała:

— Uważaj na nią. Bądź ostrożna. Pomyślałam, że ma urojenia, i odrzekłam:

— Nikogo tu nie ma, nianiu. — Prosiła, żeby tak do niej mówić. „Tak jak inni członkowie rodziny” — wyjaśniła.

— Mogłabym ci co nieco opowiedzieć — zamruczała. — Zawsze miałam oczy szeroko otwarte.

— Proszę odpocząć — powiedziałam.

— Odpocząć! Kiedy widzę, co się dzieje w tym domu. On jest i ona jest. Ona go zachęca. Gospodyni! Przyjaciółka rodziny! Kim ona jest? Powiedz mi to.

Domyśliłam się, że mówi o Tabicie, i chciałam się dowiedzieć, co ma mi do powiedzenia.

— On i ona...? — zachęcałam ją.

— Nic nie widzisz. Jesteś ślepa. Tak to często bywa. Ci, których to dotyczy, nie widzą tego, co mają pod samym nosem. Ale jest ktoś, kto się przypatruje... ktoś, kto widzi.

— I co niania widzi?

— Widzę, co się między nimi dzieje. Ona jest chytra. O, tak, bardzo przyjacielska. Przyjaciółka rodziny! Gospodyni! Możemy się bez niej obejść. Nie robi niczego, czego ja bym nie potrafiła.

Raczej trudno byłoby się z tym zgodzić, ale postanowiłam to przemilczeć.

— Nigdy nie widziałam takiej gospodyni. Zasiada sobie co wieczór z rodziną do kolacji. Myślałby kto, że jest tu panią. On wyjeżdża i co się dzieje? Posyła po nią. To sprawa w rodzinie. Rodzina! Jaka rodzina. On wyjedzie, ona zostanie wezwana... Tak to będzie.

Najwyraźniej bredziła.

— Proszę się strzec, jaśnie pani — wyszeptwała. — Hoduje sobie pani żmiję na własnym łonie. Oto, co się dzieje.

To określenie wywołało mój uśmiech. I kiedy pomyślałam o wszystkim, co Tabita robi w domu i jaka jest urocza i pomocna, doszłam do niezbitego przekonania, że staruszka ma obsesję, gdyż po prostu pewno jest zazdrosna.

* * *

Wydawało mi się, że bez Teobalda dom jest inny. Sypialnię spowijały cienie. Ogień na kominku palił się przez całą noc, a ja leżałam w łóżku i wpatrywałam się w mroczne zakamarki. Często miałam wrażenie, że słyszę głosy w sąsiednim pokoju i któreś nocy wyszłam z łóżka, żeby zobaczyć, czy kogoś tam nie ma. Jak niesamowicie wyglądało to pomieszczenie w bladym świetle sierpa księżyca: książki, stół, przy którym sir Edward zwykle pracował, miejsce, gdzie kiedyś stał sarkofag. Prawie oczekiwałam na zmaterializowanie się Mustafy i Absaloma. Wróciłam do łóżka i śniło mi się, że jestem w sąsiednim pokoju, a tam stoi sarkofag, z niego powstają mumie, z których nagle opadają bandaże, i to są dwaj Egipcjanie, Mustafa i Absalom. Nie spuszczają ze mnie przenikliwego wzroku, który już dobrze znałam. Słyszałam ich charakterystyczne głosy, rozbrzmiewające w pustce: „Zatrzymać go. Mężczyzna słuchać swej ukochanej. Klątwa Królów spaść na was”.

Obudziłam się z krzykiem. Usiadłam na łóżku. Było ciemno, poza wątłym światłem księżyca na nowiu, z ogniska pozostało tylko trochę żaru. Wyszłam z pościeli i otworzyłam drzwi, spodziewając się, że zobaczę sarkofag tak wyraźnie jak we śnie. Pokój był pusty. Zamknęłam cicho drzwi i wróciłam do łóżka.

Kiedy tu przyjedziemy z Egiptu, pomyślałam, zmienię ten dom. Usunę te ciemne portierey. Zasadzę pięknie kwitnące krzewy — błękitne, różowe i białe hortensje, które tu tak bujnie rosną, i fuks je zwieszające swe czerwone dzwoneczki. Zastąpię mroki jaskrawością kolorów.

W takim nastroju zasnąłam.

Tak, bez Teobalda w tym domu było inaczej. A może dopuszczałam do siebie te niespokojne myśli, które kłębiły mi się po głowie i brały górę, gdyż nie było tego, który by me obawy rozwiął.

Ponury dom, aluzje dotyczące osoby Tabity, stąpający bezszelestnie Egipcjanie, wodzący za mną oczami i za każdym razem wysyłający do mnie owo ostrzeżenie: „Wstrzymać wyprawę albo narazić się na klątwę zmarłych”.

Och, Teobaldzie, myślałam, wróć, a wszystko będzie dobrze.

* * *

Każdego rana schodziłam na śniadanie z nadzieją na wiadomość od Teobalda o jego powrocie. Nie nadchodziła. Pewnego dnia zastałam Tabitę z listem w ręku.

— O, Judyto. Będę musiała wyjechać na parę dni.

— Tak?

— Jeden z moich... krewnych zachorował. Muszę do niego pojechać.

— Oczywiście — odpowiedziałam. — Nigdy nie słyszałam, żebyś kiedyś coś wspominała o krewnych.

— Mieszka w Suffolk. To długa podróż. Chyba powinnam wyruszyć niezwłocznie.

— Dzisiaj?

— Tak. Zdążę na pociąg do Londynu o wpół do jedenastej. Bo oczywiście najpierw muszę się dostać do Londynu i dopiero tam przesiąść się do Suffolk. Dasz sobie radę beze mnie?

— Tak — odparłam. — Naturalnie.

Pospiesznie wstała od stołu. Wydawało mi się, że wyglądała na bardzo zakłopotaną. Jenner, woźnica, zawiózł ją dwukółką na stację.

Patrzyłam, jak odjeżdża, i ciągle myślałam o niani Tester. Jak to ona powiedziała? „On wyjedzie... ona zostanie wezwana”. Jakim cudem mogła to przewidzieć? A jednak tak się stało.

Poszłam na górę do pokoju niani. Stała przy oknie otulona swym staromodnym, flanelowym szlafrokiem.

— No i wyjechała — powiedziała. — Ej, jasnie pani, wyjechała. A nie mówiłam?

— Skąd niania wiedziała?

— Wiem o pewnych sprawach, jasnie pani. Mam dwoje oczu, a one patrzą i widzą. Widzą za tych, o których się troszczę.

— Więc... niania troszczy się o mnie?

— Wątpiłaś w to? Czuwam nad tobą od momentu, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam. I mówię: tej będę pilnować przez wszystkie dni mego życia.

— Dziękuję — powiedziałam.

— Bo mnie boli, kiedy widzę, jak jesteś traktowana, kochanie. To mnie boli — przyłożyła dłoń do miejsca, gdzie biło jej serce. — On wyjeżdża... a ona za nim. Te bajki, że ma się z kimś spotkać... Dlaczego akurat wtedy, gdy on wyjechał? Posiał po nią. Tej nocy będą razem...

— Proszę przestać! To nonsens. Nieprawda.

— Zawsze tak twierdzisz, kochanie.

— Zawsze! Niania po raz pierwszy wysunęła takie okropne przypuszczenie.

— O, ja już to widziałam — rzekła. — Wiedziałam, że tak będzie. Teraz i ty powinnaś to dostrzec... jeżeli będziesz patrzyła. To jej on pragnie... Ciebie wziął dla pieniędzy... Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Tylko to. I po co? Żeby mógł wyjechać i wykopywać zmarłych. Tak się nie godzi. To nie jest normalne.

— Nianiu — powiedziałam — niania źle się czuje.

Spojrzała na mnie dzikimi oczami, policzki jej płonęły.

Uświadomiłam sobie z niemalą ulgą, że ona mówi bez związku.

— Proszę mi pozwolić położyć nianię do łóżka.

— Do łóżka... po co do łóżka? To ja ciebie układam w łóżku, ty mój skarbie.

— Czy niania wie, kim jestem?

— Wiem. Czy nie zajęłam się tobą, kiedy miałaś zaledwie trzy miesiące?

— Niania myli mnie z kimś innym — powiedziałam. — Ja jestem Judyta, lady Travers... żona Teobalda.

— O tak, jasnie pani. Jesteś moją panią. I należy ci się wszelkie dobro. Chciałabym widzieć cię poślubioną zwykłemu dżentelmenowi, któremu bardziej zależy na młodej żonie niż na odkopywaniu zmarłych.

— Zaraz przyniosę coś gorącego do picia i niania pójdzie spać.

— Jesteś dla mnie dobra — odrzekła.

Zeszłam do kuchni i poprosiłam Helenę, żeby przygotowała szklankę gorącego mleka.

— Zaniosę je niani — wyjaśniłam — która nie czuje się dobrze.

— Teraz, kiedy pani Grey wyjechała, poczuje się lepiej — stwierdziła Helena. — Boże, jaśnie pani, ona chyba nienawidzi Pani Grey.

Nie odezwałam się. Gdy przyniosłam niani gorące mleko, już drzemała.

Tabita wróciła z Teobaldem. Po drodze musiała wstąpić do Londynu, a ponieważ Teobald był już gotów do wyjazdu, więc przyjechali razem.

Czułam się nieswojo. Tyle pytań domagało się odpowiedzi. Ale przede wszystkim cudownie było mieć znowu Teobalda przy sobie. On też robił wrażenie bardzo zadowolonego z powrotu do mnie.

Był w świetnym nastroju. Problemy finansowe się wyjaśniły. Wprawdzie wyjedziemy do Egiptu w marcu zamiast w lutym, jak miał nadzieję, lecz będzie to zaledwie dwutygodniowa zwłoka.

— A teraz — rzekł — trzeba się zabrać do pracy. Musimy na serio zająć się przygotowaniem do wyjazdu.

Miał rację. Od tej pory nie myślało się o niczym innym, jak tylko o wyprawie.

W marcu wyruszyliśmy do Egiptu.

Rozdział Chephro Palace

Majestatyczny, połyskujący złotem pałac stał na poboczu miasteczka. Było zadziwiające, że wielki Hakim Pasza taką wspaniałość postawił do naszej dyspozycji.

Od pierwszej chwili naszego przyjazdu byłam pod urokiem tego dziwnego, spalonego słońcem, egzotycznego kraju faraonów. Rzeczywistość okazała się nie mniej cudowna niż obrazy, jakie podsuwała mi wyobraźnia, której pożywką wtedy było parę zdjęć w książkach i moje marzenia.

Kilku członków ekipy wyruszyło przed nami. Mieli być zakwaterowani w pobliżu terenu badań. Wzięli ze sobą dużą ilość potrzebnego sprzętu.

Hadrian, Jan z Teodozją, Terencjusz Gelding oraz Tabita podróżowali z Teobaldem i ze mną statkiem płynącym z Southampton, ale ponieważ Teobald miał do załatwienia jakieś interesy w Kairze, spędziliśmy tam we dwoje kilka dni przed przyłączeniem się do reszty towarzystwa w Chephro Pałace.

Dzień przed wyjazdem poszłam do Rainbow Cottage. Dorcas i Alison zęgały mnie tak, jakby to miało być nasze ostatnie spotkanie. Zaprosiły na kolację Sabinę i Olivera i jeszcze raz uświadomiłam sobie, jak bardzo zależało im na moim małżeństwie z Oliverem. Wiodłabym sobie na probostwie spokojne życie, o jakim dla mnie marzyły.

Prawie byłam zadowolona, gdy już moja wizyta u nich dobiegła końca. Następnego dnia wsiedliśmy w Southampton na parowiec „Stalwart” i zaczęła się moja wielka przygoda.

Już sama podróż statkiem była fascynującym doświadczeniem. Nie mogłam tylko odżałować, że nie jesteśmy tu z Teobaldem sami. Pewno to samo odczuwali Jan i Teodozja, bo reszta — Hadrian, Terencjusz i Tabita — nie miała takich problemów. Biedna Teodozja przez pierwszych parę dni pozostawała w kabinie, choć morze nie było zbyt wzburzone jak na tę porę roku. Rozmowy obracały się głównie wokół wyprawy i pod nieobecność Teodozji to ja czułam się największym nowicjuszem w tej dziedzinie, zwłaszcza wobec zadziwiającej wiedzy Tabity.

Zatoka Biskajska wbrew oczekiwaniom okazała się stosunkowo spokojna i zanim dopłynęliśmy do Gibraltaru, Teodozja mogła już wyjść na pokład. Jan był takim czułym i uważającym mężem, spędzał z Teodozją tak wiele czasu, że aż przyłapałam się na zadawaniu sobie pytania, czy gdybym ja cierpiała na morską chorobę jak moja przyrodnia siostra, to dla Teobalda też stanowiłoby to główną troskę.

W Gibraltarze spędziliśmy bardzo miły dzień. Dwukołowymi wózkami wybraliśmy się z wycieczką na wyżyny. Zaśmiewaliśmy się z błazenady małą i podziwialiśmy wspaniałą scenię. To były szczęśliwe chwile. Wkrótce potem przybyliśmy do Neapolu, gdzie zatrzymaliśmy się na dwa dni. Nie mogliśmy oczywiście nie zwiedzić Pompei. Ciągłe prowadzono tam prace wykopaliskowe i odsłaniano coraz więcej fragmentów zasypanego popiołem miasta. Kiedy szłam pod rękę z Teobaldem po kamieniach, które do 79 roku przed Chrystusem były ulicami, fascynacja tym otoczeniem całkowicie mnie ogarnęła. Powiedziałam do Teobalda:

— Jaki jesteś szczęśliwy, że masz zawód, dzięki któremu te wszystkie skarby mogą być pokazane światu.

Był zachwycony, że dzielę jego entuzjazm; pokazywał mi resztki domostw, rekonstruuje na ich podstawie ówczesne życie mieszkańców w cieniu Wezuwiusza, zanim nie nastąpił wybuch, który na całe wieki pogrzebał miasto. Dopiero niewiele ponad sto lat temu na nowo zaczęło się ukazywać, kiedy odkryli je archeolodzy.

Po powrocie na statek jeszcze do późnej nocy dyskutowaliśmy o znaleziskach pozostałych po tym tragicznym mieście. W Port Saidzie opuściliśmy statek i już tylko we dwoje z Teobaldem odbyliśmy podróż do Kairu, gdyż tam Teobald miał sprawę do załatwienia.

Dużo czytałam o Egipcie i leżąc w łóżku w Rainbow Cottage, i w Keverall Court wyobraźnią przenosiłam się do tego tajemniczego ładu. Powinnam być wobec tego przygotowana, jednak żadne z mych wyobrażeń nie dorównywało rzeczywistości i zderzenie z nią było radośnie podniecające, ponad me wszelkie oczekiwania. Ziemia miała złocisty kolor, panowało nad nią słońce, które potrafiło być niemiłosierne. Tam od razu miało się poczucie tysięcy lat starożytności. Kiedy zobaczyłam pastucha w długiej, białej szacie strzegącego kóz, mogłabym sądzić, że wróciłam w czasy Starego Testamentu. Urzekł mnie ten kraj, tu wszystko mogło się wydarzyć — rzeczy najcudowniejsze i najstraszniejsze. Był jednocześnie piękny i groźny. Podniecający, porywający i złowieszczy.

Zatrzymaliśmy się w małym hoteliku z widokiem na Nil. Z okna widziałam brzeg rzeki i pozłacane wzgórza Mokattam — jaki kontrast z zielenią Kornwalii, jej zbutwiałą wilgocią i wybujałą roślinnością. Tutaj miało się świadomość ciągłej obecności słońca nieubłaganie palącego ziemię. Jeżeli kolorem Anglii był zielony, to Egiptu — żółty. Najbardziej działała na mą wyobraźnię atmosfera starożytności. Ludzie w białych, długich szatach i sandałach, zapachy smażonych potraw, widok wyniosłych, stąpających zgrabnie wielbłądów. Z zachwytem przysłuchiwałam się słyszanemu po raz pierwszy śpiewowi muezina, który ze szczytu minaretu wzywał ludzi na modlitwę. Zdumiało mnie, że zatrzymywali się wtedy, gdziekolwiek by byli, i składali hołd Allachowi. Teobald zabrał mnie na tutejszy bazar, zwany sukkiem. Mając u boku męża, czułam jedynie fascynację; gdybym była sama, uznałabym pewnie, że ten widok robi raczej dość groźne wrażenie. Czarne oczy tubylców bacznie, acz dyskretnie nas obserwowały, miało się świadomość ich nieustannego podpatrywania. Wędrowaliśmy wąskimi uliczkami i oglądaliśmy mroczne, podobne do jaskiń warsztaty, gdzie piekarze wypiekali chleb posypywany nasionami, a złotnicy pracowali nad kosztami z palącym się koksem. Sprzedawca wody zachęcał do jej kupna uderzaniem mosiężnych kubków jeden o drugi, na tyłach któregoś z warsztatów siedzący po turecku mężczyzna tkał materiał. Zapach mocno pachnących olejków mieszał się w powietrzu z odorem wielbłądziejego łąjna, które po wysuszeniu używane było jako opał.

Nigdy nie zapomnę tego dnia — przepychającego się tłumy na pełnych gwaru ulicach, mieszaniny zapachu perfum i nawozu, ukośnych spojrzeń kobiet spod zawoalowanych oczu, wezwań do modlitwy i odpowiedzi na nie wiernych.

— Allach jest wielki, a Mahomet jego prorokiem. — Jak często miałam słyszeć te słowa. Zawsze mnie poruszały.

Zatrzymaliśmy się przy jednym warsztacie, wyglądającym jak szalas otwarty na ulicę. W głębi jakiś mężczyzna szlifował i grawerował kamienie, na zewnętrznym stoisku leżały szeregi pierścionków i broszek.

— Musisz mieć pierścionek ze skarabeuszem — powiedział Teobald. — Przyniesie ci w Egipcie szczęście.

Kilka takich było na tacy i Teobald wybrał jeden.

— To turmalin — stwierdził. — Spójrz na tego wyrzeźbionego chrząszcza. Starożytni Egipcjanie czcili go jako świętość.

Mężczyzna w głębi wstał od swej roboty i ochoczo do nas podszedł. Skłonił się nam nisko. Już mu błyszczały oczy w nadziei na sprzedaż pierścionka; słuchałam, jak z Teobaldem targują się o cenę. Otoczyła nas grupa małych dzieci. Nie mogły oderwać od nas oczu. Musieliśmy się im wydawać bardzo dziwni. Teobald wziął pierścionek i pokazał mi chrząszcza. Wokół były bardzo misternie wyryte hieroglify. Teobald przetłumaczył: „Allach niech będzie z tobą”.

— Nic bardziej nie przynosi szczęścia niż to — rzekł. — Każdy mężczyzna powinien dać to kobiecie, którą najbardziej kocha, kiedy przybywa ona po raz pierwszy do tego kraju.

Wsunął mi pierścionek na palec. Rozległy się krzyki zachwyconych dzieci. Po zapłaceniu ruszyliśmy w dalszą drogę odprowadzani wykrzykiwanymi podziękowaniami szlifierza.

— Musieliśmy się targować — powiedział Teobald — w przeciwnym razie byłby bardzo rozczarowany. — Spojrzał na mą rozradowaną twarz i dodał: — Jesteś dzisiaj szczęśliwa, Judyto.

— Tak bardzo — odparłam — że aż się boję. Uścisnął mą rękę, tę z pierścionkiem.

— Gdybyś chciała wypowiedzieć jakieś życzenie, to co by to było? — zapytał.

— Żebym mogła być tak szczęśliwa każdego dnia mego życia — odparłam.

— Stawiasz życiu wielkie wymagania.

— Dlaczego... jesteśmy razem... łączy nas zainteresowanie wielkim przedsięwzięciem. Nie widzę powodu, czemu nie mielibyśmy zawsze doświadczać takiego szczęścia.

— W grę wchodzi jeszcze okoliczności zewnętrzne.

— Te nam nie mogą zaszkodzić.

— Kochana Judyto, sądzę, że ty jesteś w stanie nawet im zaradzić.

Wróciliśmy do hotelu. Noc pachniała Egiptem. W świetle ogromnego księżyca było niemal tak jasno jak w dzień. To, jak dotąd, najszczęśliwsze dni mego życia, pomyślałam, gdyż przeżyaliśmy je razem w tym fascynującym kraju. Marzyło mi się, żebyśmy tu zostali we dwoje i nie musieli wracać do pozostałych członków ekipy. Absurdalne życzenie, skoro po to przyjechaliśmy do Egiptu, żeby wspólnie pracować.

* * *

Następnego dnia pojechaliśmy zwiedzać piramidy, najwspanialsze z zachowanych cudów starożytnego świata. Znaleźć się twarzą w twarz ze Sfinksem — to było doznanie, które mnie wprost oszołomiło. Dosiadając nieco niepewnie grzbietu wielbłąda, czułam, jak rozpiera mnie radość. Widziałam, że Teobalda bardzo bawiło me podniecenie. Sto tysięcy ludzi ciężko pracowało przez dwadzieścia lat, by stworzyć to cudo, mówił. Bloki kamienne wydobywano z pobliskich wzgórz Mokattam i transportowano przez pustynię. Oniemiałam wprost z zachwyty w obliczu tego fantastycznego widoku, jak zapewne każdy, komu dane było zobaczyć piramidę Cheopsa.

Zsiedliśmy z wielbłądów i weszliśmy do jej wnętrza. Pochylona podążałam za Teobaldem spadzistym korytarzem do królewskiej komory grobowej, gdzie wystawiony był sarkofag z czerwonego granitu.

Potem znowu przez piaski poniosły nas, kołyszających się wysoko, te juczne zwierzęta. Wróciliśmy do hotelu, a ja nadal pozostawałam w ogromnie podniosłym nastroju.

Jeżeli w ogóle kiedyś czułam się piękna, to tej nocy. Jedliśmy kolację przy małym stoliku, oddzielnym od reszty biesiadników palmami. Upięłam wysoko włosy i włożyłam zieloną suknię z aksamitu, którą uszyła mi Sara Sloper przed wyjazdem. Ciągle dotykałam różowego turmalinu, przywołując na pamięć słowa Teobalda, że to jest dar od ukochanego, mający w tym obcym kraju uchronić tę, którą kocha najbardziej, przed złym losem.

Siedząc naprzeciwko Teobalda, zdumiewałam się na nowo tymi wszystkimi cudownymi wydarzeniami, które stały się moim udziałem. Nawet przemknęła mi przez głowę myśl, że gdyby istotnie mój majątek zadecydował o poślubieniu mnie przez Teobalda, to nie było ważne. Potrafię sprawić, aby pokochał mnie dla mnie samej. Pamiętam, co mówiło się o naszym zmarłym premierze, lordzie Beaconsfieldzie, że ożenił się ze swą Marią Anną dla pieniędzy, lecz pod koniec

życia ożeniłby się z nią z miłości. I tak będzie z nami. Ale ja byłam na tyle naiwną romantyczką, by mieć nadzieję, że Teobald nie ożenił się ze mną dla majątku.

Teobald pochylił się ku mnie i ujął mą dłoń ozdobioną pierścionkiem.

— O czym myślisz, Judyto? — zapytał.

— O cudowności tego wszystkiego.

— Widzę, jakie wrażenie zrobiły na tobie piramidy.

— Nigdy nie sądziłam, że je zobaczę. Doświadczam tylu rzeczy nowych i fascynujących. Teobaldzie, nagle posmutniałeś. Nie mylę się?

— Tylko dlatego, że pomyślałem, iż nie będziesz się stale tak wszystkim zachwycać... Staniesz się przesycona. A szkoda.

— Nie sądzę, by kiedyś do tego doszło.

— No wiesz, stałe obcowanie rodzi lekceważenie... a przynajmniej obojętność. Sam zauważyłem, że odkąd razem jesteśmy w Kairze, to, co kiedyś już widziałem, teraz wydało mi się świeższe, bardziej interesujące, wspanialsze. To dlatego, że patrzyłem na wszystko twoimi oczami.

To był naprawdę czarujący wieczór.

Kebab podany przez bezszelestnie stąpających mężczyzn w białych szatach smakował wybornie. Trudno wprost było uwierzyć, że to tylko jagnięce mięso nadziewane na szpikulec, opiekane nad węglem drzewnym. Sos zaś — tahina — z którym się je jadło, jak dowiedziałam się później, z ziaren sezamowych, oliwy, beszamelu, przyprawiony lekko czosnkiem, miał wprost boski smak.

Kiedy podzieliłam się z Teobaldem tymi wrażeniami, odparł, że mi to tak smakowało, gdyż po prostu byłam głodna. I dodał:

— Głód jest najlepszym kucharzem.

Ja jednak pomyślałam, że tak się działo za sprawą przepelniającego mnie szczęścia.

Potem jedliśmy aisz es seraya, co było przepyszna mieszaniną miodu, miękiszu chleba i śmietany. Piliśmy wodę różaną i grenadinę z owocami i orzechami, specjał zwany tu khofa.

Tak, to był niezapomniany wieczór. Po kolacji usiedliśmy na tarasie i przyglądaliśmy się Nilowi, popijając kawę po turecku i pogryzając rachatłukum. Na granatowym niebie błyszczały gwiazdy, jakby nisko na nim zawieszzone, a przed nami płynęła rzeka, którą żeglowała niegdyś Kleopatra w swej królewskiej łodzi. Bardzo pragnęłam zatrzymać te chwile w pamięci i żyć nimi wciąż na nowo.

Teobald odezwał się:

— Ty, Judyto, posiadasz wyjątkową umiejętność przeżywania szczęścia.

— Możliwe — odparłam. — Jeżeli tak, to jestem uprzywilejowana. Co oznacza, że gdy szczęście pojawia się na mej drodze, potrafię się nim cieszyć bez reszty.

I wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy ból odczuwałabym tak samo intensywnie jak radość.

Być może Teobald pomyślał o tym samym.

Ale nie zamierzałam zagłębiać się w takie myśli podczas tej romantycznej nocy nad nocami przy brzegu Nilu.

Kiedy przybyliśmy do Chephro Pałace, reszta towarzystwa była już rozlokowana, a Tabita niepostrzeżenie weszła w rolę gospodyni.

* * *

Hakim Pasza był jednym z najbogatszych ludzi w Egipcie i — jak mi powiedział Teobald — niezwykle życzliwie odnosił się do naszej sprawy, co można było uznać za wspaniałe zrządzenie losu.

— Mógłby przed nami stawiać różne przeszkody — stwierdził — a tymczasem okazuje nam ogromną pomoc. Chociażby to, że dał nam ten pałac do dyspozycji, a płacimy mu za to akurat tyle, aby zachować niezależność, co, zapewniam cię, ma dla nas istotne znaczenie. Przypuszczam, że go poznasz, gdyż kiedy ojciec tu pracował, był u nas stałym gościem.

Stałam w przestronnym westybulu pałacu i z zachwytem wpatrywałam się w piękne schody z białego marmuru. Podłoga była pokryta płytami, na których mozaikowe wzory wykonano z najwspanialej dobranych kolorów. Witraże w oknach przedstawiały wędrowniki zmarłych po morzach wśród straszliwych niebezpieczeństw, uwieńczone oddaniem się w opiekę bóstwa Amona-Re.

Teobald stał przy mnie.

— Opowiem ci później tę historię — powiedział. — Spójrz, Tabita przyszła cię powitać.

— Wreszcie przyjechaliście! — zawołała Tabita. Patrzyła na Teobalda roziskrzonymi oczami.

— Wprost nie mogłam się doczekać.

— Z Kairu do naszej siedziby jest kawał drogi — rzekł Teobald.

— Już wyobrażałam sobie wszelkie możliwe nieszczęścia.

— A o tym właśnie nie powinnaś była myśleć, prawda, Judyto? Lecz ty się oczywiście martwiłaś.

— No, ale nareszcie jesteście. Zaprowadzę was do waszego pokoju. Potem będziecie mogli przejść się po całym pałacu. Przypuszczam, że Teobald chce się rozejrzeć po terenie wykopalisk.

— Masz rację — odparł.

— Później zjemy posiłek. Mustafa i Absalom już go przygotowują i z pewnością przemiesząją jakoś egipską kuchnię z angielską, żeby potrawy były bardziej strawne dla naszego podniebienia. Ale najpierw chodźmy do waszego pokoju.

Tabita prowadziła nas szerokimi, wspaniałymi schodami, a następnie wzdłuż galerii, której ściany były zdobione mozaikowymi wzorami, podobnymi do tych na podłodze w westybulu. Przedstawiały również postacie zawsze z profilu, na ogół faraonów składających dary jakiemuś bóstwu. Musiałam się zatrzymać, żeby im się dokładnie przyjrzeć i nacieszyć oczy pięknymi, stonowanymi kolorami. Na suficie widniała płaskorzeźba postaci boga słońca, Amona-Re. Jego symbolem był sokół i baran. Przypomniałam sobie, jak Teobald opowiadał mi, że według starożytnych wierzeń egipskie bóstwa posiadały nie tylko cechy ludzkie, lecz także dodatkowo jedną zwierzęcą. Jednak Amon-Re posiadał dwie — sokoła i barana. Poniżej niego w hierarchii stał jego syn Ozyrys, władca świata pozagrobowego, który sądził zmarłych po przebyciu przez nich podróżą rzeką. Był on mężem wielkiej, umiłowanej bogini Izydy, z którą miał syna Horusa...

— Te postacie są tak pięknie wykonane — zauważyłam.

— W przeciwnym razie znieważono by bóstwa — stwierdził Teobald.

Ujął mnie pod rękę i weszliśmy do przygotowanego dla nas pokoju. Wytrzeszczyłam oczy na ogromne łoże stojące na podwyższeniu. Otaczały je moskitiery spływające z sufitu jak cieniutkie pajęczyny.

— Ten pokój zajmował pasza, kiedy przebywał w pałacu — wyjaśniła Tabita.

— Czy wypada nam z niego korzystać? — spytał Teobald.

— Musicie. Cały pałac został pozostawiony do waszej dyspozycji i jest rzeczą stosowną, aby kierownik wyprawy został ulokowany w najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniu. Twój ojciec też je zajmował podczas pobytu w Egipcie, chyba pamiętasz.

Pokazała nam też pokój, gdzie mogliśmy się umyć i doprowadzić swój wygląd do porządku. Trzy marmurowe schody wiodły do wbudowanego poniżej poziomu podłogi basenu kąpielowego, również z marmuru, ozdobionego pośrodku posągami.

Ściany tego pomieszczenia pokrywała mozaika przedstawiająca nagie postacie. Jedna ze ścian składała się z samych luster. Za kotarą ze złotego brokatu stała toaleta z wielostronnym lustrem, odbijającym obraz z różnych kierunków. Rama lustra była inkrustowana chalcedonem, różowym kwarcem, ametystem i lazurytem. Zwróciło mą uwagę, że kamienie te zastosowano także przy dekoracji sypialni.

Zaśmiałam się:

— To imponujące. Będziemy się czuć niczym para królewska.

— Pasza zagroził służącym, że za każdą skargę z naszej strony będą surowo ukarani. Już się trzęsą ze strachu.

— Czy on jest taki despotyczny?

— Rządzi swoją prowincją i traktuje służących jak niewolników. Oczekuje od nich absolutnego posłuszeństwa. Jesteśmy jego gośćmi, więc gdybyśmy nie byli traktowani z szacunkiem, byłoby to równoznaczne ze zniewagą jego osoby. Na to nie może sobie pozwolić.

— A co się dzieje z tymi, którzy by się takiej obrazy dopuścili?

— Prawdopodobnie znaleziono by ich ciała w Nilu. Albo zostaliby pozbawieni ręki lub ucha.

Wstrząsnął mną dreszcz.

— Tu jest wspaniale. Przepięknie — rzekłam — ale jednocześnie trochę strasznie. Trochę groźnie.

— To Egipt — powiedziała Tabita, kładąc dłonie na mych ramionach. — No a teraz odświeżcie się i potem zejdźcie na posiłek. Spodziewam się, Teobaldzie, że później będziesz chciał zwołać coś w rodzaju narady, prawda?

— No i cóż — rzekł Teobald, gdy zostaliśmy sami — co naprawdę o tym sądzisz?

— Sama nie wiem — odparłam. — Wolałabym, żeby tu nie było tak okazale. A ten pasza robi wrażenie dość diabolicznego.

— To uroczy człowiek. On i mój ojciec byli dobrymi przyjaciółmi. W tych stronach sprawuje władzę. Wkrótce go poznasz.

— Oddał nam swój pałac, więc gdzie mieszka?

— Moja kochana Judyto, przecież to jest jeden z jego pałaców. Być może najwspanialszy, lecz on to właśnie brał pod uwagę, tego wymagają tu dobre maniery. Musisz poznać tutejszą etykietę. To ważne. Nie rób takiej zbolalej miny. Z czasem się nauczysz, teraz chodźmy się umyć. Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę, jak tu się sprawy mają.

Sytuacja się zmieniła. Jego druga miłość — praca — wybijała się na pierwszy plan.

* * *

Jadalnię obwieszoną ciężkimi portierami oświetlał kandelabr o stu chyba świecach. Było już ciemno. Nie powitał nas tu zmierzch, tutaj wieczoru nie poprzedzały takie szare godziny jak w kraju. Natomiast powitali nas członkowie naszej ekipy, co mnie ucieszyło, gdyż spotkanie z nimi stwarzało atmosferę normalności w tym osobliwym miejscu. Uśmiechnęłam się na myśl, że służba z Giza House określiłaby to krótko: „skóra cierpnie”.

Siedzieliśmy przy wielkim stole pod kandelabrem — Hadrian, Jan, Teodozja, Terencjusz Gelding, a także inni, których wcześniej nie znałam. Ale wszyscy oni byli doświadczonymi archeologami, bardzo zaangażowanymi w stojące przed nami zadanie. Teobald zasiadł przy jednym końcu stołu, ja zaś między Hadrianem i Janem przy drugim.

— Więc wreszcie jesteś, Judyto — rzekł Hadrian. — Co sądzisz o tej potrawie zwanej kufta? Osobiście wolę rostbef starej Anglii, ale nie mów tego nikomu. Sędziwy Ozyrys mógłby nie udzielić mi prawa wstępu do niebios, kiedy już przyjdzie mój czas.

— Hadrianie, nie odnoś się do tych spraw tak lekceważąco, radzę ci zatrzymać takie uwagi dla siebie — odparłam. — Nigdy nie wiadomo, kto mógłby cię podsłuchać.

— Otóż i odezwała się nasza Judyta — powiedział Hadrian, zwracając się do Jana. — Dopiero co przyjechała i już nas poucza, co nam wolno, a czego nie.

Jan uśmiechnął się.

— W tym wypadku ma rację. Naprawdę nie wiadomo, co kto usłyszy i źle zrozumie. Tutejsi służący bez wątpienia słuchają i donoszą paszy, a twój żart z pewnością byłby opacznie zinterpretowany jako przejaw lekceważenia.

— A co robiliście do tej pory? — spytałam.

— Doglądaliśmy terenu wykopaliska, zatrudniliśmy robotników, zorganizowaliśmy to i owo. W takich przypadkach jest mnóstwo do roboty. Poczekaj, aż tam pójdziesz i zobaczysz, jaki stworzyliśmy ośrodek przemysłu wydobywczego. Będzie zdziwiona, prawda, Janie?

— Jest pewna różnica między tym terenem i Carter's Meadow.

— A tak naprawdę, to natrafiliśmy na trudności — rzekł Hadrian. — Bo widzisz, wielu spośród tam pracujących ma w pamięci śmierć sir Edwarda i uważa, że to kara, gdyż wszedł tam, gdzie sobie bogowie nie życzyli.

— I ci robotnicy są niechętni w pewnej mierze naszym zamierzeniom?

— No właśnie, czyż nie tak, Janie? Jan z powagą pokiwał głową.

Spojrzałam na Teobalda pogrążonego w rozmowie z sąsiadami. Tabita siedziała w pobliżu niego i zauważyłam trochę z zazdrością, jak od czasu do czasu dorzuca swe uwagi, których tamci słuchają z szacunkiem.

Czułam, że już straciłam Teobalda.

Po posiłku mój mąż udał się na teren wykopalisk i dopuszczono mnie do towarzyszenia ekipie badaczy. Mimo późnej godziny nadal tam trwała praca. I to nawet wytężona, a to za sprawą księżycy w pełni i bardziej rześkiego powietrza. Łatwiej się pracowało o tej porze niż w upale pod palącym słońcem.

Pozbawione roślinności, wznoszące się ku księżycowi wzgórza wyglądały groźnie, lecz zarazem pięknie. Równoległe linie palików wyznaczające teren wykopalisk, wybudowany tam niewielki drewniak, taczki, koparki i robotnicy — to widok daleki od romantycznego.

Teobald zostawił mnie z Hadrianem, który, uśmiechając się ironicznie, zapytał:

— Niezupełnie tego oczekiwałaś?

— Rzeczywiście — przyznałam.

— Jakże mogło być inaczej, przecież jesteś weteranem spod Carter's Meadow.

— Sądzę, że jest pewne podobieństwo, choć tam tylko poszukiwano zabytków z epoki brązu, a tu są groby zmarłych.

— Być może zbliżamy się do jednego z najdonioślejszych odkryć archeologicznych.

— Cóż to będzie za emocja!

— Tymczasem jeszcze wszystko przed nami, a ty musisz się nauczyć, że w tej grze trzeba działać przezornie. A w ogóle wielu rzeczy będziesz się musiała nauczyć.

— Czego mianowicie?

— Jak być dobrą żoneczką archeologa.

— Co masz na myśli?

— Nigdy się nie skarżyć, że twój pan i władca stale przebywa poza domem.

— Zamierzam wspólnie z nim pracować. Hadrian roześmiał się.

— My z Janem zajmujemy się archeologią zawodowo, a zapewniam cię, że nie jesteśmy dopuszczani do niczego poza jakimiś pomocniczymi zadaniami. A myślisz, że ty będziesz dopuszczona?

— Jestem żoną Teobalda.

— W naszym świecie, droga Judyto, liczą się tylko archeolodzy... ich żony i mężowie są tu tylko na przyczepkę.

— Oczywiście wiem, że jestem jedynie amatorką... jak dotąd.

— A to coś, czego na dłuższą metę nie będziesz mogła znieść, prawda? Już wkrótce wszystkich nas zapędzisz w kozi róg, nawet wielkiego Teobalda, co?

— Nauczę się wszystkiego, czego będę mogła, i ufam, że potrafię zaangażować się sensownie...

Znowu się zaśmiał.

— Na pewno. Lecz dodatkowo poza sensownym zaangażowaniem weź pod uwagę sensowną przezorność.

— Hadrianie, nie potrzebuję twoich rad.

— Ależ tak, potrzebujesz. No, widzę, że wzrokiem szukasz Teobalda. Jest tu już od kilku godzin. Mógłby ofiarować pierwszą noc w Chephro Pałace swej młodej żonie. Gdybym ja był na jego miejscu...

— Ale nie jesteś, Hadrianie.

— Niestety! Spóźniłem się. Ale zapamiętaj moje słowa. Teobald taki jest, jaki jest, i takim pozostanie. Nie ma sensu starać się go zmieniać.

— A kto mówi, że ja go chcę zmieniać?

— To się okaże. A tymczasem pozwól odprowadzić cię do pałacu. Z pewnością chętnie weźmiesz kąpiel w tym basenie z chalcedonu.

— Ten kamień to też chalcedon?

— Chyba tak. Wspaniałość, nie sądzisz? Ciekawe, co by o tym pomyślała lady Bodrean. Chybaby uznała to otoczenie za nieodpowiednie dla swej byłej panny do towarzystwa, nawet jeśli się okazało, że jesteście — w pewnym sensie — skoligacone.

— Byłoby rozkosznie zobaczyć, jaką by zrobiła minę na mój widok w tych reprezentacyjnych apartamentach, zwłaszcza gdyby jej samej dostały się gorsze.

— Wyczuwam w twych słowach ducha zemsty, kuzynko Judyto. No bo jesteśmy kuzynami, prawda?

— Coś takiego przyszło mi do głowy. Jak tam twoje sprawy?

— Sprawy? Finansowe czy sercowe?

— Jedne i drugie, skoro już o nich wspomniałeś.

— W opłakanym stanie, Judyto... Pierwsze dlatego, że to się już stało notoryczne, drugie zaś, ponieważ we właściwym czasie nie dowiedziałem się, że dziedziczysz spadek, i straciłem życiową szansę.

— Czy nie wyciągasz zbyt daleko idących wniosków? Chyba nie sądzisz, że zgodziłabym się na małżeństwo, wiedząc, że chodzi wyłącznie o pieniądze?

— Kobiety poślubiane dla pieniędzy wcale o tym nie wiedzą. Chyba nie wyobrażasz sobie żadnego majątku konkurenta, jak przychodzi do wybranki, klęka przed nią i błaga, by zrobiła mu ten zaszczyt i podzieliła się z nim swym bogactwem, prawda?

— Z pewnością trzeba by było to zrobić w bardziej subtelny sposób.

— Właśnie.

— A jednak sądzisz, że wystarczyłoby, abyś tylko skinął ręką i mój majątek znalazłby się w twojej kieszeni?

— Jedynie wtajemniczam cię w sekret, teraz, kiedy jest już za późno. No, chodź, odwiozę cię do pałacu.

Powrotną drogę do brzegu rzeki odbyliśmy na mułach. Tam czekała na nas łódź, na której przebyliśmy niewielki odcinek Nilu w dół rzeki. Wysiedliśmy na przeciwległym brzegu niemal przed samą bramą pałacu.

Weszliśmy do środka, gdy właśnie do westybulu schodziła Teodozja. Powiedziała, że Jana jeszcze nie ma, na co Hadrian oświadczył, że także musi pojechać z powrotem na teren wykopalisk.

— Nie wrócimy wcześniej niż nad ranem, możecie mi wierzyć. Teobald jako szef to prawdziwy tyran. Sam pracuje jak wół i tego samego oczekuje od swych pachółków.

Wyszedł i kiedy zostaliśmy same, Teodozja powiedziała:

— Judyto, chodź do mojego pokoju porozmawiać.

Poszłam za nią galerią. Pokój, który zajmowali z Janem, nie był tak imponujący jak nasz, ale bardzo przestronny, choć mroczny. Na podłodze leżał dywan z Buchary. Zamknęła drzwi i obróciła ku mnie twarz.

— Och, Judyto — powiedziała — mnie się tu nie podoba. Znienawidziłam to miejsce w chwili, gdyśmy tu przyjechali. Chcę wracać do domu.

— Dlaczego, co się stało? — zapytałam.

— Coś wyczuwam, coś strasznego. Mnie się tutaj nie podoba. Nie mogę powiedzieć Janowi. On ma tu pracę, prawda? Pewno by nie zrozumiał. Ale mnie tu coś niepokoi... Ciebie oczywiście nie. Nigdy nie byłaś strachliwa. Chciałabym, żebyśmy wrócili do kraju. Dlaczego nie zostawimy faraonów w spokoju w ich grobowcach? Przecież o to im chodziło. Oni nie sądzili, zadając sobie tyle trudu w przygotowaniu miejsca pochówku, że jacyś ludzie przyjadą i zaczną wchodzić tam, gdzie nie powinni.

— Ależ, moja droga Teodozjo, celem archeologii jest odkrywanie tajemnic przeszłości.

— Czym innym jest szukanie dawnej broni, rzymskich posadzek czy łaźni. Mnie się nie podoba naruszanie spokoju zmarłych. Zawsze mi się to wydawało okropne. Wczoraj mi się śniło, że odkryliśmy grobowiec, a tam stał sarkofag, taki jak wtedy w Giza House. I ktoś się z niego podniósł, bandaż się rozwinęły...

— Nie mogę już naprawić tego, co zrobiłam, prawda?

— W moim śnie krzyczałam: „Judyto, przestań”. A potem spojrzałam i to nie byłaś ty.

— A kto?

— Ja. Chyba to jakieś ostrzeżenie.

— Teodozjo, ponosi cię wyobraźnia. A to podobno mnie się przydarzało.

— Tu każdemu może się przydarzyć. Ten pałac ma setki lat. A świątynie i grobowce pochodzą sprzed tysięcy lat. Cieszę się, że już wróciłaś, Judyto. Będę się lepiej czuła, wiedząc, że tu jesteś. Ci wszyscy ludzie tacy są oddani swej sprawie, prawda? Myślę, że ty też trochę, ale mniej. No i ja ciebie znam i mogę z tobą na taki temat porozmawiać.

— Boisz się o Jana? — spytałam.

Przytaknęła głową.

— Często myślę, co by się stało, gdyby jemu się przytrafiło to, co sir Edwardowi.

Niełatwo było mi ją pocieszyć. Przecież sama się zastanawiałam, czy coś złego nie stanie się Teobaldowi.

— Oczywiście, że jesteśmy zaniepokojone — powiedziałam. — Kochamy swych mężów, a każdy, kto kocha, głupieje. Gdybyśmy tylko mogły podejść do tego racjonalnie, spojrzeć na to z dystansu, nabrałybyśmy przekonania, że te obawy są niemądre.

— Tak, Judyto. Pewnie masz rację.

— Może poszłabyś do łóżka? — zasugerowałam. — Chyba nie zamierzasz tak siedzieć i czekać na Jana, prawda?

— Chyba nie. Bóg jeden wie, kiedy on wróci. Och, Judyto, odkąd jesteś tutaj, czuję się znacznie lepiej.

— Tak powinno być. Nie zapominaj, że jesteśmy siostrami, choć przyrodnimi.

— Cieszę się z tego.

Uśmiechnęłam się do niej, życzyłam jej dobrej nocy i opuściłam pokój.

Szłam galerią. Jak tu było cicho! Ciężkie portiery ze złotymi frędzlami kryły mnie w tym przejściu, me stopy zapadały się w grubym dywanie. Stałam w pewnej chwili nieruchomo, nagle wewnętrznie napięta, gdyż instynktownie wyczułam, że nie jestem na galerii sama. Rozejrzałam się. Nikogo nie widziałam, a jednak czułam na sobie czyjś wzrok.

Ciarki mi przeszły po plecach. Zrozumiałam, dlaczego Teodozja się boi. Była bardziej bojaźliwa niż ja — choć być może mniej obdarzona wyobraźnią.

Rozległ się za mną ledwie słyszalny szelest stóp. Bez wątpienia ktoś tu był. Obróciłam się raptownie.

— Absalom! — zawołałam. — Mustafa!

Skłonili się nisko.

— Jaśnie pani — powiedzieli chórem. Ich czarne oczy były we mnie bacznie wpatrzone, więc szybko spytałam:

— Czy stało się coś złego?

— Złego? — Spojrzeli po sobie. — Tak, pani. Ale jeszcze nie jest za późno.

— Za późno? — powtórzyłam drżącym głosem.

— Państwo wracać. Państwo jechać do domu. To jest najlepiej. Pani poprosić. Pani młoda żona. On nie odmówić swej ukochanej.

Potrząsnęłam głową.

— Nie rozumiecie. To jest praca sir Teobalda... jego życie...

— Jego życie... — Popatrzyli na siebie i pokiwali głowami. — Było życie sir Edwarda... a potem śmierć.

— Nie musicie się niepokoić — powiedziałam. — Wszystko będzie dobrze. Kiedy znajdą to, czego szukają, wrócą do domu.

— Wtedy... za późno, pani — rzekł Absalom, a może Mustafa. Spoglądali na mnie pełnym smutku wzrokiem.

— Jeszcze nie za późno — powiedział jeden z nich z nadzieją w głosie.

— Dobranoc — zakończyłam rozmowę. — Muszę iść wypocząć w swoim pokoju.

Nic nie odpowiedzieli, tylko nadal patrzyli na mnie ponuro.

* * *

Leżałam w łóżku i nie udawało mi się zasnąć. W migoczącym świetle świec mogłam dojrzeć sufit pokryty malowidłami w stonowanych, pastelowych kolorach. Potrafiłam już teraz rozpoznać znajomą mi sylwetkę Amona-Re, wielkiego boga słońca, przyjmującego dary od strojnie odzianej postaci, prawdopodobnie faraona. Malowidło obramowane było hieroglifami — dziwnymi znakami, pełnymi znaczeń. Zastanawiałam się, czy będąc tutaj, nie mogłabym spróbować i starać się trochę poznać to pismo. Miałam przeczucie, że w ciągu wielu nocy będę tak leżała samotnie i podczas wielu dni nie będę widywała Teobalda.

Muszę się na to przygotować. W gruncie rzeczy tego się spodziewałam. A jednak pragnęłam, by Teobald zrozumiał, że mym największym życzeniem jest wspólne spędzanie z nim życia.

Była druga nad ranem, kiedy wrócił. Krzyknęłam z radości na jego widok i usiadłam na łóżku.

Podszedł do mnie i ujął me dłonie.

— Judyto, dlaczego jeszcze nie śpisz?

— Byłam zbyt podekscytowana, żeby usnąć. Zastanawiałam się, co robisz na terenie wykopalisk.

Zaśmiał się.

— Nic takiego, co mogłoby cię tak szalenie podekscytować. Zostały zaznaczone wchodzące w grę strefy i wykonano różne prace przygotowawcze.

— Zaczynasz w tym miejscu, w którym sir Edward je przerwał?

— Kiedyś ci o tym opowiem. Teraz powinnaś zasnąć. — Pocałował mnie lekko i wyszedł do naszej gotowalni.

Ale mnie nie chciało się spać. Ani Teobaldowi. Leżeliśmy i rozmawialiśmy jeszcze z godzinę.

— Tak — powiedział w pewnym momencie — badamy ten sam teren co ojciec. Wiesz, co się stało. On był przekonany, że w tym rejonie znajduje się nienaruszony grobowiec. I wiesz także oczywiście, iż większość z dotąd odkrytych została splądrowana wiele wieków temu.

— Sądziłam, że miejsca pochówku były trzymane w tajemnicy.

— Do pewnego stopnia tak, ale pomyśl, ilu robotników zostało zaangażowanych w te budowy. Wyobraź sobie ociosywanie kamieni, drażnienie podziemnych przejść oraz samych komnat grobowych i to wszystko w tajemnicy. A sprawa przetransportowania skarbów do grobowców?

— Wieści się roznosiły — powiedziałam — i pojawili się złodzieje. Dziwne, że nie odstraszała ich klątwa.

— Bez wątpienia bali się, ale bajecznie kosztowne znaleziska w grobowcach pewno wydawały się im wystarczającą nagrodą za potępienie po śmierci. A skoro byli na tyle sprytni, by odnaleźć ukryte skarby, pewnie uważali, że w równie przebiegły sposób uda im się uniknąć złego losu.

— A jednak sir Edward, który jedynie pragnął te skarby ujawnić i przekazać je do muzeum, uległ śmiertelnemu wypadkowi, podczas gdy złodziejom, którym przyświecał tylko osobisty zysk, udało się ujść cało.

— Przede wszystkim śmierć mego ojca nie miała nic wspólnego z klątwą. Nastąpiła z przyczyn naturalnych.

— Tyle że chyba nikt nie jest tego tak całkowicie pewien.

— Och, Judyto, daj spokój, nie zaczynasz przecież nagle wierzyć w zabobony.

— Raczej nie. Ale każdy staje się trochę przesądny, gdy ukochana osoba jest w niebezpieczeństwie.

— Niebezpieczeństwo. Co za nonsens. To po prostu bajka.

— A jednak... on zmarł. Pocałował mnie w czoło.

— Głupiutka Judyta — rzekł. — Zaskakujesz mnie.

— To właśnie jest dowód, że nie możesz dowierzać mej mądrości, gdy jakaś sprawa ciebie dotyczy. Mądrych mężczyzn miłość przemienia w głupców, a zapewniam cię, że również odnosi się to do kobiet.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym ja podjęłam rozmowę.

— Widziałam Mustafę i Absaloma. Powiedzieli, że mam cię nakłonić do powrotu do kraju.

Roześmiał się.

— Kompletna bzdura — rzekł. — To była bajka, która miała odstraszyć rabusiów. I jak wiesz, nie odstraszyła. Niemal każdy odkryty grobowiec był już naruszony. Dlatego marzeniem wszystkich archeologów jest znalezienie grobowca w takim stanie, w jakim został zamknięty mniej więcej cztery tysiące lat temu. Pragnę być pierwszym, który postawi stopę w takim miejscu. Wyobraź sobie, co to by była za radość ujrzeć na piasku ślady stopy osoby, która jako ostatnia opuszczała grobowiec. Albo leżący tam wieniec ofiarny, złożony przez żałobników, zanim drzwi

zostały zamknięte, stok góry wypełniony, a zmarły zostawiony w pokoju na wieki, które miały nadejść Och, Judyto, nie masz pojęcia, co to by było za przeżycie.

— Musimy próbować sprawdzać, czy twoje marzenie jest do zrealizowania.

— Kochanie, mówisz tak, jakbym był małym chłopcem, który oczekuje jakiegoś smakołyku.

— No cóż, żaden człowiek nie jest monolitem i nawet najslawniejszy archeolog na świecie może wydawać się chłopcem swej oddanej żonie.

— To wielkie szczęście, że jesteś tu ze mną, Judyto. I będziesz ze mną zawsze. Jako żona doskonała.

— To dziwne, że właśnie to powiedziałeś. Czy wiesz, że Disraeli dedykował jedną ze swych powieści Marii Annie, swej żonie? I ta dedykacja właśnie brzmiała: „Żonie doskonałej”.

— Nie wiedziałem — odparł. — Poza jednym tematem jestem ignorantem.

— Jesteś specjalistą — stwierdziłam. — Nie można oczekiwać, że twoja wielka wiedza będzie obejmować każdy temat. Więc on ożenił się z nią dla pieniędzy, ale gdy się już zestarzel, ożeniłby się z nią z miłości.

— Wobec tego — rzekł lekkim tonem — to istotnie musiał być doskonały związek.

Gdyby się tak zdarzyło w moim przypadku — pomyślałam — byłabym zadowolona.

Potem zaczął mi opowiadać o starożytnych zwyczajach, w fascynujący sposób odmalowując różne egzotyczne obrazy. Powiedział mi, co odnaleziono w grobowcach, częściowo obrabowanych przed wiekami. Spytałam go, dlaczego starożytni Egipcjanie uczynili z pochówku zmarłych jedną ze sztuk pięknych.

— Wierzyli — odpowiedział — że dusza żyje nadal po śmierci człowieka. Według ich wierzeń bóg Ozyrys, władca świata zmarłych i ich sędzia, był rzekomo pierwszym zabalsamowanym i obrzędu tego dokonał bóg Anubis. Ozyrys został zamordowany przez swego brata, Seta, boga ciemności, lecz zmartwychwstał i zrodził syna, boga Horusa. Kiedy człowiek umiera, staje się tożsamym z Ozyrysem, lecz aby uniknąć zniweczenia, musi szczęśliwie przeprawić się przez mityczną rzekę Tuat, która według wierzeń miała swój koniec tam, gdzie wschodzi słońce, w królestwie boga słońca Amona-Re. Przeprowa przez rzekę była pełna przeszkód i niebezpieczeństw i nikt nie mógł jej przepłynąć bez pomocy Ozyrysa. Wierzono, że rzeka robiła się coraz ciemniejsza, w miarę jak kruha łódka, którą duch zmarłego podróżował, posuwała się do przodu. Duch rychło dostawał się do komory zwanej Amentat, miejsca Zmroku, a po jej przebyciu napotykał na coraz straszniejsze zagrożenia ze strony rzeki. Wynurzały się z niej okropnie niebezpieczne potwory, woda burzyła się i była tak spieniona, że mogła pochłonąć łódkę w swych wodach. Tylko ci, którzy prowadzili uczciwe życie na Ziemi, a do tego byli odważni i silni, mieli nadzieję na przetrwanie, i to jedynie z pomocą Ozyrysa. Gdy wreszcie przez to wszystko szczęśliwie przeszli, przybywali do ostatniej komory, gdzie sądził ich bóg Ozyrys. Decydował on o tym, kto zasłużył sobie na dalszą drogę do Amona-Re. Pozostali, choć przetrwali do dnia sądu, byli skazani na zniweczenie. Dla tych, którzy istnieli nadal, domem był grobowiec. Ich Ka — tak nazywali niezniszczalny ludzki pierwiastek — mógł przechodzić tam i z powrotem: do świata i do mumii leżącej w grobowcu. Dlatego uważano za konieczne budowanie komór grobowych, godnych ich znakomitych mieszkańców, aby nie odczuwali braku klejnotów i innych skarbów, które uprzyjemniały im pobyt na ziemi.

— Wobec tego rozumiem, dlaczego oni nie byliby zachwyceni obecnością intruzów — powiedziałam.

— Oni? — spytał. — Masz na myśli dawno zmarłych, a żyjących kiedyś w minionych cywilizacjach?

— I dzisiaj musi być wiele osób, które wierzą w te bóstwa.

— „Allah jest wielki, a Mahomet jego prorokiem”. Będziesz to często słyszała.

— Ale wielu może utożsamiać dawnych bogów z Allachem. Allach jest wszechmocny w tej samej mierze co Horus, Ozyrys i reszta. Sądzę, że tacy ludzie jak Mustafa i Absalom wierzą, iż Ozyrys przybędzie i porazi każdego, kto wedrze się do jego świata zmarłych.

— Przesady. Moja droga Judyto, zatrudniamy około stu ludzi. Pomyśl, co to dla nich oznacza. Niektórzy z nich są bardzo ubodzy, jak się sama zorientujesz. Te wykopaliska to dla nich ratunek.

— Patrzysz na to z praktycznego punktu widzenia, Teobaldzie.

— I ty też tak powinnaś.

— Powinnam, gdyby nie to, że chodzi o ciebie. Usłyszałam w ciemnościach jego śmiech. Potem wypowiedział dziwne słowa:

— Za bardzo mnie kochasz, Judyto. To nie jest roztropne.

Przytuliłam się do niego i zatraciliśmy się w miłosnym uniesieniu.

W końcu zasnąłam.

* * *

Nadszedł Shem el Nessim, co według mnie znaczyło Zapach Wiatru i było świętem obchodzonym dla uczczenia pierwszego dnia wiosny. W kraju będzie właśnie Wielkanoc, pomyślałam i wyobraziłam sobie, jak Dorcas i Alison wraz z panną Crewe dekorują kościół żonkilami i innymi, przeważnie żółtymi, wiosennymi kwiatami. Zawsze mówiłyśmy, że to kolor słońca.

Sabina zapewne zawzięcie trajkocze o wydarzeniach w parafii, czemu Oliver przysłuchuje się z wyrozumiałym uśmiechem, moje ciotki zaś rozmyślają, o ile więcej udałoby się osiągnąć, gdybym to ja została żoną proboszcza, zamiast wychodzić za mąż za człowieka, który mnie uwiódł udziałem w wyprawie do obcej ziemi.

Te pierwsze dni po przybyciu tutaj rozczarowały mnie nieco, ponieważ tak rzadko widywałam Teobalda. On bowiem spędzał każdą chwilę, jeśli było to możliwe, na stanowisku archeologicznym. Bardzo pragnęłam mu towarzyszyć, ale wyjaśnił, że jeszcze nie nadszedł czas prac, w których mogłabym brać udział.

Posiłki spożywaliśmy w wielkiej sali bankietowej w pałacu i przy długim stole zasiadało wiele osób. Teobald zajmował zawsze miejsce u szczytu stołu, a wraz z nim ci bardziej zasłużeni członkowie ekipy. Hadrian i Jan nie mieli jeszcze zbyt dużego doświadczenia, lecz Terencjusz Gelding, kilka lat starszy od Teobalda, był jego prawą ręką. Uczestniczył w kilku zwieńczonych sukcesem badaniach wykopaliskowych na terenie Anglii. Teobald mówił mi kiedyś, że Gelding stał się dobrze znany w kręgach archeologów po odkryciu jednych z najwspanialszych, odnalezionych w kraju, rzymskich nawierzchni ulic. Ustalił on także okres, z jakiego pochodziły niektóre pozostałości z wczesnego okresu epoki kamienia i brązu.

Tabita umiejętnie przejęła obowiązki gospodyni domu i dawało się zauważyć, że już tu przedtem była. To wszystko oznaczało, że wiele czasu spędzałam z Teodozją. Często wybierałyśmy się razem na przejażdżki dwukółką zaprzęzoną w konia, zwaną tu arabiya.

Wiedziano, że jesteśmy żonami uczestników wyprawy archeologicznej, i z tej przyczyny mogłyśmy w miarę możliwości swobodnie jeździć, gdzie się nam podobało.

Czasami wyruszałyśmy za miasto i widywałyśmy fellachów pracujących na roli przy pomocy wołu i bawołu. Mimo swych niezbyt czystych, długich bawełnianych sukni, mężczyźni ci robili wrażenie pełnych godności. Nieraz byłyśmy świadkami, jak jedli posiłek. Składał się on nieodmiennie z praśnego chleba i pewnego rodzaju fasoli, która była — jak odkryłam — znana pod nazwą „głupiec”.

Chodziłyśmy razem na suk i czasami coś kupowałyśmy. Nasza obecność zawsze wzbudzała poruszenie związane — jak przypuszczałam — z nadzieją na ubicie interesu, ale nikt nam niczego nie wmuszał.

Szczególnie zainteresował nas jeden sklep, gdyż siedziała w nim młoda dziewczyna z zasłoną na twarzy, pochylona nad kawałkiem skóry, który zdobiła jakimś deseniem.

Zatrzymałyśmy się, a ona przestała pracować i spojrzała na nas bacznie znad jaszmału swymi ogromnymi oczami, które wydawały się jeszcze większe z powodu powiek poczerwionych proszkiem antymonowym.

Spytała nie najgorszą angielszczyzną:

— Paniom się podoba?

Odpowiedziałyśmy, że bardzo się nam podoba to, co robi, a ona zachęciła nas do obserwowania jej przez parę chwil przy pracy. Byłam zdumiona zręcznością, z jaką tworzyła wzór.

— Panie by chciały? — spytała, wskazując na stojące w rzędzie pantofle, torby i pugilaresy, wszystko wykonane z wytłaczanej we wzory skóry.

Przymierzyłyśmy pantofle, przyjrzałyśmy się torbom i rezultat był taki, że ja kupiłam parę jasnoszarych rannych pantofli zdobionych niebieskim kolorem, Teodozja zaś rodzaj niewielkiej torby na zakupy, zamykanej ściągany rzemieniem. Torba była też jasnoszarego koloru, ale wzór był bladoczerwony.

Dziewczyna, zachwycona tymi transakcjami, po ich dokonaniu spytała:

— Panie z Anglikami? Oni kopią w dolinie?

Potwierdziłam, wyjaśniając, że nasi mężowie są archeologami i na nasze szczęście mogliśmy im towarzyszyć.

Skinęła głową.

— Ja wiem, ja wiem — powiedziała z ożywieniem.

Odtąd często wstępowałyśmy do jej sklepu i od czasu do czasu coś kupowałyśmy. Dowiedziałyśmy się, że ma na imię Yasmin, że jej ojciec, a przedtem jego ojciec, wyrabiali przedmioty ze skóry. Dwaj młodszy bracia też przyuczali się do tego zawodu. Miała przyjaciela, który był zatrudniony u nas jako kopacz. Dlatego tak interesowała się naszą ekspedycją.

Zawsze gdy przechodziłam koło sklepu, szukałam wzrokiem jej szczupłej postaci, pochylonej nad robotą lub obsługującej klientów. Stała się dla mnie częścią znanego mi już, toczącego się na suku życia.

Jednakże żadna z nas nie chodziła tam sama. Razem czułyśmy się swobodnie, jeżeli zaś zdarzyło się, co miało miejsce raz czy dwa, że chwilowo się rozdzieliłyśmy, gdyż któraś z nas zatrzymała się, żeby coś obejrzeć albo po prostu szybciej poszła przodem, ogarniał nas niepokój, gdy nagle poczułyśmy się otoczone tłumem obcych ludzi. Wiedziałam, że Teodozja bardziej to przeżywała niż ja. Zauważyłam w jej oczach prawie panikę, kiedy się jej zdawało, że się zgubiła. To były bardzo rzadkie przypadki i zwykle starałyśmy trzymać się razem, mimo znanego nam otoczenia. Miałam wrażenie, że ludzie przyzwyczaili się do naszego widoku. Tylko dzieci zatrzymywały się i przypatrywały; dorośli zawsze przechodzili z odwróconym wzrokiem, choć zdawałyśmy sobie sprawę, że są świadomi naszej obecności.

Niewidomi żebracy okazywali widoczne ożywienie, gdy się zbliżyłyśmy. Trudno było powiedzieć dlaczego, skoro byli ślepi. Ale zawsze wrzucałyśmy monety do ich ustawionych na datki misek i nieodmiennie słyszałyśmy, jak pomrukują z wdzięcznością: „Allah wynagrodzi!”.

W końcu nastawienie Teodozji uległo pewnej zmianie i zaczęła odbierać wrażenia, które niosła ze sobą atmosfera na bazarze, jak dziecko doświadczające przyjemnego strachu. Nadal trzymała się kurczowo mego ramienia, lecz jednocześnie poddawała się urokowi kolorytu tego miejsca i panującej tu krzątaniny. Mijałyśmy mężczyzn o ciemnej cerze, wystających kościach

policzkowych i szlachetnych profilach, przypominających te z rysunków, które widziałam na ścianach świątyni. Kobiety były na ogół zakwefione, więc na ich twarzach pozostawały niezakryte jedynie oczy, robiące wrażenie olbrzymich, co niewątpliwie było spowodowane czernidłem nakładanym na powieki. Z reguły ubrane były na czarno od stóp do głów. Kiedy wyjeżdżałyśmy na wieś, widywałyśmy kobiety pomagające mężczyznom w pracy na roli. Wczesnie rano lub późnym wieczorem robiłyśmy wycieczki łodziami po Nilu. Kobiety prały swe rzeczy przy brzegach i gawędziły sobie przy okazji. Podziwiałymy, z jakim wdziękiem i godnością nosiły na głowach dzbanki pełne wody, i to tak, żeby nie uронić jednej kropli.

Ta cała sceneria w krótkim czasie stała mi się znajoma. Jedno, co mnie napawało goryczą, to odsunięcie od udziału w pracach naszej ekipy. Teobald tylko się uśmiechał, gdy go wypytywałam, czy nie znajdzie się dla mnie cokolwiek do roboty.

— Wiesz, Judyto — odpowiadał — że to całkiem inna operacja niż na Carter's Meadow.

— Wiem. Ale tak bardzo pragnęłabym w niej uczestniczyć, choćby w małej części.

— Później — przyrzekł. — Tymczasem, czy nie napisałabyś dla mnie paru listów i nie poprowadziła księgi rachunkowej? Wprowadzę cię w te sprawy. Musisz równie dobrze to poznać, jak pracę w terenie.

Odpowiedziałam mu, że zrobię to z przyjemnością, lecz chcę także aktywnie uczestniczyć w pracach wykopaliskowych.

— Droga Judyto, zawsze byłaś zbyt niecierpliwa.

Tak więc musiałam się zadowolić tym, na co mi zezwalał, lecz postanowiłam, że takie rozwiązanie jest jedynie tymczasowe.

Dzień Shem el Nessim miał rangę święta państwowego i Teobald był zirytowany.

— Musimy przerwać pracę tylko dlatego, że nadszedł pierwszy dzień wiosny — zrzędził.

— Ależ jesteś niecierpliwy. — Nie mogłam sobie odmówić tej uwagi.

— Moja droga Judyto, to naprawdę może doprowadzić człowieka do wściekłości. Koszt prac jest ogromny i to będzie czysta strata. Ojciec zawsze powiadał, że po święcie robotnicy nigdy dobrze nie pracują. Biorą sobie dzień wolny albo i kilka, żeby odpocząć, więc zmarnujemy jeszcze więcej czasu.

Zdecydował, że nie można sobie na to pozwolić, i z całą ekipą udał się jak zwykle na teren wykopalisk. Był drugi dzień świąt Wielkanocy i mnie wraz z Teodozją nie pozostawało nic innego jak udać się na suk. Sklepy były zamknięte i ulice, pozbawione dźwięków, zapachów i kupujących, wyglądały zupełnie inaczej. Na jednej z nich stał niewielki meczet. Drzwi do niego były zawsze otwarte i przechodząc tamtędy, zwykle zerkaliśmy do wnętrza kątem oka. Okazało się, że jest tam obszerna sala, gdzie często widziałyśmy ubrane na białą postacie, klęczące na matach. Lecz zawsze szybko odwracałyśmy oczy, gdyż wiedziałyśmy, jak łatwo jest urazić ludzi czymś, co mogłoby się im wydawać podpatrywaniem i brakiem szacunku dla ich religii.

W tym dniu wielu ludzi odwiedzało meczet. Wyglądali inaczej niż zwykle, gdyż ubrani byli w swe odświętne stroje, i chociaż kobiety nadal nosiły się na czarno, to niektórzy spośród mężczyzn mieli kolorowe szaty.

Zatrzymałyśmy się, żeby popatrzeć na zaklinacza węzów, który z fujarką w ustach siedział po turecku na bruku. Zawsze zadziwiał nas widok węża, który pod wpływem muzyki podnosił się z kosza i trwał tak zahipnotyzowany, aby następnie spokojnie wrócić z powrotem na swe leże. Tego dnia, w święto Shem el Nessim, po raz pierwszy zobaczyłyśmy wróżbiarza siedzącego w kucki na macie w pobliżu zaklinacza węży.

Gdy przechodziłyśmy koło niego, zawołał:

— Allach z wami. Allach jest wielki, a Mahomet jego prorokiem.

Zwróciłam się do Teodozji:

- On chce nam powróżyć.
- Strasznie chciałabym poznać swój los — powiedziała Teodozja.
- To poznasz. Chodź. Dowiemy się, co nam przyniesie przyszłość.

Z obu stron wróżbiarza leżały dwie maty. Skinął najpierw na Teodozję, potem na mnie. Z pewnym zakłopotaniem usiadłyśmy na matach. Czułam na sobie wzrok jego świdrujących, hipnotycznych oczu, utkwionych w mej twarzy.

- Angielskie damy — rzekł wróżbiarz. — Przyjechać zza mórz.

Raczej nie ma nic dziwnego w tym, że to wie, pomyślałam. Ale Teodozja pokraśniała z podniecenia.

— Wy przyjechać z dużo ludzi. Przyjechać, żeby zostać... tydzień... miesiąc... miesiąc... dwa miesiące...

Spojrzałam na Teodozję. To też właściwie było wiadome.

— Pan oczywiście wie — odezwałam się — że my jesteśmy tu z ekipą, która prowadzi prace wykopaliskowe w dolinie.

Rzucił okiem na Teodozję i powiedział:

— Pani zameżna dama. Pani mieć czulego męża — i z kolei do mnie: — Pani też zameżna dama.

— Obie mamy mężów. Gdybyśmy nie miały, raczej trudno by było nam się tu znaleźć.

— Zza mórz panie przyjechać... za morza panie musieć wrócić. — Spuścił oczy. — Ja widzieć, że to złe. Pani musieć wrócić... wrócić przez morza...

— Która z nas? — spytałam.

— Wy obie musieć jechać. Ja widzieć mężczyzn i kobiety. Oni płakać... Widzę człowieka... leżeć bez ruchu... zamknięte oczy... Nad nim cień. Widzę, to anioł śmierci.

Teodozja zbladła. Zaczęła wstawać.

— Usiąść — nakazał wróżbita.

— Kto jest tym mężczyzną, którego pan widzi? — spytałam. — Proszę go opisać.

— Człowiek... może on jest kobieta. Są mężczyźni i kobiety... pod ziemią... Oni badać drogę... naruszać ziemię i miejsce spoczynku zmarłych... nad nimi cień. On się zmieniać, ale nie odchodzić, zawsze tam być. To anioł śmierci. Ja teraz widzę jasno. Pani tam być i pani też. On teraz być blisko pani... a teraz nad drugą panią... i on czekać... czekać na rozkaz tego, co będzie miał rozkazane wziąć.

Teodozja drżała.

— Teraz jest jasno — mówił dalej wróżbita. — Słońce świecić wysoko. Wysoko jest białe światło, a anioł śmierci odejść. Panie być na wielkim statku... panie płynąć daleko... Anioł odejść. On nie móc żyć pod jasnym słońcem. To wszystko. Wy mieć dwa obrazy. Może być tak i tak. Allach jest wielki. Wolny wybór.

— Dziękuję — rzekłam i włożyłam monetę do jego miski.

— Damy, wy przyjsć jeszcze. Powiedzieć więcej.

— Może przyjdziemy — powiedziałam. — Chodź, Teodozjo. Wyciągnął rękę po miskę z monetą. Na jego gołym ramieniu, z którego zsunęło się okrycie, zauważyłam znak. Była to głowa szakala. Wiedziałam, że to był znak jednego z bóstw, ale nie pamiętałam którego.

— Niech Allach błogosławi — wymruczał i zasiadł z powrotem na macie z zamkniętymi oczami.

— Odnoszę wrażenie — zwróciłam się do Teodozji, gdy ruszyłyśmy w stronę pałacu — że tu wielu ludzi nie pochwała naszej działalności.

— On wiedział — powiedziała. — On wiedział, kim jesteśmy.

— Oczywiście. Nie trzeba nadludzkiej mocy, żeby stwierdzić, że jesteśmy Angielkami. Ani zgadywać, że przyjechałyśmy tu z ekipą badawczą. Ktoś nawet mógł nas mu wskazać. Wiele osób na suku nas zna.

— Ale to wszystko, co mówił o aniele śmierci...

— To taka gadanina wróżbiarzy — odparłam. — Nie możesz tego traktować poważnie.

— Judyto, to mnie zmartwiło.

— Nie powinnam była ci pozwolić na wysłuchiwanie wróżb. Pewno myślałaś, że usłyszysz to, co zwykle od Cyganki: o tajemniczym brunecie wieczorową porą, dalekiej podróży, spadku i trójce dzieci, które umilą ci starość.

— Sądziłam, że może usłyszymy coś ciekawego, skoro on jest Egipcjaninem. A tymczasem...

— Chodź, zrobimy sobie miętową herbatę. Dopiero teraz naprawdę doceniam ten napój.

W istocie czułam się trochę niespokojna. Nie podobały mi się te słowa o aniele śmierci nie mniej niż Teodozji.

Ponieważ Teobald wraz z resztą ekipy był w terenie, mimo że robotnicy nie stawili się do pracy, i nie miałam pojęcia, kiedy wróci, więc wcześniej poszłam do łóżka i usnęłam niemal natychmiast. Obudziłam się po jakiejś godzinie i zerwałam z przerażeniem, gdyż zobaczyłam jakiś niewyraźny kształt, mający koło mego łóżka.

— Judyto, już wszystko dobrze.

— Tabita!

Świeca, którą musiała przynieść ze sobą i którą postawiła na stole, rzucała słabe światło.

— Coś się stało! — krzyknęłam. Jeszcze zagubiona w nieuchwytnych snach, wróciłam zaraz myślą do wróżbiarza na suku i anioła śmierci, którego przywołał.

— Chodzi o Teodozję. Miała jakieś okropne senne koszmary.

Szłam właśnie do swego pokoju i usłyszałam, jak krzyczy. Proszę cię, idź do niej i uspokój ją. Chyba jest w bardzo złym stanie.

Wsunęłam stopy w ranne pantofle, kupione u Yasmin, i zawięłam się w szlafrok.

Poszłyśmy do pokoju, który Teodozja zajmowała z Janem. Leżała na łóżku wpatrzona w sufit.

Podeszłam bliżej i usiadłam na brzegu łóżka. Tabita przysiadła z drugiej strony.

— Na miłość boską, Teodozjo, co się stało?

— Miałam straszny sen. Widziałam wróżbiarza i jeszcze coś, jakby wielkiego ptaka z ludzką twarzą, w czarnej szacie, i on przyszedł po jedną z nas.

— To przez tego starego wróżbitę — powiedziałam do Tabity. — Nie powinniśmy były go słuchać. On nas chciał po prostu przestraszyć.

— A co wam powiedział? — spytała Tabita.

— Mówił różne bzdury o aniele śmierci, który nad nami krąży.

— Nad kim?

— Pewno nad całą naszą ekipą i tylko czeka, kogo by tu dopaść. Teodozja potraktowała to zbyt poważnie.

— Nie powinnaś się przejmować, Teodozjo — powiedziała Tabita. — Oni zawsze tak mówią. Założę się, że na pewno powiedział również, że Allah daje wam możliwość wyboru.

— Tak właśnie mówił.

— Prawdopodobnie jest zazdrosny o kogoś, kto dla nas pracuje. To się często zdarza. Kiedy tu ostatnio byliśmy, jeden taki człowiek przez cały czas głosił nam złowróżbne przepowiednie. Okazało się, że jego najgorszy wróg dostawał za pracę u nas więcej niż on. To była zwykła zazdrość.

Słowa Tabity chyba podniosły Teodozję na duchu.

— Nie mogę się doczekać — powiedziała — kiedy oni już znajdą to, czego szukają, i będziemy mogli wrócić do domu.

— Otoczenie tak na ciebie wpływa — stwierdziła Tabita. — Wiele osób czuje się podobnie za pierwszym razem. Mam na myśli tych, którzy nie są bezpośrednio zaangażowani w prace wykopaliskowe.

Zaczęła nam opowiadać o swym poprzednim pobycie, jak to nieraz robiła, gdy odwiedzałam ją w Giza House, i czyniła to tak interesująco, że Teodozja bardzo się uspokoiła. Tym razem opisała nam uroczystości zwane Maulid el Nabi, obchodzone jako dzień urodzin Mahometa.

— Stragany na bazarach wyglądały wspaniale — mówiła. — „Większość udekorowano lalkami z cukru, opakowanymi w papier imitujący strój. Przez ulice ciągnęły procesje, ludzie nieśli chorągwie, na których wypisane były wersy z Koranu. Minarety zostały oświetlone i przedstawiały cudowny widok. Wyglądały jak świetlne koła na tle nieba. Pieśniarze wyśpiewywali hymny pochwalne na cześć Allacha, a bazarze otoczeni nie tylko dziećmi, lecz i dorosłymi, opowiadali im historie przekazywane potomnym przez wieki.

Przedstawiała dalej przebieg tych uroczystości, a ja zauważyłam, że w trakcie jej opowiadania powieki Teodozji opadły na oczy. Biedna Teodozja, tak ją wyczerpały te senne koszmary!

— Zasnęła — szepnęłam do Tabity.

— Wyjdźmy więc — odparła cicho.

Za drzwiami zatrzymała się i spojrzała na mnie.

— Jesteś śpiąca?

— Nie — odpowiedziałam.

— To chodź do mego pokoju na pogawędkę.

Poszłam za nią. Jej pokój okazał się pięknym pomieszczeniem. W oknach były żaluzje, które szerzej otworzyła, by wpuścić ciepłe, nocne powietrze.

— Widać stąd wewnętrzny dziedziniec — rzekła. — Jest naprawdę cudowny. Rosną tam kaktusy i pnące się rośliny z owocami przypominającymi arbuzy. Te ostatnie należą do najbardziej pożytecznych w Egipcie. Pestki owoców wykorzystuje się jako dodatek poprawiający smak wielu potraw, a sokiem z wygotowanego mięszu impregnuje buklaki tak, że nie przepuszczają wody.

— Bardzo dużo wiesz o Egipcie, Tabito — zauważyłam.

— Nie zapominaj, że już tu byłam, a jeśli jest się czymś żywotnie zainteresowanym, można się wiele nauczyć.

Odeszła od okna i zapaliła kilka świec.

— Pewno przyciągną owady — powiedziała — ale potrzeba nam trochę światła. A teraz powiedz mi, Judyto, czy to wszystko spełniło twoje nadzieje?

— Pod wieloma względami tak.

— Ale nie całkiem?

— No cóż, myślałam, że będę miała coś więcej do roboty... że mogłabym pomagać...

— Ta praca wymaga fachowych umiejętności. W tej chwili głównie potrzebujemy pracowników fizycznych.

— I jeżeli oni rzeczywiście znajdą nietknięty dotąd grobowiec, przypuszczalnie nie będę do niego dopuszczona.

— To byłby prawdziwy skarb. Tylko ekspertom wolno byłoby dotykać znalezionych tam obiektów. Ale Teobald mi mówił, jak dobrze sobie radzisz z jego dokumentacją i że w ogóle jesteś bardzo pomocna.

Poczułam się początkowo urażona, że Teobald rozmawia z nią o mnie, lecz zaraz zawstydyłam się tej reakcji.

Chyba wyczuła to moje pierwsze wrażenie, gdyż szybko dodała:

— Teobald czasem zwierza mi się z tego czy owego, bo przecież jestem przyjaciółką rodziny. Teraz ty znalazłaś się w tej rodzinie, więc powiedziałam Teobaldowi, że powinnaś poznać prawdę.

— Prawdę? — wykrzyknęłam.

— O mnie — odparła.

— Co powinnam wiedzieć o tobie? — spytałam.

— To, o czym w całej rodzinie Traversów wiedział tylko Teobald i jego ojciec. Kiedy z nimi zamieszkałam i objęłam posadę osoby do towarzystwa żony sir Edwarda, sądziliśmy, że będzie lepiej, jeżeli zostanę wszystkim przedstawiona jako wdowa. Ale naprawdę nią nie byłam. I nie jestem. Judyto, ja mam męża.

— Ale... gdzie on jest?

— W szpitalu dla umysłowo chorych.

— Och... rozumiem. Przykro mi.

— Pamiętasz, jak otrzymałam przed naszym wyjazdem nagłe wezwanie?

— Wtedy ty i Teobald wróciliście razem do domu.

— Tak, ponieważ musiałam wstąpić do Londynu. Tam się spotkaliśmy i do Kornwalii podróżowaliśmy razem. Wtedy mnie wezwano, gdyż memu mężowi nagle się pogorszyło.

— Zmarł? — spytałam.

W jej oczach, które w świetle świec były wielkie, zamyślane i bardzo piękne, ukazał się wyraz rezygnacji.

— Nastąpił powrót do poprzedniego stanu.

— Ta sprawa musi być dla ciebie źródłem wielkiego niepokoju.

— Nieustannego niepokoju.

— Nieczęsto go odwiedzasz.

— On mnie nie poznaje, więc wizyty nic nie dawały. W każdym razie mnie jedynie unieszczęśliwiały, a jemu nie sprawiały przyjemności. Ma dobrą opiekę, jest w najlepszych rękach. To wszystko, co mogę dla niego zrobić.

— Bardzo ci współczuję — powiedziałam.

Jej twarz rozjaśniła się.

— Mówi się, że każdy z nas ma do niesienia swój krzyż. Mój był bardzo ciężki. Ale jest też zadośćuczynienie. Odkąd los mnie złączył z rodziną Traversów, zaznałam szczęścia, o jakim nawet nie marzyłam.

— Mam nadzieję, że tak nadal będzie. Uśmiechnęła się dość smutno.

— Sądziłam, że powinnaś poznać prawdę, Judyto, skoro teraz jesteś jedną z Traversów.

— Dzięki, że mi o tym powiedziałaś. Czy to się działo... od początku waszego małżeństwa? Nie mogłaś dawno wyjść za mąż. Jesteś bardzo młoda.

— Mam trzydzieści lat — odparła. — Wyszłam za mąż, mając osiemnaście. To małżeństwo zostało dla mnie zaplanowane. Nie miałam majątku. W porównaniu z moją rodziną mój mąż był dobrze sytuowany, więc to była dla mnie szansa. Ale on już wtedy miewał okresowe napady alkoholizmu. To się nazywa dypsomania... twierdzono, że nieuleczalna. Objawy stale się nasilały i kiedy zaczął wpadać w szal, zamknięto go w szpitalu. Poznałam sir Edwarda w czasie otwartych wykładów z archeologii. Zaprzyjaźniliśmy się. Wtedy zaproponował mi pracę osoby do towarzystwa swej żony. To było dla mnie wielkim wsparciem.

— Tragiczna historia.

Utkwiła we mnie wzrok.

— Ale życie nie składa się z samych tragedii, prawda? Miałam swe szczęśliwe dni, tygodnie... od tamtej pory. Takie są reguły życia — nic nie pozostaje stale w tym samym stadium. Zmiany są nieuniknione.

— Cieszę się, że mi się zwierzyłaś.
— Wiedziałam, że znajdę u ciebie współczucie.
— Zostaniesz z nami?
— Tak długo, jak będzie mi wolno.
— Wobec tego tak długo, jak będziesz tego sobie życzyła. Podeszła do mnie i pocałowała w czoło. Wzruszyła mnie ta jej reakcja. Kiedy odsuwałam się od niej, zauważyłam przy jej szyi broszkę. To był skarabeusz z lazurytu.
— Widzę, że masz broszkę ze skarabeuszem.
— Tak. On ponoć broni przed złymi mocami. Dał mi ją... przyjaciel... kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Egiptu.
— Masz na myśli ostatnią wyprawę... tę tragiczną?
Nie odpowiedziała, lecz zauważyłam, że jej palce dotykające broszki drżą.
— Chyba powinnam już iść spać — powiedziałam. — Ciekawe, kiedy oni wrócą z tych wykopalisk.
— Tego nigdy nie wiadomo. Jestem zadowolona, że ci powiedziałam. Nie byłabym w porządku, gdybym cię oszukiwała.
Poszłam do swego pokoju. Teobalda jeszcze nie było.
Nie mogłam zasnąć. Leżałam w łóżku i rozmyślałam o Tabicie. Nie dawały mi spokoju wspomnienia z przeszłości. Przypomniałam sobie, jak poszłam kiedyś do Giza House jeszcze jako panna do towarzystwa lady Bodrean i zastałam Tabitę z Teobaldem siedzących razem przy fortepianie. Pamiętałam też ich wspólny powrót z Londynu, kiedy wyjechała po wezwaniu. I jak echo wracały do mnie słowa niani Tester.
Zastanawiałam się, kto dał jej tę broszkę. Czy Teobald? I wtedy naszła mnie straszliwa myśl. Czy Teobald by mnie poślubił, gdyby Tabita była wolna?

* * *

Kilka dni później wybrałyśmy się z Teodozją na zwiedzanie świątyni w Tebach. Pojechałyśmy tam rodzajem kolaski, zaprzężonej w osła i turkoczącej po piaszczystej drodze. Tu, nad Nilem, znajdowało się to starożytne miasto, będące kiedyś centrum cywilizacji, które przestało istnieć. Jedynie zachowane wspaniałe komory grobowe zmarłych przed tysiącami lat faraonów były świadectwem świetności dawnych dni.

Choć świątynia nie miała dachu, w jej wnętrzu, w cieniu wysokich kolumn, było chłodniej niż na zewnątrz. Przyglądałyśmy się z zachwytem bogato rzeźbionym kolumnom, każda z nich zwieńczona była głowicą w kształcie pąków i kielichów kwiatów. Zafascynowane, przypatrywałyśmy się wyrytym na kolumnach rysunkom przedstawiającym faraonów składających ofiary bóstwom.

Przechadzając się między kolumnami, stanęłyśmy w pewnej chwili twarzą w twarz z jakimś mężczyzną. Był niewątpliwie Europejczykiem. Uznałam, że zapewne jest turystą, który tak jak my przyszedł tu zwiedzić słynną świątynię.

Przywitał nas, mówiąc „dzień dobry”, co było naturalne w takiej sytuacji. Miał brązowe oczy, koloru, jakim odznaczało się wiele skał w Egipcie, i opaloną twarz. Zsunęty na czoło kapelusze panama osłaniał mu oczy przed słońcem.

Ucieszyłyśmy się, gdyż się okazało, że jest Anglikiem.

— Cóż za fascynujące miejsce — rzekł. — Czy panie tu mieszkają?

— Nie. Przyjechałyśmy z ekipą archeologów prowadzących prace wykopaliskowe w dolinie. A pan zwiedza zabytki?

— W pewnym sensie. Jestem kupcem i przyjeżdżam tu w interesach od czasu do czasu. To, że panie towarzyszą ekipie archeologicznej, jest dla mnie bardzo ciekawą wiadomością.

— Mój mąż jest kierownikiem wyprawy — powiedziałam z dumą.

— Wobec tego musi być pani lady Travers.

— Tak. Zna pan mego męża?

— Oczywiście, słyszałem o nim. Jest bardzo znany w swej dziedzinie.

— A pan interesuje się tą dziedziną?

— Bardzo. Kupuję i sprzedaję dzieła sztuki. Zatrzymałem się w hotelu nieopodal Chephro Pałace.

— Mam nadzieję, że są tam odpowiednie wygody.

— Całkiem wystarczające — odparł, po czym uchylił kapelusza. — Być może jeszcze się spotkamy.

Odszedł w swoją stronę, a my powróciłyśmy do zwiedzania świątyni. Gdy już nadszedł czas odjazdu i wsiadałyśmy do naszej kolaski, spostrzegłyśmy owego mężczyznę, z którym rozmawiałyśmy, wsiadającego również do swojej.

— Robi bardzo miłe wrażenie — stwierdziła Teodozja.

Następnego dnia Teodozja nie wstała rano z łóżka, gdyż nie czuła się najlepiej, ale około południa to osłabienie przeszło. Usiadłyśmy na tarasie, z którego rozciągał się widok na Nil, i rozmawiałyśmy o mało istotnych sprawach. W pewnej chwili Teodozja powiedziała:

— Wiesz, Judyto, chyba jestem w ciąży.

Zwróciłam się do niej z radosnym okrzykiem:

— Ależ to wspaniała nowina!

Przybrała dość posępną minę.

— Krewni zawsze tak mówią. Ale to nie oni muszą rodzić dzieci, prawda?

— No cóż, początek nie jest najprzyjemniejszy, ale pomyśl o późniejszej radości.

— Dziwne byłoby mieć dziecko... tutaj.

— Ale tak nie będzie. Wrócisz do domu. A poza tym, skoro nie jesteś jeszcze pewna, to przed tobą bardzo dużo czasu.

— Niekiedy mi się wydaje, że zostaniemy tu na zawsze.

— Och, Teodozjo, cóż za pomysł! Najwyżej dwa lub trzy miesiące.

— Ale przypuśćmy, że oni nie odnajdą tego, czego szukają... cokolwiek to jest.

— I tak będą musieli wrócić do kraju. Taka wyprawa to bardzo kosztowne przedsięwzięcie. Jestem przekonana, że jeżeli w założonym terminie im się to nie uda, zrezygnują i wszyscy stąd wyjedziemy.

— Ale przypuśćmy...

— Teodozjo, ty się lubisz zamartwiać. Nie ma wątpliwości, że wszystko będzie dobrze. A nowina jest naprawdę cudowna. Powinnaś skakać z radości.

— Och, Judyto, ty tak wszystko potrafisz mądrze tłumaczyć. — Roześmiała się. — To naprawdę śmieszne. Jestem córką swej matki, a ty wiesz, jak ona ze wszystkimi daje sobie radę. Wydawałoby się, że powinnam być do niej podobna.

— Może daje sobie radę ze wszystkimi, lecz tacy ludzie nie zawsze radzą sobie z własnymi sprawami.

— Mama tak o sobie nie sądzi. A twoją matką była Lawinia, prawdopodobnie bardzo potulna osoba. To ty powinnaś być taka jak ja, a ja taka jak ty.

— Dajmy teraz temu spokój. Nic ci się złego nie przydarzy.

— Judyto, ja się boję od chwili, gdy tu przyjechaliśmy. Tak bardzo pragnęłabym wrócić do domu. Tęsknię za deszczem. Tu nie ma żadnej zieleni i ja chcę żyć między normalnymi mężczyznami i kobietami.

Zaśmiałam się.

— Yasmin zapewne uważa tych ludzi na suku za bardziej normalnych niż my. To po prostu sprawa środowiska geograficznego. A ciebie męczy nostalgia.

— Jak ja żałuję, że Jan, zamiast wykładać na uniwersytecie, zajmuje się takimi rzeczami.

— Bez wątpienia będzie znowu wykładał, jak się to skończy. A teraz, Teodozjo, przestań się już martwić. Powinnaś być najszczęśliwszą z kobiet.

Lecz ona nie przestała się trapić. I kiedy potwierdziło się, że istotnie jest w ciąży, czułam, że tylko pogłębiło to jej niepokój.

Rozdział 6

Ramadan

Nadszedł czas ramadanu — okres postu i modlitwy. Dowiedziałam się, że to najważniejsze wydarzenie w muzułmańskim świecie. Ze względu na kalendarz, ustalany według rachuby księżycowej, ten dziewiąty miesiąc przypadał każdego roku o jedenaście dni wcześniej. Teobald, którego zawsze irytowały takie religijne obrzędy, gdyż niekorzystnie wpływały na postęp prac, powiedział mi, że w ciągu trzydziestu trzech lat ra — madan przypada sukcesywnie na każdą porę roku, lecz pierwotnie musiał być ustanowiony w porze gorącej, jako że słowo ramadan po arabsku znaczy „gorący”.

Zaczyna się wraz ze wzejściem nowego księżyca i do czasu jego zniknięcia, od wschodu do zachodu słońca nie wolno spożywać posiłków. Niewiele osób jest zwolnionych od obowiązku postu, ale chorym i dzieciom zezwala się na jedzenie. W pałacu usiłowaliśmy stosować się do tych reguł i jedliśmy przed świtem solidny posiłek, a po zachodzie słońca drugi, pokrzepiając się rodzajem chleba zwanego herisz, którego składnikami był miód, orzechy i starty kokos. Z początku smakowało to wspaniale, lecz szybko nam się przejadło. Ponadto wypijaliśmy duże ilości odświeżającej i podtrzymującej siły miętowej herbaty.

W czasie ramadanu wygląd miasta uległ zmianie. Na wąskich ulicach zapanował spokój. Choć post trwał dwadzieścia osiem dni, tylko trzy z nich były świąteczne, poświęcone modlitwie. Pięć razy dziennie rozlegało się dwadzieścia salw armatnich; były one wezwaniem do modłów.

Dla mnie niezmiennie poruszający był widok mężczyzn i kobiet, którzy — niezależnie od tego, co robili — zatrzymywali się, by pochylić głowy, złożyć dłonie i oddać cześć Allahowi.

Ramadan oznaczał też to, że częściej widywałam Teobalda.

— Nie wolno urażać ich uczuć religijnych — powiedział do mnie. — Ale to jest irytujące. Właśnie teraz są mi niezbędnie potrzebni robotnicy. — Przeglądaliśmy razem pewne dokumenty, a on objął mnie ramieniem i dodał: — Okazałaś taką cierpliwość, Judyto, a wiem, że nie całkiem tego oczekiwałaś, prawda?

— Chodziły mi po głowie absurdalnie romantyczne pomysły. Wyobrażałam sobie, że sama odkryję wejście do grobowca, odnajdę cudowne klejnoty, sarkofagi.

— Biedna Judyta. Niestety, to się tak nie dzieje. Czy będzie dla ciebie jakimś wynagrodzeniem, jeśli ci powiem, że jesteś ogromnie pomocna?

— To największa pociecha.

— Posłuchaj, Judyto. Zabiorę cię na teren wykopalisk... dziś wieczorem. Pokażę ci coś zupełnie wyjątkowego.

— A więc dokonałeś odkrycia! Po to tu przyjechałeś!

— To nie takie proste. Jednak myślę, że być może natrafiliśmy na ślad czegoś ważnego. Jeszcze nie wiadomo. Można miesiącami poruszać się śladami tego, co wydawało się kluczem i potem stwierdzić, że to do niczego nie prowadzi. Ale w tej grze zdarza się i szczęście. Niewiele osób o tym wie, lecz ciebie w to wtajemniczę. Pójdziemy do doliny po zmierzchu. Księżyc ramadanu jest już prawie w pełni, więc światła będzie dość, a teren jest opustoszały.

— Teobaldzie, jakie to podniecające! Pocałował mnie lekko.

— Uwielbiam, jak się tak entuzjasmujesz. Szkoda, że twój ojciec nie wykształcił cię na archeologa, wtedy mógłbym cię mieć przy sobie w decydujących momentach.

— Może potrafiłabym się nauczyć.

— Dziś będziesz tu jako widz. I zobaczysz.

— Nie mogę się doczekać.

— Nikomu ani słowa. Pomyśleliby, że nie umiem dochować tajemnicy, albo uznaliby mnie za zaślepionego męża, który chcąc się przypodobać żonie, nie panuje nad sobą.

Czułam się oszołomiona szczęściem. Kiedy byłam z nim, zastanawiałam się, jak mogłam kiedykolwiek wątpić w jego szczerość.

Przytulił mnie do siebie.

— Wymkniemy się dziś wieczorem.

* * *

Księżyc był wysoko na niebie, kiedy opuszczaliśmy pałac. Co za piękna noc, pomyślałam. Widać było wyraźnie gwiazdy na tle ciemnobłękitnego aksamitu, najmniejszy powiew wiatru nie poruszał powietrza. Nie było właściwie gorąco, lecz cudownie ciepło — ulga po skwarnej upale dnia. A wysoko na niebie, zamiast białego, palącego słońca, sunął w całej swej wspaniałości księżyc ramadanu.

Czułam się jak konspirator, a fakt, że mym towarzyszem w tej potajemnej wyprawie był Teobald, tylko wzmagał mą radość. Przez rzekę przepawiliśmy się jedną z łodzi, a potem na teren wykopalisk zabrała nas arabiya.

Teobald poprowadził mnie po twardej, brązowej ziemi, obok wysokich usypisk, do wykopu na stoku wzgórza. Wziął mnie pod rękę i powiedział:

— Wchodź ostrożnie.

— Więc to odkryłeś, Teobaldzie? — spytałam podniecona.

— Nie — odparł — ten korytarz został odnaleziony przez poprzednią wyprawę. Mój ojciec go odkopał. — Wziął latarnię wiszącą na ścianie i oświetlił wykop.

Zobaczyłam korytarz o wysokości jakichś dwóch i pół metra. Szłam za Teobaldem. Na końcu korytarza znajdowało się kilka stopni schodów.

— Pomyśl tylko! Te stopnie zostały wykute wieki temu! — powiedziałam.

— Dokładnie dwa tysiące lat przed Chrystusem. Wyobraź sobie, co czuł mój ojciec, kiedy odkrył ten korytarz i schody. Ale idźmy dalej, to coś zobaczysz.

— Jaki musiał być przejęty! To przecież cudowne odkrycie.

— Wiodło ono, jak wiele cudownych poprzednich odkryć, do grobowca, który został ograbiony prawdopodobnie trzy tysiące lat temu.

— Więc twój ojciec był pierwszą osobą, która postawiła tu stopę po trzech tysiącach lat.

— Być może. Ale nie odnalazł nic nowego. Judyto, podaj mi rękę. Przeszedł tędy i dotarł do tej komory. Spójrz na ściany — zwrócił mą uwagę, trzymając wysoko uniesioną latarnię. — Widzisz te symbole? To jest święty chrząszcz, skarabeusz, a ten człowiek z głową barana to Amon — Re, wielki bóg słońca.

— Rozpoznałam go, a mego chrząszcza noszę w tej chwili przy sobie. Tego, którego mi podarowałaś. Będzie mnie strzegł w godzinie niebezpieczeństwa, prawda?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie. W świetle latarni robił na mnie wrażenie niemal obcego człowieka.

— Wątpię, Judyto — odrzekł. Po czym wyraz jego twarzy złagodniał i dodał: — Być może ja potrafię to uczynić. Chyba dam sobie radę nie gorzej niż skarabeusz.

Zadrzałam.

— Zimno ci? — spytał.

— Chyba nie... choć tu jest chłodno. — Poczulałam się w tym momencie prawie tak, jakby mi śmierć w oczy zajrzała — tak mówiono w moich rodzinnych stronach.

Teobald to wyczuł, gdyż powiedział:

— To miejsce budzi przerażenie. Wszyscy to odczuwamy. Człowiek tu pochowany należał do cywilizacji, której szczyt przypada na okres, kiedy w Anglii ludzie żyli w jaskiniach i zdobywali pożywienie, polując w dziewiczych lasach.

— Wydaje mi się, jakbym wkraczała w zaświaty. Kim był pochowany tu mężczyzna... a może to była kobieta?

— Nie byliśmy w stanie tego ustalić. Niewiele zostało. Sama mumia została ograbiona. Rabusie musieli wiedzieć, że pod bandażami ukryte są cenne klejnoty. Gdy ojciec już dostał się do komory grobowej, znalazł tu jedynie sarkofag, zniszczoną mumię i domek duszy, który złodzieje uznali za bezwartościowy.

— Nie widziałam domku duszy — zauważyłam.

— Mam nadzieję, że będę ci mógł go kiedyś pokazać. To bardzo mała kopia domu, zwykle z kolumnadą, wykonana z białego kamienia. Miał on być miejscem zamieszkania duszy po śmierci człowieka, gdyż pierwiastek wartości duchowych, Ka, po opuszczeniu grobowca i przejściu swej podróży wracał do grobowca, a w nim czekała na niego stosowna siedziba.

— Niezwykłe — stwierdziłam. — Codziennie dowiaduję się czegoś nowego.

W naszej drodze pokonaliśmy następny szereg schodów.

— Musimy już być w głębi górskiego stoku — powiedziałam.

— Spójrz tam — rzekł Teobald. — To jest jak dotąd najbardziej wyszukana w stylu komora, stanowiąca jakby przedpokój sąsiadujący z tą, w której odnaleziono sarkofag.

— Wszystkie te pomieszczenia są imponujące!

— A jednak osoba tu pochowana nie była faraonem. Być może była człowiekiem bogatym, ale wejście do grobowca wskazuje, że nie należała do najwyższej sfery.

— I właśnie ten grobowiec został odkryty przez twego ojca.

— Miesiące ciężkiej pracy, oczekiwań, podniecenia... i tylko to znalazł. Ktoś już tu przedtem był. Odkopaliśmy stok góry, odkryliśmy właściwe miejsce, wiodące do podziemnego korytarza, i kiedy to znaleźliśmy... Możesz sobie wyobrazić, Judyto, nasze podekscytowanie. A potem... jeszcze jeden pusty grobowiec.

— I wtedy zmarł twój ojciec.

— Ale, Judyto, on dokonał jednak jakiegoś nowego odkrycia. Jestem tego pewny. Dlatego tu wróciłem. On chciał, żebym wrócił. Wiedziałem, że chciał. To usiłował mi powiedzieć. Co mogło oznaczać tylko jedno. Musiał odkryć, że w tym miejscu jest jeszcze jeden grobowiec, do którego wejście gdzieś się tu znajduje.

— A nie zauważyłbyś go, gdyby było?

— Może być sprytnie ukryte. Do tej pory nie mogliśmy znaleźć niczego, co by nas dalej powiodło. Lecz gdzieś jest grobowiec i musi istnieć jakaś wskazówka; nie wierzę, by przecucie mnie myliło. Może ją znajdę. Spójrz! Widzisz te lekkie nierówności podłoża? Coś może być za tą ścianą. Mamy zamiar nad tym pracować, zachowując to, ile możliwości, w tajemnicy. Może się to okazać stratą czasu, ale nie sądzę.

— Czy uważasz, że twój ojciec został zamordowany, gdyż właśnie to odkrył?

Potrząsnął przecząco głową.

— To zbieg okoliczności. Być może zmarł na skutek zbyt silnego podniecenia! W każdym razie umarł, a skoro uznał, że nikomu nic nie powie... nawet mnie... śmierć go zaskoczyła i nie starczyło już czasu.

— Wydaje mi się dziwne, że zmarł właśnie w takim momencie.

— Judyto, życie jest dziwne. — Spojrzał na mnie, oświetlając latarnią moją twarz. — Czy wielu z nas może przewidzieć, kiedy przyjdzie ta ostatnia chwila?

Nagły dreszcz strachu przebiegł mi po krzyżu.

— Jakie to niesamowite miejsce — rzekłam.

— A czego spodziewałaś się po grobowcu, Judyto?

— Nawet ty wyglądasz tu inaczej.

Wolną ręką dotknął mej szyi i przesunął po niej pieśczośliwie.

— Inaczej, Judyto? Co to znaczy inaczej?

— Jak ktoś, o kim nie wiem wszystkiego.

— A kto wie wszystko o drugiej osobie?

— Chodźmy stąd — powiedziałam.

— Zmarłaś. — Stał bardzo blisko mnie i czułam na twarzy jego ciepły oddech. — Judyto, czego się boisz? Klątwy Faraonów, gniewu bogów, mnie...?

— Nie boję się — skłamałam. — Chciałabym po prostu wyjść na świeże powietrze. To przygnębiające miejsce.

— Judyto...

Jeszcze bardziej zbliżył się do mnie. Nie mogłam zrozumieć samej siebie. Czułam czające się w tym miejscu zło. Wszystkie zmysły krzyczały we mnie, żeby stąd uciekać... Uciekać od czego? Od owej mistycznej emanacji zguby? Od Teobalda?

Już miałam się odezwać, ale on położył mi dłoń na ustach.

— Posłuchaj — wyszeptał.

I wtedy usłyszałam wyraźnie w ciszy tego miejsca... lekki odgłos kroków.

— Ktoś jest w grobowcu — powiedział Teobald szeptem. Cofnął dłoń i stał całkiem nieruchomo, nadsluchując.

— Kto tam? — zawołał. Jego głos zabrzmiał dziwnie głucho, groźnie, nienaturalnie.

Żadnej odpowiedzi.

— Trzymaj się blisko mnie — powiedział. Wchodziliśmy po schodach do góry, Teobald z latarnią trzymaną wysoko ponad głową, stawiając ostrożnie krok po kroku, powstrzymując pośpiech, który — jak przypuszczałam — mógłby być niebezpieczny.

Szłam tuż za nim. Weszliśmy do korytarza.

Nikogo nie było.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz i szliśmy pomiędzy usypiskami brązowej ziemi, otaczające mnie ciepłe powietrze nocy przyjęłam z ulgą i rozkoszą niemal błogą.

Nogi miałam jak sparaliżowane, byłam spocona i dygotałam. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Teobald obrócił się ku mnie.

— Biedna Judyto, wyglądasz na przerażoną.

— To było dość zatrważające.

— Ktoś się tam znajdował.

— Może jeden z twych współpracowników?

— To dlaczego nie odpowiedział, kiedy wołałam?

— Może pomyślał, że byłbyś niezadowolony, iż tu tak grasował po nocy.

— Chodź — powiedział. — Wracamy do pałacu.

Teraz wszystko stało się normalne — rzeka ze swym niezwykłym pięknem i aromatami, i pałac, i Teobald.

Nie mogłam zrozumieć, co się ze mną działo w głębi grobowca. Może poczułam się dziwnie z powodu tej niesamowitej atmosfery, świadomości, że był tam złożony człowiek przed czterema tysiącami lat. A może jakiś wpływ miała potęga bogów, którzy sprawili, że bałam się nawet Teobalda.

Bać się Teobalda! Człowieka, który mnie wybrał za żonę! Ale wybrał dość nagle i w istocie tak niespodziewanie, że ciotki, kochające mnie z całego serca, lękały się o mą przyszłość. Byłam bogatą kobietą. Nie wolno mi było o tym zapominać. A Tabita... co z Tabitą? Od czasu do czasu widywałam ją z Teobaldem. Zawsze robili wrażenie pogrążonych w poważnej rozmowie. Rozmawiał z nią o swej pracy częściej niż ze mną. Mimo mych wysiłków nadal brakowało mi jej wiedzy i doświadczenia. Tabita miała męża...

W tym grobowcu czaiło się zło i ono zatrulo mi myśli. Gdzie się podział mój zwykły zdrowy rozsądek? Co z mą typową cechą charakteru, dzięki której zawsze wychodziłam naprzeciw wyzwaniom życia i byłam gotowa mierzyć się z nimi?

Idiotko, powiedziałam sobie, jesteś równie głupia jak Teodozja.

* * *

W pałacu od strony rzeki był taras i lubiłam tam siadywać, przyglądając się toczącemu się w jej pobliżu życiu. Wyszukiwałam zacienione miejsce — teraz upał stawał się wprost nie do zniesienia — i leniwie obserwowałam okolicę. Bardzo często któryś ze służących przynosił mi szklankę miętowej herbaty. Czasami siedziałam tam sama, nieraz przyłączał się ktoś z naszej ekipy. Patrzyłam na ciemnoskóre kobiety plotkujące podczas prania odzieży w rzece. Wydawało się, że rzeka pełni tu rolę ośrodka życia towarzyskiego jak u nas wenta dobroczynna czy zebrania parafian, którym Dorcas i Alison przewodziły w czasach mej młodości. Słyszałam podniecone głosy tych kobiet i ich dźwięczny śmiech. Byłam ciekawa, o czym rozmawiają. Ożywienie wprowadzały płynące dahabiye z żaglami przypominającymi kształtem zakrzywione, orientalne miecze.

Księżyc ramadanu już zniknął i teraz świętowano Bajram*. Nastął czas wiosennych porządków w domach — widziałam uprane dywany, leżące na płaskich dachach, suszące się w słońcu. Na szczytach dachów dokonywano też uboju zwierząt; wiedziałam, że jest to część rytuału. Potem następowało uctowanie i solenie mięsa tych zwierząt, które przeznaczone było do jedzenia w ciągu całego roku. W miarę upływu czasu zaczęłam się oswajać ze zwyczajami tego kraju, ale tak naprawdę nigdy nie przywykłam do ich osobliwości.

Pewnego popołudnia, kiedy wszyscy już obudzili się po sjeście, na taras przyszedł Hadrian i przysiadł się do mnie.

— Chyba wieki minęły od naszej ostatniej pogawędki — powiedział.

— Gdzie byłeś przez ten cały czas?

— Twój mąż, Judyto, jest prawdziwym nadzorcą — ciemżycielem.

— To niezbędne, jak się ma do czynienia z takimi leniwymi uczniami jak ty.

— Kto powiedział, że jestem leniwy?

— Musisz być, bo w przeciwnym razie byś nie narzekał. Żyłbyś w stanie takiego podniecenia przez cały czas jak Teobald.

— Moja droga Judyto, on jest przywódcą, To on stanie się sławny, gdy nadejdzie wielki dzień.

— Nonsens. Sukces będzie wasz wspólny. A kiedy ten wielki dzień nadejdzie?

— A, w tym sęk. Kto to może wiedzieć. Ta nowa próba może prowadzić donikąd.

— Nowa próba?

— Teobald wspominał, że ci powiedział, w przeciwnym razie nic bym nie mówił.

— Tak, zabrał mnie na wykopaliska.

— No więc wiesz, mamy podstawy do pewnych wniosków.

* Święto muzułmańskie obchodzone na zakończenie miesięcznego postu ramadan. Przyp. red.

— Tak.

— Ale kto wie? I jeśli nawet znajdziemy coś wspaniałego, przyniesie to chwałę archeologii, a nam niewielki zysk.

— Nadal masz kłopoty finansowe, Hadrianie?

— Możesz przyjąć, że to stan permanentny.

— Więc jesteś ogromnie rozrzutny.

— Mam swoje nawyki.

— Nie mógłbyś ich ukrócić?

— Będę próbował, Judyto.

— To dobrze. Hadrianie, dlaczego zostałeś archeologiem?

— Ponieważ mój stryj — twój ojciec — tak zarządził.

— Nie wydaje mi się, byś się tą dziedziną specjalnie pasjonował.

— O, mnie to interesuje. Nie możemy jednak wszyscy być fanatykami... jak pewne osoby, które mogę wymienić z nazwiska.

— Bez fanatyzmu daleko nie zajdziesz.

— A tak przy okazji, czy wiesz, że odwiedzi nas pasza?

— Nie.

— Zawiadomił nas. Przysłał nam rodzaj edyktu. Zaszczyci pałac swą obecnością.

— To będzie ciekawe. Pewno będę musiała podejmować go jako gościa. A może to przypadnie w udziale Tabicie?

— Pochlebiasz sobie. W tym świecie kobiety mało się liczą. Będiesz siedziała ze złożonymi dłońmi, spuszczonej oczami, a mówiła tylko wtedy, gdy ktoś się do ciebie zwróci. Raczej trudna sztuka dla naszej Judyty.

— Nie jestem Arabką i z pewnością nie będę się zachowywała jak one.

— Nie podejrzewałem cię o to, ale kiedy wlałaś między wrony, musisz krakać jak i one. Chyba ta zasada odnosi się do wszystkich miejsc na świecie.

— Kiedy ta ważna osobistość ma przybyć?

— Wkrótce. Bez wątpienia zostaniesz zawiadomiona.

Rozmawialiśmy jakiś czas o dawnych dniach w Keveall Court — on z pewną nutą nostalgii.

— Pomyśl sobie — powiedział — byliśmy gromadką niewinnych dzieci, a teraz popatrz na nas.

— Tak mówisz, jakby komuś nasz rozwój przynosił wstyd.

— Tobie nie — rzekł. — Ty poślubiłaś wielkiego Teobalda. Od nędzy do pieniędzy, czyż nie, Judyto?

— Nie wiem, co by moje ciotki powiedziały, gdyby cię usłyszały. W każdym razie zapewniam cię, że nigdy nie chodziłam obdarta, choć często miałam rzeczy pocerowane i gdzieniegdzie połatanne, ale zawsze schludne i tak ładnie naprawione, że to się nie rzucało w oczy.

— Powstała ściśle powiązana ze sobą wspólnota — rzekł. — Sabina i proboszcz, Teodozja i Jan, ty i Teobald. Tylko ja zostałem wyeliminowany.

— Jak to? Jesteś częścią naszej paczki i zawsze będziesz.

— Należę do pechowców.

— Pech. Szczęście. To nie jest nam zapisane w gwiazdach, ale zależy od nas, tak przynajmniej słyszałam.

— Ja też słyszałam i jestem pewny, że zarówno ty, jak i Szekspir możecie się mylić. Czy już ci mówiłem, że jestem człowiekiem, który nigdy nie wykorzystuje nadarzących się sposobności?

— Możesz teraz zacząć.

Obrócił ku mnie twarz. Jego oczy były bardzo poważne.

— W pewnych okolicznościach mogłem. — Przychylił się do mnie i nagle poklepał moją dłoń.
— Dobra, pocziwa Judyta. — Po czym zaczął mówić dalej. — Ależ ty byłaś tyranem. Czy tyranizujesz Teobalda? Z pewnością nie. To ja jestem typem człowieka, który potrzebuje w życiu tyrana.

Poczułam się nieswojo. Czy Hadrian w taki bezceremonialny sposób daje mi do zrozumienia, że w przeszłości zamyślał mnie poślubić?

— Kiedyś się na mnie bardzo uskarżałeś.

— To były takie komplementy z posmakiem goryczy. Obiecuj mi, Judyto, że nie przestaniesz przywoływać mnie do porządku.

— Będę z tobą szczerą... jak zawsze.

— I o to chodzi — rzekł.

Z minaretu rozległ się głos muezina.

Kobiety na brzegu podniosły się i pochyliły głowy. Stary żebrak siedzący po turecku na gościńcu stanął na chwiejnych nogach, aby się pomodlić.

Patrzyliśmy na nich w milczeniu.

Wiadomość o wizycie paszy miała pewien wpływ na życie w pałacu. W pomieszczeniach kuchennych narastało napięcie, słychać było podniecone głosy. Podłogi myto z większym wigorem niż kiedykolwiek przedtem. Ozdoby z mosiądzu czyszczono tak, by błyszczwały jak złoto. Służący oddani nam do dyspozycji przez Hakima Paszę wiedzieli, że wyrozumiałe rządy gości chwilowo się skończyły.

Teobald wyjaśnił mi, czego musimy się spodziewać.

— Można powiedzieć, że on jest jakby gubernatorem w tych stronach. Większość ziem należy do niego. I jesteśmy tak dobrze traktowani właśnie dlatego, że on użyczył nam swego pałacu. To nam ułatwiło zwerbowanie robotników. Oni wiedzą, że pracując dobrze dla nas, pracują dobrze dla paszy. Nie ośmielą się więc przejść do innego zajęcia. On okazał dużą pomoc memu ojcu. Zobaczysz, przyjedzie tu jak potężny możnowładca.

— Czy uda się nam podjąć go w sposób, do jakiego jest przyzwyczajony?

— Damy sobie radę. Ostatecznie przyjmujemy go w jego własnym pałacu, a jego służba wie, czego on oczekuje. Pamiętam jego poprzednią wizytę, wszystko poszło gładko. Był tu mniej więcej na trzy tygodnie przed śmiercią ojca.

— Jak to się dobrze składa, że on interesuje się archeologią.

— O, nie ma wątpliwości, że jest bardzo nią zainteresowany. Pamiętam, że ojciec zabrał go na obchód terenów wykopaliskowych. Był wprost zafascynowany wszystkim, co zobaczył. Chyba zrobię to samo.

— A jaka będzie moja rola?

— Po prostu zachowuj się normalnie. On dużo podróżuje i nie spodziewa się, że nasze obyczaje będą takie same jak miejscowe. Sądzę, że ta wizyta cię rozerwie. Tabita z pewnością pamięta, jak przebiegała ta poprzednia za życia ojca, więc ci o niej opowie.

Spytałam Tabitę i dowiedziałam się, że mieli pewne obawy, lecz niepotrzebnie, gdyż pasza to chodząca dobroć i był dla nich tak samo miły jak oni dla niego.

Wybrałam się z nią na suk i gdy wracałyśmy z powrotem do pałacu, przechodząc koło hotelu, zobaczyłyśmy na tarasie Hadriana z mężczyzną, którego poznałyśmy z Teodozją w świątyni.

Hadrian zawołał do nas, abyśmy się do nich przyłączyły, przysiadłyśmy się więc do stolika.

— To pan Leopold Harding — rzekł Hadrian. — Zatrzymaliśmy się tu z Terencjuszem, żeby wypić coś chłodnego, i pan Harding, który wiedział, kim jesteśmy, sam się przedstawił.

— Myśmy się już spotkali — powiedziałam.

— W istocie — odparł Leopold Harding. — W świątyni, którą zwiedzaliśmy.

— Panie muszą być spragnione — odezwał się Terencjusz.

— Mnie wystarczy szklanka niezastąpionej miętowej herbaty — odparłam.

Tabita zgodziła się, że po naszym spacerze taki napój będzie mile widziany.

Zanim go przyniesiono, rozmawialiśmy przez parę chwil. Pan Harding powiedział nam, że sporadycznie odwiedza Egipt w interesach i żywo go interesują nasze wykopaliska, gdyż handluje antykami. Kupuje i sprzedaje.

— To ciekawe zajęcie — zapewnił nas.

— Niewątpliwie — rzekł Hadrian. — I musi mieć pan w tej dziedzinie odpowiednie wykształcenie.

— To niezbędne. Łatwo dać się oszukać. Właśnie wczoraj zaproponowano mi kupno małej główki — płaskorzeźby ukazującej twarz z profilu. Wyglądała, jakby była wykonana z turkus i lazurytu. Tak była sprytnie zrobiona, że dopiero ekspert odkrył, iż wrażenie było błędne.

— Pan interesuje się archeologią? — spytałam.

— Jedyne jako amator, lady Travers.

— To tak jak my wszystkie — stwierdziłam. — Zgodzisz się, Tabito? Odkryłam to, kiedy tu przyjechałam.

— Pani Grey jest kimś więcej niż amatorką — odezwał się Terencjusz.

— A jeśli chodzi o Judytę — dodał Hadrian lekko — ona się stara, bardzo usilnie się stara.

Terencjusz odezwał się z powagą:

— Obie panie są dla naszej ekipy wielką pomocą.

— Można powiedzieć, że jesteśmy amatorkami z profesjonalnym zamiłowaniem — dorzuciłam.

— Być może i mnie należałoby zaliczyć do tej samej kategorii — rzekł Leopold Harding. — Obrót przedmiotami pochodzącymi z grobowców faraonów, choć większości z nich błędnie przypisuje się takie pochodzenie, powoduje ogromny wzrost zainteresowania nimi. Ciekaw jestem, czy przypadkiem nie pozwolono by mi rozejrzeć się po terenie wykopalisk.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pan mógł przejechać się doliną — oświadczył Hadrian.

— A jedyne, co pan zobaczy — stwierdził Terencjusz — to kilka baraków z narzędziami i kopiających robotników. Parę usypisk rumoszu...

— Przypuszczam, że sir Teobald nie traci nadziei na odnalezienie nienaruszonego dotąd grobowca.

— Wszyscy archeolodzy, którzy tu przyjeżdżają, mają taką nadzieję — odparł Hadrian.

— Oczywiście.

— Znosi się na długą i ciężką pracę — mówił dalej Hadrian. — Osobiście czuję w kościach, że skazani jesteśmy na klęskę.

— Co za bzdura — obruszył się gwałtownie Terencjusz i dodał ostro: — To nie jest sprawa kości, lecz wytrwałego wysiłku.

— Mamy tu bardzo godny zaufania zestaw kości — zareplikował Hadrian. — A wytrwały wysiłek nie stworzy nam pogrzebanego faraona tam, gdzie go nie ma.

— Nie wierzę, żeby Teobald mógł się mylić — zapewniłam gorąco.

— Jesteś zaślepioną w swym mężu żoną — odrzekł Hadrian.

Uznałam, że Hadrian nie powinien w ten sposób mówić w obecności obcej osoby, więc zmieniłam temat.

— Czy pan, panie Harding, rzeczywiście miał do czynienia z przedmiotami odkrytymi w grobowcach?

— Nigdy nie można mieć całkowitej pewności — odpowiedział. — Może sobie pani wyobrazić, jakimi legendami otoczone są te przedmioty. Fakt, że jakaś rzecz trzy tysiące lat przed

Chrystusem została złożona do grobowca wraz z faraonem na jego użytek po śmierci, niebywale podnosi jej wartość. Jako człowiek interesu nie jestem przeciwny takim pogłoskom.

— Więc dlatego przyjechał pan do Egiptu.

— Podróżuję do wielu miejsc, ale Egipt jest wyjątkową składnicą skarbów. Musi pani kiedyś wstąpić do mego magazynu. Jest bardzo mały... taka trochę lepsza szopa. Wynajmuję ją, kiedy tu jestem, i tam składam nabytki przed wysłaniem statkiem z Egiptu.

— A jak długo pan tu zostanie? — spytałam.

— Nigdy nie potrafię przewidzieć swego kolejnego ruchu. Dziś mogę być tu, a jutro już wyjechać. Jeśli usłyszę o jakimś ciekawym obiekcie w Kairze czy w Aleksandrii, zaraz wyruszam, żeby to obejrzeć. To właśnie czyni życie interesującym. I ja, podobnie jak państwo, jestem bardzo poruszony, gdy trafia mi się jakieś znalezisko. Kilka tygodni temu przeżyłem przykre rozczarowanie. Chodziło o piękną płytę, która mogła pochodzić ze ściany jednego z grobowców — odmalowano na niej scenę z procesji pogrzebowej. Trumnę niosło na ramionach czterech tragarzy, przed nimi zaś i za nimi szli służący, którzy nieśli meble — łoże i podnózek, a także skrzynie, naczynia, w całości była to mozaika ze srebra i lazurytu. Piękna rzecz, lecz oczywiście kopia. Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, szalałem z podniecenia. Niestety, zostało wykonane trzydzieści lat temu. Piękne, ale podrobione.

— Jakież to dla pana musiał być zawód! — zawołał Hadrian, po czym opowiedział historię odnalezienia przeze mnie tarczy z brązu.

— I dlatego — zakończył — ta pani dzisiaj jest tu, gdzie jest.

— I gdzie pobyt sprawia jej najwyraźniej przyjemność — powiedział Leopold Harding. — Musicie państwo zrobić mi ten zaszczyt i odwiedzić mój mały magazyn. Nie ma tam wielu skarbów, lecz niektóre rzeczy są interesujące.

Odpowiedzieliśmy, że będzie nam bardzo miło złożyć mu tam wizytę. Pożegnaliśmy go i zostawiliśmy siedzącego na tarasie hotelu.

Pasza zawiadomił nas, że w drodze do jednego ze swych pałaców mógłby zjeść u nas obiad, mając nadzieję, że będzie to okazją do zapoznania się z postępem prac nad tym wspaniałym przedsięwzięciem, które tak mocno popiera.

Wraz z Tabitą obserwowałyśmy jego przybycie z jednego z okien na piętrze. Był to wspaniały widok. Podróżował powozem zaprzężonym w cztery piękne, białe konie. Jechał nim dość wolno, gdyż przodem posuwał się sznur wielbłądów, a każdy z nich miał zawieszony dzwonek u szyi, więc ich dźwięk towarzyszył krokom zwierząt. Niektóre były obciążone bagażem paszy — niosły na swych grzbietach eleganckie skrzynie, wybite drogimi kamieniami, umieszczone na derkach wykończonych złotymi frędzlami.

Pasza wysiadł z powozu przy bramie pałacu. Czekał już tam na niego Teobald wraz ze znaczniejszymi osobami z naszej ekipy, aby go przywitać. Przeszli razem na wewnętrzny dziedziniec, gdzie stał przygotowany dla niego specjalny fotel, którego tylne oparcie było wybite półszlachetnymi kamieniami i choć siedzenie w nim mogło być nieco niewygodne, to mebel był istotnie imponujący. Pasza usiadł, kilku zaś służących przystąpiło do niego z poczęstunkiem, który składał się z kandyzowanych owoców i dużych ciastek pieczonych z pszenicy, mąki i miodu. Podano też herbatę w szklankach. Każdy musiał wypić trzy szklanki — pierwszą, bardzo słodką, drugą, jeszcze bardziej przesłodzoną i trzecią, miętową. Wszystkie szklanki były wypełnione po sam brzeg i etykieta została naruszona, gdyby choć kropla się wylała. Nie wiem, co by się stało ze służącymi, którym by się to przydarzyło. Na szczęście tym razem nic się nie stało.

O tym wszystkim opowiedziała mi Tabita, gdyż nas, jako kobiety, nie dopuszczono do udziału w tej ceremonii.

Natomiast pozwolono nam, w poszanowaniu naszych europejskich zwyczajów, zasiąść przy stole do obiadu. Mnie nawet przeznaczono miejsce koło paszy.

Jego tłuste dłonie połyskiwały od klejnotów. I dobrze się stało, że przygotowano mu ten ozdobiony kamieniami fotel, wystarczająco szeroki, by pomieścić jego pulchne ciało. Był najwyraźniej zachwycony przygotowanym mu przyjęciem i raczej zadowolony z obecności kobiet. Bacznie się nam przyglądał, jakby szacował naszą wartość z punktu widzenia jedyne go kryterium, według niego stosownego wobec kobiet. Myślę, że wszystkie zdałyśmy egzamin — Tabita dzięki swej urodzie, niezaprzeczalnej bez względu na szerokość geograficzną, Teodozja dzięki swej kobiecości, a ja? Z pewnością nie dorównywałam wyglądem Tabicie ani nie miałam owego delikatnego wdzięku Teodozji, ale cechowała mnie żywiołowość, którą żadna z nich się nie odznaczała, i to chyba podobało się paszy, gdyż z nas trzech ja na nim zrobiłam największe wrażenie. Byłam pewno w najmniejszym stopniu typem kobiety Wschodu, co go bawiło i zainteresowało.

Mówił znośną angielszczyzną, gdyż jako wysokiej rangi dostojnik, miewał często kontakty z naszymi rodakami. Obiad ciągnął się przez wiele godzin. Służący wiedzieli, czym go ugościć, i znali też jego nienasycony wręcz apetyt. Niestety i my musiałyśmy jeść razem z nim. Po kebabie podano kuf tę i chyba nigdy w czasie naszego tu pobytu nie przygotowano tak aromatycznych sosów. Zauważyłam wyraz strachu na twarzach bezgłośnie stąpających służących, kiedy podawali potrawy swemu panu. Jako gość był obsługiwany pierwszy, a mnie, siedzącą tuż koło niego, przeraziła ilość jedzenia, które pochłaniał. Ponieważ byłam kobietą, nie nakładano mi tak wielkich porcji. Współczułam mężczyznom.

Pasza podejmował różne wątki rozmowy. Wyrażał się w gorących słowach o naszym kraju, królowej i dobrodziejstwie, jakim był Kanał Sueski dla sytuacji gospodarczej Egiptu.

— To wielkie osiągnięcie — mówił. — Kanał długości stu siedemdziesięciu kilometrów przeprowadzony przez jezioro Timsah i Wielkie Jezioro Gorzkie — od Port Saidu po Suez. Co za przedsięwzięcie. Co więcej, dzięki niemu przybyło tu wielu Brytyjczyków. — Jego małe oczka zabłysły chytrze. — A co mogło być lepszego dla wszystkich zainteresowanych? I co się stało, odkąd mamy Kanał? Ludzie tu przyjeżdżają jak nigdy przedtem. Wy, Brytyjczycy... co za smykałka do handlu, ho! ho! Wasz Tomasz Cook ze swymi wycieczkowymi parowcami na Nilu. Wycarterował je od naszego kedywa w tym celu. Sprytny człowiek, ho! ho! I to dobre dla Egiptu! Teraz ma parowiec pływający między Asuanem i Drugą Kataraktą. Taki dobry interes dla Egiptu i my to zawdzięczamy waszemu krajowi.

Powiedziałam, że Egipt ma bardzo wiele do zaoferowania tym, którzy potrafią zwiedzać, gdyż są tu pozostałości starożytnej cywilizacji, stanowiące jeden z cudów świata.

— I kto wie, co jeszcze zostanie odkryte! — Jego oczka zaślniły radością. — Miejmy nadzieję, że Allah będzie sprzyjał waszym wysiłkom.

Teobald podkreślił, że on i cała ekipa nie znajdują słów dla wyrażenia mu wdzięczności za okazywaną pomoc.

— O, to dobrze, że ja pomagam. To jest słuszne, że ja daję mój dom do waszej dyspozycji. — Zwrócił się do mnie. — Moi przodkowie nagromadzili dużo bogactwa i w naszej rodzinie jest taka opowieść o tym, jak zaczęliśmy budować naszą fortunę. Chciałaby pani usłyszeć, od czego się zaczęło?

— Bardzo chętnie — odparłam.

— To będzie dla pani wstrząs. Mówi się, że dawno, dawno temu byliśmy grabieżcami grobowców.

Roześmiałam się.

— Ta historia była przekazywana przez setki lat. Tysiąc lat temu moi przodkowie obrabowali tu grobowce i stali się bogatymi ludźmi. Teraz musimy zmasakrać winę naszych ojców, dając każdą możliwą pomoc tym, którzy odkryją grobowce dla potomności.

— Mam nadzieję, że pewnego dnia cały świat będzie panu za to wdzięczny, tak jak teraz cała nasza ekipa — powiedział Teobald.

— Więc ja nadal staram się zjednywać sobie bogów — rzekł pasza. — Jako symbol mej rodziny przyjąłem głowę Anubisa, który zabalsamował zwłoki Ozyrysa po zamordowaniu go przez jego nikczemnego brata, Seta. Ozyrys zmartwychwstał i ja czczę tego świętego, który go zabalsamował, a on dał memu domowi swój znak.

Potem rozmowa przeszła na temat, który — czego byłam pewna — najbardziej zaprzętał paszę, a mianowicie naszej ekspedycji.

— Dobry sir Edward i taka wielka tragedia — rzekł. — To mnie uczyniło bardzo nieszczęśliwym. Ale pan, sir Teobaldzie, znajdzie to, czego szuka. Na pewno.

— To miłe z pana strony, że okazuje nam tyle sympatii. Nie potrafię wyrazić swej wdzięczności.

Pasza poklepał dłoń Teobalda.

— Wierzy pan, że znajdzie to, czego szuka, hę?

— Dlatego podjąłem się tej pracy — odparł Teobald.

— I dokona pan tego z pomocą swego dzinna. — Zaśmiał się. To było wyrażenie, które często słyszałam od czasu przybycia do Egiptu.

— Mam nadzieję, że mój dzinn udzieli mi pomocy.

— I wtedy nas opuścicie, co? I weźmiecie ze sobą te piękne damy.

Uśmiechnął się do mnie i na moją dłoń przyszła kolej — poklepał ją swymi upierścienionymi palcami. Pochylił się ku mnie i powiedział:

— No, cóż, może powinienem życzyć, żeby się wam nie udało.

— Bez względu na wynik musielibyśmy wyjechać — wtrącił Teobald ze śmiechem.

— Wobec tego będzie nas kusilo, żeby znaleźć sposób i zatrzymać was tutaj. — Mówił to żartobliwie. — A czy pani myśli, że ja potrafiłbym tego dokonać, co? — zapytał mnie.

— Chyba tak — odparłam — z pomocą swego dzinna.

Przy stole na chwilę zapadła cisza. Zrozumiałam, że popełniłam błąd. Jednak pasza udał rozbawionego i roześmiał się, co było znakiem dla wszystkich, nie wyłączając służących, do zawtórowania mu.

Potem rozmawiał ze mną o moich wrażeniach z Egiptu i spytał, co sędzę o pałacu i czy jestem zadowolona ze wszystkich służących.

Rozmowa była dość ożywiona i stało się jasne, że choć kilka moich odpowiedzi na pytania paszy mogło być w pewnej mierze uznanych za niekonwencjonalne, odniosłam w sumie towarzyski sukces.

Mówiono też trochę o wykopaliskach, ale w tej rozmowie nie uczestniczyłam. Po olbrzymich ilościach jedzenia pasza już tylko skubał słodczyce, zwłaszcza te, które my w domu nazywałyśmy rachatlukum. Tutaj było ono nadziewane pysznymi orzechami i smakowało wybornie lub smakowałoby, gdyby przedtem nie uraczono nas takim obfitym posiłkiem.

Pasza miał kontynuować podróż do kolejnego ze swych pałaców dopiero przy świetle księżyca, gdyż było za gorąco, by wojażować za dnia. Przed wyjazdem Teobald miał go zabrać na teren wykopalisk dla umożliwienia mu raczej kurtuazyjnej inspekcji.

Kiedy przygotowywali się do wyjazdu, usłyszałam rozdzierający krzyk na zewnątrz. Pobiegłam na dziedziniec i zobaczyłam jednego ze służących paszy zwijającego się z bólu. Spytałam, co się stało, i usłyszałam, że został ukłuty przez skorpiona. Ostrzegano nas, że w pobliżu stosów kamieni

powinniśmy być bardzo ostrożni, gdyż tam właśnie czają się skorpiony, a ich jad jest trujący. Widziałam wiele kameleonów i jaszczurek wygrzewających się na gorących kamieniach oraz gekonów, wchodzących nawet do pałacu, lecz nigdy skorpiona.

Służącego otoczyli inni, przybyli, by mu pomóc, ale nigdy nie zapomnę przerażenia malującego się na jego twarzy — nie byłam pewna, czy tak bał się ukąszenia skorpiona, czy raczej tego, że stał się ośrodkiem zainteresowania w czasie wizyty paszy.

Tak czy inaczej, zdecydowałam sama pomóc temu człowiekowi najlepiej, jak umiałam. Przed wyjazdem z Anglii Alison zaopatrzyła mnie w różnego rodzaju środki lecznicze domowej roboty, które — jak stanowczo utrzymywała — były skuteczne we wszystkich niebezpiecznych sytuacjach, w jakich mogę się znaleźć w kraju o gorącym i suchym klimacie. Jeden z nich był odtrutką na osy, gzy końskie i czasami pojawiające się na naszej kornwalijskiej wsi żmije. I chociaż miałam wątpliwości, czy ten łagodny środek dobrze poskutkuje w wypadku jadu skorpiona, postanowiłam spróbować.

Przyniosłam więc swój słoiczek z maścią i gdy smarowałam nią ramię cierpiącego mężczyzny, spostrzegłam, że miał on na nim znak, który już przedtem widywałam. Natychmiast się uspokoił, gdyż zapewne uznał, że w słoiczku znajduje się jakaś szczególna siła lecznicza, choć według mnie zawierał on specjalną miętową galaretkę, przyrządzoną kiedyś przez Dorcas.

W każdym razie ten człowiek tak uwierzył w zbawczą moc tego leku, że chyba poczuł się dobrze. Czarne oczy otaczających go pozostałych służących wpatrzone były we mnie z wyrazem zdumienia i podziwu, więc poczułam się jak jakiś wschodni znachor.

Pasza, który podszedł popatrzeć na me lecznicze zabiegi, kiwał głową i uśmiechał się z aprobatą. Podziękował mi za pomoc udzieloną jego słuzącemu.

Pół godziny później wraz z Tabitą i Teodozją obserwowałam ich odjazd na wykopaliska, tak jak poprzednio przybycie. Pasza wszedł do łodzi, która czekała, by popłynąć z nim w górę rzeki. Wioślarze udekorowali ją flagami i kwiatami. Musieli je zawczasu zerwać, gdyż rozpoznałam pośród nich takie, które rosły na drzewach. Wielu ludzi zgromadziło się, by się przyglądać przygotowaniom do odbijania łodzi od brzegu i złożyć hołd swemu panu. Było jasne, że nie tylko służba pałacowa, lecz także okoliczni fellachowie drżeli ze strachu przed potężnym paszą.

— Dokładnie taka sama ceremonia odbyła się, kiedy bawił tu poprzednim razem — odezwała się Tabita. — Chyba był całkiem zadowolony z przyjęcia i wydaje mi się, Judyto, że mu przypadłaś do gustu.

— Rzeczywiście często się uśmiechał — odrzekłam — ale zauważyłam, że wtedy służący wyglądali na nie mniej przerażonych. Równie dobrze może to być taki sposób — wyglądać na dobrotliwego, gdy się jest najbardziej jadowitym. Co teraz robimy? Czy możemy już udać się na spoczynek, czy też wypada nam czekać na ich powrót z wykopalisk i złożyć mu hołd?

— On tu nie wróci — wyjaśniła Tabita. — Ci, co mu towarzyszą w podróży, wyruszą wcześniej i spotkają się z nim w górze rzeki. Z tego, co wiem, stamtąd już mają niedaleko do miejsca, gdzie chcą spędzić noc.

— Więc idę spać — oznajmiłam. — Okazuje się, że zjednywanie sobie tutejszych wielmożów jest dość wyczerpującym doświadczeniem.

Teobald wrócił dopiero nad ranem. Zbudziłam się od razu. Usiadł na fotelu i wyciągnął przed siebie nogi.

— Musisz być zmęczony — powiedziałam.

— Chyba tak, ale całkiem rześki.

— Myślałam, że po tej ogromnej ilości jedzenia będziesz śpiący.

— Przywoływałam całą siłę woli, żeby pozostać czujnym. Musiałem mieć pewność, że wszystko idzie jak należy i żeby go niczym nie urazić.

— Mam nadzieję, że tak było.

— Do tego stopnia, iż podejrzewałem, że on ma dla ciebie propozycję. Chyba uznał, że byłabyś zachwycającym dodatkiem do jego haremu.

— A ja podejrzewam, że gdyby oferta była odpowiednio wysoka i mógłbyś rozporządzać sporą sumą, którą przeznaczyłbyś na kontynuowanie swych prac archeologicznych, to byłbyś gotowy na taką zamianę.

— Ależ oczywiście. Zachichotałam.

— Ale tak naprawdę — powiedziałam — to nie całkiem dowierzam tej jego życzliwości.

— Jest ogromnie zainteresowany naszą pracą i dokonał bardzo dokładnej inspekcji terenu wykopalisk.

— Pokazałeś mu nowe odkrycie?

— To było konieczne. Niezbędne były pewne wyjaśnienia, dlaczego prowadzimy prace wewnątrz tych podziemnych korytarzy. Takich spraw nie da się utrzymać w kompletnej tajemnicy. Oczywiście, pasza jest w najwyższym stopniu zaintrygowany i prosił, aby go zawiadomić niezwłocznie, jeśli coś odkrywamy.

— Teobaldzie, czy sądzisz, że to szybko nastąpi?

— Nie wiem. Mamy oznaki, że coś jest za ścianami jednej z komór. Wiadomo, że ze względu na nieuchronne próby rabusiów włamania się do grobowców, budowano jedną komorę grobową, a za nią inną, ukrytą. Uważano, że złodzieje, znalazłszy jeden grobowiec i uznając, iż to wszystko, co mogło być odkryte, zrezygnują z szukania jeszcze ważniejszego obiektu za nim zamaskowanego. Jeżeli w naszym wypadku ta teoria by się potwierdziła, ten, kto został w taki sposób chroniony, musiał być bez wątpienia bardzo ważną osobistością. Jestem przekonany, że ojciec był tego świadomy. — Teobald zasępił się nagle. — W czasie naszego obchodu zdarzył się pewien dość niepokojący incydent. Pamiętasz, kiedy cię tam zabrałem, usłyszeliśmy jakieś kroki?

— Tak, pamiętam. — Wspomnienie wróciło do mnie bardzo wyraźnie: mrowie, które przeszło mi po kościach, przerażenie, jakie mnie ogarnęło.

— To się znowu powtórzyło — rzekł Teobald. — Jestem pewny, że jakaś niepowołana osoba czy osoby gdzieś tam były.

— Nie mogłeś ich dostrzec?

— Udało się im ukryć.

— Mogli się schować w głębokim dole pod tym ustawionym, raczej dość mało stabilnym pomostem. Czy pasza coś słyszał?

— Nic nie powiedział, ale robił wrażenie, jakby się wsłuchiwał.

— Mógł uznać, że to ktoś z naszej ekipy.

— Weszliśmy do grobowca w małej grupie. Ja, pasza, Terencjusz, Jan i dwóch służących paszy, bez których on chyba nigdzie się nie rusza.

— Taki rodzaj ochrony osobistej? — spytałam.

— Chyba tak.

— Może uznał, że potrzebna mu ochrona przeciw bóstwom, skoro majątek jego rodziny powstał z grabieży grobowców.

— To bez wątpienia tylko taka legenda.

— Co się stało z tym młodym mężczyzną, ukłutym przez skorpiona?

— Wygląda na to, że cudem wyzdrowiał... dzięki tobie. Uważaj, bo zdobędziesz opinię czarodziejki.

— Ależ zrobiłam furorę! Pasza rozważyła umieszczenie mnie w swym haremie, posiadałam niezwykłą moc, którą trzymam ukrytą w słoiczku Dorcas z miętową galaretką. To niewątpliwie

szalony sukces. Mam nadzieję, że podobną przychylność znajdę w oczach mego ślubnego pana i władcy.

— Tego możesz być pewna.

— Czy na tyle, bym pewnego dnia została dopuszczona do pracy z tobą?

— Judyto, już jesteś.

— Listy! Rachunki! Ja mam na myśli prawdziwą pracę.

— Tego się obawiałem — rzekł. — Znam cię, zawsze widziałaś siebie w centrum wszelkich wydarzeń. Tu się, Judyto, tak dźiać nie może. Jeszcze nie teraz.

— Ponieważ brak mi profesjonalizmu?

— To jest delikatna materia. Musimy działać ostrożnie. Przynajmniej chwilowo. A ty się już wiele nauczyłaś.

— A co z Tabitą?

— Co masz na myśli?

— Z nią dość często rozmawiasz o swej pracy.

Przed odpowiedzią prawie niedostrzegalnie się zawahał, po czym powiedział:

— Dużo pracowała z mym ojcem.

— Więc jest kimś więcej niż osobą zajmującą się archeologią tylko z upodobania?

— Ma pewne doświadczenie.

— Którego mnie brakuje?

— Nabędziesz go w swoim czasie.

— Jak mogę nabyć, skoro nie wolno mi brać udziału w tych pracach?

— Będiesz brała, gdy nadejdzie właściwa pora. Staraj się to zrozumieć.

— Usiłuję, Teobaldzie.

— Moja najdroższa, bądź cierpliwa.

Kiedy używał takich pieścizotliwych słów, co mu się rzadko zdarzało, szczęście brało górę nad rozgoryczeniem. Jeżeli naprawdę byłam jego najdroższą, mogłam spokojnie czekać. On rozumował logicznie. Oczywiście, że trudno mi było wkroczyć w to rozległe i pogmatwane pole działania i oczekiwać, że zajmę miejsce koło niego.

— Więc mogę się spodziewać, że dotrzymasz obietnicy we właściwym momencie?

Pocałował mnie i powtórzył:

— We właściwym momencie.

— Jak długo tu zostaniemy? — spytałam ożywiona tą nadzieją.

— Już ci się znudziło?

— Absolutnie nie. Z każdym dniem jestem coraz bardziej zafascynowana pobytom w tym kraju.

Myślałam o Teodozji. Tęskni za domem.

— W ogóle nie powinna była tu przyjeżdżać.

— Uważasz, że Jan powinien ją zostawić w Anglii?

— Ona jest zbyt bojaźliwa jak na tego typu wyprawę, a poza tym, jeżeli chce wrócić do domu, może to zrobić w każdej chwili.

— A Jan?

— On ma tutaj swe zadanie do wykonania.

— Jest chyba niezastąpionym członkiem ekipy.

— Istotnie. To zdolny archeolog, choć skłonny raczej do teoretyzowania niż do praktycznych rozwiązań.

— A ty łączysz te dwie umiejętności?

— Oczywiście.

— Wiedziałam. Podziwiam cię, Teobaldzie, w tym samym stopniu co Hakim Pasza mnie.

Usnęłam, choć wątpiłam, by Teobald także zapadł w sen. Podejrzewałam, że leży i radośnie marzy na jawie o dniu chwały, kiedy przedrze się do grobowca, którego nikt przed nim nie tknął od czterech tysięcy lat.

* * *

Następnego dnia wybrałyśmy się z Teodozją na suk. Robiło się coraz upalniej. Ta pogoda dawała się jej bardzo we znaki, a sprawa powrotu do domu stała się dla niej niemal obsesją, podobnie jak strach przed rozwiązaniem.

Robiłam wszystko, co mogłam, żeby ją pocieszyć. Zwracałam jej uwagę, że — jak słyszałam — tutejsze kobiety szły do pracy w polu, tam rodziły i zaraz po tym wracały do roboty.

Trochę to działało, lecz wiedziałam, że ona nigdy nie pogodzi się z tą sytuacją, dopóki nie zostaną sprecyzowane nasze plany wyjazdu do kraju. Była rozdarta między pragnieniem powrotu do domu i pozostania z Janem.

— A gdzie zamieszkaasz? — spytałam. — W Keverall Court u matki?

Skrzywiła się.

— Cóż, tam przynajmniej nie panują takie okropne upały. I będę miała blisko siebie Sabinę.

Sabina też spodziewała się dziecka. To oczywiście było dla Teodozji pewną otuchą. Reakcja Sabiny była całkiem odmienna niż Teodozji, sądząc z jej listów, w których przeskakiwała z tematu na temat jak to zwykle ona. Robiła wrażenie uszczęśliwionej, podobnie jak Oliver, a Dorcas i Alison okazały się zupełnie cudowne. „One chyba wszystko wiedzą o dzieciach, choć to trochę dziwne, poza tym oczywiście, że ty od małości u nich się wychowywałaś. Na podstawie tego, co mówią, Judytko, wnoszę, iż byłaś wyjątkowym dzieckiem. Nie było żadnego innego tak żywego, inteligentnego, pięknego, dobrego, nieposłusznego (ale i nad tym nieposłuszeństwem się rozplywały), to wszystko oczywiście zgodnie z opinią twych ciotek, choć nie wierzę w ani jedno ich słowo!”

Jak to przypominało mi Sabinę i muszę wyznać, że i ja trochę zatęskniłam za ukwieconymi brzegami rzeki, gdzie podnosiły harmider słowiki, kolory zaś śniedków i dzwonek na tle zieleni z tu i ówdzie rosnącymi fiołkoworóżowymi dzikimi storczykami układały się w barwy narodowe. Tak różny krajobraz od tego w tym gorącym, spieczonym słońcem kraju. Brak mi było Dorcas i Alison, miło by też było odwiedzić stare probostwo i posłuchać chaotycznego trajkotania Sabiny. Spojrzałam na niebo olśniewająco błękitne w wąskiej szczelinie pomiędzy dwoma rzędami domów i zdałam sobie sprawę, że zapachy i widoki bazaru usidliły mnie i zafascynowały na zawsze.

Przechodziłyśmy obok sklepu, gdzie zwykle siedziała Yasmin z głową pochyloną nad jakąś pracą, lecz tego rana jej nie było. Jej miejsce zajął chłopiec również pracowicie pochylony nad kawałkiem skóry, którą zdobił.

Zatrzymałyśmy się.

— A gdzie jest dzisiaj Yasmin? — spytałam.

Podniósł wzrok i przesłał nam spłoszone spojrzenie. Potrząsnął przecząco głową.

— Czy nie zachorowała? — zapytałam z niepokojem.

Ale chłopiec mnie nie rozumiał.

— Pewno wzięła sobie wolny dzień — powiedziała Teodozja.

Poszłyśmy dalej.

Nie mogę powiedzieć, by ucieszył mnie widok wróżbiarza siedzącego na chodniku. Popatrzył na nas, gdy koło niego przechodziłyśmy.

— Allach z wami — wymamrotał.

Patrzył z taką nadzieją, że nie mogłam się nie zatrzymać, zwłaszcza że miska na datki była pusta. Wrzuciłam tam jakieś drobne i natychmiast uzmysłowiłam sobie swój błąd. On nie był żebrakiem. To dumny człowiek, któremu się płaci za wykonywanie zawodu. Zapłaciłam, więc musiałam wysłuchać jego wróżby.

I tak ponownie usiadłyśmy na macie koło niego. Pokiwał głową i rzekł:

— Jasne panie, cień rośnie duży.

— O, tak — odparłam lekko — już nam to pan poprzednio mówił.

— Fruwa w górze jak nietoperz... wielki, czarny nietoperz.

— Wydaje się mało sympatyczny — stwierdziłam. Nie zrozumiał mnie, ale chodziło mi o to, żeby Teodozja zbyt się nie przejęła.

— A jasnie pani błogosławiona. Jasnie pani płodna. Pani wracać do zielonego kraju. Tam pani bezpieczna.

O Boże, pomyślałam, to najgorsza rzecz, jaką mogłyśmy zrobić. Teodozja wstała z maty, a wróżbiarz pochylał się ku mnie. Jego palce, niby brązowe szpony, objęły mój nadgarstek.

— Pani wielka dama. Pani mówi „jechać”, i oni słuchają. Pani wielka, piękna dama. Duży nietoperz blisko.

Spojrzałam na jego ramię i znowu zobaczyłam ten znak — głowę szakala. Podobną do tej u mężczyzny ukłutego przez skorpiona.

Odezwałam się do wróżbiarza:

— Mówił mi pan tylko o nietoperzu krążącym w górze. Nie ma pan do powiedzenia niczego więcej?

— Allach dobry dla pani. Może dać dużo. Wielka radość, wiele synów i córek, duży piękny pałac... ale w pani zielonej ziemi. Nie tutaj. Pani rzecz zdecydować. Teraz nietoperz bardzo blisko. Może być za późno... dla pani... i dla tej damy.

Włożyłam więcej pieniędzy do jego miski i podziękowałam mu. Teodozja była roztrzęsiona, objęłam ją więc ramieniem.

— Szkoda, że słuchałyśmy tych bzdur — powiedziałam. — On każdemu mówi to samo.

— Każdemu?

— Tak, Tabicie też groził nietoperzem.

— No cóż, ona jest jedną z nas. To zagraża nam wszystkim.

— Daj spokój, Teodozjo, nie chcesz powiedzieć, że w to uwierzyłaś.

— Ale dlaczego nas chciał nastraszyć?

— Bo jesteśmy cudzoziemkami.

— Ale dajemy sobie powróżyc i kupujemy różne rzeczy na suku. I mnie się wydaje, że nas chętnie tu widzą.

— Och, tak, lecz on uważa, że my chcemy być straszone. To tylko dodaje mocnych wrażeń.

— Dobrze, ale ja nie chcę być straszona.

— I nie masz się czego bać, Teodozjo. Zapamiętaj to sobie.

Rozdział 7

Święto Nilu

Teobalda ogarniało coraz większe podekscytowanie. Teraz był pewien, że jest na właściwym tropie. W wyniku prac wykonywanych wewnątrz starego grobowca uzyskano niezbite dowody, że druga komora grobowa znajduje się za ścianą, którą obecnie odkopywali.

Upłynęło już kilka miesięcy naszego pobytu w Egipcie, powiedział, i nadszedł czas, aby pokazać, że włożony wysiłek nie poszedł na marne. I że to będzie coś, po co tu przyjechaliśmy.

— Czeka nas gorzkie rozczarowanie — rzekł — jeśli już tam ktoś był.

— Jak mógłby być, skoro ta komora została ukryta za inną?

— No bo może prowadzi do niej jakieś inne wejście. Niestety, szykuje się kolejne wstrzymanie robót z powodu Święta Nilu, które nieuchronnie się zbliża. Kłopot z tymi świętami nie polega na tym, że istnieją, tylko że ich data nie jest ściśle określona. To zależy oczywiście od poziomu wody w rzece.

— Dlaczego?

— Święto jest rodzajem obrzędu mającego na celu zjednanie sobie wód rzeki. Sięga okresu sprzed tysięcy lat, kiedy Egipcjanie oddawali rzece boską cześć. Wierzyli, że trzeba ją uśmierzyć i ułagodzić, aby wtedy gdy się podniesie, nie powodowała takich wielkich powodzi, które porwą całe wioski. To się często zdarzało i nadal dzieje. Stąd te obrzędy.

— Czy oni naprawdę sądzą, że jeśli dokonają tego obrzędu, to rzeka nie wystąpi z brzegów?

— Obecnie odprawia się go zwyczajowo i jest on pretekstem do świętowania. Lecz w przeszłości sprawa była poważna. W ofierze składano ludzi. Dzisiaj wrzuca się do rzeki kukłę, często ludzkich rozmiarów i pięknie ustrojona. Przedstawia dziewicę, którą za dawnych lat poświęcano rzece.

— Biedne dziewice! Kiedyś ich los był fatalny. Zawsze albo dawano je na pożarcie smokom, albo przykuwano do skał, lub coś takiego. Rola dziewicy w dawnych czasach była nie do pozazdroszczenia.

— Bez wątpienia będą ci się podobały te obrzędy, ale one wstrzymują prace, a to ostatnia rzecz, jakiej teraz pragnę.

— Nie mogę się doczekać, Teobaldzie, kiedy postawisz stopę w owym nienaruszonym grobowcu. Bo to ty będziesz, prawda? Jaka będę szczęśliwa, gdy tego dokonasz! Stanie się to, czego pragnąłeś. Zobaczysz odbite w pyłe odciski stóp ostatniej osoby, która opuściła grobowiec, zanim został zapieczętowany, Cóż to za wzruszenie cię czeka! Zasługujesz na nie, mój kochany Teobaldzie.

Zaśmiał się czule i pobłaźliwie zarazem, w ten charakterystyczny dla siebie sposób.

Z całej duszy pragnęłam, żeby mu się udało.

* * *

Widoczne oznaki wskazywały już, że następnego dnia odbędzie się Święto Nilu. Woda w rzece podnosiła się szybko, co oznaczało, że w centralnej Afryce tego roku spadły ulewne deszcze. Można też było przewidzieć, kiedy woda dotrze w nasze sąsiedztwo.

Od wczesnego rana zaludniły się brzegi rzeki. Wszędzie widać było konne zaprzęgi. Część ludzi przybyła tu na wielbłądach, których szyje ozdobione były dźwięczącymi wesoło dzwonekami, podobnymi do tych, jakie miała zwierzęca eskorta paszy. Wyniośle kroczyły w stronę rzeki, jakby

wiedziały, że są najbardziej pożytecznymi stworzeniami w Egipcie. Raciczki zaopatrzone od spodu w elastyczne poduszeczki ułatwiają im poruszanie się z łatwością zarówno po piaskach, jak i po skalistym podłożu. Z ich wełny wytwarza się dywany, a także burnusy z kapturem, chętnie noszone przez wielu Arabów. Ze skóry wyrabia się różne przedmioty, ów zaś szczególny zapach, który zdaje się wszędzie przenikać, pochodzi z ich odchodów, używanych tu na opał.

Tego dnia najbardziej gorączkowe zaciekawienie wzbudzała odpowiedź na pytanie: jak zachowa się rzeka? Jeśli przybór wody będzie wielki, brzegi zostaną zalane. Jeśli deszcz był umiarkowany, nie nastąpi niebezpieczne wystąpienie rzeki z brzegów i ludzie będą się mogli cieszyć pięknym widokiem wezbranej wody.

To był dzień świąteczny, a oni wszyscy uwielbiali świętować. Na suku większość sklepów została zamknięta, ale rozchodził się tam zapach przyrządzanych potraw. Przygotowywano na sprzedaż rachatłukum oraz małe, płaskie ciastka ze smażonej mąki i miodu. Na patelniach nad ogniem z wielbłądzich odchodów pieczono porcje mięsa jagniąt lub wołowiny, podawane na drewnianych szpikulcach, aby kupujący mogli je maczać w parujących, aromatycznych sosach, przygotowanych już w kociołkach. Sprzedawcy lemoniady w fałdowanych szatach rdzawego koloru nosili ją w dzbankach wraz ze szklankami. Rozstawiono kramy, gdzie można było kupić miętową herbatę. Przybyli żebracy ze wszystkich stron — ślepcy, bez rąk, bez nóg — żalony widok w tym radosnym dniu. Porozsiadali się, i wznosząc co jakiś czas swe niewidzące oczy ku niebu, domagali się bakszyszu i wzywali Allacha, by błogosławił tym, którzy nie przeszli obojętnie obok ich żebraczych misek.

Wszystko to stanowiło barwne, pełne ruchu widowisko. Nasza ekipa oglądała je z najwyższego tarasu pałacu. Widzieliśmy je, choć w nim nie uczestniczyliśmy.

Siedziałam koło Teobalda, który po drugiej ręce miał Terencjusza Geldinga, ten zaś za sąsiadkę Tabitę. Po mojej lewej stronie siedzieli Jan z Teodozją.

Teobald stwierdził, iż wygląda na to, że wylew rzeki nie nastąpi. W tym pokładano nadzieję. Gdyby wylała, to pewna liczba robotników zostałaby wysłana na ratunek w rejony klęski żywiołowej, a to mogłoby spowodować dalszą zwłokę.

Potem przyłączył się do nas Hadrian. Wyglądał na zmęczonego i zastanawiałam się, czy tak wpłynął na niego opał. Były zresztą powody do zmęczenia. Trwało to wszystko tak długo i dotąd bez rezultatów. Wiedziałam, jaki niespokojny jest Teobald. Każdego dnia, gdy wstawał, mówił, że to może być dzień dokonania wielkiego odkrycia, i każdego wieczoru wracał do pałacu rozczarowany. Wirująca w rzece woda sprawiała wrażenie czerwonej. Działo się tak dlatego, że niosła ze sobą zabraną po drodze żyzną ziemię. Zgromadzeni ludzie ze zgrozą wskazywali na czerwień wody. Kolor krwi. Czyżby rzeka była w nieżyczliwym nastroju?

Z minaretu zabrzmiał głos muezina.

— Allah jest wielki, a Mahomet jego prorokiem.

Natychmiast zapadła cisza, wszyscy ludzie zatrzymali się i pochylili głowy w modlitwie.

I my zamilkliśmy na tarasie. Ciekawa byłam, ilu ludzi modliło się do Allacha o powstrzymanie powodzi. Pomyślałam, że choć zwracali się do Allacha i Mahometa, jego proroka, to wielu z nich wierzyło, iż gniew bóstw musi być ułagodzony i gdy symboliczna dziewica zostanie wrzucona w te kipiące wody, rozłoszczone bóstwo, które podnosi poziom rzeki, już przekupione, rozkaże rzece, aby się uspokoiła i nie wywierała swej zemsty na biednych ludziach tej ziemi.

Zobaczyliśmy procesję, kierującą się w stronę brzegu rzeki. W górze powiewały chorągwie, były na nich jakieś inskrypcje, lecz nie miałam pewności, czy zawierały cytaty z Koranu; raczej nie, gdyż obrzęd datował się z okresu sprzed narodzin proroka. W punkcie centralnym pochodu jechał wóz, a na nim leżała kukła wielkości kobiety, mająca przedstawiać dziewicę. Zostanie przeniesiona z tego miejsca i wrzucona z brzegu do rzeki.

Przypatrywałam się kukle. Wyglądała zupełnie jak młoda dziewczyna — jaszmak zasłaniał jej twarz poniżej oczu. Nadgarstki miała ozdobione srebrnymi bransoletkami, była ubrana we wspaniałą, białą szatę.

Gdy procesja przechodziła blisko nas, przez kilka sekund widziałam kukłę bardzo wyraźnie. Nie mogłam uwierzyć, że to nie jest naprawdę dziewczyna. A poza tym wydawała mi się jakby znajoma. Leżała na plecach na specjalnej ławce, z zamkniętymi oczami.

Procesja przeszła dalej.

— Kukła jak żywa — powiedział Hadrian.

— Dlaczego zrobili ją z zamkniętymi oczami? — spytał Jan.

— Chyba dlatego — odezwałam się — że ona wie, jakie ciężkie ma przejść doświadczenie. A może, jak ktoś ma być wrzucony do rzeki, to nie chce widzieć tłumu... tych wszystkich, którzy przyszedli po to, żeby na własne oczy zobaczyć takie widowisko.

— Ale to tylko kukła — zaprotestował Hadrian.

— Przypuszczam, że spektakl musi być w najwyższym stopniu realistyczny — zasugerowałam. — Ta postać przypominała mi kogoś, kogo znam. Małą Yasmin, dziewczynę, która zrobiła moje ranne pantofle.

— Rzeczywiście — potwierdziła Teodozja — właśnie o niej pomyślałam.

— To wasza znajoma? — spytał Hadrian.

— Dziewczyna, u której kupowałyśmy różne rzeczy na suku. Jest przemiłą osóbką i mówi trochę po angielsku.

— Dla nas — rzekł Hadrian — większość tutejszych ludzi wygląda tak samo. Tak jak my musimy wyglądać dla nich.

— No, ty i Teobald na przykład nie jesteście zupełnie do siebie podobni, a Jan ma jeszcze całkiem inny wygląd, podobnie Terencjusz i cała reszta.

— Nie zaczynaj takiej dysputy w decydującym momencie. Patrz.

Spojrzelśmy. Kukła została podrzucona wysoko i daleko, i wpadła w kipiące wody Nilu.

Obserwowaliśmy, jak kołysze się na wodzie i w końcu tonie. To widowisko trwało długo. Gniewne bóstwo zechciało łaskawie przyjąć dziewczicę. Teraz możemy liczyć, że rzeka nie wystąpi z brzegów. Nie będzie powodzi.

I co dziwne, istotnie nie było.

* * *

Do pałacu dostarczono prezenty mające wyrażać uznanie paszy dla nas i być wyrazem jego życzliwości. Ja otrzymałam ozdobę, która mogła chyba być przerobiona na broszę. Była w kształcie kwiatu lotosu i wykonana z pereł i lazurytu. Bardzo piękna. Podobne ozdoby dostały Teodozja i Tabita, lecz moja była w najbardziej wyszukany styl.

Teobald zaśmiał się, gdy je zobaczył.

— Najwyraźniej cię wyróżnia — rzekł. — To kwiat czczony w Egipcie i symbolizuje przebudzenie się duszy.

— Muszę napisać list rozpływający się w pochwałach — odparłam.

Teodozja pokazała mi swoją ozdobę. Była ze skalenia i chalcedonu.

— Wolałabym, żeby mi tego nie przysyłał. Coś się złego w tym czai.

Biedna Teodozja. Przeżywała trudne chwile, każdego rana bardzo się źle czuła, ale najbardziej niepokojąca była jej stale narastająca tęsknota za krajem. Jan musiał być ogromnie przybity. Powiedział mi, że po powrocie z wyprawy będzie się starał nie opuszczać kraju. Uważał, że

spokojne, uniwersyteckie życie będzie odpowiadało Teodozji. Teraz chyba popadła w stan chorobliwego przygnębienia, skoro ten niezwykley prezent wydaje się jej jakimś złym znakiem.

W czasie spaceru na suk Teodozja wyznała mi, że Mustafę wręcz przeraził widok ozdoby.

— Mustafa! — wykrzyknęłam. — Mam nadzieję, że nie zaczną znowu z tym swoim „jaśnie pani, jechać do domu”.

— Bał się jej dotknąć. Mówił, że to oznacza coś, jakby duch się budził, a to dopiero następuje po śmierci.

— Co za bzdura! Faktem jest, że oni obaj pragną wracać do Giza House. Więc chcą, żebyśmy się przestraszyły i nakłoniły Teobalda do powrotu do domu. Muszą nie mieć dobrze w głowie, jeśli wyobrażają sobie, że możemy to zrobić.

— Teobald raczej wolałby widzieć nas na marach, niżby miał zrezygnować z tego, czego poszukuje.

— To, co mówisz, jest niesprawiedliwe, głupie i śmieszne.

— Czyżby? Wszystkich strasznie popędza. Nie znosi uroczystości i świąt. Pragnie tylko posuwać się coraz dalej... zachowuje się jak człowiek, który zaprzedał duszę diabłu.

— Co za nonsensy wygadujesz!

— Wszyscy twierdzą, że tu niczego nie ma. Pozostawanie tutaj to strata pieniędzy. Ale Teobald nie przyjmuje tego do wiadomości. On musi ciągnąć to dalej. Sir Edward zmarł, prawda? A przed śmiercią wiedział, że nie udało mu się odkryć tego, czego szukał. Teobaldowi też się nie udało. Ale on się do tego nie przyzna.

— Nie wiem, skąd czerpiesz te informacje.

— Gdybyś nie była taka w nim zaślepiona, też byś to widziała.

— Posłuchaj. Oni idą śladem znalezionym we wnętrzu grobowca. Istnieje możliwość, że dokonają największego odkrycia wszystkich czasów.

— A ja chcę wracać do domu. — Zwróciła ku mnie bladą twarz i na ten widok ogarnęło mnie takie współczucie, że przestałam być na nią zła z powodu jej ataku na Teobalda.

— To nie potrwa długo — powiedziałam uspokajająco. — Potem razem z Janem wrócicie na uniwersytet. Będziecie mieli wasze kochane maleństwo i żyli w spokoju. Spróbuj nie narzekać za bardzo, Teodozjo. To martwi Jana. A przecież wiesz, że mogłabyś wrócić do Keverall Court. Twoja matka byłaby zachwycona.

Wzdrygnęła się.

— To ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Wyobraź sobie, jakby to było. Do wszystkiego by się wtrącała. Nie, wychodząc za mąż, uciekłam od mamy. Nie chcę do tego wracać.

— No to nie upadaj na duchu. Przestań rozmyślać i we wszystkim doszukiwać się czegoś złego. Ciesz się tutejszymi osobliwościami, musisz przyznać, że to bardzo ekscytujące.

— Ten obrzęd nad rzeką napawał mnie obrzydzeniem. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to Yasmin została wrzucona do rzeki.

— Jakim cudem? To była kukła.

— Kukła ludzkich wymiarów.

— Oczywiście. Czemu nie? Chcieli, żeby w miarę możliwości jak najbardziej przypominała człowieka. Zaraz pójdziemy do Yasmin i będziesz jej mogła powiedzieć, jak bardzo kukła była do niej podobna.

Weszłyśmy w wąskie uliczki i przepychając się przez tłum, skierowałyśmy się do sklepu, gdzie wystawione były wyroby ze skóry. Na krześle zwykle zajmowanym przez Yasmin siedział jakiś mężczyzna. Zatrzymałyśmy się, on wstał, uznając nas za potencjalne klientki.

Domyśliłam się, że to był ojciec Yasmin.

— Allah z wami — powiedział.

— I z panem — odparłam. — Szukamy Yasmin.

Wyraz jego twarzy mogłam określić tylko jednym słowem: przerażenie.

— Proszę? — rzekł.

— Yasmin. To pana córka?

— Nie rozumieć.

— Prawie codziennie z nią rozmawialiśmy. Ostatnio jej jakoś nie widzimy.

Pokręcił głową. Usiłował przybrać zakłopotaną minę, ale czułam, że rozumie każde nasze słowo.

— Gdzie ona jest? Dlaczego tu się już nie pojawia?

Lecz on tylko kręcił głową.

Wzięłam Teodozję pod rękę i odeszliśmy stamtąd. Tłumy ludzi, gwar głosów, taca z praśnym chlebem, skwierczące porcje mięsa, barwnie ubrani sprzedawcy lemoniady — to wszystko nagle zaczęło umykać mej świadomości. Byłam jedynie w stanie myśleć o kukle wrzuconej do wzburzonych wód Nilu i o jej podobieństwie do Yasmin. A ta właśnie teraz zniknęła.

* * *

Kiedy wróciłyśmy do pałacu, okazało się, że czekają na nas listy. To zawsze było wielkim wydarzeniem. Swoje wzięłam do sypialni, żeby je tam w spokoju przeczytać.

Najpierw od Dorcas i Alison. Jak ja uwielbiałam ich listy! Zwykle pisanie zabierało im parę tygodni, każdego dnia coś dodawały i czytało się to jak dziennik. Mogłam sobie wyobrazić ten „list do Judytki” leżący na biurku w saloniku i je obie, chwytające za pióro, gdy wydarzyło się coś godnego uwagi.

„Jest piękna pogoda. Tego roku można oczekiwać dobrych urodzajów. Wszyscy mamy nadzieję, że nie będzie padało. Jack Polgrey najmuje ludzi aż z okolic Devonu, gdyż przewiduje rekordowe zbiory. Jabłka rosną dobrze, podobnie jak gruszki. Mamy nadzieję, że osy nie dobiorą się do sliwek. Ty wiesz doskonale, jakie one są.

Sabina wygląda bardzo dobrze. Często do nas zachodzi i Dorcas pomaga jej szykować wyprawkę dla niemowlęcia, choć jeszcze zostało parę miesięcy. Bo też, daję słowo, nigdy nie widziałam podobnej fuszerki. A jak robi na drutach! Co robi jednego dnia, to Dorcas pruje i poprawia, więc pytam, dlaczego Dorcas nie może tego wszystkiego robić sama, chyba dlatego, że Sabina chce mieć przeświadczenie, że to ona przygotowuje rzeczy dla dziecka”.

Dopisane przez Dorcas.

„Tak dawno Cię już nie widziałyśmy. Zdajesz sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jesteśmy rozłączone. Chciałybyśmy wiedzieć, kiedy wrócisz do domu. Bardzo za tobą tęsknimy. W zeszłym tygodniu zmarł stary pan Pegger. Szczęśliwe rozwiązanie dla pani Pegger, jak sądzę. Był brutalnym mężem i ojcem, choć nie powinno się mówić źle o zmarłych. Urządzili mu piękny pogrzeb i Mateusz został nowym zakrystianem. Sam wykopał grób własnemu ojcu i niektórzy uważają, że to nie w porządku. Powinni wziąć do tego kogoś innego. Oliver przemyśliwa o jakimś wikariuszu. Jest dużo roboty i dawniej, za czasów ojca, on właśnie pełnił tę funkcję. Pracuje bez wytchnienia i miło jest widzieć, jak potrafi jednoczyć parafię”.

I tak dalej. Przyszły żniwa i rezultaty przerosły nawet oczekiwania. Jack Polgrey, w odróżnieniu od swego skąpego ojca, był rozrzutnym człowiekiem. Urządził w wielkiej stodole zabawę

dożynkową z tańcami, do których przygrywała kapela skrzypków. Wszyscy porobili kukły z kukurydzy do powieszenia w kuchni. Trzymano je do następnego roku, żeby zbiory były równie udane.

Te obrazy z życia wsi wróciły do mnie z tak niezwykłą wyrazistością, że zapragnęłam być tam znowu. Przecież tam był mój dom, a znajdowałam się od niego tak daleko.

Był też list od Sabiny — jeden z tych jej chaotycznych, pospiesznie pisanych bazgrołów, głównie na temat pomocy, jaką moje ciotki jej okazują, i o tym, z jaką niecierpliwością oczekuje narodzin dziecka, i czy to nie dziwne, że Teodozja też jest w tym samym stanie... no, to oczywiście nie dziwne, lecz naturalne, a co ze mną? Z pewnością nie zamierzam zostawać w tyle. Powinnam jej napisać, jak tylko się co do tego upewnię, gdyż moje ciotki bardzo za mną tęsknią i chciałyby, żebym wróciła do domu będąc w ciąży i żeby dzięki mnie miały możliwość wychowywania nowego dziecka w rodzinie, bo chociaż one są prawdziwymi aniołami i traktują ją jak własną siostrzenicę, to nikt nie będzie im w stanie zastąpić ich Judytki.

W trakcie czytania tego listu usłyszałam pukanie do drzwi. Do pokoju weszła Tabita. I ona trzymała list w dłoni.

- Czy Teobald... — zaczęła.
- Oczywiście jest na terenie wykopalisk.
- Myślałam, że może...
- Tabito, czy coś się stało?

Nie odpowiedziała. Zerwałam się z krzesła i podeszłam do niej. Zauważyłam, że ręce jej się trzęsą.

- Jakies złe wiadomości?
 - Złe... sama nie wiem, czy można je tak nazwać. Może dobre.
 - Chcesz porozmawiać?
 - Miałam nadzieję, że Teobald...
 - Jeżeli to takie ważne, możesz pojechać na wykopaliska.
- Spojrzała na mnie.
- Judyto... to się stało... nareszcie.
 - Co się stało?
 - On nie żyje.
 - Kto? Och, twój mąż? Chodź i siadaj. Musiałś przeżyć wstrząs.

Zaprowadziłam ją do krzesła.

— To list — powiedziała — z tego domu opieki, gdzie przebywał. Był bardzo chory, zanim tu przyjechaliśmy. Pamiętasz, pojechałam wtedy do niego. Teraz... nie żyje.

— Chyba stało się to — odrzekłam — co niektórzy nazywają wybawieniem.

— Nigdy by nie wrócił do zdrowia. Och, Judyto, nie wiesz, co to dla mnie znaczy. W końcu... jestem wolna.

Odezwałam się łagodnie:

- Potrafię to zrozumieć. Pozwól, że dam ci coś do picia. Może trochę brandy?
- Nie, dziękuję.
- Wobec tego polecę przynieść miętowej herbaty.

Nie odpowiedziała, a ja zadzwoniłam na służbę. Zjawił się Mustafa. Poprosiłam go o przyniesienie herbaty, z którą zaraz wrócił. Usiadłyśmy, popijając odświeżający napój, a ona opowiadała mi o długich, męczących latach, kiedy była jego żoną, a jednocześnie nią nie była.

— Judyto, minęło już przeszło dziesięć lat, odkąd został tam umieszczony — powiedziała. Jej piękne oczy zajaśniały. — Teraz — dodała — jestem wolna.

Bardzo chciała porozmawiać z Teobaldem. To jemu pragnęła o tym powiedzieć. Nie było okazji ku temu, kiedy przyjechali z wykopalisk, gdyż Teobald wraz z resztą ekipy pozostał w pracy do późna i zaraz po zjedzeniu czekającego już na niego posiłku tam wracał. Obserwowałam Tabitę. Chciała przekazać mu nowinę, gdy będą sami.

Czekała na niego, kiedy późnym wieczorem przyjechał do domu. Było już po północy. Widziałam, jak wchodził do pałacu, ale nie przyszedł od razu do naszego pokoju. Domyśliłam się, że Tabita czatowała na niego.

Czekałam. Minęła godzina, a on nie nadchodził.

Zadałam sobie pytanie, dlaczego zabiera jej tyle czasu opowiadanie o tym, co się stało. Podstępne myśli niby drobne robaki — i równie jak one nieznośne — zaczęły toczyć mój umysł. Nadal pamiętałam złowieszcze słowa niani Tester. Majaczyła wtedy, a jednak wszystkie jej słowa wróciły do mnie w tej zmienionej sytuacji. Przypomniałam sobie, jak widziałam ich razem przy fortepianie. Pomyślałam, że wtedy wyglądali na zakochanych. Nie, to tylko moja wyobraźnia. Dlaczego Teobald mnie poślubił, skoro kochał Tabitę? Ponieważ Tabita nie była wolna?

Obecnie już była.

List od ciotek przywołał mi je teraz tak żywo, że prawie widziałam stojącą przede mną Alison, zwracającą się do mnie z wymówką: „Judytko, ty najpierw mówisz, a potem myślisz. W ten sposób można wyrządzić wiele krzywdy. Dam ci dobrą radę: jeżeli chcesz z czymś wyskoczyć, najpierw policz do dziesięciu”.

Policzyłam do dziesięciu, lecz to nie pomogło. Muszę powściągnąć swój język. Nie wolno mi powiedzieć nic, czego bym później żałowała. Zastanawiałam się, jakby zareagował Teobald na zazdrość żony.

Dlaczego jest z nią tak długo? Czy świętuje odzyskanie przez nią wolności?

Zaczęła ogarniać mnie dzika wściekłość. Ożenił się ze mną, bo wiedział, że jestem córką sir Ralfa. Czy dlatego? Skąd mógł wiedzieć? Ożenił się ze mną, bo wiedział, że odziedziczył pieniądze. Czy o tym wiedział? Ożenił się ze mną, bo Tabita nie była wolna. To wiedział.

Niczego sobie nie dowiodłam, więc skąd te podejrzliwe myśli? Ponieważ tak nagle mi się oświadczył? Ponieważ zawsze wiedziałam, że jego i Tabitę łączą jakieś szczególne więzy? Ponieważ tak był oddany swej pracy, a zwłaszcza tak bardzo zależało mu na tej wyprawie i potrzebował pieniędzy, żeby ją sfinansować?

Kochałam Teobalda bezgranicznie. Bez niego moje życie nie miało sensu, a nie byłam go pewna. Podejrzywałam, że kocha inną kobietę, do tej pory związaną okrutnym węzłem małżeńskim. Obecnie była wolna.

Usłyszałam kroki przed drzwiami. Teobald wchodził do sypialni. Zamknęłam oczy, nie byłam bowiem pewna, czy potrafię z nim rozmawiać spokojnie. Bałam się, że głosem zdradzę te wszystkie podejrzenia, które kłębiły się w mej głowie. Bałam się, że jeżeli wyraźnie powiem mu o mych wątpliwościach i obawach, to być może uzyskam ich potwierdzenie.

Więc leżałam nieruchomo i udawałam, że śpię.

Usiadł na krześle i głęboko się zamyślił. Wiedziałam, o czym myśli: Tabita jest wolna.

Siedział tak chyba z godzinę.

A ja przez cały czas udawałam pogrążoną we śnie.

* * *

Dlaczego wszystko wydaje się inne wraz ze wschodzącym słońcem? Tutaj było ono białym światłem na niebie, tak rażącym, że nie dawało na siebie patrzeć. W kraju lśniło łagodnie, a skoro nie było pewności, że da się je zobaczyć każdego dnia, tym bardziej doceniało się je, gdy było

widoczne. Wystarczyło tylko, by się ukazało, i lęki, które wydawały się nieprzeczwycięzone, zaczynały się rozpraszać.

Jaka byłam głupia! Teobald mnie kochał. Udowadniał to bez żadnych wątpliwości. Lecz niewątpliwie także żywił przywiązanie do innych i takim uczuciem właśnie darzył Tabitę. Ona przede mną stała się faktycznie członkiem ich rodziny, przyjaciółką domu, stąd naturalnie jej sprawy obchodziły go niezmiernie. Niania Tester była osobą o zmaconym umyśle, to oczywiste. Powzięła całkiem bezpodstawnie ku Tabicie niechęć i ja na tym budowałam swe podejrzenia.

W świetle dnia widziałam to wyraźnie.

Śmiać mi się chciało z siebie. Nie byłam lepsza od Teodozji.

Zaczęłam sobie uświadamiać, że niepokoje wzbudziły się we mnie w dniu Święta Nilu. Gdybym mogła zobaczyć się z Yasmin i z nią porozmawiać jak przedtem, poczułabym się o wiele lepiej. Nie lubiłam tajemnic.

Teodozja nie czuła się dobrze i Tabita zaproponowała, że może się przejść ze mną na suk.

Oczywiście rozmawiałyśmy o ostatniej nowinie, którą mi wyjawiała.

— Według mnie nie powinnaś czynić sobie wyrzutów, że odczuwasz ulgę — zapewniłam ją.

— A jednak tak jest. W takiej sytuacji nie można uniknąć pytania, czy zrobiło się wszystko, co tylko było możliwe.

— A co ty mogłaś zrobić?

— Nie wiem. Ale byłam szczęśliwa tylko wtedy, gdy zapomniałam, że on w ogóle istnieje... i to mi się wydaje niewłaściwe.

Spojrzałam na nią. Wyglądała inaczej — młodziej; opromieniał ją jakiś blask, w którym jej uroda jeszcze bardziej się uwydatniała.

Przechodziłyśmy koło sklepu, gdzie zwykle siadywała Yasmin. Na jej miejscu siedział stary mężczyzna. Podniósł wzrok i spostrzegł mnie. Widać było, że już miał wymamrotać swe: „Allah z wami”, lecz zmienił zamiar. Pochylił się, rzekomo całkiem pochłonięty pracą.

Poszłyśmy dalej. Zatrzymał nas wróżbiarz. Tabita usiadła koło niego na macie.

— Wielki ciężar już podniesiony — rzekł. — Pani szczęśliwa jak dawno nie.

Spojrzał na mnie i dotknął maty po swej drugiej stronie.

— Pani jest kochana — zwrócił się do Tabity. — Pani musieć wyjechać daleko, daleko, do ziemi deszczu. Pani musieć wyjechać i żyć wielką radością... bo jest kochana i ciężar spaść z pani serca.

Tabita zaczerwieniła się.

Pomyślałam: on ma na myśli Teobalda. Teobald ją kocha, ona kocha Teobalda i jest wolna... choć on już nie. Dlaczego trochę nie zaczekali? Nie powinien był się tak spieszyć z małżeństwem przez wzgląd na...

Wróżbiarz przeniósł wzrok na mnie.

— Pani wracać — powiedział — nietoperz nad panią. On krążyć jak wielki jastrząb, pani. On tam czekać.

— Dziękuję — odrzekłam. — W mojej przyszłości nic się nie zmienia. Ale mam nadzieję, że któregoś dnia zostanie pozbawiona nietoperza.

Nie zrozumiał. Włożyłyśmy mu pieniądze do miski i poszłyśmy dalej.

— Oczywiście — odezwała się Tabita — on zachowuje się tak jak u nas Cyganie. Wróżą tak, żeby to robiło jak największe wrażenie.

— No, na mnie nie robią już wrażenia te posępne przepowiednie. Ale Teodozję wręcz przygnębiły.

— Widzisz, ci ludzie mają odmienne od nas spojrzenie na świat. Są fatalistycznie nastawieni do życia. Lubią uzmysławiać zagrażające niebezpieczeństwo, którego można jednak uniknąć dzięki mądrości. O to mu chodziło w rozmowie z tobą.

— To daleko posunięta niegościnnność. Zawsze mi mówi, że mam wracać do domu. Naprawdę zastanawiam się dlaczego, skoro korzysta na mnie jako klientce. Gdyby chciał, żebym poważnie potraktowała tę groźbę śmierci, to straciłby zarobek, prawda?

— Rzeczywiście, to trochę dziwne.

— Przynajmniej nie omylił się, mówiąc, że ciężar spadł ci z serca. Sądzę, że ktoś mu przekazuje o nas informacje i on je wykorzystuje w swych przepowiedniach.

— Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tak było — rzekła Tabita.

* * *

Kiedy późnym popołudniem siedziałam na tarasie, przyszedł do mnie Jan. Zawsze z wielką przyjemnością siadywałam tam, aby przyglądać się zachodzącemu słońcu. Niezmiennie zadziwiało mnie, jak to się dzieje, że niemal w jednej chwili zapadają ciemności. To zwykle przywodziło mi na pamięć, nie bez nostalgii, jak powoli i stopniowo zapadał zmrok w Anglii, niemal jakby wieczór nadchodził niechętnie.

— Cieszę się, że jesteś sama, Judyto — zaczął rozmowę Jan. — Chciałem porozmawiać z tobą o Teodozji.

— Jak ona się dzisiaj czuje? — spytałam.

— Jest strasznie przygnębiona.

— Sądysz, że powinna wrócić do kraju?

— Byłoby mi ogromnie przykro, lecz teraz uważam, że to najlepsze wyjście.

— Nie będzie chciała cię tu zostawić. Mógłbyś z nią pojechać?

Teodozja nie czuła się dobrze i Tabita zaproponowała, że może się przejść ze mną na suk.

Oczywiście rozmawialiśmy o ostatniej nowinie, którą mi wyjawiała.

— Według mnie nie powinnaś czynić sobie wyrzutów, że odczuwasz ulgę — zapewniłam ją.

— A jednak tak jest. W takiej sytuacji nie można uniknąć pytania, czy zrobiło się wszystko, co tylko było możliwe.

— A co ty mogłaś zrobić?

— Nie wiem. Ale byłam szczęśliwa tylko wtedy, gdy zapomniałam, że on w ogóle istnieje... i to mi się wydaje niewłaściwe.

Spojrzałam na nią. Wyglądała inaczej — młodziej; opromieniał ją jakiś blask, w którym jej uroda jeszcze bardziej się uwydatniała.

Przechodziłyśmy koło sklepu, gdzie zwykle siadywała Yasmin. Na jej miejscu siedział stary mężczyzna. Podniósł wzrok i spostrzegł mnie. Widać było, że już miał wymamrotać swe: „Allah z wami”, lecz zmienił zamiar. Pochylił się, rzekomo całkiem pochłonięty pracą.

Poszłyśmy dalej. Zatrzymał nas wróżbiarz. Tabita usiadła koło niego na macie.

— Wielki ciężar już podniesiony — rzekł. — Pani szczęśliwa jak dawno nie.

Spojrzał na mnie i dotknął maty po swej drugiej stronie.

— Pani jest kochana — zwrócił się do Tabity. — Pani musieć wyjechać daleko, daleko, do ziemi deszczu. Pani musieć wyjechać i żyć wielką radością... bo jest kochana i ciężar spaść z pani serca.

Tabita zaczerwieniła się.

Pomyślałam: on ma na myśli Teobalda. Teobald ją kocha, ona kocha Teobalda i jest wolna... choć on już nie. Dlaczego trochę nie zaczekali? Nie powinien był się tak spieszyć z małżeństwem przez wzgląd na...

Wróżbiarz przeniósł wzrok na mnie.

— Pani wracać — powiedział — nietoperz nad panią. On krążyć jak wielki jastrząb, pani. On tam czekać.

— Dziękuję — odrzekłam. — W mojej przyszłości nic się nie zmienia. Ale mam nadzieję, że któregoś dnia zostanie pozbawiona nietoperza.

Nie zrozumiał. Włożyliśmy mu pieniądze do miski i poszliśmy dalej.

— Oczywiście — odezwała się Tabita — on zachowuje się tak jak u nas Cyganie. Wróżą tak, żeby to robiło jak największe wrażenie.

— No, na mnie nie robią już wrażenia te posępne przepowiednie. Ale Teodozję wręcz przygnębiły.

— Widzisz, ci ludzie mają odmienne od nas spojrzenie na świat. Są fatalistycznie nastawieni do życia. Lubią uzmysławiać zagrażające niebezpieczeństwo, którego można jednak uniknąć dzięki mądrości. O to mu chodziło w rozmowie z tobą.

— To daleko posunięta niegościnnność. Zawsze mi mówi, że mam wracać do domu. Naprawdę zastanawiam się dlaczego, skoro korzysta na mnie jako klientce. Gdyby chciał, żebym poważnie potraktowała tę groźbę śmierci, to straciłby zarobek, prawda?

— Rzeczywiście, to trochę dziwne.

— Przynajmniej nie omylił się, mówiąc, że ciężar spadł ci z serca. Sądzę, że ktoś mu przekazuje o nas informacje i on je wykorzystuje w swych przepowiedniach.

— Wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak było — rzekła Tabita.

Kiedy późnym popołudniem siedziałam na tarasie, przyszedł do mnie Jan. Zawsze z wielką przyjemnością siadywałam tam, aby przyglądać się zachodzącemu słońcu. Niezmiennie zadziwiało mnie, jak to się dzieje, że niemal w jednej chwili zapadają ciemności. To zwykle przywodziło mi na pamięć, nie bez nostalgii, jak powoli i stopniowo zapadał zmrok w Anglii, niemal jakby wieczór nadchodził niechętnie.

— Ciesz się, że jesteś sama, Judyto — zaczął rozmowę Jan. — Chciałem porozmawiać z tobą o Teodozji.

— Jak ona się dzisiaj czuje? — spytałam.

— Jest strasznie przygnębiona.

— Sądysz, że powinna wrócić do kraju?

— Byłoby mi ogromnie przykro, lecz teraz uważam, że to najlepsze wyjście.

— Nie będzie chciała cię tu zostawić. Mógłbyś z nią pojechać?

— Wątpię, czy Teobald gotów byłby mnie zwolnić.

— Och... rozumiem.

— Gdyby to było konieczne, to pewno by się zgodził, ale... to nie jest tak całkiem niezbędną. Teodozji nie odpowiada tutejszy klimat i teraz, kiedy spodziewa się dziecka...

— Wiem, ale przecież wyjedziemy stąd przed rozwiązaniem.

— Bez wątpienia, jednak faktem jest, że ona nie czuje się ani trochę lepiej, powiedziałabym nawet, gorzej. Coś w atmosferze tego miejsca dziwnie na nią wpływa.

— Może wobec tego wyjechałaby do domu sama i tam czekała na twój powrót?

— Nie sądę, żeby chciała wrócić sama do naszego mieszkania na uniwersytecie. Mogłaby pojechać do matki, ale wiesz, jak tam się rzeczy mają. Lady Bodrean nigdy naprawdę nie zaaprobowwała naszego małżeństwa. Obawiam się, że Teodozja nie byłaby szczęśliwa w Keveall Court.

— A może mogłaby pojechać i zamieszkać w Rainbow Cottage. Ciotki byłyby zachwycone, gdyby mogły ją rozpieszczać. Albo mogłaby się zatrzymać u Sabiny na probostwie.

— To jest pomysł. Jednak ja wiem, że ona nie chce mnie opuścić... ani ja nie chcę, żeby wyjechała.

— Jednak mógłbyś ją zapytać.

— Zapytam — powiedział i wydało mi się, że nabrał nieco otuchy.

* * *

Następnego dnia, gdy byłam właśnie na dziedzińcu pałacu, dobiegł mnie szept: „Pani”.

Rozejrzałam się i w pierwszej chwili nie zobaczyłam nikogo. Po chwili zza krzewów rosnących w rogu dziedzińca z wolna wynurzyła się jakaś postać. Był to młody Arab. Nie pamiętałam, abym go kiedyś spotkała.

— Pani — rzekł — pani mieć czary w słoiku.

Wyciągnął rękę, która trochę krwawiła.

— Oczywiście, opatrzę tę ranę. Ale najpierw trzeba ją oczyścić. Chodź do środka.

Zabrałam go do małego pokoju, z którego głównie korzystała Tabita. Wchodziło się do niego prosto z dziedzińca. Tutaj układała kwiaty, gdy udało nam się je zdobyć. Miała tu spirytusową maszynkę, więc mogłam zagotować wodę. Nalałam trochę z dzbanka stojącego na ławce i zagotowałam wodę w rondelku. Poprosiłam młodzieńca, żeby usiadł, a sama poszłam do mego pokoju po maść od Dorcas.

Obserwował mnie, jak przemywam ranę, zresztą bardzo płytką, i gdy zaczęłam ją osuszać, wyszeptał:

— Pani, ja przychodzić, bo ja chcę powiedzieć.

Spojrzałam bacznie w jego błyszczące, czarne oczy. Dojrzałam w nich strach.

— Co mi chcesz powiedzieć?

— Ja chcę powiedzieć o Yasmin. Pani bardzo dobra dla Yasmin.

— Gdzie ona jest?

— Ona odeszła. Niech Allah błogosławi jej duszy.

— To znaczy, że umarła?

Pokiwał głową z bezgranicznie smutną miną.

— Jak umarła? Dlaczego?

— Zabrana daleko.

— Przez kogo?

Widać było, że z trudem przychodziło mu zarówno zrozumienie tego, co mówię, jak i tego, co chciał wyrazić.

— Ja kochał Yasmin — rzekł.

— Pracujesz przy wykopaliskach? — spytałam. — Pracujesz dla sir Teobalda Traversa?

Skinął głową.

— Bardzo dobry pan z bardzo dobrą panią. Bardzo sekret.

— Możesz mi zaufać, nie zdradzę twego sekretu. Jak masz na imię?

— Husajn.

— Więc, Husajnie, powiedz mi, co wiesz o zniknięciu Yasmin. Możesz na mnie polegać, nic nikomu nie powiem, jeżeli nie będzie to wskazane.

— Pani, my się kochać. Ale jej ojciec mówić: nie. Ona jest dla starego, co trzymać dużo kóz i sprzedawać dużo skóry.

— Rozumiem.

— Ale pani, miłość jest za mocna i my się spotykać. Och, ja tego nie śmieć mówić. My obrazili faraonów.

— Daj spokój, Husajnie, zmarli faraonowie nie mogli zostać obrażeni przez dwoje zakochanych. Przypuszczam, że oni za życia nieraz bywali zakochani.

— Gdzie my móc się spotykać? Nie ma miejsca. Ale ja pracować. Ja zaufany pracownik. Ja pracować w starym grobie. Ja jeden z najlepszych pracowników sir Traversa. Ja wiedzieć, kiedy będzie praca, a kiedy nie. A kiedy nie ma pracy, my się spotykać tam... w grobowcu.

— Jesteś odważny, Husajnie. Niewielu ludzi chciałoby się spotykać w takim miejscu.

— Nie było innego, a miłość jest mocna, pani. W innym miejscu nie ma bezpieczeństwa, a jakby jej ojciec wiedział, dałby ją zaraz staremu mężowi, co mieć wiele kóz.

— Rozumiem. Ale gdzie jest Yasmin?

— Jest noc, wielki pasza przyjechać. My mieli się spotkać. Razem mieli iść do grobowca. Ale sir Travers mówić mi: „Husajnie, ty weź wiadomość dla Ali Moussa”. To ten, co robić narzędzia, co oni potrzebują! „I masz przynieść z powrotem, co ja poproszę. Ja dam ci papier”. Więc ja posłuszny i nie móc iść do grobowca. Yasmin iść sama... i to jest noc, kiedy pasza przyjechać. Już jej nigdy nie widzieć.

— Ale mówisz o niej tak, jakby nie żyła.

— Nie żyje. Ona wrzucona do rzeki w dzień święty.

Wciągnęłam głęboko powietrze w płuca.

— Tego się obawiałam — rzekłam. — Ale, Husajnie... dlaczego?

Podniósł na mnie oczy.

— Proszę powiedzieć mi, pani. Pani mądra. Dlaczego Yasmin rzucona krokodylom?

— Krokodylom?! — krzyknęłam.

Skinął głową.

— Święte krokodyle. Ja widzieć święte krokodyle, one mieć drogie kamienie w oczach i kajdany na łapach.

Obejrzał się przez ramię, jakby się bał, że ktoś mu zada śmiertelny cios.

— Kto to mógł zrobić? — zawołałam. — Kto mógł wrzucić Yasmin do rzeki?

— Wielki człowiek, pani. Wielki, silny, co mieć władzę. Ona jakoś obraziła. Ona być w grobowcu, w świętym grobowcu. To Klątwa Faraonów.

— Ale, Husajnie, tego nie zrobili faraonowie. Ktoś inny to zrobił i musiał mieć swe powody.

— Ja nie widzieć Yasmin od dnia, ja zostać wysłany do Ali Moussa. Ale ja myśleć, że ona iść do grobowca... sama.

— Bardzo dzielna dziewczyna.

— Z miłości jest odwaga, pani.

— Sądzisz, że ją ktoś tam odkrył?

— Ja nie wiedzieć.

— Ale kiedy ją wrzucano do rzeki, ona nie dawała znaku życia. Wyglądała jak kukła ludzkich rozmiarów.

— Może ona już nie żyć wtedy. Może ktoś dać jej narkotyk. Ja tylko wiem, że ona nie żyć.

— Ale po co to zrobiono? Jeśliby ktoś chciał ją zabić, to dlaczego miałby wybrać taki wyszukany sposób pozbycia się jej?

— Pani, pani widzieć obrazy na ścianach. Tam są niewolnicy, co ich faraonowie przywieźli z wojen. Pani widzieć, prawda?

— Zastanawiałam się, kim byli ci ludzie. Widziałam na tych malowidłach człowieka przywiązanego do dziobu statku do góry nogami. I innych, bez dłoni, ramienia czy nogi.

— Pani widzieć, co spotkało ich, bo obrazili faraonów. Oddani krokodylowi. On raz wziąć ramię, raz nogę... a niewolnik żyć dalej. To na pokaz dla niego i innych, co się dzieje z tym, co obraża faraonów. Nieraz rzucali krokodylom. Pani rozumieć?

— Nie rozumiem, dlaczego Yasmin miałyby obrazić faraonów.

— Ona wejść do grobowca, zakazanego miejsca, pani.

— A co z resztą, to znaczy z nami? Wstrząsnął nim widoczny dreszcz.

— Husajnie — powiedziałam — jesteś pewien, że ta postać wrzucona do rzeki to była Yasmin?

— Czy ukochany nie znać swej ukochanej?

— Słabo ją znałam, ale wydawało mi się też, że ją rozpoznaję.

— To Yasmin, pani. I ja być w grobowcu... ale nie tej samej nocy, co ona zniknąć.

— Boisz się, że i ciebie porwą?

Pokiwał głową.

— Nie sądzę, Husajnie. Już by do tej pory to zrobili. Myślę, że ktoś był w grobowcu, kiedy ona tam weszła, i ją zabił. Nie wolno ci nic mówić o swym związku z nią.

— Nie, ja nic nie mówić. To nasz sekret. Dlatego my wybrali takie miejsce dla naszej miłości.

— Musisz działać rozważnie, Husajnie. Nie rozmawiaj o Yasmin. Nie okazuj swego bólu.

Skinął głową, nie spuszczać swych czarnych oczu z mej twarzy. Byłam wzruszona, lecz jednocześnie poczułam się nieswojo z powodu ufności, jaką niewątpliwie we mnie pokładał.

— To — wskazał na rękę — nic. Ja przyjść zobaczyć mądrą panią.

Chciałam zaprotestować przeciw takiemu określeniu, lecz czułam, że tylko utrzymanie go w tym przekonaniu przynosi mu jakąś pociechę.

— To dobrze, że do mnie przyszedłeś — zakończyłam rozmowę. — Przyjdź znowu, jeśli czegoś się dowiesz.

Pokiwał głową.

— Ja wiedzieć, że pani mądra — powiedział. — Pani mieć czary w słoiku.

* * *

Wprost nie mogłam doczekać się chwili, kiedy zostanę sam na sam z Teobaldem. Chciałam mu przekazać, co mi opowiedział ten chłopak, i spytać, co by można w związku z tym przedsięwziąć.

Ale jak trudno było spotkać mego męża samego! Byłam tym naprawdę zdenerwowana. Dopiero późnym popołudniem zobaczyłam, jak wchodzi do pałacu. Robił wrażenie przygnębionego. Poszedł prosto do naszego pokoju, a ja pospieszyłam za nim. Siedział na krześle ze wzrokiem wbitym w czubki butów.

— Teobaldzie! — zawołałam — muszę ci coś powiedzieć!

Podniósł na mnie wzrok, ale patrzył trochę nieprzytomnie, jakby w ogóle nie słyszał, co powiedziałam.

— Yasmin nie żyje! — wybuchnęłam.

— Yasmin? — powtórzył.

— Och, oczywiście, ty jej nie znałeś. To dziewczyna, która wyrabiała skórzane pantofle na suku. Została wrzucona do rzeki w czasie Święta Nilu.

— Tak? — odpowiedział.

— To było morderstwo — oznajmiłam.

Patrzył na mnie z zakłopotaną miną i zdałam sobie sprawę, że on mnie w ogóle nie słucha. Odezwałam się oburzona:

— Ta dziewczyna zmarła... została zabita, a ciebie to chyba wcale nie obchodzi. Yasmin była w grobowcu w dniu, kiedy przyjechał pasza i...

— Co takiego? — zapytał.

Pomyślałam rozwścieczona: „Wystarczy tylko wspomnieć o grobowcu i on cały zamienia się w słuch! To, że ona tam się dostała bez upoważnienia, więcej dla niego znaczyło niż fakt, że spotkała ją tam śmierć”.

— Był tutaj u mnie jeden z twoich robotników — wyjaśniłam. — Jest przerażony, więc nie bądź dla niego surowy. Oni się umówili na schadzki w grobowcu i dziewczyna nie żyje.

— W grobowcu? Nie ośmieliliby się tego zrobić.

— Jestem pewna, że on nie kłamie. Rzecz w tym, że dziewczyna nie żyje. Została wrzucona do rzeki w czasie świątecznych uroczystości.

— W dzisiejszych czasach oni wrzucają do rzeki kukłę.

— Tym razem wrzucili Yasmin. Takie też wrażenie odniosła Teodozja. A teraz to się potwierdziło. Teobaldzie, co masz zamiar z tym zrobić?

— Moja droga Judyto, podniecasz się czymś, co ciebie nie dotyczy.

— Chcesz powiedzieć, że mamy spokojnie przyglądać się, jak się kogoś morduje?

— To tylko jakaś plotka, którą ktoś ci powtórzył. Kto to był?

— Jeden z twoich robotników. Proszę cię, nie potraktuj go surowo. Dość się nacierpiał. Kochał Yasmin i teraz ją stracił.

— Chyba stałaś się ofiarą jakiegoś żartu, Judyto. Niektórzy z tych ludzi uwielbiają dramaty. Taki zawodowy bazarz na su — ku zawsze ma w swym repertuarze rzekomo prawdziwe historie o kochankach, którzy umarli z miłości, ale to oni sami je wymyślają.

— Jestem pewna, że on tego nie wymyślił. Co możemy w związku z tym przedsięwziąć?

— Zupełnie nic... nawet jeśli to prawda.

— Uważasz, że mamy przyglądać się bezczynnie i pozwalać na morderstwa?

Popatrzył na mnie znużonym wzrokiem.

— Nie jesteśmy sędziami tych ludzi. Najważniejszą rzeczą, której tu trzeba się nauczyć, to nie wtrącać się. Pewne ich zwyczaje mogą się nam wydawać dziwne... nawet barbarzyńskie... ale my przybyliśmy tu jako archeolodzy i mamy szczęście, że nam na to pozwolono. Jedna z podstawowych zasad brzmi: żadnego mieszania się w ich sprawy.

— W normalnych warunkach tak... ale to...

— Mnie się to wydaje absurdałne. Nawet w dawnych czasach, kiedy wrzucano dziewczynę do rzeki i było to częścią ceremonii, ona musiała być dziewicą. Coś mi się zdaje, że twojej Yasmin nie można by zaliczyć do dziewic, skoro umawiała się z kochankiem w tak niezwykłym miejscu.

— Ktoś chciał się jej pozbyć.

— Jest wiele innych sposobów usunięcia ciała, bez uciekania się do takiego wyrafinowanego, na oczach publiczności.

— Przypuszczam, że to było ostrzeżenie. Przesunął znużonym gestem dłonią po czole.

— Teobaldzie. Ciebie to chyba w ogóle nie obchodzi. Rzucił mi poważne spojrzenie i rzekł:

— Zakończyliśmy wykopaliska, z którymi wiązaliśmy nasze nadzieje. Dokopaliśmy się do komory, która okazała się ślepą uliczką. Nigdzie dalej nie wiedzie. Musiano ją zbudować, żeby zmylić grabieżców. No cóż, zmylono nas.

— Teobaldzie!

— Tak, cała nasza praca w ciągu ostatnich miesięcy doprowadziła tylko do tego. Można powiedzieć, że nasz wysiłek i pieniądze poszły na marne.

Chciałam go pocieszyć. Chciałam go wziąć w ramiona i kołysać, jakby był zawiedzionym dzieckiem. I wtedy uświadomiłam sobie, że nie jesteśmy sobie tak bliscy, jak według mnie wskazywałyby na to łącząca nas namiętność.

On zachowywał rezerwę. Cokolwiek bym powiedziała, zabrzmiałoby banalnie. Zdałam sobie sprawę w tym momencie, że praca była dla niego ważniejsza niż wszystko inne na świecie.

— Wobec tego — powiedziałam spokojnie i rzeczowo, gdyż opanowałam już emocje — to koniec.

— To ostateczna klęska — rzekł.

Głupio byłoby powiedzieć, że jest mi przykro. Więc po prostu siedziałam w milczeniu. Wzruszył ramionami i ta okropna cisza trwała nadal.

Wiedziałam, że całkiem zapomniał o Yasmin, jeśli w ogóle się nad tym zastanawiał. Czułam, że nawet chyba nie bardzo jest świadomy mej obecności.

Jego umysł był zaprzątnięty tylko jednym: porażką.

Rozdział 8

Tragedia na pomoście

Przez cały następny dzień wszyscy mówili o powrocie do kraju. Nasza ekspedycja była jedną z najkosztowniejszych, jakie przedsięwzięto, i nie doprowadziła do żadnego odkrycia, poza ślepą uliczką w już ograbionym grobowcu!

Teobald popełnił wielką pomyłkę. Wprowadziły go w błąd słowa ojca wypowiedziane przed śmiercią. Ponieważ ojciec zmarł w tajemniczych okolicznościach — i to były tajemnicze okoliczności, bez względu na to, co kto o tym mówił — Teobald był przekonany, że stoi na progu wielkiego odkrycia. Tak też myśleli i pozostali. A teraz, doznawszy gorzkiego rozczarowania, zniweczenia nadziei, kosztem utraty wielkich pieniędzy dowiedzieli się, że się tylko łudzili, oszukiwali samych siebie.

Teodozja była szczerze zachwycona. Krzepiła ją myśl o powrocie do kraju.

— Oczywiście żal mi Teobalda — stwierdziła. — To dla niego ogromny zawód. Ale po tym wszystkim cudownie będzie znaleźć się w domu.

Hadrian oznajmił mi:

— Tak więc wszystkie prace przerwano. Niedługo będziemy w Anglii i nasza wielka przygoda dobiegnie końca. Czy to cię wyleczyło, Judyto? Tak szalenie chciałaś tu przyjechać, prawda? A tu nie było tak, jak się mogło wydawać. Och, znam naszą Judytę. Wyobrażałaś sobie, że powiedziesz nas wszystkich do zwycięstwa. Że będziesz matką przełożoną naszej ekipy i ostatecznie to ty znajdziesz drogę do nienaruszonego grobowca jakiegoś potężnego faraona. Ale rzeczywistość jest inna.

— I tak mnie zafascynowała.

— A nie obawiałaś się, że zostaniesz wdową po archeologu? Niektórym paniom to by przeszkadzało, zapewniam cię. I nie byłaś rozgoryczona, że nie brałaś udziału w wykopaliskach? Myślisz, że nie widziałem, jak zgrzytasz zębami? Pragnęłaś zajmować drugie miejsce tuż za masą kości — oczywiście zmumifikowanych.

— Szybko się pogodziłam z moją pozycją i choć to się tak skończyło, a ten fakt nas wszystkich boli, mogę szczerze powiedzieć, że dla mnie był to czas cudownego doświadczenia.

— Tak mówi dobra i lojalna żona, dzielnie znosząca zaniechywanie ją przez męża w imię lepszej sprawy.

— Wiedziałam, że należy tego oczekiwać — stwierdziłam. — Zawsze zdawałam sobie sprawę, że Teobald większość czasu będzie spędzał przy pracy.

Podszedł do mnie bliżej i powiedział:

— Ja bym cię tak nie zaniechywał, Judyto. I to wszystko na nic.

Zwróciłam się do niego gniewnie:

— Lojalny sojusznik swego szefa, teraz to widzę.

Wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Ty i ja byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi, czyż nie?

— Aż do tej chwili — warknęłam.

Jego uśmiech przeszedł w śmiech. I nagle spoważniał.

— Nie mów w ten sposób. Zawsze byliśmy i będziemy. Gdybyś mnie kiedyś potrzebowała...

— Potrzebować? Ciebie?

— Tak, moja droga kuzynko. Nawet ci najbardziej niezależni czasami potrzebują innych.

— Coś chcesz zasugerować?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się tym swoim ironicznym uśmiechem, który zawsze wydawał mi się raczej pociągający. Przybierał go w chwilach, gdy sytuacja była poważna, a on udawał, że się nie przejmuje czymś, co go głęboko obeszło.

Pomyślałam wtedy: on coś wie. On mnie ostrzega... Przed kim? Przed Teobaldem!

— Lepiej wyjaśnij, o co ci chodzi — zażądałam szorstkim tonem.

Chyba zdecydował, że posunął się za daleko.

— Nie ma nic do wyjaśniania.

— Ale dawałeś coś do zrozumienia...

— Jeszcze raz do głosu doszło moje nedorzeczne ego. Lecz udało mu się zasiać ziarno niepokoju w mym sercu.

* * *

Kilka dni później zapanowało w pałacu ogromne podniecenie. Teobald triumfował. Miesiącami podążał fałszywym tropem, lecz teraz natrafił na inny.

Powiedział mi o tym ogromnie podekscytowany:

— Ciągle miałem wrażenie, że pracujemy w niewłaściwym miejscu. Jest coś za jedną ze ścian, którą jeszcze musimy sprawdzić.

— A co będzie, jeżeli okaże się, że to kolejna ślepa uliczka?

— Nie sądzę, żeby znajdowały się tam dwie zamaskowane, puste komory.

— Dlaczego nie?

— Och, Judyto, na miłość boską, a dlaczego miałyby być?

— Nie wiem. Ale skoro jest jedna.

— Musimy spróbować — rzekł. — Nie zrezygnuję, póki się nie przekonam.

— I to znaczy, że jeszcze długo tu zostaniemy?

— Kto wie? Ale musimy to zbadać.

Wszyscy byli zaskoczeni. Terencjusz Gelding i inni, bardziej doświadczeni członkowie ekipy przyjęli to z entuzjazmem. Podobnie Tabita. Biedna Teodozja! Była szalenie rozczarowana. Jan też nie przejawiał zapału, ale chyba tylko ze względu na Teodozję. Był dla niej tak dobry i czuły. W pierwszym rządzie mąż, pomyślałam, potem archeolog.

I zdałam sobie sprawę, że w głębi ducha dokonywałam porównania.

* * *

Teodozja popadła w przygnębienie. Jej nadzieja na powrót do domu prysła. Tabita stwierdziła:

— Ona wytrąca z równowagi Jana. Teobald jest tym bardzo zaniepokojony. Twierdzi, że Jan nie potrafi skoncentrować się na pracy, bo nieustannie zamartwia się o żonę.

Poczułam się dotknięta. Dlaczego Teobald przekazuje Tabicie swe opinie o Teodozji? Podejrzewałam, że on nader często z nią rozmawia. Nieraz zastawałam ich przy bardzo poważnej konwersacji. Zapamiętałam tę scenę z Hadrianem i zastanawiałam się, czy i inni zauważyli to co ja.

Tabita zawsze z zapalem starała się odciążyć Teobalda od kłopotów. To ona wpadła na pomysł, że skoro Teodozja trapi się przedłużeniem naszego pobytu, to powinna bardziej zainteresować się pracami naszej ekipy. Uznała, że byłoby najlepiej, gdyby zebrać małe towarzystwo, które wybrałoby się w obchód po wykopaliskach. Teodozja miałaby w tym uczestniczyć. A także Leopold Harding, który od czasu do czasu odwiedzał nas w pałacu i zawsze, nawet podczas

przypadkowych spotkań, każdą z nas pytał, czy mógłby skorzystać z jakiejś okazji i kiedyś udać się z nami na teren wykopalisk.

— Niech Teodozja sama zobaczy, jakie to jest ciekawe — orzekła Tabita. — Jestem przekonana, że to pomoże jej przezwyciężyć te nerwicowe obawy.

Tabita powiedziała o tym Teobaldowi, który udzielił zezwolenia i wtedy ona zorganizowała wycieczkę. Ku memu zdziwieniu Teodozja zgodziła się pojechać z nami. Szczerze pragnęła przestać przysparzać kłopotów Janowi i była zdecydowana wykazać się odwagą wbrew swym obawom.

Leopold Harding był bardzo zainteresowany wszystkim, co działo się na terenie wykopalisk. Hadrian mówił mi, że podczas jakichś dwóch przypadkowych z nim spotkań zawsze go wypytywał, jak idą prace. Okazał współczucie, gdy uznaliśmy, że wyprawa się nie powiodła, a potem wyraził Hadrianowi swą radość w związku z nową nadzieją, która zaświtała.

— Marzy o tym, żeby się tam porządnie rozejrzeć — relacjonował Hadrian. — Pytał mnie, czy jest jakaś możliwość przyłączenia go do naszej grupy. Kiedy Teobald dał zezwolenie, był zachwycony. Zaprosił mnie do odwiedzenia tego jego magazynu. Poszłabyś ze mną?

Zgodziłam się i wyruszyliśmy tam razem.

To był niewielki sklep na skraju suku, starannie zabezpieczony różnymi zamkami, więc wynioskowałam, że niektóre ze składowanych tam przedmiotów muszą być bardzo cenne.

Niewielka przestrzeń wnętrza była pełna niezwykle fascynujących rzeczy. Leopold Harding promieniał zadowoleniem i dumą, pokazując nam różne okazy.

— Proszę popatrzeć na ten składany taboret. Jest wyrzeźbiony w różnorodne liście. Widzicie państwo głowy lwów na górnych zakończeniach nóg i ich łapy na dolnych. Znalazłem go tutaj, ale równie dobrze może pochodzić ze Skandynawii. Nigdy nie wiadomo, na co gdzie się natrafi. To mógłby być dwunasty wiek.

Hadrian wziął do ręki jakąś płytę.

— Spójrzcie na to. Przysiągłbym, że jest autentyczna.

Były na niej postacie ujęte w profilu — faraon składający dar Horusowi.

— Piękna sztuka — rzekł Leopold Harding — i wielu dałoby się wystrychnąć na dudka. Czy nie wygląda, jakby została oderwana ze ściany grobowca? Nic podobnego. Jest stara, lecz na to nie dość. Zakładam, że ma trzysta lat. Możecie sobie państwo wyobrazić, jaki byłem podekscytowany, kiedy dostała się w moje ręce.

Hadrian pozwolił ją sobie odebrać Hardingowi, choć niechętnie, jak zauważyłam.

— Proszę spojrzeć na to — ciągnął dalej Harding, podnosząc z kolei kasetkę. — To na kosztowności. Zwróćcie państwo uwagę na inkrustację z kości słoniowej i małą wstawkę z wzorem szachownicy na wieku. To jeden z mych najbardziej wartościowych okazów.

Obejrzelśmy szkatułkę z podziwem i zaczęliśmy przechodzić od jednego przedmiotu do drugiego. Opowiadał nam o trudnościach związanych z wysyłaniem towarów drogą morską do Anglii, zaznaczając, że jest najlepiej, gdy zdobędzie biżuterię lub małe przedmioty, gdyż może przewozić je przy sobie.

Pokazał nam parę naszyjników i kolczyków z lazurytu i turkusów oszlifowanych i osadzonych w stylu egipskim. Byłam nimi oczarowana. Zobaczyłam u niego pewien posąg, który mnie zaintrygował. Przedstawiał boga Horusa z głową sokoła. U jego stóp stała mała, pięknie wyrzeźbiona postać faraona. Nad tą niewielką figurką bóg-sokół jakby roztaczał opiekę z wysokości. Gdy tak patrzyłam na tę rzeźbę, wydało mi się, że ona ożywa. W całości nie była bardzo duża, miała około półtora metra, lecz gdy się w nią wpatrywałam jak zahipnotyzowana, rosła w mych oczach do olbrzymich rozmiarów. Nie mogłam od niej oderwać wzroku. Miała w sobie coś, co kazało mi uciekać od niej daleko, a jednocześnie trzymało mnie w miejscu.

Drgnęłam, gdy poczułam czyjaś dłoń na ramieniu. To był uśmiechnięty Leopold Harding.

— Piękne, prawda? — rzekł. — Wspaniała kopia.

— Gdzie znajdował się oryginał? — spytałam.

— Nigdy go nie widziałem, ale temat jasno wskazuje, że taki posąg zdobył grobowiec jakiegoś dawno zmarłego faraona. Podobne rzeźby były tam umieszczane dla odstraszenia grabieżców grobowców. — Zwrócił się do Hadriana: — Ale pan zna się na tym lepiej niż ja.

— Wątpię — odparł Hadrian. — Nigdy nie widziałem wnętrza nienaruszonego grobowca.

— Ten posąg wywołuje trochę przejmujące wrażenie, nieprawda? A teraz ciekaw byłbym państwa zdania o tym alabastrowym zdobniczym elemencie. To Sfinks naturalnie. Nie najgorszy. A także dość cenny. Zręcznie wyrzeźbiony.

Zgodziliśmy się z jego opinią i przeszliśmy dalej oglądać zgromadzone przez niego zbiory. Ja jednak nie przestałam myśleć o kamiennym Horusie i za każdym razem, kiedy się odwróciłam, aby na niego spojrzeć, miałam wrażenie, że te sokole oczy wodzą za mną groźnym wzrokiem.

Niewątpliwie odwiedziny w tym magazynie były ciekawym przeżyciem, o czym na odchodnym nie omieszkaliśmy powiedzieć Leopoldowi Hardingowi i gorąco mu podziękować za zaproszenie.

— Jeden dobry uczynek zasługuje na drugi — rzekł lekko. — Proszę nie zapominać, że bierzecie mnie na wycieczkę po wykopaliskach.

* * *

Grupa, która się tam wybierała, składała się z siedmiu osób: Terencjusza Geldinga, który miał być przewodnikiem, Hadriana i Jana, jako jego pomocników, Leopolda Hardinga, zainteresowanego pracą naszej ekipy gościa, Tabity, Teodozji i mnie.

Pojechaliśmy na teren wykopalisk wieczorem, gdy już nie było tam robotników.

Nigdy nie mogłabym wejść do tych podziemnych korytarzy bez pewnej dozy zdenerwowania, więc wyobrażałam sobie, co czuje Teodozja. W widocznej już ciąży, wspierała się na ramieniu Jana. Ze zdumieniem jednak zauważyłam, że nie tylko pogodziła się z udziałem w wyprawie, lecz chyba gotowa była cieszyć się tą przygodą.

Pomysł okazał się wspaniały i naprawdę można było się spodziewać, że skłoni Teodozję do porzucenia nękających ją obaw i będzie stanowił początek tego, co Tabita określiła jako „postawę żony archeologa”.

Terencjusz miał jedną latarnię, Hadrian drugą. Terencjusz otwierał pochód, Hadrian go zamykał.

Teodozja, uczepiona mężowskiego ramienia, ostrożnie stawiała krok za krokiem.

Po upale panującym na zewnątrz tu oczywiście było zimno, ale Terencjusz uprzedził nas, żebyśmy zabrali lekkie płaszcze lub peleryny.

Unosząc do góry latarnię, zwrócił nam uwagę na malowidła na ścianach przedstawiające bogów i faraonów. Rozpoznałam Amona-Re z głową barana, a Horusa — z sokolą, choć może to także był Amon-Re, gdyż jego symbolizowały głowy obu tych zwierząt. Był tam Anubis — szakal, co przypomniało mi znak na ramieniu mężczyzny, którego ranę opatrywałam po ukąszeniu skorpiona. Taki sam miał wróżbiarz na suku.

Terencjusz mówił:

— To nie był grobowiec bardzo ważnej osoby. Te naścienne malowidła nie są wykonane z taką starannością, jaką podziwiamy w innych miejscach, chociażby w naszym pałacu. Było to niewątpliwie miejsce wiecznego spoczynku jakiegoś pomniejszego dostojnika, choć z pewnością bardzo bogatego, gdyż i skromniejszy grobowiec musiał wiele kosztować. Nawet kilka osób mogło być tu pochowanych.

— Które stworzyły rodzaj syndykatu, żeby wspólnie opłacić koszty? — spytał Leopold Harding.

— Ale te osoby już chyba wtedy musiały nie żyć? — spytała Teodozja. Wszystkich ucieszyło, że się wreszcie czymś zainteresowała.

— Nie — odrzekł Terencjusz. — Budowa grobowców zaczynała się na długo przed śmiercią. W wypadku faraonów trwała latami i kończyła się dopiero z chwilą ich śmierci.

— Kiedy już byli gotowi z nich skorzystać — dodał Hadrian. — Więc im dłużej żyli, tym lepszy był grobowiec. To nie bardzo sprawiedliwe wobec tych, co umarli młodo. Za jednym zamachem być pozbawionym życia i porządnego grobowca.

Posuwaliśmy się ostrożnie wąskimi korytarzami z Terencjuszem na przedzie. W pewnej chwili korytarz doprowadził nas do komory.

— To nie była komora grobowa. Ta będzie dalej — powiedział Terencjusz. — Ten loch, który tu widzicie, mógł zawierać coś, co zostało wyniesione z grobowca, gdy był płdrowany. Ułożyliśmy nad nim tę drewnianą konstrukcję pomostu, bo jest potrzebny przy przechodzeniu nad lochem, żeby się móc dostać do korytarza leżącego wyżej. Ale najpierw obejrzyjcie te wyryte rysunki na ścianach.

Uniósł wysoko latarnię, a Teodozja, usiłując pokazać Janowi, jak sądzę, że się nie boi, weszła na pomost i zaczęła się nim posuwać.

To, co się następnie stało, poraziło nas wszystkich. Pomost najpierw się wygiął, po czym załamał — Teodozja została wyrzucona w górę, zanim spadła wraz z częścią pomostu do jamy.

Zapadła straszliwa cisza, wydawało się, że przeciąga się w nieskończoność, choć trwała zaledwie ułamek sekundy.

Usłyszałam krzyk Hadriana: „Dobry Boże!”. Zobaczyłam Jana — przedzierał się na czworakach do jamy. Nie było to łatwe, gdyż spadek terenu miał około czterech metrów głębokości.

Terencjusz objął dowodzenie akcją ratunkową.

— Harding, proszę iść i zdobyć gdzieś nosze. Niech ktoś wezwie lekarza. Proszę trzymać latarnię — zwrócił się do mnie i wręczył mi ją. — Zejdę tam w dół. — Wpełznął do lochu i ukląkł koło Jana przy leżącej twarzą do ziemi Teodozji.

* * *

To wszystko odbywało się jak w koszmarnym śnie: ponure wnętrze grobowca, wokół kompletna cisza, nieprzytomna Teodozja, struchlały Jan.

Wydawało się, że to trwa strasznie długo. Oczywiście pojawiły się trudności. Skleciliśmy prowizoryczne nosze, ale wydostanie Teodozji z jamy nie było łatwą sprawą, podobnie jak przeniesienie jej na noszach tymi korytarzami. Terencjusz udowodnił tego wieczoru, że potrafi być prawdziwym przywódcą. Asystowała mu Tabita — opanowana i niezawodna. Ja robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby pocieszyć Jana. A on powtarzał:

— To moja wina. Nie powinienem był nigdy pozwolić, żeby tu przyszła.

Kiedy wreszcie dowieźliśmy Teodozję do pałacu, położyliśmy ją do łóżka. Jej dziecko urodziło się tej nocy — nieżywe. Była to dziewczynka. Poród nastąpił w piątym miesiącu. Ale to Teodozja była przyczyną naszego największego niepokoju.

Nadal pozostawała nieprzytomna i Tabita, która miała pewne doświadczenie w pielęgnowaniu chorych, siedziała przy niej, podczas gdy ja w sąsiednim pokoju usiłowałam daremnie podnieść Jana na duchu.

Tłumaczyłam mu uporczywie:

— Wszystko będzie dobrze. Straciliście dziecko, ale jeszcze będziecie mieli dzieci.

— Jeżeli ona z tego wyjdzie — rzekł Jan — nigdy nie zabiorę jej nigdzie daleko od domu. Ona była przerażona. Wiesz, jak się bała. Przeczuwała niebezpieczeństwo. To moja wina.

— Nonsens — powiedziałam. — To nie twoja wina. Przyjechała z tobą i to było oczywiste, jesteś jej mężem.

— Chciała wrócić do Anglii... a ja ją tu zatrzymałem. Bardzo się starała dostosować do tych warunków. O Boże! Dlaczego nie pojechałem do domu?

— Nie miałaś takiej możliwości — zapewniłam go. — Tu pracujesz.

— Rozmawiałem z Teobaldem. Ale zwolnienie mnie nastęczyłoby wielu kłopotów. Musiałby znaleźć kogoś na zastępstwo.

Tabita podeszła do drzwi. Jan zerwał się na równe nogi. Skinęła na nas i weszliśmy do pokoju, gdzie leżała Teodozja z głową na poduszkach.

Patrzyłam na tę bladą twarz — była zlna potem i zmieniona prawie nie do poznania.

Ogarnął mnie rozdzierający żal. Była moją siostrą, a ja wiedziałam, że ona umrze.

Jan ukląkł przy łóżku, łzy płynęły mu po policzkach. Teodozja otworzyła oczy.

— Jan — powiedziała.

— Moje kochanie — odparł — moje drogie, drogie kochanie.

— Wszystko jest dobrze, Janie. Ja... ja się nie boję...

Była świadoma mej obecności.

— Moja... siostra.

— Tak — odrzekłam.

— On jest teraz dokładnie nade mną, Judyto... wielki, czarny nietoperz...

— Och, Teodozjo...

— Ale ja się nie boję. Janie, ja się nie...

Usłyszałam szept Jana: „O Boże”. Tabita położyła mi dłoń na ramieniu.

— Już po wszystkim, Judyto — szepnęła.

Wstałam.

Nie mogłam w to uwierzyć. Wczoraj dobrze się czuła. Zaledwie dwa dni temu byliśmy razem na suku.

A teraz Teodozja leżała martwa.

* * *

Śmierć Teodozji wywołała natychmiastowy skutek. Czy nie tutaj zmarł sir Edward? A teraz kolejna śmierć. To była Klątwa Faraonów!

Mustafa i Absalom patrzyli na mnie błagalnymi oczami. Te oczy mówiły: „Jechać do domu, jaśnie pani. Jechać do domu, zanim klątwa znowu uderzyć”.

Teobald był strapiiony.

— To tak zdenerwowało Tabitę — rzekł. — Nie może sobie wybaczyć, że to ona zaproponowała wycieczkę. Mówiłem jej, że chciała pomóc Teodozji, ale nie udało mi się jej pocieszyć.

Rzadko widziałam go tak poruszonego. Z powodu Tabity, pomyślałam.

Co się ze mną działo? Stawałam się coraz bardziej urażona i podejrzliwa. Teraz, mówiłam sobie, on więcej przejmuję się odczuciami Tabity niż Jana, którego Teodozja była żoną, i moimi, jej siostry.

— Zarządziłem natychmiastowe śledztwo — powiedział mi. — Musimy się dowiedzieć, jak się mógł zdarzyć taki wypadek. Stale korzystaliśmy z pomostu i był na tyle wytrzymały, by utrzymać

mężczyzn z pewną ilością ciężkiego sprzętu. Dlaczego się załamała, kiedy próbowała nim przejść młoda kobieta? Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie. Jeśli się nie dowiemy, to znowu zaczną krążyć te śmieszne bajdy.

Jednak, niestety, nie mógł im zapobiec, zwłaszcza gdy się okazało, że przyczyny zarwania się pomostu nie da się ustalić.

„To na skutek klątwy pomost się połamał — orzekło wielu. — To było dzieło zagniewanych bogów”.

Ale dlaczego ich ofiarą miała stać się Teodozja która niczym ich nie obraziła? To był jej pierwszy pobyt w grobowcu, a w ogóle to chciała wracać do Anglii. Jeżeli bogowie się rozniewali, dlaczego mieliby wyrzucić zemstę właśnie na niej?

Niektórzy robotnicy nie będą chcieli wejść do grobowca. Ale ja najbardziej niepokoiłam się o Jana, który wprost nie posiadał się z żalu.

Nie potrafił się skupić, kiedy się do niego mówiło. Oczy napęłniały mu się łzami. Czasami zaczynał mówić o Teodozji i swym szczęściu u jej boku, o nadziejach, jakie wiązali z przyszłością ich dziecka. Słuchało się tego z bólem. Nawet więcej. To przechodziło ludzką wytrzymałość. Postanowiłam poruszyć tę sprawę z Teobaldem.

— Jan musi wrócić do Anglii — stwierdziłam. — On tu nie może zostać.

— Jest tutaj potrzebny — rzekł Teobald.

— Z pewnością nie w obecnym stanie.

— Oczywiście, teraz raczej nie ma z niego pożytku.

— Stracił żonę i dziecko — powiedziałam wzburzona.

— Wiem. Miałem na myśli to, że być może dobrze by mu zrobiło, gdyby się oddał pracy.

Zaśmiałam się gorzko.

— Powiem ci teraz coś — rzekłam — co cię zapewne wprawi w zdumienie. Tutaj wszystko mu przypomina to, co stracił. Musi natychmiast wracać do kraju.

— I co tam będzie robił? Jedyne opłakiwał swą żonę. Praca pomoże mu przetrwać ból.

— Czy ty, Teobaldzie, uświadamiasz sobie, jak bardzo Jan kochał swą żonę?

— Był jej oddany, wiem.

— Wydaje mi się, że trudno ci zrozumieć uczucia Jana do Teodozji.

Spojrzał na mnie dziwnie.

— Tak — ciągnęłam ostrym tonem — nie potrafisz. Ale ja je rozumiem. W tej chwili on jest nieprzytomny z żalu, Teobaldzie, musimy mu pomóc. Stracił coś, co było mu drogie, bardziej drogie, niż ty możesz zrozumieć. Praca go nie uratuje. Tu nic mu nie pomoże. On musi wyjechać daleko stąd. Tu jest za wielu wspomnień.

— A w domu ich nie będzie?

— Innego rodzaju. Tu on stale będzie pamiętał ją taką, jaka tutaj była... pełną obaw. Zawsze chciała wrócić do domu. On ma wyrzuty sumienia. Jest na skraju załamania nerwowego. Gdybyś widział jego twarz, kiedy wynoszono ją z lochu... i potem, przy jej łóżku, gdy umierała...

Głos mi się załamał, a on poklepał mnie po plecach. Spojrzałam na niego i pomyślałam gniewnie: On się teraz zastanawia, kto mógłby zająć miejsce Jana, gdyby nadal nie mógł skupić się na swej pracy.

Mówiłam dalej:

— Ten problem nie dotyczy archeologii. To sprawa ludzkiej przyzwoitości... ludzkiej życzliwości. Muszę troszczyć się o Jana... nawet jeśli inni tego nie robią.

— Cóż, naturalnie chcemy dla niego, co najlepsze...

— Tak, wiem, prace muszą być nadal prowadzone. Bez względu na to, co się dzieje, one są najważniejsze. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale Jan w obecnym stanie się do tego nie nadaje.

Zamierzam napisać do ciotek i przedstawić im, co się stało. Zapytam je, czy nie mogłyby go zaprosić do Rainbow Cottage, zaopiekować się nim i przywrócić mu chęć do życia.

Teobald nie odpowiedział. Odwróciłam się do niego i oznajmiłam:

— Idę zaraz napisać list do ciotek. Bez względu na twoje zdanie poproszę je, żeby wzięły Jana do siebie.

Teobald patrzył na mnie zdziwiony, ale się nie odezwał. Usiadłam przy stole i napisałam:

„Kochane Cioteczki, bardzo bym pragnęła, abyście zaprosiły Jana do siebie i zaopiekowały się nim. Dojdą do Was wiadomości o tym strasznym wypadku. Biedny Jan jest psychicznie rozbity. Wiecie, jak bardzo kochał Teodozję. Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Zżyliśmy się ze sobą, zwłaszcza podczas pobytu tutaj. Była moją siostrą i stałyśmy się sobie bliskie jak siostry. A Jan tak ją kochał...”

Do tej chwili nie byłam zdolna do łez, teraz zaczęły zalewać mi policzki i spływać na papier, rozmazując atrament. Ciotki też zapłaczą, gdy to zauważą. A było nad czym.

Biedna, smutna, mała Teodozja, którą przerażało życie. Cały czas bała się śmierci, a jednak kiedy stanęła wobec niej, jej ostatnie słowa brzmiały: „Ja się nie boję”.

Gdyby tylko nie postawiła stopy na tym pomoście. Ale wtedy zrobiłby to ktoś inny. Teobald! Serce mi zamarło. Co by było, gdyby to był Teobald? Od naszego przyjazdu do Egiptu moje idylliczne marzenia zostały zmaćcone wątpliwościami, obawami, a nawet podejrzeniami. Zbyt często wspominałam, jak ludzie zareagowali na zawiadomienie o mającym nastąpić naszym ślubie. Pewne osoby, nie wyłączając Dorcas i Alison, miały podejrzenia co do motywów Teobal — da. Ponieważ zostałam dziedziczką fortuny i to było niezaprzeczalne.

Zawsze czułam, że Teobald ukrywa jakąś część prawdy o sobie. Ja odsłoniłam się przed nim całkowicie, to pewne. Wiedział, że czasem potrafię być impulsywna i że daję się ponieść porywom entuzjazmu. Znał moje wady i zalety. Nigdy nie potrafiłam ukryć mych uczuć do niego. Moja obsesja na jego punkcie zaczęła się w chwili, gdy otworzył drzwi i spojrzał na mnie wychodzącą z sarkofagu. I choć obecnie byliśmy mężem i żoną, w pewnej mierze pozostał dla mnie obcy. Czy brakowało mu owego ludzkiego ciepła i potrzeby drugiego człowieka, co czyni nas tak bezbronnymi i być może zasługującymi na miłość? W jakim stopniu był zależny ode mnie? W jakim stopniu mnie potrzebował?

Dlaczego dręczyły mnie te wątpliwości — mnie, która niezbitnie wierzyła we własną zdolność do kształtowania swego życia? Dlaczego zabrakło mi tej wiary teraz, kiedy miałam wszystko, o czym tylko marzyłam? Odpowiedź była taka: Ponieważ nie znałam całkowicie mężczyzny, któremu oddałam się bez reszty. Miałam podejrzenia co do uczuć, jakie do mnie żywi, co do powodów, dla których mnie poślubił. Uważałam, że on stawia swą pracę wyżej ponad wszystko... ponad moją osobę... Ponad Tabitę?

Więc powiedziałam to. Byłam zazdrosna. Nie miałam pewności, co go łączy z Tabitą i z jakich przyczyn ożenił się ze mną. Wymyśliłam sobie koszmar i on przybierał rzeczywiste kształty.

Wzięłam do ręki pióro i pisałam dalej zdecydowanie:

„Sądzę, że on potrzebuje specjalnej troski i Wy mu ją możecie zapewnić. Czy przyjmiecie go do siebie, zaopiekujecie się nim i nauczycie go powtórnie żyć? Sabina i Oliver Wam pomogą. Wydaje mi się, że niezmaćcony spokój Rainbow Cottage i Wy obie z Waszą filozofią życia potraficie go uratować. Najdroższe, Dorcas i Alison, czy spróbujecie?”

Znałam je zbyt dobrze, by nie zawieść się w oczekiwaniu, że odpowiedź przyjdzie natychmiast.

Przyszła.

Jan się nie sprzeciwiał. Nie wyraził zdziwienia. Robił wrażenie człowieka żyjącego w jakimś nierzeczywistym świecie... albo w sennym koszmarze.

Tak więc opuścił nas i wyjechał do Rainbow Cottage.

* * *

Od czasu śmierci Teodozji Leopold Harding związał się bliżej z naszą ekipą. Często go widywano na terenie wykopalisk. Rozmawiał z robotnikami, a Hadrian zaprosił go do nas na obiad. Zadawał mnóstwo pytań związanych z naszą pracą i ogólnie był nią niezwykle zafascynowany. Spytał Teobalda, czy mógłby się rozejrzeć po terenie od czasu do czasu, i uzyskał pozwolenie. Zadawał inteligentne pytania. Było oczywiste, że dobrze znał literaturę przedmiotu i brał Hadriana w krzyżowy ogień pytań. On i Hadrian przebywali nieustannie razem, ale i my wszyscy widywaliśmy go dość często.

Przygnębienie Teobalda ustąpiło. Czuł, że teraz, gdy natrafił na nowy trop, sukces jest bliski. Był pewien, że za ścianą starego grobowca jest droga do następnego. Była sprytnie zamaskowana, ale on ją odnajdzie.

Ciotki często do mnie pisały.

„Mamy nadzieję, że już niedługo wrócisz do domu. Wydaje się nam, jakby minęły wieki od Twego wyjazdu. Jan teraz mało o tym mówi. Z pewnością lepiej się czuje niż w chwili przyjazdu. Sabina jest bardzo szczęśliwa. Już wkrótce urodzi swe dzieciątko. Wszyscy z niecierpliwością na to czekamy. Jednak nigdy nie rozmawiamy na ten temat z Janem. Mogłoby go to wprawić w przygnębienie.

Lady Bodrean kazała wmurować w kościele tablicę dla uczczenia pamięci Teodozji. Odbyło się nabożeństwo żałobne w jej intencji. Ludzie mówią to samo co po śmierci sir Edwarda. Och, kochana, tak bym chciała, żebyś już wróciła do domu.

Lady Bodrean zaprosiła nas do Keverall Court na herbatę. Powiedziała do nas: «Jakie to dziwne, że Ty, jej panna do towarzystwa, stałaś się bardzo bogatą kobietą». Nawiązywała do faktu, że po śmierci Teodozji cały majątek przypadnie Tobie”.

Serce zaczęło bić mi szybciej. To było dziwne, ale aż do tego momentu nie pomyślałam o owej klauzuli w testamencie sir Ralfa. Będę miała dwa razy więcej pieniędzy niż przedtem, a Keverall Court stanie się moim po śmierci lady Bodrean. Pieniądze nie miały dla mnie znaczenia. Jedynie czasami zdarzało mi się żałować, że je odziedziczyłam, bo bez nich mogłabym być pewna, że Teobald poślubił mnie dla mnie samej.

Ciotki miały rację. Byłam teraz bardzo bogatą kobietą.

„Ona robi wrażenie, jakby bardziej ją obchodziły odziedziczone przez Ciebie pieniądze niż śmierć własnej córki. Nadziwić się nie mogę, jak mogłaś z nią wytrzymać tak długo. Nie jest miłą osobą. Byłaś bardzo dzielna, kochanie. Och, jak bardzo chciałabym otrzymać od Ciebie list z wiadomością, że wracasz do domu”.

Jakżeż te listy przywodziły mi na pamięć spokój wiejskiego krajobrazu i domek w cichej uliczce, o żabi skok od starego probostwa.

* * *

Teobald orzekł, że musimy się zachowywać tak, jakby ta tragedia w ogóle nie miała miejsca. To najlepszy sposób na stłumienie pogłosek o kłątwie. Gdy jednak wychodziliśmy z pałacu, ludzie rzucali na nas ukradkowe spojrzenia. Uważali zapewne, że zwariowaliśmy, skoro lekceważymy Kłątwe Faraonów. Jakiego jeszcze ostrzeżenia nam potrzeba? Ile jeszcze śmiertelnych wypadków musi się wydarzyć?

Tabita zagadnęła mnie kiedyś:

- Prawie nie chodzisz teraz na suk.
- Nie mam ochoty. Często bywałyśmy tam razem z Teodozją.
- Pewnie zauważą, że nie przychodzisz.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Sądzę, że powinnaś się zachowywać w miarę możliwości normalnie.
- Nie przepadam za samotnymi spacerami.
- Pójdę z tobą któregoś dnia.

Już następnego zaproponowała, żebyśmy poszły razem. Po drodze rozmawialiśmy, jak zawsze chyba, o Teodozji.

— Nie zamartwiaj się, Judyto — powiedziała Tabita. — Sama też muszę przestać o tym myśleć. Nie zapominaj, że to ja zaproponowałam wycieczkę. Gdybym tego nie zrobiła... byłaby wśród nas do dzisiaj.

— Ale zginąłby ktoś inny. Pomost był w takim stanie, że musiał się zawalić. A skąd ty to mogłaś wiedzieć?

Potrząsnęła posępnie głową.

- Mimo wszystko nie mogę zapomnieć, że to był mój pomysł.
- Dlaczego pomost się załamał? — spytałam wzburzona. — Czy nie sądzisz, że ktoś...
- Och, nie, Judyto!
- Kto mógłby zrobić taką rzecz?
- To był wypadek. Dlaczego miałoby być inaczej?

Zapadło między nami milczenie. Przypuśćmy, pomyślałam, że to nie był wypadek. Przypuśćmy, że ktoś chciał zabić Teodozję. Ktoś, kto by zyskał na jej śmierci. To ja stałam się dwukrotnie bogatsza.

— Była moją przyrodnią siostrą — odezwałam się. — Kochałam ją. Wiem, trochę ją terroryzowałam, niemniej jednak ją kochałam... A teraz...

Tabita ścisnęła mą dłoń.

— Przestań, Judyto. Nic na to nie można poradzić. To już się stało. Musimy się starać po prostu o tym nie myśleć.

Weszliśmy na bazarowy plac. Wszędzie wokół było hałaśliwie i kolorowo. Połykacz ognia przygotowywał się do swego występu, otaczała go już grupa zaciekawionych dzieci. Zaklinacz węży drzemał, gady leżały w koszyku. Żongler usiłował zwrócić na siebie uwagę tłumu. Przeszliśmy na drugą stronę placu i znalazłyśmy się w labiryncie znanych nam, wąskich uliczek. Minęliśmy sklep z wyrobami skózanymi, gdzie nie siadywała już Yasmin, stragan z szaszłykami na patykach i kociołkami wypełnionymi gorącym sosem i natknęliśmy się na... wróżbiarza.

Popatrzył na nas chytrym wzrokiem.

— Allah z wami.

Chciałam iść dalej, lecz Tabita się zawahała. On wiedział oczywiście o śmierci Teodozji.

— Mała dama — rzekł — nie zważać na moje ostrzeżenia.

Łzy nabiegły mi do oczu. Jakbym widziała Teodozję siedzącą koło niego na macie z przerażonymi oczami.

— Ja go widzieć — mówił dalej. — On krąży. On ciągle krąży.

Jego wzrok był utkwiony we mnie.

— Nie mam zamiaru tego słuchać — powiedziałam głosem, w którym pobrzmiwało rozdrażnienie. Przeniósł spojrzenie na Tabitę.

— Ciężar zrzucony z pani — rzekł. — Teraz jest szczęście. Przeszkoda nastąpić, ale jest nagroda, jeżeli pani dość mądra i ją wziąć.

Miałam już włożyć pieniądze do jego miski, ale potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Dzisiaj nie. Ja nie chcę bakszysz. Ja brać tylko zapłatę za moją pracę. Ja mówić, pani, trzeba uważać.

Poszłyśmy dalej. Cała drżałam.

— Nie można odmówić mu racji... co do Teodozji.

— Czasami musi mu się udać.

— Teraz mnie ostrzega.

— Ale przecież zawsze cię ostrzegał.

— Ty za to masz szczęście. Podobno kiedy usuniesz przeszkodę, zostaniesz wynagrodzona. A może przeszkoda już jest usunięta?

— To takie gadanie — odpowiedziała — swoiste odklepywanie formułek. W każdym razie nie możemy im okazać, że się tym przejmujemy. W ten sposób dałybyśmy podstawę do nasilenia się tych bezsensownych podejrzeń.

Ja jednak się przejęłam. I to bardzo.

* * *

Jakże brakowało mi Teodozji! Trapiły mnie przy tym wyrzuty sumienia, gdyż dopóki żyła, nigdy nie okazałam jej, jak wiele dla mnie znaczy, że jestem jej siostrą. Siadywałam na tarasie pogrążona w myślach, tam gdzie często siedziałyśmy razem, i wspominałam nasze rozmowy. Tabita nie mogła mi jej zastąpić. Nie miałam pełnego zaufania do Tabity.

Stale prześladowała mnie myśl o jej przyjaźni z Teobaldem. Kiedyś byłam na tarasie, a Teobald właśnie wrócił z wykopalisk. Przysiadł się do mnie. Zaczął opowiadać mi o postępach w pracy i słuchałam go z przejęciem. Lecz przyłączyła się do nas Tabita. Wiele pamiętała z tego, co działo się w czasie poprzedniej ekspedycji, i w rezultacie Teobald i ona omawiali to szczegółowo, a ja praktycznie zostałam wyłączona z rozmowy. Stałam się nieufna, czułam się urażona. Nie mogłam zapomnieć o obawach ciotek związanych z mym zamążpójściem, o przykrych słowach pana Peggera, o podejrzaniach niani Tester.

Zaczęłam tracić poczucie lojalności wobec swego męża. Poprzednio widziałam w nim samo dobro. Obecnie też był dla mnie wszystkim, ale nie ufałam mu już całkowicie. Pogrążałam się coraz bardziej w zazdrości i podejrzliwości. Zaczynałam oceniać Teobalda jako człowieka, który potrafi być bezwzględny, gdy chodzi mu o osiągnięcie wyników w pracy. Czy ta bezwzględność odnosiła się wyłącznie do tej jednej dziedziny?

Teobald stawał mi się obcy.

Pewnego dnia przysiadł się do mnie na tarasie Leopold Harding. Traktowano go niemal jak członka ekipy. Jego niezwykle zainteresowanie naszą pracą budziło sympatię Teobalda, który zawsze był gotów pomagać miłośnikom archeologii nie uprawiającym jej jako zawodu. Harding jadał nawet z nami czasem kolacje, przebywał na terenie wykopalisk, obserwował robotników przy pracy.

Tego dnia usiadł koło mnie i wodząc wzrokiem po Nilu, wydał westchnienie zachwyty.

— Co za widok — rzekł. — Nad rzeką zawsze można zobaczyć tyle ciekawych rzeczy. Proszę sobie wyobrazić, co tu się działo trzy tysiące lat temu.

— Pływały królewskie łodzie — odparłam. — Tworzono cudowną sztukę, przedstawiającą ludzi w dziwnych sytuacjach... jak podczas noszenia kamieni do budowy piramid czy składania ofiar bóstwom.

— Dlaczego twarze postaci zawsze przedstawiano z profilu?

— Pewnie dlatego, że w tym ujęciu były takie piękne.

— Czy pani mąż jest zadowolony z postępu prac?

— Każdego rana wstaje pełen nadziei. To stanie się już dzisiaj — zapewnia. Ale oczywiście jak dotąd się nie stało.

— Bardzo się zmartwiłem z powodu pani Callum.

Skinęłam głową.

— Była taka młoda, u początku życia, można by rzec, i taki straszliwy wypadek. Ludzie w hotelu ciągle o tym mówią.

— Wiem. Nie tylko w hotelu. Wszędzie.

— Sądzą, że to Klątwa Królów.

— Bzdura. — Powtórzyłam opinię Teobalda, któremu zależało, żeby nie zachęcać ludzi do powtarzania pogłosek o klątwie. — Gdyby to była klątwa — co jest nonsensem — to dlaczego miałyby osiągnąć Teodozję, najbardziej niewinną spośród całej naszej ekipy?

— Jednak była jej członkiem.

— Raczej nie. Była żoną jednego z badaczy, to wszystko.

— A mimo to ludzie nieustannie o tym rozmawiają. Wydaje się, że według powszechnej opinii ta wyprawa, podobnie jak poprzednia, jest pechowa... pech bierze się stąd, że bogowie albo starożytni faraonowie są zagniewani.

— Cóż, rzeczywiście, tak się będzie mówić.

— Otrzymałem list z Anglii. Śmierci Teodozji nadano pewien rozgłos w prasie. Kolejna śmierć — tak piszą i wspominają o klątwie.

— Kolejna! Rozumiem, że wiążą ten wypadek ze śmiercią sir Edwarda. Ludzie uwielbiają tego rodzaju tajemnicze historie. Wierzą w nie, bo chcą wierzyć.

— Przypuszczam, że ma pani rację — rzekł. — Wkrótce muszę wyjeżdżać. Wysłałem już większość mych zakupów do Anglii i niewiele mi pozostało do roboty. Ale to wszystko było tak fascynujące. Czy według pani mąż nie ma nic przeciwko temu, że ja się kręcę tam przy wykopaliskach?

— Gdyby tak było, toby panu powiedział. Jest zadowolony, gdy ludzie się nimi interesują. Tak długo, jak nie przeszkadzają.

— Będę bardzo uważał, żeby do tego nie doszło. Wiem, że pani dobrze się orientuje w tych sprawach.

— Kiedy przebywa się z profesjonalistami, dopiero wtedy można ocenić, jak mało się wie. Przed ślubem wiele czytałam, a Jan Callum był jednym z naszych nauczycieli. Pan zna oczywiście nasze rodzinne powiązania.

— Tak, słyszałem. Chyba pani i pani Callum byłyście przyrodnimi siostrami.

— Właśnie. A Hadrian jest naszym kuzynem.

— Wszyscy zaprzyjaźnieni od dzieciństwa. Musi pani ciężko przeżywać stratę pani Callum.

— Tak. Podobnie jak Hadrian.

— Wnoszę, że on jest bardzo przywiązany do was obu... a w szczególności do pani.

— O, ja i Hadrian zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Więc w młodości studiowała pani archeologię.

— Bardzo po amatorsku, ale zawsze szczególnie interesowałam się grobowcami.

— Fascynujący temat.

— Pomysł balsamowania zwłok jest zarazem makabryczny i tak sprytny. Żaden naród nie robił tego tak jak oni. Doprowadzili tę sztukę do doskonałości. Pamiętam, jak czytałam o tym w mej sypialni na probostwie — tam się wychowałam — siedziałam na łóżku i dygotałam.

— Wyobrażała sobie pani siebie uwięzioną w grobowcu?

— Oczywiście. W szóstym wieku po Chrystusie w zasadzie zaprzestali mumifikacji. Ciekawe dlaczego. Okropne zajęcie... usuwanie wnętrzności i wypełnianie ciała kasją, mirrą i innymi wonnymi ziołami. Potem je moczyli w roztworze czegoś w rodzaju sody przez trzy miesiące i wreszcie owijali w czyste płótna i smarowali kleistą substancją.

— To było naprawdę pasjonujące — widzieć wewnątrz grobowca tego nieszczęsnego wieczoru... do czasu wypadku. Jak pani sądzi, co się właściwie stało z tym pomostem?

— Musiał być wadliwy.

— Nie uważa pani, że ktoś przy nim manipulował?

— A kto by to miał robić... i po co?

— Żeby spowodować czyjąś śmierć?

— Teodozji?! Dlaczego? Co ona takiego zrobiła?

— Może chodziło o zabicie członka waszej ekipy.

— Z pewnością ofiarą mógł być każdy z nas.

— No właśnie. Więc wydaje się, że nieważne było kto, byleby ktoś z was.

— Według pana ktoś chciał, aby jedno z nas poniosło śmierć, gdyż miał to być rodzaj ostrzeżenia?

— Mógł to być zupełnie niegroźny wypadek, gdyby zdarzył się komuś innemu. Być może kondycja fizyczna pani Callum przyczyniła się do takiego tragicznego rezultatu. Pani o wiele lepiej orientuje się w tych sprawach niż ja. Osobiście poczytuję sobie za wielki przywilej, że pozwolono mi trochę popodglądać to, co się tam dzieje. Nigdy nie zapomnę tego pobytu w Egipcie.

— Chyba nikt, kto brał udział w tej wyprawie, nigdy jej nie zapomni. Podobnie było z poprzednią, kiedy zmarł sir Edward. Tamta zakończyła działalność, ponieważ on nią kierował i bez niego trudno by było dalej prowadzić prace.

— A co on odkrył?

— Praktycznie nic. Ale Teobald uważa, że gdyby prowadził dalsze badania, dokonałby odkrycia. Teobald podjął pracę tam, gdzie on ją zakończył.

— Tak, to był dla mnie wielki zaszczyt. Teraz muszę wracać do hotelu, więc opuszczam panią. Miło mi było z panią porozmawiać.

Odprowadziłam go wzrokiem, kiedy odchodził. Wróciłam do wnętrza, gdyż słońce zaczynało przypiekać. Wtedy przypomniałam sobie, że zostawiłam słoiczek z maścią Dorcas w małym pokoiku, z którego wyjście prowadziło na dziedziniec. Gdy tam podeszłam, usłyszałam głosy, więc zatrzymałam się.

To mówiła Tabita:

— Tak, to wielka ulga, że jestem już wolna. Gdyby się to stało, zanim... a teraz, Teobaldzie, jest za późno... za późno...

Stałam nieruchomo. Zaczęło dzwonić mi w uszach, wydało mi się, że dziedziniec gdzieś się rozplywa, zrobiło mi się słabo.

Za późno! Zbyt dobrze wiedziałam, co to znaczy. Podejrzywałam od pewnego czasu... być może zawsze podejrzewałam. Lecz teraz miałam pewność.

Odwróciłam się i pobiegłam do swego pokoju.

* * *

Leżałam na łóżku. Teobald wrócił na teren wykopalisk. Byłam z tego zadowolona: Nie miałam ochoty go widzieć... jeszcze nie... zanim nie zdecyduję, co muszę uczynić.

Pamiętałam tyle drobnych zdarzeń. Sposób, w jaki on na nią patrzył, kiedy siedziała przy fortepianie. Ostrzegawcze słowa niani Tester. Jej wyjazd do męża i decyzję Teobalda, że też musi wyjechać w tym samym czasie. A ona była piękna, rozważna i miała doświadczenie w dziedzinie archeologii. W porównaniu z nią byłam osobą całkiem zwyczajną, niedouczoneą. I nie cechowała mnie cierpliwość, jaką ona się odznaczała. Wpadałam w złość, której nie potrafiłam opanować, gdyż Teobald bardziej przejmował się pracą niż mną.

Ona jego postawę przyjmowała z pełnym zrozumieniem. To ją kochał. To z nią powinien się ożenić, gdyby był wolny.

Lecz jeśli tak było, to dlaczego mnie poślubił? Dlaczego nie zaczekał na nią?

Oświadczył mi się tak nagle. Zupełnie mnie zaskoczył. Poprosił mnie o rękę, gdyż wiedział, że dziedzicę majątek sir Ralfa. To wszystko stawało się całkiem jasne... zbyt jasne i niepokojące.

A tutaj była przy nim. Zastanawiałam się, ile czasu z nią spędza, kiedy sądziłam, że on przebywa na terenie wykopalisk. Wyobrażałam sobie ich razem, wydawało się, że znajduję przyjemność w zadawaniu sobie cierpienia. Nie mogłam znieść tych wymyślonych przeze mnie wizji, a jednocześnie nie byłam w stanie zaprzestać ich tworzenia.

Poczułam się taka niedojrzała i niedoświadczona. Nie wiedziałam, co robić.

Do kogo zwrócić się po radę? Teraz już nie mogłam zwierzyć się Teodozji. Tak jak by to kiedykolwiek było możliwe! Co ona zrozumiałaby z moich problemów, sama taka naiwna, bez życiowego doświadczenia, mająca zapatrzonego w nią Jana, który kochał ją z oddaniem i byłby ją tak kochał do końca jej dni. Dorcas i Alison nic nie wiedziały o tego rodzaju sprawach. Pokiwałyby tylko głowami, mówiąc: „A widzisz, miałyśmy rację. Nigdy go nie lubiłyśmy. Czuliśmy, że tu jest coś nie w porządku”. To by nic nie dało. Sabina? Prawie słyszałam jej głos dobiegający mnie z oddali. „Oczywiście, że Teobald jest cudowny. Nie ma drugiego takiego jak on. Powinnas być szczęśliwa, że cię poślubił... bo to on cię poślubił. Lecz oczywiście ty nie masz takiej wiedzy jak Tabita i ona jest taka śliczna... i zawsze była u nas w domu... właściwie jak jego żona... tylko że ona miała tego męża i Teobald nie mógł się z nią z tego powodu ożenić. Przynajmniej jesteś żoną Teobalda i panią Travers, prawda? Więc sądzę, że to powinno ci wystarczyć... Bo przecież on nie jest taki jak inni zwykli ludzie, czyż nie...?”

Co za głupota, żeby prowadzić taką urojoną rozmowę. Ale nie mogłam się powstrzymać. Komu miałam wyznać swe obawy?

Chciałam z kimś porozmawiać. Chciałam zapytać: co mam robić?

Pomyślałam o Hadrianie. Lubiliśmy się jak krewni, choć on dawał do zrozumienia, że z jego strony uczucie ma silniejsze zabarwienie. Czy tak rzeczywiście było? Chyba tak. Mówił o tym jakby w żartach, ale to był jego styl. Zawsze byliśmy sprzymierzeńcami, osłanialiśmy się nawzajem jako dzieci, choć częściej to ja go broniłam niż on mnie, pewno dlatego, że umiałam to robić lepiej, a on jako chłopiec częściej był obwiniany. Kochany, nieskomplikowany Hadrian.

Nawet jemu jednak nie mogłabym się zwierzyć z mych obaw, gdyż nie potrafiłabym w ogóle znieść z nim dyskusji o Teobaldzie.

Było już wystarczająco źle, że mnie samej takie potworne wytwory wyobraźni przychodziły do głowy. Niespodziewanie zaproponował mi małżeństwo. Byłam spadkobierczynią majątku, a teraz, po śmierci Teodozji, stałam się bardzo bogatą kobietą. Śmierć Teodozji! O nie, nie mogę dopuszczać do siebie takich nikczemnych myśli. Każdy mógł wejść na pomost. A jednak to była

Teodozja i jej śmierć uczyniła z żony Teobalda bardzo bogatą kobietę. Teobald potrzebował pieniędzy na prowadzenie swych prac. Czy dlatego wybrał na żonę osobę bogatą? Gdyby Tabita była wolna... Ale jej wolność nadeszła zbyt późno. „Za późno...” Ciągle słyszałam jej smutny głos z tą nutą głębokiego i gorzkiego ubolewania.

To ja stałam między nimi. Gdyby mnie już tu nie było, Teobald i Tabita mogliby się pobrać, a któż odziedziczyłby majątek bogatej żony jak nie wdowiec po niej!

Moje pomysły przybierały coraz dziwniejsze kształty.

Rozdział 9

Przeczenie

Nie wiem, czy ponosiła mnie wyobraźnia, ale od czasu do czasu wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. Stałam się nerwowa. Bałam się przebywać w pustych miejscach w pałacu. Kiedy słyszałam odgłos kroków, miałam wrażenie, że ktoś się za mną skrada, a gdy niczego nie słyszałam, uzmysławiałam sobie, że rzucam za siebie ukradkowe spojrzenia. To było zupełnie do mnie niepodobne. To ja wyśmiewałam się z opowieści o wielkim, czarnym nietoperzu. Dokuczałam w związku z tym Teodozji, a teraz wyglądało, że odziedziczyłam nie tylko jej pieniądze, lecz także obawy.

A mimo to coś przynaglało mnie, żeby stanąć twarzą w twarz z mymi lękami. Pragnęłam dowiedzieć się prawdy, gdyż gdzieś kołatała się ukryta myśl: Ja boję się Teobalda. On chce się mnie pozbyć. Lecz tuż za nią pojawiała się inna: To nieprawda. Bardziej przejmuję się pracą niż tobą, ale to całkiem normalne, skoro kocha inną kobietę. Lecz ciebie by nie skrzywdził. Wiesz o tym dobrze.

Jednak nie miałam pewności, która z tych odpowiedzi była prawdziwa, a ponieważ poznanie prawdy było niezbędne dla odzyskania przeze mnie spokoju ducha, dla mego przyszłego szczęścia, nie mogłam się pozbyć pokusy straszenia samej siebie.

W takim nastroju wybrałam się któregoś dnia bryczką zwaną arabiya do świątyni. Na miejscu zostawiłam przy zaprzęgu woźnicę i poprosiłam, żeby na mnie czekał.

Kiedy weszłam do środka, uświadomiłam sobie, że panuje tam całkowita cisza. Chyba byłam jedyną osobą, która przyszła tu tego dnia. Stałam między kolumnami i wspominałam dzień, gdy byłam tutaj razem z Teodozją.

Usiłowałam skoncentrować całą swą uwagę na reliefach przedstawiających historię starożytnego Egiptu. To jednak nie całkiem mi się udawało; nasłuchiwałam odgłosu kroków, nagłego szelestu długich szat. Nie wiedziałam, skąd to się brało, ale miałam dziwne wrażenie, że jednak nie jestem sama i że coś złego czai się blisko mnie.

Przyglądałam się przepięknym reliefom na kolumnie. Przedstawiały króla Setiego wraz z synem, który miał w przyszłości stać się Ramzesem II, zwanym Wielkim. Na innej płaskorzeźbie widniał wizerunek królowej Hatszepsut.

Byłam przekonana, że tuż koło mnie ktoś stał... i obserwował mnie. Zdawało mi się, że słyszę ciężki oddech. Ten ktoś mógł tylko wyciągnąć rękę i pochwycić mnie.

Ciarki mnie przeszły, serce biło mi jak młotem. Muszę wyjść z tego labiryntu kolumn. Powinam zaraz się znaleźć na otwartej przestrzeni, jak najszybciej dotrzeć do mej arabiyi i kazać woźnicy zawieźć mnie z powrotem do pałacu.

Dzięki Bogu, że arabiya i woźnica mieli czekać. Gdybym nie wróciła, dowiedziano by się, że zginęłam.

Czy rzeczywiście?

Kolumny w ruinach starożytnej świątyni stały blisko siebie jak drzewa w lesie. Gdyby ktoś stał za jedną z nich, nawet bardzo niedaleko mnie, nie mogłabym go zobaczyć, jeśliby chciał skryć się przede mną. W każdej chwili mordercze dłonie mogły się zacisnąć na mej szyi. Mogłabym zostać pogrzebana tutaj, w piasku. A woźnica mej arabiyi? Niewielkie pieniądze przeszłyby z ręki do ręki. Ani słowa nie pisnęłyby o damie, którą przywiózł do świątyni. To byłoby zupełnie proste. Skoro dziewczyna mogła zniknąć ze sklepu na suku, to mego ciała też nietrudno by było się pozbyć. Ale ja byłam żoną kierownika wyprawy archeologicznej. Trzeba by było jakoś wyjaśnić moje

zniknięcie. Jednak jeśli kierownik ekspedycji poprzestałby na przyjęciu do wiadomości jakichś wymyślonych wyjaśnień... Przecież był gotów pogodzić się z faktem, że Yasmin została zamordowana, i uznać to za wydarzenie małej wagi. Lecz teraz chodziłoby o jego żonę. Żonę, której sam chciał się pozbyć?

Takie myśli kłębiły mi się w głowie. Tutaj, w tej przejmującej mnie grozą atmosferze starożytnej świątyni miałam stanąć twarzą w twarz z mordercami.

Tak. Jakaś osoba była blisko. Mignął mi cień tej postaci... długi cień. Ktoś skradał się za mną. Kolumny zasłaniały go przed moim wzrokiem, lecz w każdej chwili mógłby znieśc mnie chwycić. Jego ręce zacisnęłyby się na mej szyi i spojrzałabym mu w twarz. Twarz Teobalda? Nie, nie. To już zaszło za daleko, to już stało się kompletnie absurdalne. To był ktoś, kto usiłował zainscenizować kolejny wypadek. Ktoś, kto pragnął, żebyśmy stąd wyjechali... I ktoś, kto manipulował przy pomocy... kto zabił Teodozję, a teraz chciał być bardziej skuteczny i zabić żonę kierownika wyprawy.

Stałam zupełnie nieruchomo i starałam się uspokoić. Głupio dramatyzowałam, dawałam się ponieść wyobraźni. Czyż Dorcas i Alison nie powtarzały, że mi się to często przydarzało i że powinnam się opanowywać?

Jedna rzecz była pewna — bałam się. Zaczęłam uciekać, w biegu dotykałam dłonią mijanych kolumn. Wydostałam się z ich cienia na otwartą przestrzeń. Poraziło mnie oślepiające słońce, przenikające swymi białymi promieniami poprzez szczeliny mego słomkowego kapelusza.

Omam nie wpadłam w ramiona Leopolda Hardinga, który szedł ku mnie.

— Patrzcie, patrzcie, przecież to lady Travers. Czy coś się stało?

— Nie... nic. Nie zauważyłam pana.

— Zobaczyłem, jak wybiega pani ze świątyni. Właśnie miałem wejść.

— Ooo, cieszę się, że pan przyszedł... — powiedziałam, a w duchu dodałam: „Być może ten anonimowy morderca usłyszał podjeżdżającą pana arabiyę i dlatego pozwolił mi uciec”. — Świątynię naprawdę warto zwiedzić dwukrotnie — dorzuciłam szybko.

— Cudowny starożytny zabytek. Jest pani pewna, że dobrze się czuje?

— Chyba trochę zmęczył mnie ten upał.

— Nie powinna pani tak się spieszyć. Zechce się pani przejść ze mną dookoła?

— Dziękuję, ale raczej wrócę już do pałacu. Moja arabiya czeka na mnie.

— Nie pozwolę wracać pani samotnie — rzekł.

Byłam zadowolona, że mi towarzyszył. Jego obecność pomogła mi rozwiać me bezsensowne lęki. Opowiadał mi o tym, jak załatwiał swe sprawy, między innymi, w jaki sposób udało mu się zorganizować wysyłkę swych towarów.

— To była bardzo udana wyprawa — powiedział. — Nie zawsze tak się dzieje. Oczywiście kupuje się sporo przedmiotów, które my nazywamy „zbieraniną”. Na każdym jest jakiś zysk i w sumie transakcje są opłacalne. Ale zdarza się i prawdziwy skarb.

— Zdobył pan taki tym razem?

— Chyba tak... myślę, że tak. Lecz nigdy nie można być pewnym i choćby to był piękny obiekt, to jeszcze trzeba na niego znaleźć kupca. Na tym polega handel. No i jesteśmy w pałacu. Dobrze się pani czuje, lady Travers?

— Dziękuję, doskonale. Chyba wszystko przez ten upał.

— Bardzo męczący, wprost trudny do zniesienia. Cieszę się, że właśnie byłem w pobliżu.

— Dzięki, był pan bardzo uprzejmy.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Udałam się do swego pokoju i położyłam do łóżka. Strach nadal mnie nie opuszczał.

Czy słusznie się bałam? Czy to było przecucie, pod wpływem którego ciarki mnie przechodziły i dostawałam gęsiej skórki? Czy istotnie byłam w niebezpieczeństwie? Czy rzeczywiście, jak mówił wróżbiarz, wielki, czarny nietoperz krążył nade mną? Czy to tylko gra mej wyobraźni, gdyż odkryłam, że mój mąż kocha inną kobietę i chciałby się ode mnie uwolnić?

Minęło pewnie z dziesięć minut, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Zerwałam się pospiesznie, podczas gdy drzwi otwierały się cicho i powoli. Ujrzałam wpatrującą się we mnie parę czarnych oczu.

— Jaśnie pani chcieć miętową herbatę? Jaśnie pani bardzo zmęczona.

Mustafa przyglądał mi się współczująco. Podziękowałam mu. Stał jeszcze parę chwil, po czym skłonił się i odszedł.

Najgorsza spiekota dnia już minęła. Włożyłam chroniący mnie przed słońcem słomkowy kapelusz i wyszłam z pałacu. Ludzie wstawali z łóżek, gdzie spali za zasłonami. Na bazarowym placu zrobiło się gwarno. Usłyszałam dźwięki dziwnej melodii, granej na fujarce przez zaklinacza węży. Wąż zaczął podnosić się z koszyka dla niewielkiej grupy zebranych wokół, pragnących obejrzeć to widowisko.

Zatrzymałam się przy bazarzu siedzącym po turecku na macie. Jego ciemne, senne oczy miały hipnotyczny wyraz. Słuchacze byli pochłonięci jego opowieścią, lecz gdy się zbliżyłam, od razu zauważyli moją obecność. W bawelnianej bluzce, płóciennej spódnicy i dużym, słomkowym kapeluszu, wyraźnie wyróżniałam się jako obca.

Widocznie ze względu na mnie zakończył opowiadanie po angielsku:

— I gdzie umarła, tam wyrosło piękne drzewo, a jego kwiaty miały kolor jej krwi.

Wrzuciłam kilka monet do jego miski jako wyraz mego uznania.

— Allah z tobą — wymamrotał. Stojący wokół cofnęli się, żeby mnie przepuścić.

Poszłam dalej na suk. Wróżbiarz zobaczył mnie i spuścił wzrok na matę, na której siedział.

Szłam wąskimi uliczkami obok otwartych sklepików, skąd dochodziły znajome mi zapachy. Przez cały czas byłam świadoma rzucanych w moim kierunku ukradkowych spojrzeń. W stronę jednej z tych, którzy dwukrotnie wywołali gniew zmarłych. W stronę jednej z potępionych.

Wróciłam do pałacu.

W ciągu ostatnich kilku dni zaniedbałam pracę biurową, którą wykonywałam dla Teobalda. Nie chciałam, żeby się domyślił, że coś jest nie w porządku, więc zdecydowałam, iż uporządkuję wszystko jak dawniej.

Na jego biurku leżały dokumenty, które mi zostawił, abym je posegregowała i schowała. Wśród papierów były zapiski o kolejnych etapach prac z każdego dnia. Włożyłam je do teczki w idealnym porządku, aby mógł sięgnąć po nie i znaleźć to, czego szuka, bez chwili zwłoki. Powiedział mi kiedyś, że ta teczka, z pięknej foczej skóry, należała do jego ojca. Wewnątrz była podszyta czarną, jedwabną, prążkowaną podszewką.

Jakiś czas temu zauważyłam, że szew mocujący podszewkę rozpruł się i pomyślałam wtedy, iż będę musiała to miejsce zaszyć. Uznałam, że teraz to zrobię.

Wzięłam igłę z nitką, opróżniłam teczkę z papierów i zasiadłam do pracy, lecz kiedy wsunęłam dłoń pod podszewkę, wyczułam, że tam coś jest.

Początkowo myślałam, że to rodzaj papierowej podkładki, ale ponieważ papier był pomięty, wyciągnęłam go i ku mojemu zdumieniu ujrzałam zapisaną kartkę. Wyglądziłam zagniecenia i wtedy pewne słowa zwróciły moją uwagę. To była część listu z podpisem „Ralf” na końcu.

„...bardzo kosztowne przedsięwzięcie nawet dla Ciebie. Tak, pokryję część wydatków. Żałuję, że nie będę mógł pojechać z Tobą. Zrobiłbym to, gdyby nie moje serce. Nie chciałbyś mieć na głowie chorego człowieka, a tamtejszy klimat mógłby mnie wykończyć. Wpadnij do mnie jutro.

Pragnę z Tobą porozmawiać o naszych planach. Jest coś, co bardzo leży mi na sercu. Twój syn i moja córka. On staje się coraz bardziej podobny do ciebie, tak że czasami mi się wydaje, że to Ty siedzisz koło mnie i opowiadasz o swych dalszych projektach. Zostawiam pewną sporą sumę pieniędzy na wasz cel pod warunkiem, że Twój syn poślubi mą córkę. To zastrzeżenie jest nieodwołalne. Nie ma ślubu, nie ma pieniędzy. Upieram się przy tym. Klauzulę opracują moi adwokaci, więc w dniu, gdy Twój syn ożeni się z mą córką, pieniądze przejdą na rzecz waszego przedsięwzięcia. Powiedz chłopcu, co od tego zależy. Moja córka i Twój syn! Drogi przyjacielu, Twój rozum i moja energia! Co za połączenie w naszych przyszłych wnukach, do zobaczenia jutro.
Ralf B.”

Patrzyłam na list z przerażeniem. Litery zdawały się tańczyć jakiś obłądny taniec derwisza na bazarowym placu.

„Moja córka i Twój syn”. Wtedy miał na myśli Teodozję. Teobald znał warunki testamentu. I oczywiście, gdy sir Ralf tak się ze mną zaprzyjaźnił, a Teodozja chciała poślubić Jana, on mnie zaproponował jako kandydatkę na żonę. To z tej przyczyny posłał po Teobalda. Chciał mu to wyjaśnić.

„Judyta jest moją córką. Jeśli ją poślubisz, testament nie ulegnie zmianie”. A sir Ralf, który mnie kochał, wiedział, że ja pragnę Teobalda. Oddałby mnie Teobaldowi, nawet gdyby musiał go przekupić.

To wszystko stało się jasne... przeraźliwie jasne. Teodozja wyszła za mąż z miłości. Biedna, tak krótko cieszyła się szczęściem małżeńskim! A ja zostałam żoną Teobalda i umowę wykonano. Teraz zaś, gdy pieniądze były bezpieczne w kasie z przeznaczeniem na prace archeologiczne, Tabita stała się wolna.

Ona zawsze była dziwną kobietą, bardzo tajemniczą. A Teobald... co ja wiedziałam o Teobaldzie?

Kochałam go od lat. Jako uosobienie pewnego ideału. Pokochałam go w typowy dla siebie sposób — szaleńczo, gwałtownie, od chwili gdy go po raz pierwszy zobaczyłam. I teraz darzyłam go nie mniejszą miłością. Ale dowiedziałam się, że jest bezwzględny, gdy w grę wchodzi jego sprawy zawodowe. A gdy w grę wchodzi jego małżeństwo?

Co się ze mną dzieje?

Podeszłam do okna i otworzyłam żaluzje. Roztaczał się stąd widok poza taras aż po rzekę. Mężczyźni ubrani na biało. Kobiety w czerni. Sznur wielbłądów kierujących się ku miastu. Pasterz z kijem prowadzący trzy owce, wyglądający jak z obrazka w Biblii Dorcas. Rzeka oślepiąco połyskliwa w świetle jasnych promieni słońca. Wysoko na niebie biała światłość, na którą nikt nie ośmieliłby się spojrzeć. Gorące powietrze wypełniające pokój.

Z minaretu doszło mnie wołanie muezina. Nagłe ustanie wszelkiego ruchu i hałasu, jakby wszyscy i wszystko tam, poniżej, zamieniło się w kamień.

To szczególne miejsce, pomyślałam. Ziemia pełna tajemnic. Tu wszystko może się zdarzyć. Ogarnęła mnie tęsknota za zielonymi polami rodzinnego kraju, za kwitnącym złoto janowcem, delikatną pieszczotą południowo — zachodniego wiatru, ciepłym deszczem. Pragnęłam rzucić się w ramiona Dorcas i Alison i u nich szukać pocieszenia.

Tutaj czułam się samotna, bezbronna, a złowieszczy cień skradał się ku mnie coraz bliżej.

Byłam zapalczywa w uczuciach. Czy Dorcas nie mówiła zawsze, że jestem zbyt impulsywna? Jakbym słyszała głos Alison: „Wyciągasz pochopne wnioski. Wymyślasz sobie jakieś dramatyczne sytuacje i wszystko do tego dopasowujesz. Powinnaś z tym skończyć”.

Alison miała rację.

„Oceniaj to rzetelnie — to znowu opinia Alison. — Spójrz prawdzie w oczy. Rozpatrz najgorszą wersję... tak jak ona naprawdę się przedstawia, a nie według twego odczucia, i wtedy wybierz najlepsze rozwiązanie”.

Cóż, pomyślałam, jestem zazdrosna. Kocham Teobalda miłością zaborczą. Pragnę go dla siebie całego. Nie chcę dzielić się nim z nikim, nawet gdyby chodziło tylko o jego pracę. Staralam się poznawać tajniki tej dziedziny wiedzy. Odkąd pokochałam go jako dziewczyna, interesowałam się archeologią. Ale przecież nie byłam profesjonalistką i nie mogłam oczekiwać, że ludzie, którzy zdobyli wręcz sławę w tym zawodzie, będą mnie traktowali jak równą sobie. Jestem zazdrosna, gdyż on przebywa na terenie wykopalisk więcej niż ze mną.

To rozumowanie było logiczne i rozsądne. Ale o czymś zapomniałam.

Wszak słyszałam głos Tabity: „Jest za późno, Teobaldzie, za późno”.

I przeczytałam list sir Ralfa do sir Edwarda. Łapówka w zamian za małżeństwo. Z jego córką. Ćwierć miliona funtów na badania archeologiczne, jeśli do tego doprowadzi.

Pieniądze przepłynęły zgodnie z przeznaczeniem. Teraz były bezpieczne w rękach osób, które mogą je wykorzystać na dalsze prace. A Tabita była już wolna. Ja spełniłam swą rolę.

O nie. To śmieszne. Wielu mężczyzn żeni się dla pieniędzy — kochają jedną kobietę, poślubiają inną.

Ale nie mordują.

Otóż to. Postawiłam kropkę nad i. Czy rzeczywiście mogę podejrzewać Teobalda i Tabitę o tak zbrodniczy zamiar? Oczywiście nie. Tabita była mi bardzo życzliwa. Pamiętam, jak mi współczuła, kiedy musiałam pracować dla nieznośnej lady Bodrean. Pożyczała mi książki, pomagała pogłębiać wiedzę. Jak mogłam ją podejrzewać? A Teobald? Pomyślałam o naszym małżeństwie, naszej miłości, naszej namiętności. Tych uczuć chyba nie mógł udawać. To prawda, że on nigdy nie okazywał takiego zapału i żarliwości, nie pogrążył się w miłości tak całkowicie jak ja, ale przypisywałam to różnicy naszych temperamentów.

Lecz czy rzeczywiście taka była przyczyna?

Co ja wiedziałam o Tabicie? Co wiedziałam o Teobaldzie?

A tymczasem oto tu jestem zagubiona w kłębiących się w mej głowie złych myślach. Odziedziczyłam po Teodozji jej trwogę. Teraz wiedziałam, jak się czuła, gdy słuchała wróżbiarza. Rozumiałam dławiący ją, paniczny strach.

Przybyliśmy do obcego kraju. Kraju tajemniczego. Kraju osobliwych wierzeń, gdzie wydawało się, że nadal żyją bóstwa pałające chęcią zemsty, gotowe wymierzyć karę. To, co w Anglii uznano by za śmieszne, tu było możliwe.

Okazało się, że przecucie Teodozji dotyczące nieszczęścia miało podstawy.

A co z moim?

Nie mogłam dłużej wytrzymać w pokoju. Postanowiłam wyjść i usiąść na tarasie.

W drodze na dół spotkałam Tabitę, wracającą do swego pokoju.

— O, jak się masz, Judyto — powiedziała. — Gdzie byłaś? Szukałam cię.

— Poszłam na krótką przechadzkę po bazarze i wróciłam. Było tak gorąco.

— Musiałyśmy się minąć. Ja też tam byłam. Co powiesz na dzisiejszą przepowiednię, którą usłyszałam od wróżbiarza: „Pani będzie mieć swego pana młodego — oznajmił mi. — To już niedługo”. Jak widzisz, mam szczęście.

— Tym razem nie przewidział dla ciebie żadnego czarnego nietoperza?

— Nie, męża, wyobraź sobie.

— Powinam pogratulować... wam obojgu. Kto ma być tym szczęśliwym wybranym?

Tabita zaśmiała się, po czym spuściła oczy i rzekła:

— Jeszcze trochę za wcześnie o tym mówić. Nikt nie poprosił mnie o rękę. Być może to nastąpi.

Z tajemniczym uśmiechem zaczęła wchodzić schodami na górę. Ciarki mnie przeszły jak wtedy w świątyni. Wysłałam na upalne powietrze, ale ciągle było mi zimno i nie mogłam powstrzymać dreszczy.

* * *

Nie powiedziałam Teobaldowi o liście. Ukryłam go w pudełku ze zdobionej skóry, które kiedyś kupiłam u Yasmin. Naprawiłam teczkę i włożyłam tam uporządkowane pisma.

Leopold Harding przyszedł się pożegnać. Powiedział, że i tak został dłużej, niż zamierzał.

— Spotkania i rozmowy z państwem uczyniły ten pobyt tak fascynującym. Nawet teraz trudno mi się oderwać od waszego miłego towarzystwa.

Teobald powiedział mu, że musi nas odwiedzić w Anglii.

— Chętnie skorzystam z zaproszenia — padła odpowiedź.

W hotelu miała odbyć się konferencja. Domyślałam się, że fundusze przeznaczone na naszą wyprawę okazały się niewystarczające i należało zdecydować, które prace mogą być kontynuowane.

Teobald był niespokojny. Obawiał się, że padną głosy przeciw prowadzeniu dalszych badań, a na to nie mógłby się zgodzić.

— Przerwać prace teraz... w tym stadium, to byłoby po prostu czyste szaleństwo — powiedział.

— Chodzi o to, co przydarzyło się ojcu. A przecież tego rodzaju tragiczny wypadek mógł się wydarzyć wszędzie. Wszystko z powodu tych absurdalnych bajek.

Poszedł z Terencjuszem, Hadrianem i pozostałymi członkami ekipy do hotelu. Po ich wyjściu w pałacu zrobiło się strasznie cicho.

Przed południem któryś ze służących zawiadomił mnie, że jeden z robotników z wykopalisk przyszedł do pałacu i chce się ze mną widzieć. Zranił się i ma nadzieję, że opatrzę mu ranę mą sławną już maścią.

Kiedy wysłałam na dziedziniec, okazało się, że przyszedł do mnie ów młodzieniec, któremu już przedtem opatrywałam ranę. Ten, co wyznał mi wtedy, że był kochankiem Yasmin.

— Pani — rzekł i wyciągnął rękę. Była zadraśnięta i lekko krwawiła. Poprosiłam go, żeby wszedł ze mną do pałacu, a ja zagotuję wodę i obmyję mu skaleczenie przed zastosowaniem maści i obandażowaniem dłoni.

Widziałam, że ręka była tylko nieznacznie zadraśnięta i być może sam to zrobił celowo. Miał mi chyba coś ważnego do powiedzenia.

— Yasmin nigdy nie wrócić — rzekł. — Yasmin nieżywa. Yasmin wrzucona do rzeki.

— Tak, wiem.

— Ale pani nie wieciec dlaczego.

— Powiedz mi.

— Yasmin była znaleziona w grobowcu. Ja nie był z nią tego dnia albo ja by był nieżywy. Ona znaleziona, gdzie nie powinna być, ona zabrana i zabita. Ja wiem, bo mnie przyznać ten, co to zrobić. On bać się zrobić inaczej. To był rozkaz. A potem przyszedł drugi rozkaz. Musi być wypadek. To musi być ostrzeżenie, bo to ważne dla niektóre... żeby wy wyjechać daleko.

— Rozumiem — powiedziałam. — A kto wydał te rozkazy?

Chłopak zaczął się wyraźnie trząść. Spojrzał niespokojnie za siebie.

— Możesz mi powiedzieć — rzekłam. — Nie zdradzę twego sekretu.

— Ja nie mieć śmiałości mówić. To będzie śmierć.

— A kto by wiedział, że mi powiedziałaś?

— Jego sługi być wszędzie.

— Wszędzie, ale nie tutaj.

— Tak, pani, tutaj... w tym domu. Pani znać ich znak...

— Szakał?

— To znak Anubisa. Pierwszego, co balsamował.

— Pasza? — spytałam.

Chłopak wyglądał na tak przestraszonego, że już wiedziałam, iż dobrze odgadłam.

— A więc — mówiłam dalej — on wydał rozkazy, że Yasmin ma być zabita, a potem, że jedno z nas ma mieć na pomoście wypadek, który mógłby być śmiertelny. Jeden z jego służących z łatwością potrafiłby uszkodzić pomost. Ale po co?

— Chcieć, wy wyjechać daleko, pani. On chcieć, wy zostawić to wszystko. On bać się...

Ale nie dokończył.

— Więc Yasmin nie żyje — powiedziałam — i moja siostra nie żyje.

— Pani siostra. Ona pani siostra?

Pokiwałam głową.

Był przerażony. Chyba bardziej ujawnieniem mi tej informacji niż śmiercią Teodozji, a także tym, że skoro ona okazała się moją siostrą, to mnie będzie zależało na jakiejś osobistej zemście.

Nagle odezwał się:

— Yasmin, ona czekać na mnie w sekretnym miejscu...

— Sekretnym miejscu? — podjęłam szybko ten temat.

— W grobowcu. Tam taki otwór niedaleko pomostu, więc ja pomyślał, że to nasze miejsce. Tam miała czekać na mnie. Tam my leżeli razem.

Zawiązałam bandaż, a on rzekł:

— Ja mówić pani, bo pani dobra... dobra dla mnie... dobra dla Yasmin. I są rozkazy, żeby było więcej wypadków... żeby wszyscy mogli widzieć, że klątwa żyjąca i królowie się gniewać... na tych, co zbezczęścić ich miejsce spoczynku.

— Dziękuję, że mi powiedziałaś — odparłam.

— Pani powiedzić panu. Ale nie mówić, że ja powiedziałem. Ale pani mu powiedzić i wy wyjechać daleko... i wy być bezpieczni.

— Powiem mu — odpowiedziałam.

— On wtedy wyjechać ze strachu, bo to pani następna umrzeć, bo pani jego ukochana.

Słabo mi się zrobiło z przerażenia. Pragnęłam zostać sama i to przemyśleć.

Żałowałam, że nie ma Teobalda i nie mogę mu powtórzyć, czego się dowiedziałam. Musi mnie wysłuchać, myślałam z gniewem. Kiedy Yasmin zniknęła, nie wyglądał na zainteresowanego. Lecz przecież jej zniknięcie dotyczyło nas wszystkich.

Pasza? Pragnął usunąć nas z drogi. Dlaczego? Rozmyślałam o nim, siedzącym przy stole, jedzącym, prawiącym komplementy, szacującym nasze kobiece walory. Wynajął nam swój pałac. Po co, jeśli nie zamierzał nam pomagać? Żeby mieć nas na oku, oto po co.

Jego służący obsługiwali nas i donosili mu o wszystkim, co robiliśmy. To stało się całkiem jasne.

A mała Yasmin, co takiego zrobiła, żeby zasłużyć na śmierć? Znalaziono ją w grobowcu, jak czekała na swego kochanka. W małej niszy, niezauważonej przeze mnie, o której mówił ten chłopak.

Przypomniałam sobie nagle, że wróżbiarz miał znak szakała na ramieniu. Więc on także był służącym paszy. Czy jego zadaniem było przepowiadać nam śmierć i nieszczęście... żeby nas stąd przepędzić?

Muszę porozmawiać z Teobaldem. Muszę mu opowiedzieć, co usłyszałam. Ale on był na konferencji. Będę musiała poczekać do jego powrotu.

Atmosfera pałacu stała się dla mnie teraz naprawdę złowroga. Skąd mogliśmy wiedzieć, kto nas obserwuje, wsłuchując się w każde wypowiedziane przez nas słowo? Stąpający bezgłośnie służący, śledzący nas i donoszący o wszystkich naszych ruchach!

Oni wszyscy byli służącymi paszy. Wszyscy musieli mieć przydzielone zadania. Tylko dwóch z nich przywieźliśmy ze sobą: Mustafę i Absaloma.

A co z nimi?

Muszę się dowiedzieć. Poszłam do mego pokoju i zadzwoniłam. Zjawił się Mustafa. Poprosiłam go, żeby przyniósł mi miętowej herbaty.

Stałam koło niego, kiedy stawiał ją na stole. Powiedziałam niby zdenerwowana:

— Ojej, jakiś owad. Idzie ci po ramieniu. — Zanim zdążył się ruszyć, uniosłam do góry jego luźny rękaw. Powinien być na przedramieniu, tam, gdzie widziałam go u innych. Dzięki temu małemu fortelowi dowiedziałam się, czego chciałam. Na przedramieniu Mustafy widniał znak szakala.

Odezwałam się spokojnie:

— Już go nie widzę. Tutejsze insekty to plaga, ich ukłucia mogą być bardzo trujące. Ludzie stale przychodzą po moją maść. No ale ten gdzieś już zniknął.

Byłam przekonana, że Mustafa nie nabrał żadnych podejrzeń.

Podziękował mi i zostawił z herbatą.

Gdy usiadłam i zaczęłam ją popijać, przyszło mi na myśl, że skoro Mustafa był człowiekiem paszy, to i Absalom był nim także.

Potem rozmyślałam nad śmiercią sir Edwarda. Umarł w pałacu. Jadł posiłki przygotowywane przez Mustafę lub Absaloma albo ich obu i zmarł.

Gdyby wtedy wezwano do niego lekarza i on mógłby być człowiekiem paszy.

Teobald był w niebezpieczeństwie, tak jak poprzednio jego ojciec. My wszyscy byliśmy w niebezpieczeństwie.

Sir Edward coś odkrył w grobowcu i to narzuciło konieczność natychmiastowego zabicia go. Chyba Teobald do tej pory nie odnalazł tego, co jego ojciec, więc nie było próby zamachu na jego życie. Lecz gdyby Teobald dokonał tego odkrycia...

Zaczęłam dygotać. Muszę z nim porozmawiać. On musi mnie wysłuchać, gdyż byłam pewna, że to, czego się dowiedziałam, miało najwyższą wagę.

Rozdział 10

We wnętrzu grobowca

Jaki spokój panował w pałacu. Czy ta konferencja będzie długo trwała? Nikogo tu właściwie nie było. Może mogłabym poszukać Tabity, ale nie zamierzałam się jej zwierzać, gdyż już nie miałam do niej zaufania. Już w ogóle nie wiedziałam, komu ufać.

Poszłam na swe ulubione miejsce na tarasie i tam usiadłam. Po chwili zobaczyłam kogoś idącego schodami w moim kierunku. Ku memu zdumieniu był to Leopold Harding.

— Myślałam, że pan wyjechał — powiedziałam.

— Nie, powstała pewna drobna komplikacja. Wie pani, interesy. Właśnie idę z hotelu. Mam pani przekazać wiadomość od męża.

Wstałam.

— Chce, żebym tam poszła?

— Nie, prosi, żeby się pani z nim spotkała na terenie wykopalisk.

— Teraz?

— Tak, teraz. I to zaraz. On już tam poszedł.

— Więc konferencja się skończyła?

— Nie wiem, ale on prosił mnie o przekazanie pani tej wiadomości, ponieważ zostało mi parę godzin wolnych przed wyjazdem.

— Czy powiedział, w którym mam być miejscu?

— Określił je dokładnie. Powiedziałem, że panią tam zaprowadzę.

— Ale gdzie to ma być?

— Będzie lepiej, jeśli pani pokaże.

Wzięłam leżący na sąsiednim krześle kapelusz, bez którego nie ruszałam się z domu, i powiedziałam:

— Jestem gotowa. Możemy iść.

Poprowadził mnie drogą do rzeki, którą przebyliśmy łodzią, i poszliśmy na teren wykopalisk.

Dolina wyglądała ponuro w słonecznym blasku późnego popołudnia. Choć było bezwietrznie, tam zawsze w powietrzu unosił się piaskowy pył.

Miejsce wyglądało na opuszczone, ponieważ tego dnia robotnicy nie pracowali. Z tego, co mówił Teobałd, wywnioskowałam, że mieli czekać na wynik konferencji.

Podeszliśmy do wejścia na stoku wzgórza, którą prowadziła droga do grobowca, lecz ku memu zdziwieniu Leopold Harding poprowadził mnie dalej.

— Ale z całą pewnością... — zaczęłam.

— Nie — odrzekł. — Jestem zupełnie pewien. Byłem tu wczoraj i pani mąż coś mi pokazał. To tutaj...

Wprowadził mnie do czegoś, co wyglądało jak naturalna jaskinia, choć równie dobrze mogła być wydrążona. Ze zdumieniem ujrzałam otwór z jednej strony jaskini.

— Pozwoli pani, że pomogę jej przejść.

— Jest pan pewny — zaczęłam. — Nigdy tu przedtem nie byłam.

— Tak. Pani mąż dopiero co to odkrył.

— Ale co to za otwór?

— Zobacz pani. Proszę podać mi rękę.

Przeszłam tamtędy i znalazłam się, zupełnie dla mnie niespodziewanie, u szczytu schodów.

— Jeśli pozwoli mi pani sobie pomóc, zejdziemy tymi schodami.

— I tam będzie Teobald?

— Zobacz pani. Tu są latarnie. Zapalę je i każde z nas będzie miało jedną.

— Wydaje mi się to dziwne — powiedziałam — że pan, tutaj obcy...

Uśmiechnął się.

— No cóż, lady Travers, przeprowadziłem pewne badania. Pani mąż był dla mnie bardzo życzliwy.

— Wobec tego musieli wiedzieć o tym miejscu. Czy ono ma połączenie z grobowcem?

— O tak. Ale nie sądzę, aby do tej pory rozważano badanie tej drogi jako warte zachodu. — Wręczył mi latarnię i zobaczyłam schody wyżłobione w ziemi. W pewnym miejscu zakręcały i przed nami ukazały się drzwi. Były na wpół uchylone.

— To tutaj — rzekł Harding. — Pójdę przodem, dobrze?

Teobald nigdy mi nie wspominał o tym miejscu. To musiało być zupełnie nowe odkrycie. Ja jednak ostatnio trzymałam się z dala od tych spraw. Nie mogłam postępować inaczej, bo skoro nie byłam w stanie zmusić się do rozmowy o mych podejrzeniach, trudno by mi było zachowywać się tak, jakby one nie istniały.

Znaleźliśmy się w małej komorze, nie wyższej niż jakieś dwa i pół metra. Zobaczyłam przed sobą następne przejście i skierowałam się w tym kierunku. Uniosłam głowę i ujrzałam trzy czy cztery schody. Weszłam nimi pod górę i zawołałam:

— Teobaldzie, tutaj jestem!

Znalazłam się w kolejnej komorze, obszerniejszej niż poprzednia. Było w niej bardzo zimno. Drgnęła we mnie pierwsza struna niepokoju.

— Teobaldzie! — wołałam. Mój głos zabrzmiał już chyba paniką.

— Tu nie ma nikogo — powiedziałam. Obejrzałam się za siebie. Byłam sama.

— Panie Harding — zwróciłam się w pustą przestrzeń — to pewno jakaś pomyłka. Teobalda tu nie ma.

Nie było odpowiedzi. Zeszłam schodami w dół i wróciłam do tej mniejszej komory. Tu także nie było Hardinga.

Poszłam w kierunku wejścia. Było tam zupełnie ciemno, gdyż drzwi zastałam zamknięte.

Zawołałam:

— Panie Harding? Gdzie pan jest?

Cisza.

Podeszłam do drzwi. Nie mogłam dojrzeć ani klamki, ani rygła... niczego, czym mogłabym je otworzyć. Popchnęłam je. Usiłowałam pociągnąć je do siebie. Ale nawet nie drgnęły.

— Gdzie pan jest? Panie Harding, gdzie pan jest?

Żadnej odpowiedzi. Tylko głuchy dźwięk mego własnego głosu. Wtedy pojęłam, co to naprawdę znaczy, gdy skóra cierpnie z przerażenia. Czułam się tak, jakby oblażło mnie tysiące mrówek. Miałam świadomość, że włosy mi się zjeżyły na głowie. Dotarła do mnie straszliwa prawda. Byłam sama i jedynie pan Harding wiedział, że jestem tutaj.

Dlaczego? Kim on był? Po co miałyby to zrobić? Moja wyobraźnia zaczęła znowu pracować gorączkowo. To było zupełnie bez sensu. On tylko na chwilę wyszedł na zewnątrz. Zaraz wróci. Dlaczego turysta czy kupiec, ledwie mi znany, miałyby zamknąć mnie w grobowcu? Tu gdzieś musi być Teobald. Za chwilę się pojawi.

Wtedy przyszły mi na myśl podejrzenia związane z osobą Teobalda. Czyżby chodziło mu o przyprowadzenie mnie tutaj... gdyż chciał się mnie pozbyć? Ale dlaczego wysłał Leopolda Hardinga, żeby mnie tu sprowadził? Kim właściwie był Leopold Harding? Dlaczego Teobald sam mnie tu nie przyprowadził? Ponieważ nie chciał, żeby go ze mną tu widziano? Kiedy nie wróćę...

Och, to szaleństwo. To obłąd.

Odosobnienie w zamkniętym grobowcu może doprowadzić do obłądu.

Postawiłam na ziemi latarnię i zaczęłam walić pięściami w drzwi. Nic to nie dało. Jak one się zamykają? Jak się otwierają? Widziałam, że Leopold Harding jedynie je popchnął i weszliśmy do środka. Nic łatwiejszego. A teraz były na głucho zamknięte, a ja pozostałam po tej niewłaściwej stronie.

Musiał się schować, żeby się ze mną podrażnić. Cóż za głupi kawał. Przypomniałam sobie nagle, jak kiedyś w Giza House podniosłam się z sarkofagu. Prawie że słyszałam jeszcze krzyk Teodozji.

— O Boże, niech ktoś tu przyjdzie. Nie pozwól, żebym została sama w tym miejscu.

Teobald musi gdzieś tu być. Powinnam się najpierw rozejrzeć, żeby się upewnić, zanim oddam się w szpony wkradającego się we mnie przerażenia.

Podniosłam latarnię i ruszyłam zdecydowanym krokiem w kierunku schodów. Zeszłam nimi do tej większej komory. Uznałam, że muszę ją zbadać. Może stąd uda mi się znaleźć drogę wyjścia. Teobald być może gdzieś niedaleko czeka, aż Leopold Harding mnie przyprowadzi.

Trzymając wysoko w górze latarnię, badałam ściany komory. Nie były niczym ozdobione, ale zauważyłam wyjście. Przekroczyłam je i znalazłam się w korytarzu.

— Teobaldzie! — zawołałam. — Jesteś tutaj, Teobaldzie?

Żadnej odpowiedzi.

Uniosłam latarnię. Zobaczyłam, że tutaj ściany były zdobione. Wymalowano na nich rządy sokołów z rozpostartymi skrzydłami, wyglądających, jakby unosiły się w powietrzu. Teraz dotarłam do następnej komory. Przyjrzałam się jej dokładnie. Z tej chyba nie było już wyjścia. Osiągnęłam kres mych poszukiwań. I tu nie było nikogo.

Poczułam, że nogi mam jak z waty, i opadłam na podłogę. Odczułam strach, jakiego przedtem nigdy nie zaznałam. Przyprowadzono mnie tu w jakimś określonym celu. Wszystkie kierowane do mnie ostrzeżenia, wszystkie me przecucia miały sens. Powinnam była brać je pod uwagę.

Ale dlaczego Leopold Harding miałby zastawić na mnie pułapkę? Dlaczego mnie okłamał? Pamiętam, jak po wyjściu ze świątyni wpadłam prosto na niego. To właśnie on podkradał się tam do mnie. On zamierzał mnie zabić. Ale, och, tu realizował o wiele lepszy pomysł!

Czy to Teobald mu to nakazał i kim on był, że musiał słuchać rozkazów Teobalda?

Byłam pewna, że coś się nade mną poruszyło. Coś spoglądało na mnie z góry. Podniosłam latarnię.

Na suficie widniała płaskorzeźba wielkiego nietoperza z ogromnymi skrzydłami. Miał oczy z jakiegoś szkliska wulkanicznego, pewno z obsydianu, które w świetle latarni wyglądały jak żywe.

Wydawało mi się, że słyszę głos wróżbiarza: „Nietoperz krąży, czeka... kiedy spadnie”.

Podniosłam wzrok ku niemu — odrażającemu, wrogiemu — i spytałam siebie: „Co ma się ze mną stać? Co to wszystko znaczy? Dlaczego zostałam tu sprowadzona?”.

Było mi zimno. A może ze strachu trzęsłam się tak gwałtownie, że nie byłam w stanie się opanować? Szczękałam zębami... niesamowity odgłos.

Nie miałam siły wstać i iść w powrotną drogę. Byłam zahipnotyzowana przez tego ohydneho nietoperza na suficie komory.

Teraz mogłam dostrzec rysunki na ścianach. Ukazywały one faraona składającego ofiarę jednemu z bóstw. Czy była to Hathor, bogini miłości? Tak, z pewnością, gdyż przedstawiono ją z głową krowy, a wiedziałam, że krowa była jej symbolem.

Było mi strasznie zimno. Powinnam się ruszać. Podniosłam się chwiejnie. Sprawdzałam ściany. Gdzieś może jest droga wyjścia. Musi być stąd wyjście. Teraz wyraźniej widziałam rysunki na ścianach. Były tam obrazy statków i ludzi przywiązanych do góry nogami na dziobie. Pamiętam, to byli jeńcy. A wraz z nimi ludzie pozbawieni jednej lub kilku kończyn. I były jeszcze krokodyle,

które tych ludzi kaleczyły, przebiegłe, odrażające, z naszyjnikami na szyjach i kolczykami w uszach.

Gdzie ja właściwie byłam? W przedsionku grobowca? Jeżeli tak, to musi stąd prowadzić do niego droga. Tam dalej powinna być komora grobowa z kamiennym sarkofagiem, a w nim mumia.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić... nawet do strachu. Strach! Przerażenie! Groza! To wszystko czaiło się wokół mnie, a jednak poczułam się spokojniejsza niż na początku, gdy pojęłam, że zostałam sama w tym strasznym miejscu.

Przeszłam parę kroków. Gdyby tylko było jakieś wyjście z tej komory... ale dokąd by ono prowadziło... jedynie do mumii dawno zmarłego człowieka. Mnie była potrzebna droga na zewnątrz... na świeże powietrze.

Zaczęłam się zastanawiać: tu jest mało powietrza. To, które jest, zużyję w krótkim czasie. Umrę. I będę leżała tak długo, dopóki jakiś archeolog nie zdecyduje się przeszukać tego wnętrza w nadziei na wielkie odkrycie. A tym odkryciem będzie moje martwe ciało.

— Bzdura — powiedziałam do siebie, jak wiele razy mówiłam Teodozji. — Musi być coś, co mogłabym zrobić.

Ta właśnie myśl natchnęła mnie odwagą. Nie będę tak siedziała i czekała na śmierć. Jeżeli jest stąd wyjście, to je znajdę.

Podniosłam latarnię. Znowu zaczęłam badać ściany. Teraz zwróciłam uwagę na pewne istotne znaczenie przedstawionych na nich scen. Obrazowały podróż duszy po rzece Tuat. Zobaczyłam łódź na otaczających ją falach, z których wynurzały się morskie potwory i dwugłowe węże. A powyżej Ozyrysa, boga zaświatów i sędziego zmarłych. Miało to wskazywać, że opiekował się podróżującym w łodzi i że będzie go prowadził poprzez wzburzone wody rzeki do królestwa Amona-Re.

W ścianie był otwór. Serce zabiło mi z radości. Lecz to, co zobaczyłam, okazało się zaledwie wnęką podobną do tej, w której Yasmin ze swym kochankiem przebywali razem.

Kiedy badałam tę niszę, dotknęłam przypadkiem czegoś nogą.

Przestraszyłam się i zaraz przyszły mi na myśl owe okropne potwory, wynurzające się z rzeki Tuat. Pochyliłam się i spojrzałam na ziemię. To nie był odrażający wąż, tylko jakiś błyszczący przedmiot.

Pudełeczko na zapałki. Złote pudełeczko. Jaki dziwny przedmiot w takim miejscu. Nie pochodził ze starożytnych czasów. Był współczesny. Obróciłam go w dłoni i zobaczyłam wygrawerowany napis: „E. Travers”.

Pudełko na zapałki sir Edwarda! Więc on tutaj był! To odkrycie wprost mnie oszołomiło. Moje uwięzienie czymś zaowocowało. Nie potrafiłam sensownie pozbierać myśli. Sir Edward znalazł się tu kiedyś. A jeżeli to się zdarzyło tej nocy, kiedy zmarł? Czy zmarł dlatego, że był tutaj? Ale przecież wrócił do pałacu. Nikomu nie powiedział, co zobaczył, choć Teobald był przekonany, że odkrył coś... co go do głębi poruszyło. Potem zjadł przygotowany dla niego posiłek. Kto przygotowywał mu jedzenie? Mustafa i Absalom — ci dwaj, oznakowani symbolem szakala, jako służba paszy.

Sir Edward został zamordowany. Nie miałam co do tego żadnej wątpliwości. I zamordowano go dlatego, że znalazł się tutaj. A mogło się to stać z rozkazu paszy... który wydał takie polecenie, tak jak nakazał zabić Yasmin i wrzucić ją do rzeki oraz doprowadzić do wypadku na pomoście w celu wykazania, że klątwa nadal ma moc.

Pasza chciał, żebyśmy wyjechali. Pragnął, by nasza wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Dlaczego? Ponieważ zależało mu na tym, abyśmy czegoś nie odkryli. Jeżeli pasza istotnie był zainteresowany badaniami archeologicznymi, to dlaczego wołał raczej zabić uczonego niż pozwolić mu na dokonanie odkrycia?

Gdyż pragnął tego odkrycia dla siebie?

W obecnym stanie napięcia spowodowanego strachem i paniką wydarzenia z przeszłości zaczęły mi się ukazywać z większą niż zazwyczaj ostrością. Miałam żywo przed oczami obraz pulchnej twarzy paszy, jego żujących szczęk i zatłuszczonych jedzeniem warg. Wyglądał naprawdę na przebiegłego, gdy powiedział: „Istnieje legenda, że moja rodzina dorobiła się na rabowaniu grobowców”.

Czy było możliwe, że on nadal pomnażał swą fortunę w ten nielegalny sposób?

Gdyby tak było, nie przejawiałby takiej życzliwości wobec archeologów, którzy mogliby go zdemaskować. Czy to właśnie dlatego postawił do naszej dyspozycji pałac, a swym sługom wydał polecenie, żeby straszaniem zmusili nas do wyjazdu?

Byłam pewna, że tak właśnie było.

Ale to nie dawało odpowiedzi na nękające mnie pytanie: Dlaczego uznał za konieczne przeprowadzenie mnie tutaj?

Doszłam do wniosku, że Leopold Harding był kolejnym człowiekiem na jego usługach. W gazetach można będzie przeczytać: „Żona archeologa zniknęła! Lady Travers, małżonka sir Teobalda, opuściła pałac, gdzie kwaterowała ekipa archeologów, i od tej pory nie widziano jej przez dwa dni... trzy dni... tydzień... miesiąc... Należy wnosić, że poniosła śmierć. Jaka ponadnaturalna siła ją porwała? To kolejny przykład działania Klątwy Królów. Należy przypomnieć, że kilka miesięcy temu żona innego archeologa uległa śmiertelnemu wypadkowi”.

Jakbym widziała Dorcas czytającą te słowa. I Alison słuchającą jej. Mogłam sobie wyobrazić ich skamieniałe, zrozpaczone twarze. Byłyby całkiem załamane.

Tak się stać nie może. Muszę znaleźć stąd wyjście. Zacisnęłam w dłoni pudełeczko na zapalki sir Edwarda, jakby było talizmanem.

Ciemność. Czyżby latarnia przygasła? Co zrobię, jeżeli olej się wypali? A może już do tego czasu nie będę żyła?

Jak długo można przeżyć w takich warunkach, bez dostępu powietrza?

Stopy mi zdrętwiały. Nie wiedziałam, czy ze strachu, czy z zimna. Nade mną pobłyskiwały oczy wielkiego nietoperza... oczekującego... oczekującego na chwilę, kiedy mnie dopadnie.

— O Boże — modliłam się — pomóż mi. Wskaż mi, co mam robić. Spraw, żeby Teobald mnie znalazł. Spraw, żeby pragnął zachowania mnie przy życiu... a nie dążył do mojej śmierci.

Wówczas pomyślałam sobie: Dlaczego w potrzebie zawsze mówimy Bogu, co ma uczynić? Jeżeli taka będzie Jego wola, wyjdę z tego miejsca żywa — tylko wtedy.

Zaczynałam majaczyć. Zdawało mi się, że słyszę kroki. A to było tylko bicie mego serca, które jak uderzenia młota brzmiało mi w uszach.

Zaczęłam mówić na głos:

— Och, Teobaldzie, zatęsknij za mną. Szukaj mnie. Jeżeli podejmiesz poszukiwania, to mnie znajdziesz. Odnajdziesz te drzwi. Dlaczego tu były takie drzwi? Coś cię do mnie przywiedzie... jeżeli pragniesz mnie odszukać... rozpaczliwie... musisz mnie szukać. Ale czy ty chcesz mnie odnaleźć? Czy to był twój rozkaz? Nie... nie wierzę w to. I nigdy nie uwierzę!

Teraz widziałam stary kościół z wieżą oraz groby, niektóre z nich z kamiennymi płytami, nadwerężonymi upływem czasu. „Nie można odczytać, co jest na nich napisane”. To zabrzmiało jak głos Alison. „Chyba trzeba by było je usunąć... lecz nie można zakłócać spokoju zmarłym...”

„Nie można zakłócać spokoju zmarłym. Nie można zakłócać spokoju zmarłym”. Zdawało mi się, że tysiąc głosów śpiewa te słowa monotonicznie w kościele. A ja znajdowałam się w łodzi, woda zaś wokół gotowała się jak ta w dużym, czarnym rondlu na ogniu w kuchni na probostwie, kiedy Dorcas i Alison przygotowywały duszoną baraninę z kartoflami i cebulą po irlandzku lub pudding na Boże Narodzenie.

To już był obłęd. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale przyjął ten stan z wdzięcznością. Wyprowadzał mnie z tego ciemnego i przerażającego miejsca. Przenosił mnie z powrotem do szkolnego pokoju, gdzie dokuczałam reszcie dzieci. Przeniósł mnie na cmentarz, gdzie stary Pegger kopał grób.

„— Dla kogo to będzie, panie Pegger?

— Dla pani, panno Judyto. Pani zawsze była wścibska, a teraz, proszę spojrzeć, dokąd to panią zaprowadziło... do ziemi... do grobowca...”

Ponownie chór powtórzył te słowa: „Do grobowca”, i znowu byłam w tym zimnym miejscu, w przerażeniu czekając na śmierć.

— O Boże, pomóż mi. Spraw, żeby Teobald mnie znalazł.

Spraw, żeby mnie kochał. Spraw, żeby to okazało się jakimś nieporozumieniem...

„— W kościele jest ślub — powiedziała Dorcas. — Musisz iść z nami, Judytko. Masz tu garść ryżu. Uważaj, jak go rzucasz”.

Teraz szli środkiem kościoła... zaślubieni przez wielbego Jakuba Osmonda. Teobald i Tabita...

— Nie! — krzyknęłam. I znowu byłam w grobowcu.

Zesztywniały mi nogi. Spróbowałam wstać. Powinnam się stąd wydostać.

Kiedy wstawałam, potrafiłam coś nogą. Pudełko na zapaliki, które upuściłam. Pochyliłam się, żeby je podnieść. Gdy je podnosiłam, ściana jakby poruszyła się.

To tylko moja wyobraźnia, pomyślałam. To jakieś majaki. Za chwilę otworzę drzwi do mej sypialni na probostwie.

Drzwi się otworzyły. Wypadłam przez nie. Byłam w ciemnym korytarzu wiodącym do kolejnych drzwi.

Pod wpływem jakiegoś impulsu zaczęłam walić w nie pięściami.

Po chwili nikłej nadziei wróciło przerażenie, gdyż wówczas uświadomiłam sobie z całą jasnością, co mi się przydarzyło. Zostałam schwytana w pułapkę. Zostałam przyprowadzona tu tylko w jednym celu — miałam umrzeć. Traciłam siły. Latarnia nie będzie się paliła bez końca. A ja się stąd nie mogłam wydostać.

Kopałam w drzwi. Usiłowałam je otworzyć. Nie drgnęły. Opadłam koło nich na ziemię. Lecz przynajmniej drzwi do komory były otwarte i może będę miała trochę więcej powietrza? Powlokłam się korytarzem. Był krótki i nagle się kończył. Nie było tu nic więcej do odkrycia. Jeszcze jedna ślepa uliczka. Wróciłam i z furią kopałam w drzwi. Upadłam na kolana i zakryłam twarz dłońmi. Nic już nie mogłam zrobić... nic, tylko czekać na śmierć.

Straciłam poczucie czasu. Siedziałam w na wpół otwartych drzwiach, a w komorze za mną czekał wielki nietoperz.

Zastanawiałam się, ile czasu minęło.

Światło latarni stawało się coraz słabsze. W każdej chwili mogło zgasnąć.

Co zrobię, gdy nastanie ciemność?

Ogarnie mnie przerażenie, gdyż prawdopodobnie nie będę w stanie niczego zobaczyć... nawet oczu nietoperza na suficie.

W naglej panice znowu dźwignęłam się na nogi i potykając się, doszłam do drzwi. Zaczęłam krzyczeć:

— Ratunku! Ratunku! Boże, Allachu, Ozyrysie... ktokolwiek może, pomocy!

Płacząc i śmiejąc się jednocześnie, kopałam w drzwi z całą siłą, do jakiej byłam zdolna.

I wtedy... wydarzył się cud. Nadeszła odpowiedź.

Usłyszałam pukanie po drugiej stronie tych opatrnościowych drzwi.

Z całej siły zaczęłam w nie walić. Teraz już słyszałam jakieś odgłosy za ścianą. Ktoś wiedział, że tu jestem. Ktoś szedł po mnie.

Znowu opadłam na kolana ze złożoną na nie głową. Mając nadal w uszach ten zbawienny hałas, wiedziałam, że oni tu idą. Hałas nasilał się, Wyważano drzwi. Podniosłam głowę i wpatrywałam się w nie. Łzy spływały mi po policzkach. Wargi usiłowały wypowiadać jakieś słowa.

Teobald nadchodzi. Znalazł mnie. Będę wolna...

Byłam szczęśliwa. Czy kiedykolwiek przeżyłam taką radość? Tylko wtedy, gdy się jest o krok od utraty życia, można ocenić jego smak.

Płomyk latarni migotał. Nie szkodzi. Oni nadchodzą. Drzwi się ruszają.

Już wkrótce.

I nareszcie nie byłam sama. Ktoś mnie pochwycił.

— Judyto...

To był Teobald. Moja wiara w niego mnie nie zawiodła. Trzymał mnie w ramionach, a ja myślałam: Nie umarłam ze strachu, ale mogę umrzeć ze szczęścia.

— Moja ukochana — powiedział. — Moja ukochana Judyto.

— Nic mi nie jest, Teobaldzie — odrzekłam, chcąc go pocieszyć. — Nic mi nie jest... wreszcie.

Rozdział 11

Wielkie odkrycie

Następne kilka dni przeżyłam w stanie jakby zamroczenia.

Zdarzało się, że nie wiedziałam, gdzie jestem, i wtedy Teobald był przy mnie... zawsze Teobald, trzymający mnie w ramionach, przemawiający do mnie kojącymi słowami.

Przeżyłam ciężki szok i nieustannie mówiono mi, że wszystko jest dobrze. O niczym innym miałam nie rozmyślać. A Teobald był ze mną. Przyszedł po mnie. Uratował mnie. Tymczasem jedynie o tym muszę myśleć.

— To wystarczy — mówiłam sobie.

Na ogół leżałam spokojnie i tylko ścisnęłam dłoń Teobalda, lecz kiedy zapadałam w drzemkę, często budziłam się, krzycząc, że czarny nietoperz jest u sufitu i jego oczy rzucają ogień. Albo z płaczem wołałam:

— Ratunku! Ratunku! Boże... Allachu... Teobaldzie... pomóżcie mi!

Przeżyłam straszliwe doświadczenie. Niewielu było takich, którzy zostali pogrzebani w grobowcu faraona i wyszli z niego żywymi.

Kto mi to zgotował? Tego chciałam się dowiedzieć. Gdzie był Leopold Harding? Dlaczego zabrał mnie do tych podziemi i tam zostawił?

Teobald odpowiadał:

— Dowiemy się we właściwym czasie. Obecnie zniknął, ale go znajdziemy.

— Dlaczego on to zrobił, Teobaldzie? Po co? Mówił, że zaprowadzi mnie do ciebie, twierdził, że to ty prosiłeś, żebym przyszła.

— Nie wiem. To zagadka dla nas wszystkich. Usiłujemy go odszukać. Lecz on gdzieś przepadł. W tej chwili najważniejsze powinno być dla ciebie, że jesteś bezpieczna, oraz to, że ja już nigdy nie dopuszczę, żebyś zaginęła.

— Och, Teobaldzie — odrzekłam — twe słowa napawają mnie radością.

* * *

Odwiedziła mnie Tabita. Usiadła przy moim łóżku.

— Chcę ci coś powiedzieć, Judyto — zaczęła rozmowę. — Wiele dowiedzieliśmy się z tego, co mówiłaś. Byliśmy wstrząśnięci, że takie rzeczy mogły ci przyjść do głowy. Że w ogóle dopuszczałaś taką możliwość. Teobald wie, że przyszedłam z tobą porozmawiać. Uznaliśmy, że będzie najlepiej, jak wszystkiego się niezwłocznie dowiesz. Sądziłaś, że Teobald i ja jesteśmy kochankami. Judyto, droga, jak mogłaś? Kocham Teobalda, owszem... i zawsze tak było... tak jakbym kochała własnego syna, gdybym go miała. Weszłam do tej rodziny, jak wiesz, kiedy mój mąż został zamknięty w zakładzie. Żona sir Edwarda żyła jeszcze wtedy, ale już była chora. Och, wiem, że to nie było właściwe, ale sir Edward i ja kochaliśmy się. Niania Tester o tym wiedziała i szpiegowała nas. Była bardzo oddana żonie sir Edwarda, a mnie nienawidziła. Nienawidziła też sir Edwarda. Kiedy lady Travers zmarła, niania zrzuciła na mnie za to winę. Prawie sugerowała, że ją zamordowałam. Sir Edward i ja byliśmy kochankami. Jak ci wiadomo, towarzyszyłam mu podczas niektórych jego wypraw. Ożeniłby się ze mną, gdybym była wolna. A gdy się tak stało, już było za późno...

— Teraz rozumiem — odparłam.

— Moja najdroższa Judyto. Ty od początku straciłaś głowę dla Teobalda, prawda? On zdaje sobie sprawę, jakie spotkało go szczęście. Nigdy niczego nie robiłaś połowicznie, tak zawsze twierdziły twe ciotki. Więc twa miłość była czymś w rodzaju niepohamowanej zaborczości. I takie uczucie musiało wydać owoce. Nawet Teobald nie mógł mu się oprzeć. Zwierzył mi się na długo przed tym, zanim ci oświadczył... że pragnie cię poślubić, kiedy zaczęłaś pracować jako panna do towarzystwa lady Bodrean... Muszę przyznać, że nie za bardzo nadawałaś się do tej roli. Całkiem brakowało ci owej potulności, cechy, która zawsze kojarzy się z osobami wykonującymi takie zajęcie.

— Więc okazało się — rzekłam — że to wszystko, czym się martwiłam, było wytworem mej wybujałej wyobraźni.

— Ani na jotę nie odpowiadało rzeczywistości... poza twymi wyobrażeniami nic takiego nie miało miejsca, pamiętaj o tym. Mam ci jeszcze coś do powiedzenia. Oświadczył mi się Terencjusz Gelding.

— I przyjęłaś oświadczyzny?

— Jeszcze nie. Ale chyba przyjmę.

— Będiesz szczęśliwa, Tabito. Nareszcie.

— I jeszcze jedna rzecz. Musisz wiedzieć, że nigdy nie widziałam, aby Teobald robił coś tak zaciekle i z takim uporem, jak wtedy, gdy wyważał dzielące was drzwi. Nie przejawiał takiej determinacji nawet wówczas, kiedy sądził, że jest u progu swego największego, życiowego odkrycia. Nie, nigdy nie widziałam u niego tego rodzaju zdecydowania, rozpaczliwego uporu...

Roześmiałam się.

— Teraz uwierzyłam, że jednak muszę być dla niego ważniejsza niż nienaruszony grobowiec faraona.

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości — odpowiedziała Tabita.

* * *

Przy mym łóżku siedział Teobald.

— Jak tylko lekarz cię zbada, wracamy do kraju. Poprosiłem doktora Gunwena, żeby przyjechał i zapewnił nas, że dobrze zniesiesz trudy podróży.

— Sprowadzasz doktora Gunwena! Wracamy do domu. Czy to znaczy, że ekspedycja dobiegła końca?

— Tak. Dla mnie tak.

— Mój biedny Teobaldzie.

— Biedny! Skoro jesteś tu... żywa i zdrowa.

Przytulił mnie do siebie.

— Przynajmniej — powiedziałam — osiągnęłam taki stan szczęścia, o jakim marzyłam.

Nie odpowiedział, lecz jego uścisk wyraźnie wskazywał, że dzieli mą radość.

— Gdzie jest Hadrian? — spytałam. — Dlaczego do mnie nie przyszedł?

— Chcesz go zobaczyć? — zapytał Teobald.

— Oczywiście. Chyba dobrze się miewa, prawda?

— Tak — odparł. — Przyślę go do ciebie.

Dostrzegłam od razu, że Hadrian się zmienił. Nigdy nie widziałam, żeby był tak śmiertelnie poważny.

— Och, Hadrianie!

Ujął me dłonie i ucałował w oba policzki.

— Coś okropnego! Żeby tobie się to przydarzyło. Musiałaś być przerażona.

— Byłam.

— Co za świnia! — rzekł. — Podła świnia. Lepiej byłoby strzelić kulę w łeb niż to. Z czasem o tym zapomnisz, Judyto.

— Nie wiem, czy można zapomnieć o takim doświadczeniu.

— Tobie się uda.

— Hadrianie, dlaczego on to zrobił?

— Bóg jeden wie. Musiał postradać zmysły.

— Robił wrażenie całkiem zdrowego... taki zwyczajny kupiec, który przypadkowo natknął się na wyprawę archeologiczną i nasze prace go zafascynowały, bo miały związek z jego interesami. Jaki mógł być jego motyw?

— Tego właśnie będziemy musieli się dowiedzieć. Dzięki Bogu konferencja się skończyła, kiedy to się zdarzyło... mniej więcej wtedy, gdy ty i Harding weszliście do podziemi. Zgodzono się na przedłużenie ekspedycji o kilka tygodni i gdy wróciliśmy do pałacu, Teobald chciał ci przekazać tę wiadomość. Jeden ze służących przypadkowo usłyszał Hardinga, jak ci mówił, że Teobald chce, żeby on cię przyprowadził na teren wykopalisk, i widział, jak z nim wyszłaś. Teobald się zaniepokoił. Chyba bardziej się zdenerwował niż czymkolwiek przedtem. Pojechaliśmy na wykopaliska. Szukaliśmy cię. W pewnym momencie uznaliśmy, że to beznadziejne, ale Teobald nie rezygnował. Przeszukiwał ciągle na nowo te same miejsca. Aż w końcu usłyszeliśmy pukanie.

— Jaki mógł być jego motyw? Jestem pewna, że próbował mnie zabić w świątyni.

— Ale jaką korzyść miałyby mu przynieść twoja śmierć?

— To bardzo tajemnicza sprawa.

— A Teodozja? Czy sądzisz, że za tym krył się Leopold Harding?

— Nie. Pasza i jego służba.

— Pasza?

— Jeden z robotników... kochanek Yasmin... ostrzegł mnie. Yasmin znaleziono w grobowcu i zabito. Była tam tego dnia, kiedy pasza złożył nam wizytę. Pamiętasz Święto Nilu.

— Dobry Boże, Judyto. Znaleźliśmy się w jakiejś sieci knoń.

— To, co przytrafiło się Teodozji, mogło się zdarzyć każdemu. Ją przypadkiem spotkało to nieszczęście. Pomost został uszkodzony, gdyż paszy potrzebna była ofiara. Nieważne, kto by nią był.

— Ale pasza nam pomógł.

— Chciał nas stąd usunąć. Nie można wyłączyć, że będzie próbował jeszcze kogoś z nas zabić. Do pokoju wszedł Teobald i usiadłszy przy moim łóżku, przyglądał mi się z niepokojem.

— Judyto, zmęczyłaś się. — Spojrzał z wyrzutem na Hadriana.

Upajała mnie jego troska, lecz zapewniłam go, że nie jestem zmęczona. Powiedziałam, że rozmawiamy o Leopoldzie Hardingu i paszy i staramy się doszukać przyczyny, dlaczego podjęto próbę zamachu na moje życie.

— Przede wszystkim — stwierdził Teobald — Harding musiał coś wiedzieć o topografii tego miejsca.

— Bywał tam niejednokrotnie — przypomniałam mu.

— Wiedział za dużo. Skądś musiał zdobyć tę wiedzę.

— Jedno jest pewne — powiedziałam — Leopold Harding nie był taki, na jakiego wyglądał. Teobaldzie, zastanawiam się, czy ten młodzieniec, kochanek Yasmin, czegoś nie wie. To on mi powiedział, że pasza chce się nas stąd pozbyć.

— Poślemy po niego — rzekł Teobald.

— Pod jakimś pretekstem — ostrzegłam go. — Nikt nie może podejrzewać, że nam pomaga. Nie wiemy, kto nas szpieguje.

* * *

Niezadługo chłopak stanął przed nami. Uzgodniliśmy, że to ja będę zadawała mu pytania, ponieważ zdobyłam już jego zaufanie.

— Powiedz mi, co wiesz o Leopoldzie Hardingu? — spytałam.

Widząc, jak niespokojnie się rozgląda, doszłam do wniosku, że on coś wie.

— On przyjeżdżać czasami do Egiptu, pani.

— Więc często tu bywał? Co jeszcze wiesz.

— On jest przyjacielem paszy. Pasza dawać mu piękne rzeczy.

— Jakie piękne rzeczy?

— Wszystkie piękne rzeczy. Klejnoty... kamienie... meble, różne. Leopold Harding wyjeżdżać daleko i wracać do paszy.

— Więc on jest na służbie u paszy?

Chłopak skinął głową.

— Dziękuję ci — powiedziałam. — Oddałeś mi dużą przysługę.

— Pani bardzo dobra — rzekł. — Pani dobra dla Yasmin. Pani być zamknięta w grobowcu. — W jego dużych oczach odmalowało się przerażenie.

— Ale wyszłam stamtąd — powiedziałam.

— Pani bardzo wspaniała i mądra. Pani i wspaniały pan pojedą do kraju deszczu. Tam państwo żyć w spokoju i radości.

— Dziękuję — rzekłam. — Dobrze mi się przysłużyłeś.

* * *

Przyjechał doktor Gunwen. Usiadł przy moim łóżku i zaczęliśmy rozmawiać. Spytałam o Dorcas i Alison, a on odpowiedział: „Już się przygotowuję na twój powrót”.

Zaśmiałam się.

— Tak, będę zalecał natychmiastowy powrót. Mówiłem o tym z twoim mężem. Powinnaś tam wrócić... potrzebny ci dłuższy, przyjemny wypoczynek na dobrze ci znanej wsi. Pomagaj żonie proboszcza przy urządzaniu dobroczynnych went i smażeniu konfitur.

— Byłoby cudownie — rzekłam.

— Tak, trzeba odpocząć trochę od tych obcych stron. W kraju natychmiast powrócisz do zdrowia, jestem pewien. Bo właściwie nic ci nie dolega. Tylko że taki rodzaj uwięzienia może mieć niszczący wpływ. Ale sądzę, że jesteś na tyle osobą żywotną i energiczną, iż te fatalne przeżycia w mniejszym stopniu wpłyną na ciebie, niż to ma miejsce w większości podobnych przypadków.

— Dzięki — odpowiedziałam. — Zastosuję się do pana poleceń.

* * *

— Teobaldzie — powiedziałam — wracamy do domu.

— Tak — odparł. — Polecenie lekarza.

— Ekspedycja skończona, prawda?

— Tak. Skończona.

Leżałam przytulona do niego i oczyma wyobraźni widziałam zielone przestrzenie. Teraz tam już będzie jesień. Drzewa przybiorą barwę złotobrazową. Jabłonie w Rainbow Cottage ugną się pod ciężarem szarych renet, a gruszki będą gotowe do zrywania. Dorcas i Alison zaczną dyskutować o urodzie śliwek.

Ogarnęła mnie niewymowna tęsknota za krajem. Stworzę z Giza House dom, jakiego pragnę. Rozproszę tam ciemności. Nigdy już nie będę chciała żyć w mrokach. Otoczę się wokół jasnymi kolorami.

— Cudownie będzie znaleźć się z tobą w domu — powiedziałam.

* * *

Teraz, gdy już dobrze się poczułam i rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu, dowiedziałam się więcej o tym, co się wydarzyło.

Mustafa i Absalom zniknęli. Czy usłyszeli, jak wyrażałam swe podejrzenia co do osoby paszy? Ale wydarzyło się jeszcze coś ważniejszego. Zapanowało ogromne podniecenie, gdyż okazało się, że w wąskim korytarzu, do którego się dostałam i gdzie archeolodzy weszli po zburzeniu ściany owej alkowy, w której znaleziono Yasmin, są dowody wskazujące, że coś się za nim znajduje. Ten korytarz nie był jednak ślepą uliczką.

To było największe odkrycie naszej ekspedycji i stało się jasne, że sir Edward był tego świadomy owej nocy, kiedy zmarł.

Tabita oznajmiła mi, że Terencjusz przejął kierownictwo nad poszukiwaniami, gdyż Teobald zdecydował się wrócić ze mną do kraju.

— Nie — powiedziałam. — Nie mogę na to pozwolić.

Wpadłam do naszego pokoju, gdzie mój mąż układał jakieś dokumenty.

— Teobaldzie — rzekłam — ty zostajesz.

— Zostaję? — Spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi.

— Tutaj.

— Sądziłem, że wyjeżdżamy do domu.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie jesteś na progu najwspanialszego archeologicznego odkrycia?

— Jako przyszły, dobrze zapowiadający się archeolog musisz nauczyć się stosowania zasady: „Nie krzycz hop, zanim nie przeskoczysz”.

— W archeologii zawsze się krzyczy „hop” przed przeskoczeniem. Jakbyś mógł dalej prowadzić te badania, gdybyś nie wierzył, że osiągniesz sukces? Ten korytarz gdzieś prowadzi. Wiesz o tym. Prowadzi do grobowca. I to bardzo ważnej osobistości. Bo gdyby tak nie było, po co zadawano by sobie tyle trudu z budowaniem wokół niego wielu nigdzie nie prowadzących pomieszczeń?

— Judyto, jak zwykle przesadzasz. Są tylko takie trzy ślepe zaułki.

— Co za różnica. Trzy to bardzo dużo. To musi być wspaniały grobowiec. I masz tego świadomość. Przyznaj.

— Sądzę, że być może oni są na progu wielkiego odkrycia.

— A to było celem naszej wyprawy?

— No cóż, tak.

— Wyprawy, którą planowałeś od śmierci ojca. Skinął głową.

— On zmarł, gdyż doszedł zbyt blisko. Był w tym miejscu, w którym ja się znalazłam.

— I dzięki twej tam obecności doszliśmy do nowej sytuacji.

— A więc była i z tego jakaś korzyść.

— Mój Boże, raczej zrezygnowałbym z szukania drogi do grobowca.

— Teobaldzie, jestem tego pewna. Ale teraz tu zostaniesz.

— Doktor Gunwen zaleca ci jak najszybszy powrót do kraju.

— Nie pojedę.

— Musisz.

— Nie pojedę sama, a ty tam ze mną nie jedziesz.

— Jestem już przygotowany do niezwłocznego wyjazdu.

— Nie dopuszczę do tego — oznajmiłam. — Nie pozwolę ci teraz wyjechać. Masz dalej działać. To twoja wyprawa. Kiedy wreszcie dotrzesz do grobowca, zobaczysz nienaruszony od czterech tysięcy lat pył... i być może ślady stóp ostatniej osoby, która ten grobowiec opuszczała... ty będziesz pierwszy. Czy sądzisz, że dopuszczę, by taki zaszczyt przypadł Terencjuszowi Geldingowi?

— Nic z tego — rzekł stanowczo. — Wracamy do kraju. Lecz ja naprawdę byłam zdecydowana.

Rozgrywał się pojedynek między jego i moją wolą. Nie posiadałam się z radości. To wydawało mi się nie do uwierzenia. Sprzeciwiałam się jego rezygnacji z czegoś, dla czego, jak sądziłam, wszystko by poświęcił.

Wtedy pomyślałam: Jestem kochana... tak bardzo jak sama kocham.

Po prostu odmówiłam wyjazdu. Chciałam tu zostać. Gdybyśmy wyjechali w tym stadium poszukiwań, nie potrafiłabym przeżywać pełnego szczęścia. Uzyskałam zgodę doktora Gunwena i ostatecznie odniosłam zwycięstwo.

* * *

Jest powszechnie wiadome, co się wydarzyło. Jednak nie było to odkrycie stulecia.

Ekspedycja Teobalda znalazła grobowiec na parę dni wcześniej, zanim do niego dotarli robotnicy paszy, posuwający się od innej strony wzgórza.

Cóż za skarby mogłyby tam być! Było jasne, że odkryto komorę grobową wielkiego króla.

Pasza prowadził swe prace już od pewnego czasu. Wiedział, że jest przejście przez komorę, w której spędziłam owe straszliwe godziny. Dlatego sir Edward musiał umrzeć, kiedy się tam dostał. Pasza wiedział również, że przez niszę, w której znaleziono Yasmin, wiedzie droga do korytarza, i być może myślał, że ona coś odkryła. Jej śmierć była ostrzeżeniem dla pozostałych robotników, którzy mogliby wpaść na pomysł zbadania podziemnych korytarzy.

Niestety, wielkie oczekiwania Teobalda nie spełniły się. W grobowcu stał sarkofag, a w nim była mumia faraona, lecz grabieżcy — być może przodkowie paszy — ogołocili grobowiec dwa tysiące lat temu. Został tam tylko wykonany z kamienia domek duszy, który uznali za bezwartościowy.

* * *

Doszły nas słuchy, że pasza wyjechał do Aleksandrii. Nie złożył nam pożegnalnej wizyty. Musiał się dowiedzieć za pośrednictwem swych służących, że rozwikłaliśmy tajemnicę śmierci sir Edwarda i Teodozji.

Wróciliśmy do Anglii.

W Rainbow Cottage zapanowała wielka radość. Prosiłam, żeby nie mówiono ciotkom o mych przygodach, gdyż — jak powiedziałam Teobaldowi — będziemy razem wyjeżdżać w różne

miejsca, a one za każdym razem by się niepokoiły i powtarzały: „A nie mówiłyśmy?”, co byłoby nie do zniesienia.

Kilka dni po naszym przyjeździe w gazecie ukazał się artykuł o pewnym Angliku, dobrze prosperującym handlarzu antykami, głównie egipskimi, którego ciało wyłowiono z Nilu. Nazywał się Leopold Harding. Nie ustalono, czy jego śmierć była wynikiem jakichś porachunków. Miał wprawdzie obrażenia głowy, lecz mogły być one spowodowane uderzeniem o łódź, kiedy się przewracała. Ponieważ specjalizował się w handlu unikatowymi obiektami, jego klientami byli przeważnie prywatni kolekcjonerzy.

Było jasne, że pozostawał na usługach paszy, tak jak ci, co uszkodzili pomost, a także wróżbiarz oraz Mustafa i Absalom. Harding sprzedawał bezcenne przedmioty, które być może pasza w przeszłości wyniósł z grobowców, gdyż oczywiście pozbycie się tego rodzaju skarbów zabrać musiało mu lata. Wiele z nich trzeba było rozebrać na fragmenty, a jeśli były ozdobione drogimi kamieniami, to musiano je sprzedawać osobno. Wszystkie te transakcje prowadzono pod przykrywką legalnego interesu.

Pasza najwyraźniej miał nadzieję, że dokona odkrycia, które zdarza się raz w życiu. Sir Edward odnalazł ten sam ślad, więc został zgładzony za pośrednictwem Mustafy i Absaloma. Kiedy Teobald przybył, by kontynuować prace przerwane przez ojca, śmierć Teodozji miała być ostrzeżeniem. Ponieważ zostaliśmy, Leopold Harding otrzymał rozkaz zabicia mnie. Jego plan się nie powiódł. Pasza nie tolerował niepowodzeń. Co więcej, bez wątpienia obawiał się, że Harding, nad którym miał mniejszą kontrolę niż nad swymi służącymi, będącymi jego ziomkami, mógłby ujawnić fakt, od kogo otrzymał polecenie pozbycia się mnie. Więc Leopold Harding został zamordowany tak jak Yasmin.

Tę przygodę miałam już za sobą. Leopold Harding usiłował pozbawić mnie życia, a tymczasem rozwiązał moje obawy. Dzięki temu, co uczynił, stałam się bardziej wyrozumiała, Teobald także. Nigdy oczywiście nie będzie mężczyzną okazującym uczucia. I chyba nawet kiedy jest najbardziej rozczulony, tym bardziej staje się powściągliwy.

Lecz gdyby nie Leopold Harding i egipska wyprawa, przez lata mogłabym zadrećzać się wątpliwościami, czy Teobald mnie kocha, gdyż on nigdy nie potrafiłby wyrazić słowami tego, co uczynił, kiedy dotarł do mnie i gdy gotów był dla mnie zrezygnować ze swej życiowej ambicji, choć był pewien — jak się okazało bezpodstawnie — że cel jest w zasięgu ręki.

— Mój biedny Teobaldzie — powiedziałam — tak pragnęłam, żebyś dokonał wielkiego odkrycia.

— Udało mi się dokonać większego.

— Wiem. Przedtem sądziłeś, że najbardziej ze wszystkiego pragniesz odnaleźć skarb, jakiego świat nie widział.

— I to mi się właśnie udało — rzekł. — Odkryłem, ile ty dla mnie znaczysz.

Czyż zatem nie powinnam być wdzięczna losowi za to, co się stało? I czy nie miałam podstaw, by oczekiwać z niecierpliwą radością na wszelkie wspianiałości naszego wspólnego życia?